

Zwycięzca





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JERZY ŻUŁAWSKI

TRYLOGIA KSIĘŻYCOWA

Zwycięzca

CZEŚĆ PIERWSZA

I

Malahuda drgnął i obrócił się w karle¹ gwałtownie. Szelest był wprawdzie tak lekki, lżejszy, niż wydać mogła opadająca karta w poźółkłej księdze, którą czytał, ale ucho starca pochwyliło go natychmiast w tej bezdennej ciszy świętego miejsca.

Oślonił oczy dłonią przed światłem rozjarzonego do połowy pająka², który zwisał u sklepionego stropu, i spojrział ku drzwiom. Były otwarte, a w nich — zstępując właśnie z ostatniego stopnia, z jedną nogą w powietrzu jeszcze zawieszoną — stała młoda dziewczyna. Była naga, jak kobiety niezamężne zwykły w noc chodzić po domu, z ramion tylko zwisało jej puszyste białe futro, z zewnątrz i wewnątrz jednakowym miękkim włosem pokryte.

Zupełnie z przodu rozwarte i mające jeno³ szerokie otwory na ręce w miejsce rękawów, spływało miękką falą po jej młodym ciele aż po drobne kostki stóp, w płytkie białe ciżmy futrzane obutych. Włosy jej zlatorude zwinięte były ponad uszema w dwa ogromne węzły, z których jeszcze wolno puszczone końce kos⁴ opadały na ramiona, rozsypując złote iskry po śnieżnej bieli futra. Na szyi miała sznur beczennych purpurowych bursztynów, które według podania należały przed wiekami do świętej kapłanki Ady — i z pokolenia w pokolenie przechowywane były jako klejnot najdroższy w rodzinie arcykapłana Malahudy.

— Ihezał!

— Tak, to ja, dziadku.

Stała wciąż we drzwiach, biała na tle ciemnej, zionącej czeluści wiodących gdzieś w górę schodów, z ręką na kutej kłamce, patrząc ogromnymi czarnymi oczyma na starca.

Malahuda powstał. Drżącymi rękoma zgarniał leżące przed nim księgi na marmurowym stole, jak gdyby je chciał ukryć, nierad i pomieszany... Mamrotał coś do siebie, poruszając szybko wargami, brał ciężkie foliały i przekładał je bez celu na drugą stronę, aż naraz zwrócił się ku przybyłej:

— Czy nie wiesz, że oprócz mnie nikomu tutaj wchodzić nie wolno? — rzekł niemal gniewnie.

— Tak... ale... — urwała, jakby szukając słów.

Duże oczy jej, jak dwa ptaki szybkie i ciekawe, przeleciały po tajemniczej komnacie, muskając olbrzymie, bogato rzeżane i złotem nabite skrzynie, w których księgi święte chowano, zatrzymały się chwilę na dziwnych ozdobach czy znakach tajemnych z kości i złota na wykładanych gładzoną lawą ścianach — i powróciły znów na twarz starca.

— Wszakże teraz już wolno — rzekła z naciskiem.

Malahuda w milczeniu odwrócił się i poszedł w głąb ku wielkiemu zegarowi, który całą wysokość ściany zajmował. Przeliczył spadłe już kule w miedzianej misie i spojrział na wskazówki.

— Jeszcze trzydzieści dziewięć godzin do wschodu słońca — rzekł twardo — idź i śpij, jeśli nie masz co robić...

Ihezał nie poruszyła się. Patrzyła na dziadka, podobnie jak ona w domowy strój odzianego, jeno że futro miał na sobie lśniące, czarne i pod nim kaftan i spodnie z miękką wyprawnej, czerwono barwionej psiej skóry, a na siwych włosach złotą obręcz, bez której nie wolno było nawet arcykapłanom wchodzić do miejsca świętego.

— Dziadku...

— Idź spać! — powtórzył stanowczo.

Ale ona nagłym ruchem przypadła mu do kolan.

¹karło (daw.) — rodzaj niewysokiego krzesła z podłokietnikami, o nogach z przodu i z tyłu uformowanych w kształt cyfry X; niekiedy z oparciem, częściej bez, czasem wyścielane materiałem lub skórą. [przypis edytorski]

²pająk — tu: żyrandol wieloramienny (sześć- lub ośmio-) zawieszany u sufitu sal bawialnych, świetlic i innych większych pomieszczeń. [przypis edytorski]

³jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

⁴kosa (daw.) — warkocz. [przypis edytorski]

— *On przyszedł!* — krzyknęła z radosnym, przemocą dotychczas powstrzymywanym wybuchem — dziadku, on przyszedł!

Malahuda cofnął rękę i usiadł z wolna w karle, spuszczać na pierś bujną, siwą brodę. Dziewczyna patrzyła na niego teraz z niewysłowionym zdumieniem.

— Dziadku, dlaczego nie odpowiadasz? Od dziecka, ledwo mówić zaczęłam, uczyłeś mnie, jako pierwszego słowa, tego pozdrowienia odwiecznego, które nas, ludzi, odróżnia od zwierząt i podlejszych od nich szernów, i gorszych, bo postać ludzką noszących, morców — i witałam cię zawsze, jak należy, słowami: „On przyjdzie!” — a ty zawsze odpowiadałeś, jako należy: „Przyjdzie zaprawdę!” — Dlaczegoż teraz, kiedy ten wielki, szczęśliwy dzień nam zawitał, że mogę zawołać do ciebie: „On przyszedł” — ty mi nie odpowiadasz „Przyszedł, zaprawdę!”?

Mówiła szybko, zapalczywie, z dziwnym gorączkowym błyskiem w oczach, chwytając oddech białą pierśią, po której falowały, skrząc się w odbitych miedzianymi zwierciadłami światłach, bezcenne purpurowe bursztyny świętej kapłanki Ady...

— Dziadku! prorok Tuheja, którego pono starcem znali jeszcze pradziadowie twoi, napisał był ongi: „Przyjdzie w dniu największego uciśnienia i lud swój wybawi. A jako odszedł był od nas starcem w on dzień, bo nigdy młodym nie był, tak powróci po dopełnieniu czasów młodzieńcem światłym i promiennym, albowiem nigdy już starym nie będzie!”. Dziadku! on jest tam! On idzie! Powrócił z Ziemi, na którą odszedł był przed wiekami, aby wypełnić, co przyobiecał przez usta pierwszej swej prorokini Ady — idzie w glorii i majestacie, młody, zwycięski, piękny! O! kiedyż ten świt nadejdzie! kiedyż go będę mogła ujrzyć i pod nogi jego błogosławione rzucić te włosy!

To mówiąc, szybkim, prawie nieświadomym ruchem — u nóg starca schylona — rozerwała węzły kos ponad uszyna, zalewając posadzkę malachitową wonnym, miątkim, złotym potopem.

Malahuda milczał wciąż. Zdawać się mogło, że nie widzi nawet klęczącej przed nim dziewczyny ani nie słyszy potoku jej słów. Oczy przygasłe i zamyślonie zwrócił w głąb komnaty — przez przyzwyczajenie może? — gdzie w mroku błyszczał na ścianie odblaskami świecznika złoty znak święty, wyobrażać mający wychyloną zza widnokregu Ziemię ze stojącym nad nią Słońcem, tak jak są widywane każdej północy przez Braci Wyczekujących w *Kraju Biegunowym*...

Ihezał mimo woli poszła oczyma za jego wzrokiem i spostrzegła wylaniające się z mroku dwie złączone tarcze złociste na czarnym marmurze⁵, wyrażające tak prostym sposobem wszystkie wielkie tajemnice, z wieku na wiek, z pokolenia w pokolenie przekazywane: jako że ludzie przyszliz na Księżyc z Ziemi, gwiazdy ogromnej, świecącej nad bezpowietrzną pustynią, i że tam odszedł On, Stary Człowiek (który to imię przybrał i nim się kazał nazywać, nie pozwalając wymawiać innego) — i stamtąd powróci zwycięskim młodzieńcem i wybawicielem. Nabożny lęk ją objął, uniosła się i wielkim palcem prawej dłoni nakreśliła szybko na czole koło, a potem większe półkoło od jednego ramienia przez usta ku drugiemu — i linię poziomą przez pierś, szeptaając jednocześnie zwykłe słowa zaklęcia: „On nas wybawi — pognębi wroga naszego — tak będzie zaprawdę”.

Malahuda powtórzył jak echo:

— Tak będzie, zaprawdę... — Jakiś spazm gorzkiego bólu czy ironii zdławił mu ostatnie słowo w gardle.

Ihezał spojrzała mu w twarz. Milczała przez chwilę, a potem nagle, uderzona snadź czymś niezwykłym, a dopiero teraz w obliczu starca spostrzeżonym, odskoczyła w tył, krzyżując ręce na nagiej, spod rozwartego futra wychylającej się piersi.

— Dziadku!...

— Cicho, dziecko, cicho.

Powstał i chciał ją ująć za dłoń, ale ona mu się usunęła. A potem krzyk:

— Dziadku! ty... nie wierzysz, że to... On?!

Stała o parę kroków przed nim, z naprzód wyciągniętą szyją, z szeroko rozwartymi oczyma i rozchylonymi ustami⁶, wyczekująca odpowiedzi, jakby życie jej od słów, które miała usłyszeć, zawisło.

⁵dwie złączone tarcze złociste na czarnym marmurze — w tym miejscu w tekście znajduje się odpowiedni rysunek. [przypis edytorski]

⁶rozchylonymi usty — dziś: rozchylonymi ustami. [przypis edytorski]

Arcykapłan spojrział na wnuczkę i zawahał się.

— Proroctwa się wszystkie zgadzają i jeżeli kiedykolwiek miał przyjść Zwycięzca...

Urwał i zamilkł. Miałże powiedzieć⁷ tej tak wierzącej dziewczynie o tym, do czego po długiej walce zaledwie sam się śmiał przyznać przed sobą i co jeszcze od starego serca wszelkimi siłami odpychał? Miałże jej powiedzieć, że on, arcykapłan, stróż Prawdy i Tajemnicy, ostatni z odwiecznego i wygasającego już na nim kapłanów rodu, on — przodownik wszystkiego ludu, mieszkającego na północnym brzegu *Wielkiego Morza*, hen daleko na wschód poza śnieżnym szczytem zionącego ogniem *Otamora*, przy *Ciepłych Stawach*, najstarszej księżycowej osadzie, i dalej poza *Przesmykiem* na zachód i na północ, aż po *Stare Źródła*, którądy droga w *Kraj Biegunowy* wiedzie i kędy przed wiekami pono pierwszy raz błogosławioną naftę odkryto — miałże powiedzieć on, który całe długie życie szanował i przykazywał wierzyć w przyjście Zwycięzcy: że teraz, kiedy doniesiono mu, iż przyszedł zaprawdę, on przestał wierzyć, że miał przyjść w ogóle?

Sam nie umiał dobrze zdać sobie sprawy z tego, co w nim zaszło, czy też snad⁸ wydobyło się na wierzch z nieświadomej jakiej głębi wobec tej wstrząsającej wiadomości.

Przed zachodem słońca odbywał jeszcze zwykle z ludem modlitwy i kazal⁹, cytując słowa ostatniego proroka Tuhei, właśnie teraz przez tę dziewczynę mu odrzucone... Czynił tak co dzień, przez długi ciąg swego żywota, od kiedy został kapłanem — i wierzył tak od dziecka, przez ojca swego, arcykapłana Bormitę, nauczony, że Stary Człowiek ongi¹⁰ żył między swoim ludem i odszedł na Ziemię przed wiekami, i powróci znów młodzieńcem, aby lud swój wybawić. Ta wiara była dla niego tak jasna i tak prosta. Nawet nie zastanawiał się nad nią głębiej, nie zwracał nawet nigdy uwagi na dowodzenie „uczonych”, którzy utrzymywali, że historia o ziemskim pochodzeniu ludzi na Księżycu jest zwykłą, w ciągu wieków powstałą legendą, że żaden „Stary Człowiek” nigdy nie istniał ani też nigdy żaden „Zwycięzca” z międzygwiazdnych przestrzeni nie zejdzie... Nauk takich on nie zwalczał nawet, odstępując pod tym względem od starego zwyczaju, który i ojciec jego, arcykapłan Bormita, jeszcze zachowywał, od zwyczaju, co kazał kacerzy¹¹ do słupa przywiązanych na morskim wybrzeżu kamienować. Kiedy kapłani, jego podwładni, domagali się tej kary, kiedy wołali o nią na bluźnierców, zwłaszcza zaciekli Bracia Wyczekujący, on wzruszał tylko ramionami ze spokojem i wielką pogardą w duszy — zarówno dla tych, co kamieniami chcieli wiarę umacniać, jak i dla owych, litości godnych szaleńców, którzy ludzkim słabym rozumem dociekać usiłowali rzeczy niedocieczonych, zamiast wierzyć z błogą radością w gwiazdne swoje pochodzenie i w Obietnicę, która się kiedyś spełni...

Między innymi pobudek tej łagodności jego pojąć nie mógł mnich Elem, przełożony zakonu Braci Wyczekujących, i gromić go śmiał nieraz przez posły za ten brak gorliwości w rzeczach świętych — ale czyż nie on, Malahuda, był panem, królującym w odwiecznej arcykapłańskiej stolicy przy *Ciepłych Stawach* wszystkiemu ludowi księżycowemu? Sądzić mu należało, a nie być sądzonym. On to raczej mógł Elema potępić i wszystkich z nim razem Braci Wyczekujących za kacerstwo widoczne, iż nadejście Zwycięzcy każdego dnia już obiecywali, nie bacząc, że wszyscy prorocy na przyszłość je zapowiedzieli... Nierad też był powadze i wpływowi, jaki sobie Bracia wśród ludu zyskać umieli. Nie opuszczali oni wprawdzie nigdy siedzib swoich w *Kraju Biegunowym* — zakon im tego zabraniał — ale co rok (tak dziwnie: „rokiem”, nazywano na Księżycu okres na przemian dwunastu i trzynastu dni po siedemset dziewięć godzin, odpowiadający czasowi przejścia słońca przez zodiak; opowiadają, że ten podział czasu ludzie z sobą z Ziemi przynieśli) — otóż co roku, zwłaszcza dnia dwunastego, który jest świętym i pamiątkowym dniem odejścia Starego Człowieka, odbywały się tłumne pielgrzymki do *Kraju Biegunowego*, nastrożające dla Braci Wyczekujących dość sposobności oddziaływania na lud.

Nie w mocy Malahudy było zakazać tych pielgrzymek, tradycją wieków uświęconych, choć niechętnym na nie patrzył okiem, widząc, jak Bracia lud demoralizują i odciągają od zadań życia realnych, obiecując mu rychłe już przyjście Zwycięzcy...

⁷ *miałże powiedzieć* — konstrukcja z partycypium *-ze*; znaczenie: czy miał powiedzieć. [przypis edytorski]

⁸ *snadz* (daw.) — tu: przecież, wszakże. [przypis edytorski]

⁹ *kazal* — tu: mówić kazanie; wygłaszać mowę umoralniającą. [przypis edytorski]

¹⁰ *ongi* — niegdyś, kiedyś dawniej. [przypis edytorski]

¹¹ *kacerz* — odstępca religijny; heretyk. [przypis edytorski]

Zapewne, i on — Malahuda — w przyjście Zwycięzcy wierzył niezłomnie, ale zdawało mu się to zawsze czymś tak odległym, czymś, co jest prawie że tylko obiecany, tak że gdyby go był kto zapytał: czy przypuszcza możliwość doczekania się za swego żywota owego Przyjścia? — byłby z pewnością odczuł takie pytanie jako naruszenie dogmatu, orzekającego, iż Przyjście w przyszłości nastąpi... Wszakże prorok Ramido powiedział był wyraźnie: „Nie nasze oczy i nie oczy synów naszych ujrzą Zwycięzcę — ale przyjdą po nas ci, którzy go twarzą w twarz oglądać będą”. A cóż, że prorok Ramido przed stu kilkudziesięciu laty umarł?...

Tak było aż do wczorajszego dnia wieczorem. Skończył był właśnie modły z ludem i stał jeszcze na szerokim tarasie przed świątynią, tyłem do zachodzącego słońca i morza odwrócony — i ręce do ostatniego wieczornego podnosząc błogosławieństwa, odwieczne wymawiał pozdrowienie: „On przyjdzie!” — kiedy wśród ludu zgromadzonego ruch się wszczął jakiś i niepokój. Bliżej stojący odpowiedzieli mu jeszcze zwykłymi słowy: „Przyjdzie zaprawdę...”, ale ci, którzy dalej stali, odwracali się już poza siebie, wskazując dłońmi dziwną grupę, która się szybko ku świątyni zbliżała.

Malahuda spojrział i zdumiał się. Pośród małej garstki zebranych snadz¹² przypadkowo przechodniów szli, a raczej biegli dwaj Bracia Wyczekujący. Poznał ich z dala po odkrytych ogolonych głowach i długich szarych szatach, jakie mieli na sobie. Nieopodal stał wózek psami zaprzężony, którym snadz tu przybyli. Już samo zjawienie się mnichów, nieopuszczających w ciągu życia nigdy swych siedzib, było czymś niesłychanym, ale miary zdumienia starego kapłana dopełnił sposób ich zachowania się, wprost niepojęty. Patrzył i sądził, że ma ludzi szalonych przed sobą, nie śmiał bowiem przypuszczać, aby się popili mnichowie¹³, nieznający wedle ślubów trunku żadnego. Biegli krokiem tanecznym, w pługach, wymachując rękoma i z rozpromienioną twarzą rzucali naokół jakieś okrzyki, których treści nie mógł pojąć z dala. A lud w dole słyszał je i rozumiał snadz, bo ciżbą¹⁴ całą począł się naraz tłoczyć ku przybyłym — ruchliwy, oszalały a krzyczący, tak iż niewiela, a Malahuda sam został na stopniach świątyni ponad opustoszałym placem. W tejsze jednak chwili uderzyła na niego powrotna fala tłumy. Nim mógł zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, spostrzegł około siebie twarze oszalałe obłądną jakąś radością, podniesione ręce i setki gęb rozwartych a krzyczących: lud cały pchał się teraz na stopnie świątyni, a na przedzie szli obaj Bracia na rękach niemal niesieni i wołający z płaczem naraz i śmiechem:

— On przyszedł! On przyszedł!

Nie rozumiał i długo jeszcze pojąć nie mógł, choć Bracia opowiadali mu, że spełniona jest wielka obietnica i dokonany czas przez proroków naznaczony, bo oto poprzedniego dnia o godzinie, kiedy w *Kraju Biegunowym* słońce staje nad zaćmioną Ziemią, powrócił po wiekach do ludu swego On, Stary Człowiek — odmłodzony i promienny, Zwycięzca i wybawiciel!...

„Bracia Wyczekujący” przestali już istnieć — są oni teraz „Braćmi Radosnymi” — po dwóch rozesłani idą z dobrą nowiną do wszystkich plemion księżycowych, nad brzegiem *Wielkiego Morza* i w głębi łądu nad strumieniami zamieszkałych, wieścić przyjście Zwycięzcy, koniec złu wszelakiemu i wybawienie z ręki szernów i morców!

A oto za nimi, razem z Elemem i kilku dla towarzystwa pozostałymi Braćmi, idzie On sam, Zwycięzca — i kiedy świt nowy wzejdzie, zjawi się ludowi tutaj, nad brzegiem *Morza Wielkiego*...

Tak mówili Bracia — wyczekujący niegdyś, a dzisiaj już radośni, a lud cały przed arcykapłanem śmiał się i płakał, i w pługach a okrzykach sławił Najwyższego, który dopełnił danych prorokom obietnic.

Malahuda wznosił ręce. Szał radosny jak fala ogarnął w pierwszej chwili i jego. Stara pierś wzdęła mu się uczuciem niewysłowionej, rzewnej wdzięczności, że teraz właśnie, w porze ucisku srogiego i w dniu gorzkiej niedoli, Zwycięzca przychodzi — oczy zasły mu łzami, a gardło ścisnęła spazm serdeczny, dławiąc w nim okrzyk weselny, który się już z głębi duszy dobywał... Zakrył oczy dłońmi i rozplakał się wobec ludu na stopniach świątyni.

¹²snadz (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

¹³mnichowie — dziś popr. forma M.lm: mnisi. [przypis edytorski]

¹⁴ciżba — tłum. [przypis edytorski]

Lud patrzył z szacunkiem na lży arcykapłana, a on trwał tak długo z zakrytą twarzą i głową na pierś pochyloną... I przyszło mu na myśl całe życie jego, wszystkie tęsknoty i uniesienia — i wszystko, na co patrzył oczyma swoimi: klęski ludu i nieszczęścia, i pogńębienie, które on koił, powtarzając wciąż świętą, a spełnioną już dziś Obietnicę... Tęsknota jakaś rozlewna zajęła teraz w sercu jego miejsce poprzedniej radości.

— Bracia moi! bracia... — zaczął, wyciągając drżące od starości i wzruszenia ręce ponad falującym tłumem... I nagle spostrzegł, że nie wie, co ma powiedzieć. Zawrót jakiś, tak niesłychanie do lęku podobny, spadł mu na głowę i pierś. Westchnął głęboko, chwytając oddech kurczowo, i zakrył znów oczy. Pod czaszką zahuczał mu dziwny, opętany wir, z którego tylko jedna uporczywa myśl jasno się wyłaniała, ta myśl: „Odtąd będzie inaczej!”. Uczuł, że odtąd będzie inaczej, że cała wiara, oparta na Obietnicy i oczekiwaniu, przestaje po prostu istnieć z tą chwilą, a na jej miejsce przychodzi coś nowego, coś nieznanego...

Lud tańczył wokół i wznosił pomieszane, weselne okrzyki, a jemu, arcykapłanowi, w tej wielkiej i radosnej chwili dziwny, bolesny żal wszedł do serca za tym wszystkim, co było: za tymi modłami o zachodzie słońca, którym on przewodniczył, za tą wiarą, za oczekiwaniem, że przyjdzie dzień nareszcie, że dzień zaświta...

I nie wiadomo dlaczego, pomyślał nagle, że Bracia Wyczekujący kłamią. Przeląkł się zrazu tej myśli, gdyż spostrzegł, iż łączy się z nią prawie że nadzieją, prawie życzeniem, aby tak było. Przycisnął pierś rękoma i pochylił głowę, kajając się w duchu niedowiarstwa swego, ale myśl pierwsza wracała ciągle, szepcąc mu natarczywie w ucho, że przecież on, arcykapłan, jest stróżem wiary i nie wolno mu tak na słowo przyjmować za prawdę wieści, podstawami jej wstrząsających...

Świadomość obowiązku uderzyła mu nagle do głowy i zapanował nad innym uczuciem, przywróciła równowagę wewnętrzną. Zmarszczył brwi i spojrzał bystro na wysłanników. Ci jednak, ludzie prości, skromni i nieuczeni, siedzieli teraz na stopniach u jego nóg, podróżą i krzykiem radosnym znużeni — i tylko z fanatycznie wciąż rozplamienionymi oczyma mruczeły zachrypłym głosem, odpowiadając sobie na przemian, pieśń jakąś starą, ze spełnionych już dzisiaj proroctw złożoną... Serca ich czyste i jasne, wielką radością rozpalone, nie przeczuwały nawet rozterki, jaka się w duszy zwierzchnika ludu toczyła.

„Z gwiazd przyszedli ludzie! tak rzekł Stary Człowiek!” — śpiewał Abelar, wiekiem i trudami zakonnego czuwania pochylony.

„I na gwiazdy kiedyś powrócą! tak rzekł Stary Człowiek!” — odpowiadał mu młody, radosny głos Renoda.

„Albowiem przyjdzie Zwycięzca i lud swój wybawi!”

„Przyjdzie zaprawdę! Radujmy się!”

Lud tymczasem parł się już na stopnie świątyni i wołał arcykapłana po imieniu, z długiego jego milczenia niezadowolony. Zmieszane bezładne głosy wyzywały go do jakichś nieokreślonych czynów, to znowu żądały od niego potwierdzenia radosnej nowiny albo też wołały, aby drzwi świątyni otworzył i zebrane wiekami skarby rozdał ludowi w tym dniu na znak, iż wypełniona jest Obietnica i wesele odtąd na całym Księżycu ma panować.

Chłop jakiś stary podszedł ku niemu i targnął za szeroki rękaw czerwonej kapłańskiej szaty, kilka kobiet i niedorośtków wyminęło go, przekraczając niedostępny o zwykłej porze próg świątyni — ciżba i nieporządek rosły dokoła.

Malahuda wznosił głowę. Za bliski już i zbyt poufały był mu ten tłum... Po chwili zmieszania i słabości uczuł się znowu panem i przewodnikiem. Skinął ręką na znak, że chce mówić i powiedział krótko, spokojnie, że przyszła wprawdzie wieść, jakoby spełniona już była Obietnica, ale on, arcykapłan, zbadać wpierw wszystko musi, nim razem z ludem szaty radosne przywdzieje, i przeto chce, aby go zostawiono w pokoju¹⁵ razem z wysłannikami.

Ale tłum, posłuszny zazwyczaj na pierwsze skinienie, tym razem zdawał się słów naczelnika swego nie słyszeć. Wołano dalej i rozprawiano żywo. Byli tacy, którzy krzyczeli, że Malahuda utracił już władzę i nie powinien rozkazywać, kiedy przyszedł Zwycięzca, oczekiwany i jedyny na Księżycu pan. Inni nie chcieli iść do domów, utrzymując, iż dnia

¹⁵w pokoju — tu: w spokoju. [przypis edytorski]

tego słońce nie zajdzie, aby się wypełniły dość niejasne słowa proroka Rochy, który powiedział był: „A kiedy przyjdzie On, dzień już nastanie wieczny”...

Słońce jednakowoż zachodziło — z wolna, ale stanowczo, jak dnia każdego, krwawiąc szeroką luną nieboskłon i rozłożoną w gęstych oparach wodę *Ciepłych Stawów*. Krwawiło się też morze rozległe i dachy szeroko na wybrzeżu rozsiadłej osady — a w dali — nad nią — błyszczwały w słońcu trzy szczyty kamiennej wieży, w której na poharbienie ludu mieszkał szern Awij, w otoczeniu żołnierzy swoich i morców, przysłany tutaj z *Morza Wielkiego*, aby na znak poddaństwa haracz ze wszech ludzkich osad pobierać.

Nie wiadomo, kto pierwszy zwrócił w ten wieczór oczy na owo zamczysko, ale nim Malahuda spostrzegł, co się dzieje, wszystkie twarze — groźne — patrzyły już w tamtą stronę i podniosły się w górę ręce, uzbrojone naprędce w kije i kamienie. A przed tłumem, na przydrożnym głazie, stał w lunie zachodzącego słońca młody, czarnowłosy Jeret, daleki krewny arcykapłana, i wołał:

— Czyż nie jest obowiązkiem naszym oczyścić dom na przyjęcie Zwycięzcy? Wszakże pogardziłby nami i jako niegodnych od oblicza swego odtrącił, gdybyśmy jego tylko dłońmi chcieli zwyciężać!

A tłum ryczał za nim:

— Na hak Awija! Śmierć szernom! śmierć morcom!... — i walił się już ławą¹⁶ ku czarnej wieży w oddali.

Malahuda pobladał. Wiedział, że załoga w zamku nie jest zbyt liczna i że tłum rozżarty może roznieść dziś całą twierdzę, tak iż nie pozostanie kamień na kamieniu, ale wiedział też, że za Awijem i jego garstką stoi cała straszliwa i zgubna potęga szernów — i że jedno ściegno zerwane w skrzydle obrzydłego namiestnika znaczy znów wojnę nieubłaganą dla całego ludzkiego plemienia, a może znów kłęski straszne i niewypowiedziane pogromy, jako za dawnych lat, za pradziada jego bywało.

Począł krzyczeć, aby się wstrzymali, ale głosu jego teraz nikt już nie słuchał, mimo że i obaj Bracia Wyczekujący tłumowi zastąpili drogę, wołając, że nie wolno pełnić niczego przed przybyciem Zwycięzcy, który jeden ma prawo wieść¹⁷ i rozkazywać.

Jeret pchnął starszego z mnichów w pierś, aż upadł w tył na kamienie — i walił naprzód razem z całym tłumem wąskim przesmykiem między stawami.

Wtedy Malahuda uderzył w dłonie i na ten znak z dwóch dolnych skrzydeł gmacchu, obok stopni wiodących do głównych wrót świątyni, sypać się poczęli zbrojni ludzie, kopijnicy, łucznicy i procarze, stała straż arcykapłana i miejsca świętego tworzący.

Jak zgrają dobrze wytresowanych psów na jedno ręki skinienie zwrócili się na prawo i zwartym szeregiem, z gotową do uderzenia bronią w dłoniach, zastąpili przejście ludowi.

Jeret zwrócił się twarzą ku arcykapłanowi.

— Każ bić, stary psie! — ryczał spieniony — każ bić! niech przychodzący Zwycięzca nasze trupy tutaj zastanie zamiast wrogów ścierwa podlego! niech wie, że oprócz szernów i własni nas gnębią tyrani, z którymi też porządek zrobić należy!

Chwila była groźna. Tłum miotał wyzwiska i rzucał już na zbrojnych kamieniami, którzy stali dotychczas spokojni i niewzruszeni pod gradem obelg i pocisków, ale po drgających twarzach i zacisniętych kurczowo pięściach znać było, że dość pół słowa rozkazu, dość skinienia, mrugnięcia powiek bodaj, a pójdą ławą i będą tłukli i łamali, obojętni dla sprawy, za którą na rozkaz się biją, lecz radzi, że bić im pozwolono ten wrogi im zawsze i nienawistny tłum.

A ze zgrai coraz gęściej podnosiły się okrzyki wrogie dla arcykapłana. Wyzywano go i kłęto, wołano, że jest sługą i przyjacielem szernów, i rzucano mu w oczy haniebnny pokój, który był zawarł z nimi, mimo że ongi sławiono go jako zbawcę, iż tym pokojem właśnie lud od zguby ocalił.

Malahuda zwrócił się ku zbrojnym. Wznosił już rękę, aby dać znak, gdy nagle poczuł, że ktoś go chwyta za przegub dłoni i gwałtownym ruchem powstrzymuje. Obrócił się oburzony: za nim stała złotowłosa Ihezal.

— Ty!...

¹⁶ławą — szeregiem (o sposobie atakowania). [przypis edytorski]

¹⁷wieść — tu: przewodzić. [przypis edytorski]

— On przyszedł! — wyrzekła twardo, rozkazująco prawie, z rozplonionym¹⁸ wzrokiem, nie puszczając z uścisku ręki starca.

Malahuda się zawahał. A jej oczy nagle zapełniły się łzami, osunęła się na kolana i przyciskając usta do dłoni, którą od wydania krwawego rozkazu powstrzymała, powtórzyła cicho i błagalnie:

— Dziadku! On przyszedł...

Arcykapłan, stanowczy zawsze i mimo wielką łaskawość, gdy postanowił coś, nieubłagany, uczył w tej chwili, po raz pierwszy w życiu, że musi ustąpić... A przy tym ogarnęło go dziwne zniechęcenie, niemal bezwład duchowy. Wszak jutro ma tu przyjść ten, co odtąd włączyć pono będzie miast niego, niechaj więc już on sam...

Wdano się w układy z tłumem mimo namiętnej opozycji Jereta. Zapadająca noc ułatwiła porozumienie. Tłum zgodził się ustąpić pod warunkiem, że zbrojni otoczą wieżę i przynależny do niej ogród warowny — i noc całą długą, czuwając na przemian, w namiotach przepędzą, aby snadź¹⁹ przed ranem, zasiągnąwszy²⁰ języka, nie umknął kto z tych, przyjdzie Zwycięzcy na śmierć już skazanych.

Teraz dopiero mógł Malahuda zabrać obu wysłanników, aby zbadać dokładnie wieść, którą przynieśli.

Przybysze zmęczeni byli i senni, kiedy arcykapłan skinął na nich i wiódł przez kręte krużganki świątyni, które łączyły się z jego prywatnym mieszkaniem. Cień już zalegał przejścia i sale; tu i ówdzie jeno²¹ rozpałał się w czerwonym świetle nafcianej pochodni złocisty znak Przyjścia: dwa złęczone półkrcgi Ziemi i Słońca... Coraz cięższe przygnębianie ogarniało starego arcykapłana. Patrzył na święte znaki po ścianach, na majaczące w mroku stolby²² ołtarzy i kazalnice, kędy²³ razem z wybranymi wśród ludu modlił się o zesłanie Zwycięzcy i skąd niewątpliwe Przyjście jego wieścił — i dziwna, gorzka czczość wypełniała mu serce. Wieczorna pustka świątyni wydała mu się czymś strasznym, a odtąd stałym i już niezmiennym: odczuł po raz drugi, że upragnione Przyjście jest przede wszystkim zniszczeniem tego, co było, unicestwieniem religii oczekiwania, zrosłej²⁴ już z jego duszą...

Było mu, jakby kto powrozem jakimś twardym pierś jego oplątał i ścisnął — tak mocno, że nie może chwycić oddechu, a każdy wysiłek mięśni, aby zaczerpnąć powietrza, jako ból gryzący odczuwa. Obejmowało go bezradne a nieubłagane przerażenie. To, o czym sam wieścił zawsze, że przyjdzie w przyszłości jako wyzwolenie, zdało mu się teraz, gdy przyszło tak niespodziewanie (mimo prorocstwa, mimo zapowiedzi, mimo wiarę ciągnął — tak niespodziewanie!), czymś przygniatającym i strasznym.

Za każdą cenę nie chciał — tak jest, nie chciał — wierzyć temu, co się stało. Teraz już, idąc przez puste krużganki z przybyłymi z wieścią posłami, nie tań nawet przed sobą, że wprost pragnie, aby się wieść okazała fałszywą.

Ale wysłannicy, gdy wreszcie samotrzeć²⁵ z nimi się zamknął, dawali takie niezbite dowody i mówili takim tonem przekonania, że niepodobna było dłużej wątpić o prawdziwości ich słów. Senność ich odbiegła, gdy poczęli — po raz setny już może — mówić o tym, na co własnymi patrzyli oczyma. Opowiadali, przerywając sobie wzajemnie, rzecz zaiste dziwną i niepojętą. Mówili oto, jak onego²⁶ dnia, kiedy wszyscy razem z przełożonym Elemem zajęci byli zwykłymi w obliczu Ziemi modłami, błysła ponad ich głowami lśniąca kula ogromna i spadła na sam środek biegunowej równiny — i jak wyszedł z niej człowiek jasnowłosy, do księżycowych ludzi podobny, jeno²⁷ dwakroć przenoszący²⁸ ich wzrostem i dziwnie jasny, śmiejący się a mocarny. Mówili — obaj naraz, bezładnie — jak

¹⁸rozploniony — dziś: rozplomieniony. [przypis edytorski]

¹⁹snadz (daw.) — tu: przecież, wszakże. [przypis edytorski]

²⁰zasiągnąwszy — dziś: zasięgnąwszy. [przypis edytorski]

²¹jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

²²stolb a. stolp (daw.) — wolno stojąca wieża obronna, wzniesiona w obrębie murów zamku; donżon; tu: podwyższenie, na którym wewnątrz budynku umieszczono ołtarz itp. [przypis edytorski]

²³kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

²⁴zrosły — dziś: zrosnięty. [przypis edytorski]

²⁵samotrzcć (daw.) — sam z dwoma towarzyszami, tj. we trzech. [przypis edytorski]

²⁶on (daw.) — ów, tamten; tu forma D. onego: owego, tamtego. [przypis edytorski]

²⁷jeno (daw.) — tylko, lecz. [przypis edytorski]

²⁸przenosić — tu: przewyższać. [przypis edytorski]

Elem, zjawisko zoczywszy²⁹, przerwał modlitwy prośbalne natychmiast, a rozumiejąc, co się stało, pieśń zawiódł dziękczynną i tryumfalną i od Ziemi się już odwróciwszy, szedł ku przybyłemu Zwycięzcy w gronie oszołomionych jeszcze i na wpół nieprzytomnych Braci — i opowiadali, co słyszeli i widzieli, jako ich witał Zwycięzca i co Elem przemawiał do niego — powtarzali wszystko słowy prostymi³⁰ i nieuczonymi z zapalem wielkim i dziecięcą niemal radością w oczach.

Malahuda słuchał. Wsparł pochyloną siwą głowę na dłoni i milczał. W miarę jak Bracia opowiadali mu coraz nowe szczegóły, dotyczące dziwnego przybysza, on w myśli przebiegał prorocтва stare i zapowiedzi w odwiecznych księgach złożone, wydostawał z bogatej, latami wyćwiczonej pamięci słowa i zdania Pisma i porównywał je wszystkie z tym, co słyszał — i widział, że zgadza się wszystko co do litery. I zamiast radości, pośpność coraz większa a niewytłumaczona spadała mu na duszę.

Odprawił wreszcie Braci, kiedy im już senność znużone języki plątać poczyniała, ale sam długo jeszcze nie szedł na spoczynek. Wielkimi krokami przemierzał salę i zachodził kilkakrotnie w opustoszałe krużganki świątyni, jak gdyby odnaleźć w nich chciał na powrót — coś... sam nie wiedział, jak to ma nazwać: wiarę? spokój? pewność? Ale troskę znajdował tylko i strach niepojęty.

Śnieg już nocny pokrywał księżycowe pola i padał dużymi płatami na marznące morskie zatoki, kiedy Malahuda, znużony i stargany wewnętrzną rozterką, udał się nareszcie do swojej sypialnej komnaty. Sen jednak nie czepiał się jego powiek tej nocy. Budził się co kilka godzin, nim nadchodziły pory zwykłych nocnych posiłków — i długo później nie mógł zasnąć. Po północy o drugim wstawaniu zaszła ku niemu Ihezał, odprawił ją jednak pod pozorem, że ma ważne zajęcia, wymagające samotności — i poszedł znów do świątyni.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, po co idzie i czego chce, aż dopiero gdy stanął w wielkiej sali u drzwi z kutej złoczonej miedzi, znajdujących się poza wyniosłą kazalnicą, a wiodących do miejsca najświętszego, gdzie księgi prorockie chowano, zrozumiał naraz, że to było nieświadomą myślą jego od wieczora, której tylko przez dziwny lęk jakiś nie śmiał wykonać: iść tam i przejrzeć jeszcze raz te wszystkie księgi odwieczne i święte, księgi, które tylko w porze wielkich uroczystości, w drogie tkaniny owinięte, wnoszono za nim na kazalnicę, aby z nich Słowo czytał ludowi.

Tak! iść tam i tych ksiąg, którym zawsze był tylko posłuszny, spytać się nareszcie, czy nie kłamią — przebiec gasnącymi oczyma jeszcze raz ich treść, ale nie jako dotychczas bywało, ze czcią jeno a nabożeństwem, lecz z tą badawczą ciekawością, która niewątpliwie jest grzechem... Czuł, że popełnia świętokradztwo, wchodząc tu dzisiaj z tą myślą, ale nie mógł się już oprzeć... Dawnym, codziennym nałogiem sięgnął jeszcze po złotą obręcz u dzwierzy³¹ wiszącą i nakrywszy nią włosy, przycisnął zamek tajemny...

Za rozwartymi drzwiami zionęła czeluść w dół wiodących schodów. Zstępował nimi z kagankiem, od stóp kazalnicy wziętym, czytając bezmyślnie złote na ścianach napisy, które zapowiadały śmierć nagłą i klęski wszelakie tym, którzy by się tutaj bez nabożnej myśli wniknąć ośmielili. A potem, kiedy się już znalazł w sali podziemnej, bogatym nakrytej sklepieniem, drzwi nawet za sobą nie zamknawszy, jął z pośpiechem dobywać ze skrzyń rzezanych³², suto drogim metalem i kamieniami nabitych, pergaminy stare, jak twarz jego pożółkłe i działaniem wieków zetłale: karty nieliczne z prorocत्वami pierwszej kapłanki Ady, jej ręką pono w *Kraju Biegunowym*, gdzie życia dokonała, spisane, a z trudem wielkim przed dwoma setkami lat od Braci Wyczekujących dobyte, i potem księgi inne, na przemian prorocтва i historię ludu zawierające, aż do grubych foliów spisanych przez ostatniego męża bożego, Tuheję, którego znali jeszcze jego pradiadowie.

Rzucił to wszystko — całe brzemię stuleci — na stół marmurowy i rozjarzywszy świecznik, czytać począł szybko, pośpiesznie, nawet zwykłego znaku przed otwarciem księgi na czole nie kreśląc.

²⁹zoczyć (daw.) — zobaczyć. [przypis edytorski]

³⁰słowy prostymi — dziś: słowami prostymi. [przypis edytorski]

³¹dzwierze (daw.) — drzwi. [przypis edytorski]

³²rzezany — tu: rzeźbiony. [przypis edytorski]

Mijały długie godziny, których każdą dwunastkę oznajmiała kula, spadająca z zegaru³³ w misę miedzianą; starzec, znużony, zasypiał chwilami w wysokim karle i budził się znów, i znowu czytał księgi, tak dobrze mu znane, a w przerażająco nowej postaci stające dzisiaj przed jego oczyma. Dawniej widział w nich prawdę, a dzisiaj znalazł tylko tęsknotę, która zrazu — na kartach kapłanki Ady i u rzadkich pierwszych proroków — nieokreślona i mgława, jakimś wyśnionym (a może nawet rzeczywistym?) widmem Starego Człowieka wywołana, rosła i krystalizowała się w miarę postępu czasów i nieszczęść na lud spadających. Naprzód była tam tylko mowa o Starym Człowieku, który lud na Księżyc z Ziemi przywiódł i odszedłszy na Ziemię, ma z niej kiedyś znowu powrócić, a później dopiero jawić się poczęła obietnica wybawiciela, który, będąc w istocie swej Starym Człowiekiem, będzie zarazem odmłodzoną jego postacią i przyjdzie jako Zwycięzca, aby lud uciśniony wyzwolić. I spostrzegł Malahuda, iż Ada pierwszy raz powrót Starego Człowieka zapowiedziała, kiedy jej doniesiono w *Kraju Biegunowym* o najściu na osady przy *Ciepłych Stawach* szernów zza morza, o których istnieniu na Księżycu przedtem ludzie podobno nawet nie wiedzieli — i że później w ciągu wieków każde nieszczęście i każda klęska miały swego proroka, który tym rychlejsze przyjscie Zwycięzcy obiecywał, im cięższa na lud dola spadała.

Gorzki, ironiczny uśmiech osiadł na jego wargach. Z coraz większą zapamiętałością, gorączkowo przerzucał pisma szanowne i czczone, grzebał w nich drżącymi rękoma i okiem rozplonionym³⁴ — i wynajdował sprzeczności i błędy, i tak, nie wiedząc prawie, co czyni (a czynił rzecz nieodwołalną), walił gmach wiary życia swego całego.

Na ostatnią kartę ostatniej księgi ciężko opadły mu dłonie. Wiedział już na pewno, że żaden Zwycięzca nigdy przez nikogo naprawdę nie był przybiecany i że wszystkie proctwa były jeno wyrazem tęsknoty ludu, uciemionego przez potwornych i złośliwych księżycowych pierwobyłców...

— A jednak — przyszedł!

Była to dla niego zagadka nie do rozwiązania, paradoks jakiś ironiczny a straszny! A przy tym jeszcze i druga rzecz: jakiś błędne koło uczucia, z głębi najtajniejszych wnętrzości jego się wylaniające. Oto przed chwilą zburzył był w duszy całą wiarę swoją, a teraz czuje, że wszystko w nim się oburza na myśl, że ten przybysz dziwny, przez proroków w istocie nieprzepowiedziany, przez proste ukazanie się swoje wywróci całą religię oczekiwania, na owych prorocत्वach opartą!

I znowu przyszło mu na myśl, że on może nigdy naprawdę nie wierzył, że słowa, które mówił do siebie i do ludu, inne miały znaczenie niż to, które on sam pozornie do nich przywiązywał, że wszystko to był sen jakiś, który teraz przez dziwny i przekorny wypadek stał się rzeczywistością, zgoła niewołaną...

A czuł jednocześnie, że żal mu jest wiary.

Starał się ująć to wszystko w jakąś formułę, usiłował zrozumieć sam, o co mu chodzi właściwie, ale myśli rozpieczęły się za każdym razem, pozostawiając jeno bolesną pustkę w jego głowie i sercu.

I właśnie kiedy tak dumiał, weszła była jasna Ihezal — i oto stoi przed nim z tym strasznym pytaniem na ustach i w oczach płonących:

— Dziadku! ty nie wierzysz, że to... On?

Postąpił kilka kroków ku dziewczynie i ujął ją miękko oburącz za głowę.

— Wyjdźmy stąd, Ihezal...

Przed chwilą jeszcze, gdy dłoń ku niej wyciągał, oporna teraz oszołomiona snadź tym, co w oczach starca spostrzegła, dała mu się prowadzić spokojnie i bez słowa. Ujął ją więc w pól i wiódł w górę po schodach, pozostawiając za sobą w nieładzie rozrzucone księgi święte i czcigodne, których był strażnikiem... Złoty znak Przyjścia błyszczał za nimi w dogasającym blasku świecznika.

Gdy weszli z powrotem do świątyni, wlewał się już przez okna szary blask dnia przychodzącego, który na kilkadziesiąt godzin przed wschodem słońca na Księżycu jego zjawienie się już zapowiada.

³³zegaru — dziś popr. forma D.: zegara. [przypis edytorski]

³⁴rozploniony — dziś: rozplomieniony. [przypis edytorski]

Malahuda, wnuczkę wciąż wpół trzymając, podszedł z nią ku ogromnemu oknu, na wschód zwróconemu. Przez opary, z *Ciepłych Stawów* wstające, widać było w nikłej szarej poświacie zamarźnięte morze i śniegiem pokryte góry na wybrzeżu. Cisza była ogromna po wszystkich ludzkich osadach, jeno z trójścizytowego zamku szerna Awija, snu nieznanego, bił blask pochodni czerwony i krzyki jakiegoś nawoływania. Dookoła, w śniegiem przysypanych namiotach, czuwali według rozkazu zbrojni arcykapłana.

Milczeli długo oboje, we wstający świt nowego dnia zapatrzeni, aż nareszcie biała Ihezal, odstąpiwszy kilka kroków, rzuciła futro na posadzkę świątyni i stając nago, jako prawo przysięgającym każe, obróciła dłonie ku wschodowi, a potem ku północy, w stronę, kędy jest Ziemia, i rzekła:

— Jeślibym kiedy zaprzestała wierzyć w Niego, jeślibym Mu nie oddała wszystkich sił moich, mojej młodości i życia mego całego i tętna wszystkiej krwi mojej, jeślibym oprócz Niego pomyślała o jakimkolwiek innym człowieku: niech zginę marnie i przepadnę, albo niech matką morca się stanę! Słyszysz Ten, który jest!

Malahuda zadrżał i mimo woli pokrył oczy dłonią, słysząc to straszliwe zaklęcie, ale nie wyrzekł ani słowa.

Świt coraz srebrniejszy³⁵ robił się na świecie, rzucając perłowe blaski na nagą dziewczynę, falą złotych włosów jeno okrytą.

II

Elem stał na szczycie wzgórza, oddzielającego *Kraj Biegunowy*, w którym słońce nigdy nie wschodzi ani nie zachodzi, od wielkiej bezpowietrznej pustyni, blaskiem świętej gwiazdy, Ziemi, oświetlonej. Różowe, po horyzoncie ślizgające się słońce płonęło mu na gładko wygolonej czaszce i drżało metalicznymi połyskami po długiej, kruczej, kędzierzawej brodzie. Ziemia stała w pierwszej kwadrze; tam daleko, nad *Wielkim Morzem*, w krainie przez ludzi zamieszkałej, był właśnie poranek. Zakonnik, tyłem od srebrnego sierpa Ziemi odwrócony, patrzył w dół, w mroczną zieloną kotlinę. Większa część Braci rozeszła się już była za jego rozkazem na cały świat księżycowy, roznosząc po ludzkich osadach radosną nowinę o przybyciu Zwycięzcy — nieliczna garść tych, którzy pozostali, krzątała się około przygotowań do podróży. Elem widział z góry, jak w długich, ciemnych habitach, z golonymi czaszkami — snuli się skrzętnie dokoła namiotów (jako „wyczekujący” bowiem w namiotach, nie w domach mieszkali), wynosząc sprzęty i zapasy na drogę potrzebne lub przygotowując wózki i psy do zaprzęgu. Zwycięzca snadź spał jeszcze w swoim lśniącym wozie, do wydłużonej kuli podobnym, w którym przebył międzygwiazdne przestrzenie, bo cisza tam była i nikt się w pobliżu nie ruszał.

Za godzin kilkanaście miano już na zawsze opuścić *Kraj Biegunowy*, dachy te, niezliczonym pokoleniom mnichów służące, tę łęką chłodną i zieloną — i różowym słońcem ozłoczone wzgórza, skąd na widnokręgu nad pustynią Ziemię widać jasną. Elem myślał o tym bez żalu; owszem, duma radosna pierś mu rozpieła, że za jego życia i przełożenia dokonały się czasy i przyszedł ten od wieków zapowiedziany i oczekiwany. Odtąd poczynała się nowa era. On widział ją już w myśli, jasną, tryumfalną — widział pokonanych i upokorzonych szernów nienawistnych, którzy jako pierwobyłcy śmia sobie rościć jedyne do Księżyca prawo, mimo że on przez Starego Człowieka ludziom był oddany — myślał z rozkoszą o wytepieniu do nogi, do imienia przeklętych morców, a ponadto myślał o wielkim tryumfie i władztwie Braci niegdyś Wyczekujących, a dzisiaj Weselnych, którzy pierwsi według obietnicy przychodzącego Zwycięzcę ujrzeli i przyjęli, i z nim teraz razem, jak orszak wierny i nieodstępny, pójdą zaprowadzać nowe królestwo na księżycowe kraje...

Pilno mu było wyruszyć już na południe, w one ludzkie dziedziny, których nie widział — w pustynię i daleką Ziemię wpatrzony — od kiedy chłopięciem wstąpił do Zakonu, ale które go znały panem co najmniej równym arcykapłanowi na stolicy przy *Ciepłych Stawach*, a nawet wyższym od niego, bo władającym³⁶ z dala duchami i od zdobywczej mocy szernów niezawisłym.

³⁵srebrniejszy — dziś: bardziej srebrny. [przypis edytorski]

³⁶władający — dziś: władający. [przypis edytorski]

Ale tymczasem, nim wywieść miał nareszcie z wieczystych siedzib żywych Braci Zakonu, co z nim razem Przyjścia się doczekali, należało zrobić porządek ze zmarłymi.

Obejrzał się. Na szczycie wzgórza, kędy stał, i dalej, na innych ku *Pustyni* opadających grzbietach, głazami podparci siedzieli wszyscy Bracia Wyczekujący, którzy zmarli, nim nadszedł Zwycięzca — i trupimi, zaschłymi twarzami patrzyli bezmyślnie w stronę srebrnej Ziemi na czarnym widnokregu.

Tak przed wiekami — z twarzą ku Ziemi — ułożyć się tutaj kazała pierwsza kapłanka i święta Bractwa założycielka, Ada, która po odejściu Starego Człowieka dokonała życia w *Kraju Biegunowym*, patrząc na *Gwiazdę Wielką* ponad *Pustyniami* — i tak za jej przykładem umieszczano wszystkich Braci, którzy pomarli.

Kto raz wstąpił do Zakonu, wyrzekł się wszystkiego i nie opuszczał już *Biegunowej Krainy* za życia ani po śmierci. Bracia tracili rodzinę, nie znali majątności, trunku ani jadła gotowanego, czystości mieli być, wstrzemięźliwi i prawdomówni a zwierzchnikowi swemu posłuszni, a obowiązkiem ich najpierwszym było: czekać w pogotowiu... Czas, niemający w tej dziwnej krainie dnia ani nocy, spędzali na pracy ręcznej i modłach, które odprawiano na górze, z twarzą ku Ziemi zwróconą. A kto umarł, zwalniał się od pracy, lecz w modłach żywym towarzyszył. Nie palono go bowiem ani w grobie chowano, lecz wyniósłszy na wzgórze, opierano plecami o głaz, aby patrzył na Ziemię i czekał Przyjścia razem z żywymi.

Byli tacy, którzy, czując zbliżającą się śmierć, wyprowadzać się tam towarzyszom kazali, aby w obliczu Ziemi życia dokonać.

W chłodnym i rozrzedzonym powietrzu trupy się nie psuły. I z biegiem lat ten Zakon umarły liczniejszy się stał od żywego Zakonu. Słońce krążyło około wyschłych trupów, a one trwały tak — niezmiennie, spokojne i „wyczekujące”. Kiedy Ziemia była na nowiu i słońce płomienne stało ponad nią, rozjarzały się czerwonym blaskiem pocerniałe twarze i gorzały tak, dopóki blask słoneczny z nich nie zszedł, ustępując miejsca wzmagającemu się wciąż, trupio sinemu światłu Ziemi. O godzinie pełni Bracia Wyczekujący przychodzili modlić się na górę, a kiedy posiadali na głazach wśród trupów, mając słońce za plecami, trudno było zaprawdę rozróżnić, którzy są żywi, a którzy umarli.

Tak właśnie siedzieli byli dnia poprzedniego, zmarli z żywymi pospołu, kiedy owa wielka rzecz się stała. A gdy Elem zawołał: „On przybył!” — zdziwił się, że wstali tylko żywi, aby witać z nim Zwycięzcę, że nie powstały zarazem te trupy i nie zawiodły hymnu radosnego, tak jak oni, że czasy się już wypełniły i koniec nędzy na Księżycu...

I teraz patrzył prawie z oburzeniem na tę rzeszę nieżywą, że trwa jeszcze wciąż w bezmyślnym i bezcelowym już oczekiwaniu, twarzami martwymi ku Ziemi zwrócona, chociaż ten, wyglądany i wyczekiwany, jest już pomiędzy nimi. Zdawało mu się ciągle, że ruszyć się winny te wszystkie trupy, stare, zeschłe i w proch się już rozsypujące — i inne, niedawne, z pozoru jakoby jeszcze żywe — powstać i iść tłumnie tam w dolinę i witać tego, którego za życia i po śmierci oczekiwali.

Ale wśród trupów cisza była niezmierna i wieczne, uroczyste milczenie. Elem szedł z wolna. Minał kilku niedawno na spoczynek ułożonych Braci, wstępując ku szczytowi wzgórza, kędy był grób kapłanki Ady. Widny był z dala głaz olbrzymi i wiecznie słońcem oświetlony, już na łysym czole wzgórza, a pod nim, od strony ku Ziemi dokładnie zwróconej, na tronie z czarnych kamieni siedział drobny, zeschły trup świętej prorokini, która twarzą w twarz Starego Człowieka oglądała: garstka kości, szerniałą powleczonej skórą, w sztywnych szatach kapłańskich, gęsto złotymi naszytymi ozdobami. Dookoła u stóp jej były groby przełożonych Zakonu i mężów świętym życiem celujących, którym w nagrodę cnoty to czestne³⁷ ku wyczekiwaniu miejsce przeznaczono.

Elem oparł się dłonią o podnóże grobowego tronu i patrzył ku Ziemi... Stała w kwadrze, jasna i daleka jak zawsze, z wyraźnymi na srebrnej tarczy zarysami mórz i łądów, z dawnej i głuchej już wieści tylko księżycowemu ludowi znanych.

Strach go jakiś przejął.

— Matko Ado — szepnął wznosząc dłoń, aby dotknąć zeschłych stóp — matko Ado, święta Założycielko! Oto, jakos przyrzekła, powrócił Stary Człowiek młodzieńcem do ludu swojego i jest pomiędzy nami! Matko Ado, pójdź go powitać...

³⁷czestny — dziś: poczesny; uczczony, obdarzony czcią. [przypis edytorski]

Ostrożnie objął ciało i chciał je ruszyć z wiekowego siedzenia, gdy naraz posłyszał głos za sobą:

— Nie tykaj!

Odwrócił się. Wśród trupów siedział bez ruchu Choma, najstarszy z Braci Zakonu i wiekiem już zdziecinniały. Patrzył gniewnie na przelożonego i powtarzał wciąż, trzęsąc siwą brodą:

— Nie tykaj! nie tykaj! nie wolno!...

— Co tu robisz? — zapytał Elem.

— Wyczekuję, jako Zakon każe. Jest godzina wyczekiwania.

To mówiąc, wyciągnął drzącą, suchą dłoń, wskazując Ziemię, dokładnie w pierwszej kwadrze stojącą.

— Czas wyczekiwania już się skończył — rzekł Elem. — Idź na dolinę; tam jest Zwycięzca.

Choma potrząsał starą głową:

— Prorok Samiello powiedział: „Powstaną ci, którzy umarli, aby witać tęsknotę żywych oczu swoich!”. Umarli jeszcze czekają i ja czekam razem z nimi. Zwycięzca nie przybył!

Elema nagły gniew zebrał:

— Głupiś jest ty i trupy są głupie! Jak śmiesz wątpić, gdy ja ci mówię, że Zwycięzca jest pomiędzy nami?! Trupy nie wstają tylko dlatego, że są martwe — i to ich wina! Ale je wszystkie pod stopy Zwycięzcy zwleczemy!

To mówiąc, pewnym krokiem wstąpił na piedestał i owinąwszy płaszczem ciało Ady, wziął je na ręce i począł schodzić ku dołowi z tym brzemieniem. Choma jęknął głucho i zakrył oczy, aby nie patrzeć na to świętokradztwo przelożonego.

On tymczasem szedł ku dolinie, stanowczy i już spokojny, z ciałem pierwszej kapłanki w ramionach, a spotkawszy w drodze kilku Braci, którzy wyszli go szukać, rozkazał im zebrać inne zwłoki i ułożyć z nich wielki stos na równinie...

— Czas ich wyczekiwania także się skończył — rzekł — niechaj odpoczną...

Ten, którego nazywano Zwycięzcą, powstał był tymczasem i wyszedł ze swego lśniącego wozu stalowego.

Elem, spostrzegłszy go z dala, złożył szybko ciało Ady na mchu i pobiegł z powitaniem.

— Panie, panie! — mówił, zginając się — bądź pozdrowiony...

Wszystka swada i pewność siebie odbiegła go na widok tego olbrzymiego przybysza, dwakroć wzrostem księżycowych ludzi przewyższającego (jest podanie, że taki wzrost mieli pierwsi prarodzice, których Stary Człowiek z Ziemi przywiódł z sobą), zwłaszcza że trudno mu było porozumieć się z nim, gdyż mówił językiem dziwnym, podobnym do zachowanego w najstarszych jeno księgach świętych, którego ludzie niepiśmienni od dawna już na Księżycu nie rozumieli.

Przybysz uśmiechnął się, widząc zakłopotanie mnicha.

— Nazywają mnie na Ziemi Markiem — rzekł.

Elem pochylił znów głowę.

— Wolno ci, panie, na Ziemi nosić imię, jakie zechcesz; tutaj u nas masz od wieków tylko jedno: Zwycięzca!

— Zwyciężyłem rzeczywiście więcej, niż możesz przypuszczać — rzekł Marek — przybywając tutaj z Ziemi. Tamci mieli towarzyszków, ja jestem sam — dodał jakby do siebie, patrząc w stronę dalekiej Ziemi na niebie.

Potem zwrócił się znów do Elema:

— I nie dziwno wam, że przybyłem?

— Wiedzieliśmy, że przybędziesz.

— Skąd?

Elem spojrział na niego zdumionymi oczyma:

— Jak to? czyż nie dałeś przyrzeczenia Adzie, kiedy jako... Stary Człowiek stąd odchodziłeś? A później wszyscy nasi prorocy...

Urwał z przestrachem, gdyż „Zwycięzca” wybuchnął tak szalonym i nieposkromionym śmiechem, jakiego od wieków nie słyszano w cichej *Biegunowej Krainie*. Śmiały mu się

usta i oczy, i cała młoda twarz się śmiała — przysiadł aż na ziemi i począł jak dziecko rozbawione bić się dłońmi po udach.

— Więc wy, więc wy... — mówił, dusząc się od śmiechu — wy myślicie, że ten wasz „Stary Człowiek”, sprzed sześciu- czy siedmuset lat — to ja? Ależ to nadzwyczajne! Tutaj, jak widzę, cała legenda urosła! I ja mam być teraz jak chiński bożek... O! drodzy, ziemscy towarzysze moi! gdybyście wy wiedzieli, jakie mi te kochane karły przyjęcie zgotowały! Pójdźże, mój papieżu, niech cię uściskam!

Mówiąc to, pochwycił oniemiałego Elema i uniółszy z ziemi jak piórko, począł z nim tańczyć po równinie.

— O, ukochany, zacny potomku podobnych do mnie szaleńców! — wołał — jakże ja się cieszę, żeście wy tutaj na mnie czekali! Będziemy sobie tutaj żyli wesoło, ty pokażesz mi wszystko, co widzieć pragnę, a potem — potem muszę cię zabrać z sobą, gdy będę powracał na Ziemię!

Postawił zakonnik obok i mówił dalej:

— Wiesz! bo ja mogę wrócić każdej chwili, gdy zechcę! Nie tak, jak tamci szaleńcy sprzed siedmiu setek lat, dzięki którym wy się po Księżycu roicie.

Chwycił go za rękę jak dziecko i pociągnął ku wozowi.

— Patrz, przede wszystkim spadłem tutaj, nie gdzieś na bezpowietrznej pustyni, którą tamci musieli z trudem przebywać. Strzał był dobrze wymierzony? co? w sam środek kotliny biegunowej, między wasze domki, którzyście mnie mimo mej wiedzy tu oczekiwali... A potem — widzisz, że pocisk stoi w zewnętrzny płaszcz swój stalowy wgłębiony jakby w armatę! Tak, tak, czcigodny szamanie! przyjechałem we własnej kolubrynie, która się sama nabiła zagęszczonym powietrzem, spadając. A widzisz, jak stoi, wymierzona? Pod tym samym kątem, jak spadła... Tam pod spodem jest rodzaj nóg, które w grunt się zagłębiły — prześliczna laweta! Dość mi wejść, zamknąć się i guzik tam nacisnąć i — wracam na Ziemię. Tą samą drogą — rozumiesz? matematycznie tą samą drogą, którą przybyłem — wracam na Ziemię!

Mówił szybko i wesoło, nie zważając, że mnich nawet treści słów jego nie rozumie. W chaosie tym zdołał on złapać tylko jedno zdanie: „wracam na Ziemię!”. I nagły, potworny przestрах chwycił go dławiącą garścią za krtań.

— Panie, panie! — zdołał jeno wykrztusić, czepiając się kurczowo wzniesionymi dłońmi jego rękawa.

Marek spojrział na niego — i żart zamarł mu na ustach. Mnich wyglądał wprost strasznie. Trzęsły mu się drobne, dziecinne ręce, a w oczach wzniesionych była jakaś okropna prośba i rozpacz, i lęk...

— Czego?... czego ty?... — szepnął mimo woli, o krok się cofając.

Elem wybuchnął:

— Panie! ty nie wracaj na Ziemię! My na ciebie czekali! panie, czy ty rozumiesz, co to znaczy: my czekali na ciebie przez długich siedem setek lat! Przybyłeś oto i mówisz rzeczy dziwne, których ani ja nie pojmuję, ani nie pojmie nikt na Księżycu! My wiemy tylko jedno: gdyby nie wiara w ciebie, gdyby nie ufność, że przyjdiesz naprawdę, życie by tutaj było niemożliwe — w nędzy, w uciśnieniu, w takiej poniewierce! A ty mówisz teraz, że odjedziesz, i chcesz mi pokazywać...

Odwrócił się i nagłym ruchem wyciągnął dłoń ku cichym, drobnym zwłokom Ady, zniesionym na mniejszym płaszczu z góry, skąd Słońce widać i Ziemię.

— Patrz! Oto jest Ada, kapłanka twoja, która cię znała, gdyś był tutaj Starym Człowiekiem, i której pierwszej obiecałeś powrócić! Czekała na ciebie do końca dni swoich, a kiedy zmarła, czekała jeszcze, ślepymi oczyma zwrócona ku Ziemi, tak jako my czekałiśmy codziennie, tak jako tamci z nią i z nami czekali!

To mówiąc, pokazywał ręką wzgórze, kędy snuli się — z dała w różowym słońcu widoczni Bracia Wyczekujący, ruszając z odwiecznych miejsc trupy, aby je na dół pod nogi Zwycięzcy poznosić.

— Tamci już ciebie nie potrzebują! Przyszedeś — i skończyło się już ich nużące pośmiertne czuwanie! Spłoną na wieczny spoczynek tu w tej kotlinie, kędy nigdy jeszcze ogień nie płonął, bo my bez ognia, jakoby na godzinę z domu wyszedłszy, w tych namiotach przez siedem wieków ciebie czekali! Ale my cię potrzebujemy, potrzebują cię ci

wszyscy, po księżycowym globie rozsiani, nad morzem dalekim, na równikach, na górach i nad strumieniami!... A ty, przybywszy, igrasz ze mną, a potem — chcesz wracać!

Mówił to wszystko gorąco, niemal uroczyście, bez cienia przestrochu, który pierwsze zdania w gardle mu dławil. Przy ostatnich słowach głos jego zadrgał, jakby gorzką jakąś, bolesną ironią.

Marek się już nie śmiał. Patrzył na mnicha szeroko rozwartymi oczyma, jak gdyby teraz dopiero zrozumiał, że szalone przybycie jego na Księżyc związało się przez przypadek z czymś wielkim, że wziął — nie wiedząc o tym — jakieś brzemie na ramiona... Przed chwilą śmiał się z legendy, w którą wplótł się mimo woli — teraz strach go ogarnął. Przetarł dłonią czoło i spojrzął po mnichach, którzy właśnie z gór stare zwłoki znosili i w milczeniu je na mchu układali, wszystkie twarzą ku niemu zwrócone.

— Czego wy chcecie ode mnie? — rzekł mimo woli.

— Zbaw nas, panie! — zakrzyknął Elem.

— Zbaw nas, zbaw nas, panie! — powtórzyli chórem, jak echo, Bracia Wyczekujący.

— Ale co wam się dzieje? mówcież nareszcie...

Urwał i odetchnął głęboko.

— Co wam jest?

Elem obejrzał się na skupiających się za nim Braci, a potem wystąpił naprzód.

— Panie — zaczął — gnębi nas zło. Szerny nas gnębią. Kiedyś stąd jako Stary Człowiek odchodził...

Marek przerwał mu niecierpliwie ruchem ręki. Przysiadł na ziemi i przyzwał mnicha skinieniem do siebie.

— Przepraszam cię, bracie — rzekł, kładąc dłoń na drobnym jego ramieniu — przepraszam za moje zachowanie, ale... Słuchajże mnie teraz dobrze i staraj się zrozumieć to, co mówię. Zrobię dla was wszystko, co tylko w mocy mej leży, chociaż... ja nie jestem — rozumiesz mnie? — ja nie jestem tym waszym Starym Człowiekiem. Tamten umarł przed siedmiuset laty, tu na Księżycu, na bezpowietrznej pustyni, a wiem o nim i o was tylko dlatego, że przed śmiercią przysłał nam w kuli na Ziemię swój pamiętnik... Ja całkiem przypadkowo na Księżyc przybyłem, nie wiedząc, że wy mnie tu czekacie...

Elem uśmiechnął się nieznacznie. Wszak — jako Ada w pismach swych świadczy — to było zawsze zwyczajem Starego Człowieka, że nie chciał, aby wiadano, iż on jest... Starym Człowiekiem. To samo teraz powtarza się u Zwycięzcy. Jednakże skłonił głowę w milczeniu, jakoby zgadzając się na to, co słyszy.

Marek tymczasem mówił dalej:

— Ale przybyłem. I koniec końców, widząc, że mnie potrzebujecie, gotów jestem... Nie wiem, czy zrobić potrafię, czego wy się po mnie spodziewacie. Kto są ci szernowie? To pierwobyłcy tutejsi, nieprawdaż?

— Tak. Straszni. Od kiedy ty od nas... od kiedy odszedł od nas Stary Człowiek, całe dzieje nasze to jedna i nieustanna walka z ich złą przemocą. Tam, przy Ciepłych Stawach, gdzie pierwsza była osada, są księgi w podziemnym skarbcu złożone... My tutaj ksiąg nie potrzebujemy; z ust do ust wieść o tobie się przekazywała — ale tam są księgi. Niektóre z nich zapowiadają twoje przyjście. A inne zaczynają się zawsze od słów: „Ażeby Stary Człowiek wiedział i znał niedolę ludu swego, kiedy powróci Zwycięzca...”. I rzeczywiście mało jest kart w nich, które by mówiły o czym innym, jak o niedoli ludu twojego, panie. Tam jest spisana nasza historia. Kiedy przybędziesz nad *Ciepłe Stawy*, o panie! i przeczytasz te księgi, dowiesz się, że szernowie trapią nas już od siedmiu setek lat. Zaraz po odejściu... Starego Człowieka przepawili się przez *Wielkie Morze* i zaczęli niszczyć nasze siedziby. Były czasy, kiedy nikt nie mógł oddychać. Palili domy nasze, młóź naszą mordowali i uprowadzali nasze kobiety. A dzisiaj, dzisiaj, kiedy ty powróciłeś, o panie! jest gorzej, niż było kiedykolwiek! Wszystkie ludzkie osady, na północ od *Morza Wielkiego* aż po krańce *Pustyni* rozsiane, są pod władzą szernów! Przy *Ciepłych Stawach*, tam, gdzie jest arcykapłańska stolica, mają swego namiestnika, który z wieży warownej włada i haracz pobiera. Uczyniono pokój z szernami, panie, ale lepsza śmierć od takiego pokoju. Tu — w *Kraju Biegunowym*, kędy my, ciebie wyczekujący, mieszkali, to miejsce jedyne, dokąd wraza moc ich nie sięga! Boją się widoku błogosławionej Ziemi, którą gwiazdą złą i przekłętą nazywają, jak gdyby w zwierzęcej ciemności swej przeczuwali, że stamtąd ty przyjdiesz, zbawca nasz, a ich pogromca i pognębiiciel. Ratuj nas, panie!

— Ratuj nas, ratuj! — zakrzyknęli znowu mnisi i zaczęli się cisnąć do Zwycięzcy i obejmować rękoma jego nogi. Oni, którzy się rodzin i mienia dla oczekiwania jego wyrzekli, przypomnieli sobie teraz, że mają tam w ujarzmionym kraju krewnych i znajomych, i zaczęli, przerywając sobie wzajemnie, opowiadać bezładnie krzywdy, które się tamtym stały od szernów, morderstwa, pożogi i uciśnienia.

W tym gwarze jęśliwych i nienawiścią zawziętych głosów jedno tylko zdanie wyraźnie wciąż się powtarzało:

— Ratuj nas! ratuj!

Marek siedział na ziemi z zaciśniętymi ustami i ściągniętą brwią. Ważył coś w myśli długo, choć głosy błagalne już umilkły i cisza pełna oczekiwania zrobiła się dookoła niego... Była chwila, że spojrział mimo woli na wóz swój błyszczący i każdej chwili gotowy do odjazdu, jak gdyby chciał się w niego i uciekać w międzyplanetarne przestrzenie tam ku Ziemi — ale myśl tę szybko odrzucił od siebie. Postanowienie jakieś twarde ścięło rysy jego młodej twarzy.

— Jacy są ci szernowie? czy podobni do ludzi? — zapytał.

— Nie, nie! Oni są straszni!

— Straszni, straszni! — zawołali mnisi.

Marek zwrócił pytające oczy na Elema. Na twarzy zakonnika malował się wstręt, z bólem wprost graniczący. Pochylił głowę, a po chwili wykrztusił:

— Straszni są. Sam ich, panie, zobaczysz.

— Chcę wiedzieć teraz. Czy mają co ludzkiego w sobie?

— Nic. Okrom rozumu. A i ten jest inny, bo zła i dobra nie rozróżnia.

— Jak wyglądają?

— Mniejsi są od nas. Tak, jeszcze mniejsi. Mają skrzydła, ale tylko z trudem ich używają. Umieją wydawać głos i mowę ludzką potrafią zrozumieć, między sobą jednak porozumiewając się za pomocą świetlnych rozbłysnięć na czole... Ach! są straszni! i ohydni! ohydni! i źli...

Marek powstał. Dookoła niego byli teraz wszyscy Bracia zgromadzeni; nieopodal leżał ogromny stos ciał i kości, ze wzgórze słonecznego zniesionych. Ruszono też z miejsca namioty stare i podkładano pale i płótna, ażeby płomieniom dać lepszą strawę. Elem, spostrzegłszy, że Zwycięzca przygląda się stosowi, przerwał opowiadanie i pojrzał³⁸ mu w twarz pytającym wzrokiem.

— Czy mamy ich spalić? — rzekł po chwili.

Marek nie odpowiadał. Więc mnich przystąpił ku niemu bliżej i odezwał się znowu:

— Panie, czy mam stos podpalić? Czy wolno im już spocząć, a nam wracać do ludzi? Do domów naszych i do rodzin niegdyś opuszczonych?

Z wolna i jakby z wahaniem Marek pochylił głowę.

— Tak — wyrzekł nareszcie — przyjmuję swój los...

Kiedy w kilkanaście godzin później wyruszyli odwieczną drogą przez wąwozy, łączące *Kraj Biegunowy* z zamieszkanym światem Księżyca, płonął za nimi jeszcze w opustoszałej kotlinie olbrzymi stos z nieużytecznych już namiotów rozwiązanego Zakonu i ciał pomarłych jego członków zbudowany. Marek obejrzał się: słońce było czerwone od snujących się dymów, które przysłaniały szarosrebrny rąbek Ziemi, wyglądającej jeszcze nad horyzontu.

Nad strumieniem spotkano ludzi z bliższych osad, którzy na wieść o przybyciu Zwycięzcy śpieszyli już, aby go powitać. Marek przypatrywał się z ciekawością tym karlikom, wśród których było też kilka kobiet, drobnych i wcale ładnych. A oni padali wszyscy na twarz, dotykali z oznakami czci szat jego i witali go dziwnym językiem, w którym zaledwie z trudem mógł pochwytać uchem przekręcone do niepoznania słowa polskie, angielskie i portugalskie.

Przy pierwszym spotkaniu zbyt był zciekawiony widokiem tych ludków, aby mógł zważać na to, jak go witają; później jednak, gdy coraz nowe gromadki przybywały, usiłował protestować przeciw bałwochwalczym oznakom czci, które mu oddawano. Ale wkrótce przekonał się, że jest pod tym względem bezsilny. Strofowani — albo nie rozumieli,

³⁸pojrzeć — dziś: spojrzeć. [przypis edytorski]

o co mu chodzi, albo też uważali gniew jego za karę za jakąś przewinę i poczynali się usprawiedliwiać z jeszcze większymi objawami czołobitności. Kiedy zaś starał się ich łagodnie przekonać, że jest takim, jak oni, człowiekiem, chociaż z Ziemi przybyłym, uśmiechali się tylko chytrze, podobnie jak Elem, gdy mu mówił, że Stary Człowiek dawno umarł i on nie ma z nim nic wspólnego.

Zaprzestał tedy bronić się na próżno — odkładając usunięcie tego przedziwnego nieporozumienia na stosowniejszą porę — i szedł ku *Morzu Wielkiemu* w orszaku nieproszonych wyznawców swoich, jak młody i jasny bóg, dwakroć wierną rzeszę wzrostem przewyższający.

Mężczyźni zabiegali mu drogę drobnymi kroczkami i skarżyli mu się snadź³⁹ (nie rozumiał ich bowiem dobrze i często uciekał się do pomocy Elema, który, jako piśmienny, znał język „święty”, polski, którym niegdyś Stary Człowiek przemawiał) i każdy opowiadał o krzywdach swoich, waśniach i kłopotach, i każdy prosił go znowu, aby on go pomścił lub wynagrodził — naprzód, przed wszystkimi innymi, ponieważ on właśnie na to zasługuje. Powstawały stąd klótnie, a nawet bójkę, które nieraz Marka mimo woli do śmiechu pobudzały.

Kobiety były wstrzemięźliwsze. Szły na uboczu i patrzyły na niego tylko dużymi, zachwyconymi oczyma, a gdy się odezwał do której, uciekały bez odpowiedzi, jak sarny spłoszone. Raz wspomniał przy nich na wpół żartem o szernach... Spostrzegł, że bladły na sam dźwięk tego imienia i skupiały się w lękliwą gromadkę, poglądając⁴⁰ z niewymownym przestraszaniem ku mężom swoim i towarzyszom.

— Panie! czynisz, co sam zechcesz, ale lepiej przy kobietach nie mówić o szernach — zauważył Elem.

— Dlaczego?

Mnich pochylił głowę.

— Są rzeczy straszne...

Nim jednak zdążył dokończyć zdania, przerwał mu ruch, jaki się wszczął nagle w pielgrzymiej gromadce.

Kończył się już pierwszy dzień podróży i schodzili byli właśnie na równinę, śpiesząc na noc ku osadom u *Starych Źródeł*, kędy⁴¹ przed wiekami pierwszy raz na Księżycu naftę odkryto, kiedy pielgrzymi i mnisi, orszak Zwycięzcy stanowiący, poczęli się skupiać i krzyżeć, wskazując rękoma w kierunku pobliskich zarośli. Marek spojrzął w tamtą stronę i spostrzegł człowieka, nieco roślejszej od innych budowy, który, wyskoczywszy z gęstwiny, stanął na cyplu skalnym ponad drogą i zaczął miotać jakieś wyzwiska czy przekleństwa. Odpowiedziano mu gradem obelg. Niektórzy rzucali kamieniami, które go jednakże nie osiągały — kobiety kryły się z płaczem za plecami mężczyzn, a mnisi spluwali na przemian i kreślili święty znak Przyjścia na czole, ustach i piersi.

— Morzec! Morzec! — rozlegało się dokoła.

Człowiek na skale zaśmiał się urągliwie i naciągnął łuk, który miał w ręku. Strzała świsnęła, godząc trafnie w szyję młodą, drobną kobietkę, co właśnie u nóg Markowych szukała schronienia.

Okrzykowi zgrozy odpowiedział znów wyzywający i tryumfalny śmiech napastnika. Z niepojętą szybkością napinał teraz łuk, szyjąc strzałami raz w raz w załęczoną i zbity gromadkę. Jedna ze strzał drasnęła Marka w czoło, znacząc na nim szeroką krwawą szramę. Odruchowo wyrwał broń z zanadru i gruchnął w stronę napastnika.

Strzał był dobrze wymierzony. Człowiek na skale wypuścił z dłoni cięciwę, zatrzepotał w powietrzu rękoma i bez krzyku runął głową na dół, padając tuż przy drodze. Kilku mężów poskoczyło ku niemu i zaczęli rozdzierać skórzaną tunikę na jego piersi. Marek sądził, że szukają rany od nieznanego im broni palnej, lecz oni spostrzegłszy pod piersiami upadłego dwa czerwone znamiona, jakby sześciopalczastych dłoni, poczęli krzyżeć znów: „Morzec! Morzec!” — i bić w niego kamieniami, gdyż dyszał jeszcze i przewracał oczyma, tocząc z ust krwawą pianę.

Marek rzucił się ku nim, zgrozą przejęty.

³⁹snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

⁴⁰poglądać — dziś: spoglądać. [przypis edytorski]

⁴¹kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

— Stójcie, psy! — krzyknął — przecież ten człowiek żyw jeszcze, a bronić się już nie może!

Elem go zatrzymał:

— Panie, daj pokój. To nie jest człowiek. To morzec...

A widząc pytający wzrok Marka, dodał schylając głowę swoim zwyczajem:

— Opowiem ci później, panie. Daj pokój. Dobrze jest, że zginął.

Ciało nieznanego tworzyło już tylko jedną krwawą masę, w którą wciąż były ka-
mienię. Marek odwrócił ze wstrętem głowę od tego widoku, a mnisi tymczasem, tańcząc
około niego, śpiewać jęli jakiś hymn tryumfalny:

„Przyszedł nam Zwycięzca!

Poraził szerna, poraził morca piorunem!

Dla ludzi jest Księżyc; śmierć wrogom naszym!

Chwała Zwycięzcy, gdziekolwiek stąpi noga jego błogosławiona!...”

W milczeniu wysunął się Marek z koła płasających i poszedł naprzód. Z ostatniego zakrętu drogi, tuż w pobliżu osad ludzkich silnie już snadź odwiedzonej, widać było całą szeroką równinę, drobnymi pierścieniami wzgórzami usianą, na którą niegdyś — przed siedmiuset laty — z tego właśnie miejsca patrzył był po raz pierwszy Stary Człowiek, takim jak on teraz młodzieńcem.

Usiadł na przydrożnym kamieniu i zamyślił się głęboko... I dziwno mu było, że nie umie właściwie myśli swoich sformułować. Patrzył na równinę bezbrzeżną, ku zachodowi chylącym się słońcem już pozłoconą i czarnych okrągłych jezior pełną, i myślał o tym, że spędziwszy dotąd czas w *Biegunowym Kraju* wiecznego półświt, będzie teraz widział pierwszy zachód słońca na Księżycu i że mu niewypowiedzianie smutno jest w ten czas zachodu... I myślał, że pusta wesołość jego zgubiła się gdzieś w przeciągu kilkuset godzin i że dąży z dziwnie ściśnionym sercem ku dalekiemu morzu, kędy rozstrzygną się jego losy, tak niepojęcie w rdzeń ludzkich spraw na Księżycu wplątane... I naszała go teraz tęsknota za Ziemią, którą — śmiały i żądny nowości szalała — zda się tak niedawno, śmiejąc się, opuszczał... Była chwila, że chciał wstać i uciekać, wracać do *Kraju Biegunowego* i siąść w lśniący wóz swój, który stoi tam gotów do powrotnej drogi — ale nagły bezwład go ogarnął, wsparł łokcie na kolanach i twarz w dłoniach ukrył...

— Obiecałem los swój przyjąć na siebie — wyszeptał.

Z długiej zadumy obudziło go lekkie dotknięcie. Wzniósł oczy. Przed nim klęczała niemłoda i wynędzniała kobieta i wznosiła ku niemu twarz pełną bezgranicznej, ślepej, martwej trwogi. Ręce i usta trzęsły jej się jak w febrze — spoza zaciętych zębów ledwo zdołał się przestraszem zdławiony głos wydobyć...

— Panie, panie — jęczała — ty wiesz wszystko, tak... patrzyłeś na mnie... wiem, że wiesz... ale — ja niewinna jestem, panie! Szerny przemocą mnie porwały...

I nagle w obłąkanym strachu krzyknęła, chwytając się za jego nogi:

— Panie! Zwycięzco! miej miłosierdzie ze mną! Nie wydaj mnie ty przed nimi, bo żywcem mnie w ziemi zakopią! Ja wiem, że słusznie prawo tak nakazuje, ale ja jestem niewinna!

Padła na twarz, wstrząsana rozpaczliwym łkaniem. Nie mogła już mówić, mamrotała tylko i mełła między szczękającymi zębami słowa jakiegoś niezrozumiałego a błagalnego.

Marek się zerwał. Potwornie straszna a nieprawdopodobna myśl uderzyła go obuchem w głowę. Chwył płaczącą kobietę za ramiona i postawił przed sobą na ziemi. Zamilkła nagle i patrzyła na niego osłupiałymi oczyma, czekając snadź⁴² śmierci.

— Jak się nazywasz? — rzekł po chwili dziwnie nieswoim głosem.

— Nechem...

— I ten... morzec? ten, którego zabito?...

— Tak, panie, tak, to mój syn! Ale ja niewinna!

Usiłowała ustami dotknąć dłoni jego. Ale on szarpnął ją i krzyknął:

— Twój syn i... czyj?

Kobieta zaczęła znowu trząść się cała.

⁴²snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

— Panie! ja winna nie jestem! Szerny przemocą mnie porwały! Nikt o tym nie wie krom ciebie... Myślano, że jestem z ofiarą u Braci Wyczekujących... Ja ukryłam... Panie! ja wiem, że powinnam była zadusić, jak tylko na świat przyszedł, ale nie mogłam, ty daruj, nie mogłam! Przecież to mój syn był!

Marek odruchowo w napadzie bezgranicznego obrzydzenia odtrącił ją od siebie i zakrył oczy rękoma. Było w tym tak coś potwornego i przerażającego, a przy tym wszystkim fizjologiczne prawa wywracającego do góry nogami, że ścisnął głowę dłońmi, czując, że obłąd ją chwytą...

Oprzytomniał dopiero nieco, kiedy posłyszał za sobą nawoływania zdążającego wreszcie orszaku. Zwrócił się szybko do leżącej wciąż bez ruchu kobiety:

— Nechem, wstań. I bądź spokojna.

Chciała mu dziękować, on jednak ze wstrętem cofnął dłoń. Nie mógł się przemóc, aby spojrzeć na nią.

W milczeniu resztę dziennej drogi odbywał. Było już pod wieczór, kiedy znaleźli się na równinie wśród osad przy *Starych Źródłach*. Z niskich, kamiennych domków, przeważnie w ziemię wkopanych dla lepszej przed nocnymi mrozami ochrony, wyległa ludność naprzeciw przychodzącego Zwycięzcy i witała go hałaśliwie radosnymi okrzykami, ale on nie słyszał ich prawie. Szedł wśród weselnego tłumu z nachmurzoną twarzą, unikając szczególnie oczyma widoku kobiet, z których każda mogła być przecież równie skalana, jak ta, która się niedawno u nóg jego włóczyła. Lud patrzył na groźną minę jego i wróżył z niej sobie rychły a stanowczy pogrom wszystkich szernów. Niektórzy z dala oglądali z uciechą wzrost jego wyniosły i mięśnie potężne, tylko przez cześć bojaźliwą nie śmiejąc ich dotykać, i mówili głośno, jaką te silne ręce klęskę szernom zadadzą.

Przeznaczono mu najlepszy dom na nocne przezimowanie. Był ci wprawdzie w tej osadzie, jak po wszystkich innych na Księżycu, dom oddzielny i niezamieszany, z dawnego rozkazu Braci Wyczekujących utrzymywany a zowiący się „Domem Zwycięzcy”, kędy mógłby znaleźć schronienie, kiedy przybędzie — ale ponieważ z pokoleń w pokolenia Zwycięzca nie przybywał, więc okazało się teraz, że zaniedbany dom na spichlerz gminny jest obrócony i tak zrujnowany, iż mieszkać w nim niepodobna. Zaradzono temu, usuwając z chaty sołtysa, który był zarazem miejscowym kapłanem.

Kiedy wieczorem Marek znalazł się sam, kazał natychmiast przyzwać Elema do siebie. Zakonnik wszedł, po raz pierwszy w szatę czerwoną na znak radości przybrany i ze srebrnym diademem na czole, tak jak był kazał w małej wiejskiej świątyni o przybyciu Zwycięzcy, którego właśnie wiedzie z sobą... Stał z szacunkiem przy drzwiach i czekał.

Marek — w małej, za niskiej na wzrost jego izdebce — leżał na pęku skór z nafcianym kagankiem przy głowie. Gdy Elem wszedł, uniósł się na łokciu i wpił w niego błyszczące oczy.

— Kto są morcy? — zapytał z nagłą.

Elem pobladł i coś jakby cień gorzkiego wstydu, z nienawiścią zmieszanego, przemknęło po jego suchej twarzy.

— Panie...

— Kto są morcy? — powtórzył Marek zapalczywie — czy to...?

Nie dokończył, ale zakonnik go zrozumiał.

— Tak, panie — szepnął — tak... To dzieci szernów.

— Więc wasze kobiety... oddają się tym potworom?

— Nie, panie. Nie oddają im się.

— A więc? a więc?

Zerwał się nagle i usiadł na posłaniu.

— Słuchaj! a więc wy jesteście psy! Znam ja tę historię! I na Ziemi niegdyś mówiono o czarcim potomstwie! Słuchaj! was należy wszystkich kamienować zamiast tych nieszczęśliwych!

Gniew mu prawie głos zatykał.

— Pójdź tu! i mów natychmiast, skąd powstała bajka o dzieciach szernów, w którą nawet kobiety same w obłąkaniu uwierzyły!

— Nie, panie, to nie bajka.

Marek spojrział na niego szeroko rozwartymi oczyma.

— Panie, pozwól mi mówić... Szernowie dziwną moc posiadają. Popod skrzydłami, szerokimi skrzydłami z rozpiętej na kościach błony, mają coś w rodzaju gibkich węzowych rąk o sześciopalczastych dłoniach. Całe ciało ich jest pokryte czarnym, krótkim włosiem, miękkim, gęstym i lśniącym, z wyjątkiem czoła i tych dłoni właśnie, które są nagie i białe... I te dłonie...

Odetchnął głęboko i pot otarł z czoła. Znać było, że trudno mu mówić o tej strasznej rzeczy.

— W tych dłoniach jest ich moc — zaczął znowu po chwili. — Jeżeli obie naraz dotkną nagiego ciała ludzkiego, wstrząsa człowiekiem bolesny a częstokroć i zabójczy dreszcz, podobny jak przy dotknięciu niektórych ryb morskich... A jeśli to jest kobieta...

— Ach! — krzyknął Marek.

— Jeśli to jest kobieta... albo suka, lub jakakolwiek samica, poczyrna i rodzi. Wydaje płód — wedle swego rodzaju — do siebie tylko na oko podobny, ale zły i przewrotny jak szerny...

— Czy jesteś pewien, że tak jest w istocie?

— Tak, panie...

W głowie Marka zakręcił się wir krzyczących myśli. Było to tak niepojęte... A jednak — przypomniały mu się badania niektórych ziemskich biologów, którzy, działając na niezaplodnione jajka mechanicznie albo za pomocą chemicznych odczynników, zmuszali je do podziału i płód z nich żywy otrzymywali... Widocznie w dłoniach tych księżycowych potworów była jakaś zdolność wydawania prądu elektrycznego czy innej emanacji, która wstrząsając cały organizm, odgrywała rolę plennika...

— Nie, nie, nie! To niemożliwe! — powtarzał głośno, przyciskając rękoma rozszalałe tętno w skroniach...

— A jednak, panie, jest tak. Sam dzisiaj morca zabiłeś.

— Skąd wiesz, że to był morzec?

— Tam, gdzie kobietę dotknęły przeklęte dłonie szerna, morzec piętna ma czerwono-sine. Widziałeś sam... Zabijamy ich i tępimy jak dzikie zwierzęta, bo gorsi są od samych szernów nawet, gdyż złość ich przewrotną łączy z ludzkim wyglądem.

Zapanowało glucho milczenie.

Po długiej chwili dopiero Marek wznosił głowę i zapytał bezdźwięcznie:

— Czy to... częste przypadki?

— Nie. Teraz nie. Kobietę, która była w obecności szerna, zakopujemy bez sądu żywcem po szyję do ziemi i tak ją zostawiamy, póki nie zamrze z głodu i pragnienia. Ale dawniej...

Ciężko mu było mówić. Znać, że jego ludzka duma, przez dalekich przodków z Ziemi przyniesiona, cierpiała niewymownie wobec tych wyznań. Pochylił głowę przed płonąącym wzrokiem Marka i dokończył cicho:

— Dawniej morców bywało dużo... Szczęściem, że oni są już nieplodni. Wytępiiliśmy ich. Wymordowaliśmy. Nie było litości ani z jednej, ani z drugiej strony... Teraz już rzadko... Chyba że szernowie porwą kobietę.

— A dawniej? Czy same kobiety?...

Elem zaprzeczył żywym ruchem głowy.

— Nie. Nigdy. To ból podobno straszliwy. Kurcz mięśnie wykręca i łamie kości... Ale...

— Co?

— Był czas, że — pokonani — musieliśmy jako haracz...

Marek się rzucił na posłaniu.

— Kobiety im swoje oddawać!?

— Tak. Dziesięć co rok. Oni morców potrzebują: nam nienawistni — im służą jak psy wierne... A szernowie sami nie lubią pracować...

Marek zakrył znów oczy. Dreszcz wstrząsał jego ciałem mimo ciepła, które z rozpalonego ogniska po izbie się rozchodziło.

— I te kobiety... na zawsze już u szernów zostawały? — spytał, nie patrząc na mnicha.

— Nie. Szernowie je zabijali albo odsyłali, gdy się już zestarzały...

— A wtedy wy?...

— Wtedy myśmy je zabijali. Były przecież matkami morców — dodał po chwili tonem usprawiedliwienia.

W ciszy, która zapadła po ostatnich słowach zakonnika, słychać tylko było uderzenia wichru, który miotał padającym już śniegiem, pokrywając nim glob księżycowy na długą, mroczną, czternaście ziemskich dni trwającą noc.

Marek siedział długo w milczeniu, z zakrytą twarzą. Wreszcie odjął dłonie od oczu i ściągając brwi, rzekł do siebie głośno i twardo:

— Trzeba zwyciężyć!

Elem radosnym ruchem wznosił ręce do góry, ale Marek go nie widział. Patrzył przed siebie gdzieś w mroczną dał, gdzieś w los swój niespodziewany.

III

Awij zbyt gardził tymi ziemskimi intruzami na Księżycu, zwałymi się ludźmi, aby posyłać posły i pytać: dlaczego mu o zachodzie słońca nie złożono zwykłej obowiązkowej daniny albo co ma oznaczać wrogi ruch, który spostrzegł z wieczora około trójszczytowego zamczyska swego nad morzem? Postanowił natomiast spalić całą osadę przy *Ciepłych Stawach*, a ludność wyrzucić do nogi. Nie wydawał jednak rozkazu, na który otaczający go morcy z utęsknieniem czekali. Wiedział, że załoga nie jest zbyt liczna i w razie oporu — a widział był gromadzących się zbrojnych — mogło przyjść do ciężkiej walki o wątpliwym wyniku, wołał więc zatrzymać się aż do czasu przybycia posiłków. Była to bowiem właśnie noc, kiedy szernowie przybywali z zamorskiego kraju odebrać co wieczór składany haracz i zmienić w zamku załogę.

Warowna wieżycza, gdzie mieszkał Awij, stała wśród otoczonego mocnym murem ogrodu, który się łączył z małą ubezpieczoną przystanią nad morzem. Szernowie, orszak Awija tworzący, a nade wszystko nieliczni jego morcy nie ośmielali się nigdy wyjść poza bramy tego muru, wiedząc, że mimo wszystkie pakty czekałaby ich tam śmierć niechybna z ręki znieawidzonej i nienawidzącej ich człowieczej ludności — ale w obrębie warowni czuli się zupełnie bezpiecznymi. Ufali tęgości murów, a więcej jeszcze postrachowi swego okropnego imienia, który trzymał od nich z dala każdą ludzką istotę. W razie zabicia szerna albo chociażby napaści tylko mścili się straszliwie, o morców mniej im chodziło i mało dbali, jeśli którego z nich, niebacznie w głąb kraju się zapuszczającego, śmierć spotkała, chociaż się bowiem nimi posiłkowali, w głębi serca gardzili nimi prawie tak samo jak ludźmi.

A przy tym z zamku w razie niebezpieczeństwa poważnego odwrót był zawsze otwarty — we dnie na łodziach, w nocy na żaglowych saniach przez zamarźnięte morze. Tą też drogą przybywali każdej czwartej nocy potworni ziomkowie Awija po haracz. Właśnie wielkoryząca czekał ich przybycia.

Jednak jeszcze więcej niż brak owych posiłków powstrzymywało go od wydania krwawego rozkazu wrodzone szernom lenistwo. Trzeba by postanowić i odezwać się do morców i wydać odpowiednie zarządzenia... Myślał o tym wszystkim i wyobrażał sobie z rozkoszą buchające wśród nocy płomienie i jęk zarzynanych ofiar, ale tymczasem nie chciało mu się ruszyć ani skinąć.

Leżał na szerokiej sofie, miękką czerwoną tkaniną na lśniącym włochatym cieple owinięty, nogi z zadzierzystemi pazurami podciągnął pod siebie — straszne, sześciopalczaste dłonie ukrył w fałdach obwisłej błony szerokich nietoperzych skrzydeł... Obok w miedzianych trójnogach płonęły zioła wyszukane, których ostra i odurzająca woń osobliwą rozkosz sprawiała szernowi. Zamglonym i sennym wzrokiem swoich czworga okrągłych krwawych oczu pojrzał ku drzwiom, gdzie na czatach siedziało sześciu morców, skulonych od zimna, którego ich pan zdawał się wcale nie odczuwać.

Przyszło mu na myśl, że jest północ i poselstwo szernów powinno już być przybyć. Chciał coś powiedzieć, wydać rozkaz jakiś, ale nie chciało mu się. Morcy z trudnością tylko i niedokładnie rozumieli mowę barwnych błysków na jego białym, fosforyzującym czole, on zaś nie miał ochoty trudzić się wydawaniem głosu. Przeciągnął więc tylko ścierpłe skrzydła, strzepnął nimi i ziewnął głośno, otwierając bezzębną gębę, otoczoną rogową naroślą w kształcie dzioba szerokiego, a krótkiego, z jedną haczyką w pośrodku zadziora.

Morcy się zerwali, jak sfora psów dobrze ułożonych, a jeden z nich, chłop — jak na wzrost księżycowych ludzi ogromny, z krwawosinym sześciopalczystym piętnem na policzku, przyskoczył ku panu i przysiadł na posadzce, patrząc pytająco w jego krwawe ślepie.

— Czy poselstwo przybyło? — błysnął szern ku niemu.

Morzec — Nuzar go nazywano — spojrział na niego z rozpaczliwym pomieszaniami i jęknął:

— Panie...

Awij zacharczał:

— Bydlę! z wami trzeba jak z psami albo ludźmi głosem rozmawiać! Czy przybyło poselstwo? — pytam.

— Nie jeszcze, panie, ale wkrótce przybędzie...

— Głupiś.

Odwrócił się na drugi bok i kazał dosypać ziół na trójnogi. Morcy, bądź co bądź ludzkie płuca mający, dusili się od gęstego niecznośnego dymu. Żaden jednak nie śmiał się przyznać do tego: za hańbę uważałby sobie nie rozkoszować się tym, co szernowi, wyższej istocie, przyjemność sprawiało.

Awij przymknął tymczasem dwoje dolnych oczu, do bliskiego patrzenia służących, a górne — dalekowidzkie, w których wzroku zarysy bliższych przedmiotów w niewyraźną mgłę się roztopiały, wyteżył gdzieś w mrok przed siebie i marzył o zamierzonej rzezi, jak jej się będzie ze szczytu wieży swojej nadmorskiej przyglądał...

— Jak poselstwo z posiłkami przybędzie — charknął znowu po chwili — zapalicie osadę...

— Może by zaraz...?! — krzyknął Nuzar z roziskrzonymi oczyma.

— Milcz, psie, i słuchaj...

Zabijcie wszystkich. Wolno wam. Nie złożyli haraczu...

A zresztą tak mi się podoba.

Malahuda... Możecie go dać psom. Za stary jest dla mnie, twarde musi mieć mięso.

I w pół dnia nie skruszałby...

Ale on ma córkę... Widziałem...

Młasnął głośno, uderzając językiem o dziób rogowy.

— Ihezał jej na imię...! — wyrwał się jeden z morców, młody, zaledwie dorastający chłopak.

— Milcz, psie.

Może by po niej mądrzejsze morce były niż wy...

Jak tylko przyjdzie poselstwo...

Ale poselstwo nie przychodziło. Minęła cała długa noc i dopiero około świtania dwóch szernów postawionych na czatach, a osobiste towarzystwo Awija stanowiących — doniosło, że w szarym brzasku widać żagle zbliżających się sań na morzu...

W namiestnika wstąpiła nagła energia. Zerwał się i zatrzepotał ciężkimi skrzydłami, wydając zgrzytliwe dźwięki, które oznaczały to, co ludzie śmiechem nazywają.

— Za kilka godzin będzie tu morze płomieni!

Potem zasępił się na chwilę.

— Szkoda, że noc już minęła, trzeba było w nocy...

Nuzar, który stał przy oknie, zwrócił ku Awijowi dzięką, ohydny piętnem naznaczoną gębę:

— Czy iść im na pomoc?

Wyciągnął rękę przed siebie.

— Zamek cały jest otoczony. Widzę namioty przysypane śniegiem. Czuwali całą noc... Nawet na morzu, na lodzie strażę porozstawiano.

Awij rzucił się ku oknu, wyteżając w słaby, ostry brzask budzącego się dnia parę swych dalekowidzkich oczu. Rzeczywiście dookoła zamku ciągnął się nieprzerwany podwójny pierścień śnieżnych kopczyków, pod którymi kryły się namioty zbrojnych. Tu i ówdzie wydostający się dym świadczył, że czuwano. Ku owym właśnie kopczykom zbliżały się od strony zamrożonego morza pędem wichru skrzydlate sanie szernów.

Namiestnik patrzył przez chwilę, aż nagle potworna twarz mu się rozjaśniła.

— Tchórze! Patrzcie: nie potrzeba pomocy!

Istotnie ze zbliżeniem się sań ludzkie straże same się rozstały, puszczając je wolno do wnętrza zwartego pierścienia. To jednak, co Awijowi wydało się być skutkiem trwogi, było mądrze obmyślanym planem Jereta, który ze swoimi ludźmi zajął był zaniedbany przez zbrojnych, a najważniejszy posterunek na lodach morza. Nie chciał on dać się wymknąć i tym przybywającym wrogom, a przy tym obawiał się, że w razie oporu i bitwy szernowie mogą za wcześniej dać znać swoim ziomkom i przedwcześnie pomoc sobie przeważającą sprowadzić. Za saniami jednakże koło zamknęło się natychmiast z powrotem.

Tymczasem świt się zbliżał — i nim spóźnieni szernowie odpoczęli po trudach nocnej podróży, zaszyły w osadzie przy *Ciepłych Stawach*, stolicy księżycowego kraju — wielkie wypadki. Prawie wschodzące słońce, ześlizgując się po ośnieżonych zboczach krateru *Otamora*, zaglądało na brzeg morski i straże Jereta usuwały się pośpiesznie z lodów, które mogły lada godzina zacząć pękać, kiedy gońcy z północy dali znać, iż Zwycięzca z ostatniego nocnego postoju wyruszył i niebawem stanie wśród oczekującego go ludu.

Więć radosna rozeszła się w jednej chwili po całej osadzie, zwłaszcza że mieszkańcy, nie mogący się przez całą długą noc ranka doczekać, o świcie już mimo mrozu wychodzić zaczęli z domów i stawali na stoku wzgórza, skąd widać było szeroką, śniegiem ubieloną równinę. Słońce wychodziło z morza leniwie i przenosząc złotymi promieniami obły grzbiet wyniosłości, na której miasto było zbudowane, strącało cienie oczekujących daleko, daleko na białą równinę, ścieląc je, jakby wysłanniki⁴³ tęsknoty ludu, pod nogi nadchodzącemu...

A on szedł naprzeciw wschodzącego słońca po śniegach topniejących, po strzelającej spod nich bujnej, żywej, księżycowej zieleni, sam jak słońce jasny i rozpromieniony — wesół, że po długiej nocy światło znów widzi, rad, że usłyszy za chwilę łoskot morza na skalistym brzegu. Młody, krzepki i śmiały, cieszył się życiu i dziwnym przygodom swoim, niepomyślnym już przygnębienia i wątpliwości, które go trapiły w dniu poprzednim i w ciągu długiej nocy jeszcze.

Zabawnie lekką wydawała mu się dzisiaj ta mimowolnie podjęta rola, która wczoraj (ach! to „wczoraj” o dwa ziemskie tygodnie odległe!) straszyla go takim ciężkim i nieznośnym brzemieniem. Z dziecinną prawie radością w dwudziestokilkuletnim sercu myślał o tym, że zjawił się tutaj jak młody, zwycięski bóg, z dalekiej gwiazdy zesłany, że wyzwoli i uszczęśliwi lud księżycowy, a potem odleci znowu przez otchłań przestrzeni do dalekiej ojczyzny swojej, żegnany jak dobre i na wieki w ludzkiej pamięci tutaj żywe zjawisko. Myślał, jak kiedyś, powróciwszy na Ziemię, będzie opowiadał, wskazując jasny Księżyc wschodzący, że był tam i dobro działał i że tam, w niebieskich przepaściach, błogosławią imię jego. Zdawało mu się teraz, że czynem swoim nadzwyczajnym, przebywając międzyplanetarne przestwory, zyskał prawo przyjęcia na się urosłej w ciągu wieków legendy o wybawicielu, a z prawem i obowiązkiem spełnienia wedle sił tego, czego się tutaj po nim spodziewają. A zresztą czyż nie tkwi w tym rządzenie jakiegoś niepojętego Losu czy Opatrzności, że właśnie on na Księżyc się dostał, kiedy tu na Zwycięzcę z gwiazd przybyłego czekano?

Myślał o tym wszystkim, idąc nad brzegiem rozpiętanego z lodów strumienia, po kwiatach i ziołach przedziwnych, spod nóg mu do życia po nocnym śnie wystrzelających — i wielka radosna duma przepełniała mu serce i pewna siebie moc huczała w rozkiełzanych tętnach. Śmiał się do biegnących obok „krasnoludków” i cieszył się razem z nimi wschodzącym słońcem „nowego dnia”. Zdjęła go głęboka, wesółym ludziom właściwa dobrotliwość — rozmawiał łaskawie z cisnącymi się karlikami, uśmiechał się do kobiet, a nawet na biedną Nechem, która od chwili pamiętnego wyznania nie odstępowała go ani krokiem, biegnąc jak pies przy jego nodze, innym dzisiaj patrzył już okiem. Żał mu jej tylko było i cieszył się, dufny w swe siły, że z jego przyjściem skończy się wszechwładztwo szernów i to ognębienie⁴⁴ rodu ludzkiego. Myśląc o tym, uśmiechnął się do patrzącej wciąż w jego oczy kobiety i pogładził ją dłonią po głowie.

— Jaki ty dobry jesteś, panie! — zawołała z wyrazem nieopisanej psiej wdzięczności w dużych, wybladłych oczach.

— Dlaczego nazywasz mnie dobrym? Wszakże zabiłem twojego...

⁴³ścieląc je jakby wysłanniki — dziś: (...) jakby (niby) wysłanników. [przypis edytorski]

⁴⁴ognębienie — dziś: zgębienie. [przypis edytorski]

— Ach, tak, tak, panie! zabiłeś go, ale to był morzec i nawet śmiało zranił ciebie — rzekła, patrząc na szeroką krwawą szramę na czole Markowym. — Bronić go jednak chciałeś, kiedy go kamienowano, i nade mną biedną litość okazałeś! Gdyby tamci wiedzieli...

Wstrząsnęła się cała i zgarnęła w sobie pod falą nieopisanego strachu.

Marek chciał odpowiedzieć, ale gwar mu przerwał nagle powstający, z dalekimi zmieszany krzykami. Spostrzeżono ich już w osadzie przy *Ciepłych Stawach* i ludzie, na walach czatujący, poczęli zbiegać w dół, na równinę, i łączyć się wśród okrzyków ze świtą Zwycięzcy. Rychło też i bramy miasta się otworzyły, przepuszczając idącą na powitanie starszyznę.

Teraz Elem, Braćmi Zakonu otoczony, wystąpił naprzód — poważny, uroczysty, w kapłańskie szaty czerwone odziany, i wiódł orszak cały ku bramom, pośród cisnącego się zewsząd tłumnie ludu.

W powitalnym poselstwie Malahudy nie było. Przyszli po niego starsi z ludu, ale on wyprawił ich samych, mówiąc, że czekać będzie Zwycięzcy na stopniach świątyni, aby go przyjąć tutaj, gdzie niegdyś Stary Człowiek mieszkał... Kiedy po ich odejściu pozostał sam, wezwał Ihezal i nie wołając sług, począł się przy jej pomocy ubierać. Kazał z zamczystych, złotem i miedzią kutych szaf dobywać szaty co najkosztowniejsze: stare, pracowicie niegdyś przez pobożne kobiety dziergane tuniki, płaszcze z najprzedniejszych futer ze szczerozłotymi zapięciami i pasy tak gęsto drogim nasadzone kamieniem, że walki skórzane trzeba było pod nie podkładać, aby ciężarem bioder nie obrażały.

— Po raz ostatni, po raz ostatni... — mówił, patrząc na krzątającą się Ihezal.

Wybrał wreszcie tunikę czerwoną, po kostki nóg sięgającą i wyszytą całą w dziwne kwiaty, jakich nigdy na Księżycu nie widziano (mówią niektórzy, że na Ziemi pono rosną takie), spiał ją ponad biodrami pasem szerokim z poślódkiej kości, złota i kamieni, który był niegdyś własnością wielkiego kapłana i proroka Ramidy, i przykrył to wszystko bezcennym czarnym płaszczem, zrobionym z futra żywca ze skóry odartych szernów. Płaszcz ten, jako pamiątka odniesionego przed wiekami świetnego zwycięstwa (rzadkie one były w historii księżycowego ludu — niestety!), ceniony był na równi ze świętościami największymi i razem z nimi w podziemnym skarbcu chowany. Stamtąd wyniosła go teraz na rozkaz dziadka Ihezal razem z kołpakiem prastarym ze zwieszającymi się aż do pasa sznurami bursztynów i pereł ogromnych, w którego złotym, rzezanym naczółku, otoczony bajecznej wielkości szmaragdami, świecił się jasny kamień, wedle podania przez Starego Człowieka ongi noszony.

Malahuda nałożył kołpak na włosy, rytualną, złotą związane obręczą — wsunął na stopy sandały białe, rubinami zdobne, narzucił kosztowny łańcuch na szyję i wyciągnął ciężką od pierścieni dłoń po laszkę kościaną, dłutem misternie wyrobioną...

Teraz Ihezal wsparła ramieniem starca, uginającego się pod ciężarem szat i łańcuchów — i wiodła go do świątyni... A on przystawał na stopniach i oglądał się za każdym krokiem, mrużąc coś do siebie niewyraźnie. W wielkiej sali podszedł do głównej kazalnicy i oparłszy się ramieniem o złoty znak Przyjścia, świecący na jej przodzie, ocierał pot, rześście mu na czoło występujący.

— Po raz ostatni, po raz ostatni — szeptał i kiwał głową, ciężkim arcykapłańskim nakrytą kołpakiem...

Ihezal odeszła nieco ku przodowi. Milcząca i posłuszna dotychczas, czuła w tej chwili, że duszność opada ją w tej opustoszałej świątyni. Stanęła u szeroko rozwartych drzwi wchodowych i wsparta na jednym z dwóch olbrzymich filarów alabastrowych, portal podtrzymujących, patrzyła przed siebie, poza miasto, na daleką równinę, po której stąpał kędyś Zwycięzca. Była chwila, że zdawało jej się, iż słyszy płacz dziadka poza sobą; na jedno mgnienie oka rysy twarzy ściągnęły jej się jakimś kurczem bólu i niechęci, ale nie obejrzała się nawet... Bezwiednym, sennym niemal ruchem sięgnęła dłońmi poza uszy i nabrawszy w nie pełno włosów złotych i długich, ściągnęła je na usta, na białą szyję i pierś, spod rozchylonej ametystowej szaty wyglądającą... Płomień uderzył jej na skroń, wargi purpurowe poczęły drżeć — przysłoniła ogromne czarne oczy powiekami, wsłuchana w cichy i jasny śpiew swojej duszy:

— O! przyjdź... o! przyjdź...

Wyjdę naprzeciw ciębie z mrocznej świątyni, uklękę przed tobą na złotym piasku i patrzeć będę w twe oczy, które muszą być jasne, jako te gwiazdy, skąd do mnie przychodzisz!

Przychodzisz do mnie, bo ja jestem tęsknota ludzkich, dalekiej gwiazdy rodzinnej pomnych, pokoleń, ja jestem miłość, która zjawę twą wypielęgnowała, ja piękno ostatnie wydziedziczonych i smutnych wygnańców.

O, przyjdź! — o, przyjdź! promienny, zwycięski, boski!...

Gorąca fala załopotła jej w piersi i rozkosznym uściskiem oddech zdławiła... Mroczna świątynia poczęła jej ginąć w oczach, przed którymi falowało tylko jakieś morze światła, blasku i zieleni...

Trwała tak długo w słodkim, półsennym odrętwieniu, aż wyrwał ją z zadumy nagły łomot kroków i krzyki wpadających zewsząd ludzi. Wołano arcykapłana.

Zwycięzca wszedł już był w bramy miasta i zdążył właśnie ku świątyni.

Nagłym podrzutem targnęła się w tył; serce zatłukło jej się w piersi jakimś niespodziewanie opadającym ją lękiem chciała ukryć się, uciekać, ale w tej chwili ogromna niemoc wzruszenia ją ogarnęła... Przyciskając dłońmi huczące serce, z niepojętymi łzami w oczach osunęła się cicho do stóp alabastrowej kolumny.

Jak przez sen widziała dziadka, który, nagle zmieniony i spokojny, z dziwnie śmiało podniesioną głową, w szatach swych arcykapłańskich przez młodszych kapłanów pod rękę prowadzony, przeszedł koło niej ku rozwartym drzwiom z długim, pośpiesznie gromadzącym się za nim orszakiem — słyszała jak przez sen hałas kroków licznych po kamiennej posadzce, okrzyki i daleki szum rozfalowanego przed świątynią ludu — a potem nagły mrok ją ogarnął, dzwony jakieś w uszach zahuczały: zdawało jej się, że leci wirowym, przyspieszonym ruchem w otchłań gdzieś nieskończoną i bezdenną.

Tymczasem Malahuda stał już na szerokich stopniach świątyni, w tym samym miejscu, kędy⁴⁵ wczoraj właśnie otrzymał był pierwszą wieść o przybyciu Zwycięzcy. Teraz wieść stała się już jawą: ten przybysz dziwny i niepojęty szedł ku niemu, na rękach oszalonego z radości ludu niemal niesiony, widny z daleka, olbrzymi, jasny, promienny...

Arcykapłan ściągnął brwi... Twarda, nienawistna a uparta zawziętość zastygła mu w twarzy. Wsparł się oburącz na lasce kościanej i czekał w orszaku dostojników miasta i świątyni, ku niezmiernemu zdumieniu i zgorzeniu ludu, który się spodziewał, że arcykapłan zejdzie ze stopni, aby kornie powitać Zwycięzcę na dole.

— Malahuda! Malahuda! — krzyczano zewsząd, wołając go.

On jednak nie drgnął nawet. Patrzył przed się spokojnie spod siwych, krzaczastych brwi i jeno⁴⁶ w miarę jak krzyki stawały się coraz natarczywsze, łącząc się z wyzwiskami, w jego stronę rzucanymi, uśmiech coraz wynioślejszy i bardziej ironiczny drgał na jego zaciśniętych wargach.

— Malahuda! zejź i pokłoń się Zwycięzcy, którego wiodę oto ludowi!

Elem stał przed nim, w purpurowej szacie od wczoraj przywdzianej — i niemal rozkazującym ruchem ręki wskazywał plac mrowiem ludzi zaległy.

— Przystoi mi miano Jego Wysokości — odparł starzec — jestem arcykapłanem, rządzącym wszystkim ludem księżycowym!

Czarne oczy zakonnika zapłonęły nagle porywczym gniewem.

— Nie jesteś niczym! — zakrzyknął — jeden Zwycięzca dziś włada i ci, którzy jemu służą!

— Dopóki nie złożę swej władzy, jestem, czym byłem... — rzekł Malahuda spokojnie — i nim twój Zwycięzca wejdzie na stopnie świątyni, mogę cię kazać okuć i wrzucić do lochu razem z Braćmi, którzy zakon swój złamali, opuszczając bez mego pozwolenia *Kraj Biegunowy*.

Twarz Elema poczerwieśniała, a na skroniach wystąpiły mu sine żyły.

— Ja niczyjego pozwolenia nie potrzebuję — mówił, dusząc się od wściekłości — i nie słucham nikogo, nie tak, jak ty, sługo i pacholku szernów!

⁴⁵kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

⁴⁶jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

Zwycięzca wchodził na stopnie świątyni, Malahuda więc, nie odpowiadając już nawet na straszliwą obelgę zakonnika, usunął go jeno dłonią sprzed siebie i stanął twarzą w twarz wobec dziwnego przybysza.

Marek, stojąc o kilka stopni poniżej, patrzył na starca z dobrym, jasnym uśmiechem i wyciągał dłoń na powitanie. On jednakże uśmiechem nie odpowiedział ani dłoni nie wyciągnął, nie skłonił nawet głowy, choć wszyscy dokoła na twarz w powitalnym upadli pokłonie.

Patrzył przez chwil kilka prosto w oczy przybyłemu, aż odezwał się wreszcie:

— Witam cię, panie, ktokolwiek jesteś, ponieważ cię tutaj powszechna wola ludu przywiodła...

— Sam przybyłem, z własnej woli jedynie — odparł Marek, poważniejąc.

Malahuda skłonił z lekka głowę.

— Dla mnie przyprowadza cię wola ludu, który od siedmiu setek lat czekał na Zwycięzcę i ciebie nim dzisiaj mianuje.

— Nie jestem jeszcze „Zwycięzcą”, ale chciałbym się nim stać, widząc, co się tu z wami dzieje...

— Jesteś nim, o panie! — wtrącił Elem — jesteś nim, odkąd noga twoja na Księżycu stanęła!

Malahuda zmarszczył z lekka brwi i nie zważając na słowa współzawodnika, mówił dalej:

— Musisz być Zwycięzcą, panie, kiedy tutaj przyszedłeś i wyrucasz wszystko, co było dotychczas...

Marek chciał odpowiedzieć, ale stary arcykapłan wznosił rękę, jakby nakazując milczenie.

— Nie wiem, skąd przybyłeś, ani jak, ani po co — prawil — ale widzę, że większy od nas jesteś i snadź potężniejszy; pełnij więc, jeżeli chcesz, to, czemu myśmy nie podolali... A jeżeli rzeczywiście z Ziemi przybyłeś i jeżeli to prawda, że przed wiekami podobny tobie człowiek ludzkie pokolenie tutaj przesiedlił — z tej gwiazdy wielkiej, gdzie podobno lepiej ludziom było, to wiedz, że obowiązkiem jest twoim odkupić dzisiaj tę winę straszliwą tamtego i od nędz nas zbawić, na które od wieków jesteśmy skazani... Dotychczas podtrzymywała nas nadzieja, że przyjdzie Zwycięzca; w tej oto świątyni, przed której progiem cię witam, ja lud codziennie tym słowem krzepilem — pamiętaj, że od dzisiaj, kiedy ty przyszedłeś, nie ma już nadziei, a więc musi być jawa!

Nie wszyscy w tłumie mogli przemowę Malahudy dosłyszeć, ci jednak, którzy ją słyszeli, poczynali już głośno szemrać na niezrozumiałe i wprost kacerskie słowa, jakie z ust świętobliwego arcykapłana padały, ale on nie zważał na to. Zdania, które wczoraj jeszcze jemu samemu byłyby się wydawały czymś tak strasznym i potwornym, że pomyśleć by je było trudno, teraz wymawiał jasno i dobitnie wobec ludu, któremu prawil zawsze, iż błogosławić winien Starego Człowieka, który ludzi na Księżyc sprowadził — i wobec tego Zwycięzcy, o którym kazał codziennie, że przyjdzie w glorii, a wszyscy w serc rozradowaniu na twarz, witając go, padną.

— Nie wiem, czy byłeś obiecany — mówił, a głos mu rósł, potężniał i grzmiał w drobnej piersi — nie wiem, czyś ty był obiecany, choć Księgi wszystkie pełne są Obietnicy, ale widzę oto, żeś przybył — i dlatego powiadam ci jeszcze raz: wypełnić musisz to, co sobie tęsknota nasza krwawa wyśniła od wieków, a jeśli nie wypełnisz — zaprawdę, że lepiej byłoby dla nas i dla ciebie, aby noga twoja nie powstała była nigdy na Księżycu, bo będziesz pośród nas przeklęty.

Wśród tłumy zerwały się naraz okrzyki grozy i oburzenia, a nawet przestachu, że potężny Zwycięzca mścić się może na ludzie za bluźnierstwa arcykapłana. Wołano, że Malahuda, jeżeli nie jest dotknięty nagłym szaleństwem, to na śmierć zasłużył tymi słowami, i wzywano Elema, aby wziął po nim kołpak arcykapłański i wiódł Zwycięzcę w progi świątyni. Starzec niewzruszenie tę burzę przeczekał, a gdy na chwilę uciszyła się nieco, rzekł znowu, do Zwycięzcy się zwracając:

— Jestem czterdziestym czwartym i snadź ostatnim już arcykapłanem, rządzącym ludem księżycowym. Wiodłem go, krzepilem i karcilem w potrzebie, jako dziadowie i pradziadowie moi, dopóki tęsknił i czekał. Dzisiaj ten lud powiada, obwołując ciebie, dziwnego przybysza, oczekiwanym Zwycięzcą, że rola i ciężki trud mój są już skończone.

Rad jestem temu, bo sił mi już więcej nie staje — i nie wiem, co bym mógł tutaj jeszcze zrobić... Składam więc dostojęństwo swoje i władzę na progu świątyni i ostatnim arcykapłańskim czynem ogłaszam za rozwiązaną religię dawną, która nas dotychczas krzepiała i utrzymywała. Budujże ty teraz nową swoimi czynami. Bóg widzi, że inaczej nie mogę.

To mówiąc, sięgnął rękoma po ciężki kołpak arcykapłański, aby go zdjąć z siwej głowy...

Marek postąpił szybko naprzód i chwycił go za rękę.

— Nie! — zawołał — pozostań nadal, czym byłeś, i rządz jak dotychczas! Z tego, co mówiłeś, widzę, że możemy być przyjaciółmi, a nawet braćmi...

Malahuda uwolnił z lekka dłoń swą z uścisku Markowego.

— Nie! przyjaciółmi ani braćmi być nie możemy. Z innych gwiazd jesteśmy — i za wiele o tym trzeba by mówić. Z porządku rzeczy mógłbyś albo ty być władzy mojej poddany, albo ja twym sługą. Pierwsze jest niemożliwe, drugiego nie chcę, dopóki nie dowiem się z czynów, ktoś jest. Od dziś dnia nie ma już tego, co było — i ja jestem niepotrzebny.

Zdjął kołpak z głowy i rzucił go na bruk kamienny, rzucił łaskę, pas i łańcuch kosztowny, aż wreszcie zdjął z ramion i płaszcz ze skóry szernów, uszyty ongi w roku zwycięstwa, i chyląc się po raz pierwszy, rozesłał go pod nogi przybysza.

— Przez ten płaszcz — rzekł — ze skór wrogów naszych zdziałany a arcykapłańskie barki od wieków kryjący, droga twoja do świątyni. Pamiętaj, że zdeptać go musisz, aby wniść. Zniszczyłeś religię, zniszcz wrogów naszych, jeśli chcesz, abyśmy cię kiedyś błogosławili.

To powiedziawszy, ze wszystkich oznak dostojęństwa i władzy rozdzielony, w jednej szacie tylko i z odkrytą głową siwą począł schodzić sam ze stopni, prosto w tłum, który teraz, nienawistnych przed chwilą okrzyków niepomny, z mimowolnym szacunkiem przed nim się rozstępował.

Marek milczał, stojąc bez ruchu, choć po odejściu Malahudy wzywały go coraz liczniejsze głosy ludu, aby wszedł do świątyni — choć wzywał go Elem, który podjął był porzuconą czapkę arcykapłańską i na znak nowej władzy nakrył nią łysą czaszkę swoją.

Stał tak przez jakiś czas — cichy i zadumany, ważąc snadź⁴⁷ w myśli to, co usłyszał — aż wreszcie i lud przycichnął dziwnym zachowaniem się jego zaniepokojony.

Wtedy Marek nagle wznosił głowę i krokiem pewnym wstąpił na czarny, koralem szyty i perłami płaszcz ze skóry szerna, rozesłany przez ostatniego arcykapłana dawnej ery pomiędzy nim a złotymi wrotami świątyni.

Tłum, widząc to, wybuchnął radosnym okrzykiem tryumfu i uniesienia; zaczęto się cisnąć znowu do jego nóg, sławiono moc i błogosławiono naprzód jego imię, przyszłymi zwycięstwami głośnie.

Marek wznosił ręce i dawał znak, że chce mówić — ale długi czas upłynął, nim lud, przycichłszy nieco, pozwolił mu dojść do słowa. Zaledwie jednak usta otworzył, stało się zgoła coś niespodziewanego. Oto od strony północy, kędy trójścizytowy zamek szernów się wznosił, buchnęła fala gęstych i czarnych dymów, słońce w mgnieniu oka przysłaniając, a wraz podniósł się krzyk straszliwy trwogi i wściekłości. Słyszać też było szczeł i nawoływania z nagła powstającej walki; tłum zakotłował się i ruszył — jedni cisnęli się ku Zwycięzcy, pomocy jego wzywając, inni zaś biegli, krzycząc, ku domostwom swoim zagrożonym.

Oto szernowie pod wodzą Awija wypadli byli z cytadeli i przełamawszy nagłym natarciem łańcuch arcykapłańskich straży, wpadli do osady, szerząc przestach, mord i pożogę. Marek, podniósłszy głowę, dojrzał z dala ich czarne postacie, jak wznosiły się ciężko na skrzydłach szerokich ponad tłum, miotając weń z góry pociski i żagwie płonące...

IV

Ihezał, przytulona do stóp alabastrowej kolumny, nie mogła wyrozumieć słów, którymi Malahuda witał Zwycięzcę, ale słyszała dźwięk jego głosu i pojęła, że mówił rzeczy ważne i uroczyste. Z ukrycia swego patrzyła przez cały czas na dziadka, na płaszcz jego czarny i wysoki kołpak arcykapłański, które jej zasłaniały poniżej stojącego przybysza

⁴⁷ *snadź* (daw.) — widocznie, zapewne, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

z dalekiej gwiazdy. Złorzeczyła w duchu temu szerokiemu płaszczowi i powitaniu, w nieskończoność się przeciągającym, drżąc z niecierpliwości, aby ujrzeć co prędzej twarz tego oczekiwanego, a nie śmiała w dziwnym jakimś lęku wyjść z kryjówki lub chociażby ruszyć się z miejsca. Wyteżała wzrok, jakby przebić chciała nim stojącą między nią a Zwycięzcą postać arcykapłana, gdy on jednakże zrobił ruch, mogący jej widok odsłonić, przymykała mimo woli oczy, przyciskając jednocześnie dłońmi łopotające⁴⁸ w piersi serce...

„Teraz go ujrzę!” — myślała widząc, że Malahuda usuwa się nieco na bok, i zawarła znów szczelnie powieki.

Jakieś wewnętrzne znużenie ogarnęło ją: odwróciła twarz w głąb świątyni i poczęła patrzeć bezmyślnie na złoty znak Przyjścia na przodzie kazalnicy.

Zdawało jej się, że jest jeszcze to, co było...

...Oto arcykapłan Malahuda stoi na kazalnicy i prawi, a ona — dziewczeczka nieletnia, w barwnym tłumie ludu ukryta, słucha tej przedziwnej powieści czy bajki...

„Z dalekiej gwiazdy, świecącej nad pustyniami, przyszli ludzie onego czasu...

I stamtąd przyjdzie, gdy czas się dopełni, Zwycięzca jasny i promienny...

Dzień nastanie wtedy na Księżycu wieczny i szczęście...”

Słońce wpada do świątyni przez kolorowe szyby i drży na ciemnych, malowanych ścianach, drży na głowach zaszuchanego ludu — złote jak ta bajka wyśniona:

„Z dalekiej gwiazdy, świecącej nad pustyniami...”

A jak On będzie wyglądał? Czy oczy jego będą błękitne? czy włos będzie złoty i długi? A gdy usta otworzy, młode i purpurowe, jaki głos z nich wypadnie? co za wezwanie? jakie błogosławieństwo?

Pójdzie przez księżycowe góry i doliny — aż po ostatnie wszystkich krajów końce — od pustyni aż do sinego morza jasny jak słońce, uśmiechniony⁴⁹ jak zorza...

Drgnęła. Wszakże On jest tutaj! o krok — w pobliżu. Gwałtownym ruchem zwróciła się ku drzwiom. Oto dziadek jej zdejmuje złoty kółko z głowy i rzuca na kamienną posadzkę; widzi, jak Elem schylił się po niego skwapliwie, nie wiedząc dlaczego śledzi pilnie ruchy jego białych rąk, goniących po schodach toczącą się czapkę... A potem...

Usłyszała krzyk i przelękała się, spostrzegłszy, że jest jej własny. Na skórę szerna rozpostartą, na stopień najwyższy wstąpił i uderzył ją w oczy nadludzkim swoim zjawiskiem.

— On, on!... — szeptała, nie mogąc wzroku oderwać od tej olbrzymiej, jasnej postaci, górującej tak ponad tłumem księżycowym, jak wyniosły krater *Otamora* góruje nad okolicznymi wzgórzami. Lęk, miotający nią jeszcze przed chwilą, zniknął nagle — czuła tylko jakieś straszne i rozkoszne razem unicestwienie i spokój, spokój nagłą cichą falą skądś spływający...

— Tak. To On — mówiło w niej coś z głębokim i dziwnie pewnym przeświadczeniem.

— Przyszedeł.

Wobec tego wydało jej się wszystko inne mało ważnym i nic nie znaczącym. Patrzyła z jakimś obojętnym uśmiechem na Malahudę, zstępującego z odkrytą głową ze stopni, na Elema w arcykapłańską czapkę ubranego, na tłum cisnący się około nóg Zwycięzcy.

— Około Jego nóg...

I uśmiechała się jeszcze, chociaż nagła burza powstającej walki u bram miasta zwiła w mgnieniu oka tłum ze stopni świątyni — uśmiechała się, patrząc, jak Zwycięzca biegł, niby młody jasny bóg, w stronę dymów i strzelających z nich ogni, nawołując mężów i zbrojnych, cofających się w pierwszej chwili pod natarciem. Kiedy jej znikł z oczu, patrzyła jeszcze za nim zaczarowanymi źrenicami z tym samym spokojnym uśmiechem na ustach.

Do świątyni zaczęły wpadać tłumnie kobiety, szukając tutaj wedle zwyczaju schronienia przed niebezpieczeństwem. Biegły z krzykiem i narzekaniem, niektóre w lęku okropnym, obłąkane wprost z przerażenia. Ostro zapach dymu i spalenizny wpadał za nimi przez drzwi rozwarte.

Ihezał — nieruchoma — patrzyła na nie ze zdumieniem, jakby nie rozumiejąc, co krzyczą i czego się boją, kiedy On jest pośród ludu...

On!...

⁴⁸łopotający — dziś: łopoczący. [przypis edytorski]

⁴⁹uśmiechniony — dziś: uśmiechnięty. [przypis edytorski]

Jedna, widząc wnuczkę starego kapłana tak we drzwiach stojącą, szarpnęła ją za rękaw szeroki, mówiąc coś szybko i popędliwie, czego ona zgoła nie rozumiała. Inne wołały ją także, ciągnąc w mroczną głąb świątyni, ale ona uwolniła się z ich rąk i wyszła owszem przed bramę. Plac był pusty zupełnie; na stopniach leżał stratowany płaszcz ze skóry szерна, porozgniatanych pereł i koralu pełny...

Ihezał podjęła go i narzuciwszy sobie na ramiona, weszła na powrót do świątyni. Kobiety pokryły się w dalszych krużgankach, a częścią⁵⁰ w otwartym dzisiaj skarbcu podziemnym; w wielkiej hali nie było nikogo. Dziewczyna przeszła przez nią, a minąwszy kazalnicę, zwróciła się na lewo, kędy⁵¹ schody kręte, owijające się wężem dookoła filaru, wiodły na szczyt wyniosłego dachu.

Szła z wolna, coraz bliższa malowanego sklepienia — i nie myśląc o niczym innym, uśmiechała się cicho, że jej niknie w dole mozaikowa posadzka, a rosną natomiast coraz bliższe kwiaty i postacie u góry.

Za każdym razem, gdy się znalazła na wysokości któregoś z okien, uderzała na nią zmieszana fala zgiełku, od strony toczącej się walki bijąca, ona jednak nie zwracała na to uwagi, ciesząc się tylko jak dziecko, że jest coraz wyżej i wyżej...

Ocknęła się dopiero stanąwszy na dachu, kiedy wionął jej w oczy rzeźwy wiatr od morza. W pierwszej chwili nie wiedziała prawie, jak się tutaj dostała na tę górującą nad miastem i okolicą wysoczyznę. Spostrzegła teraz dopiero świadomie, że podeptany płaszcz ma na ramionach, i rzuciła go z nagłym obrzydzeniem precz od siebie. Jakiś spazm niespodziewany i gwałtowny ścisnął ją za gardło: powstrzymywała się przemocą, aby nie płakać, chociaż nie wiedziała, o co chce płakać i czemu się od płaczu powstrzymuje...

Morze huczało szeroko, pod blask słońca złote i ruchliwe. Fale, w miarę jak zbliżały się ku brzegowi, dostawały białych grzyw i rzucały się na piasek z głuchym łoskotem, rozlewając się po nim srebrnymi kręgami. Gnał je wicher, powstały kędyś daleko na środku wód, pod leniwie wschodzącym słońcem, hen — poza wyspą, widną z dala, którą nazywano *Cmentarną*, gdyż według podania pochowane tam były szczątki pierwszych ludzi, z Ziemi na Księżyc ze Starym Człowiekiem przybyłych. Ihezał, tyłem o kamienną balustradę dachu oparta, patrzyła na słońce i na wyspę, widoczną stąd jak czarnosina plama na srebrzystej roztoczy⁵².

Dziwny był ten wiatr i ten łoskot morza nieustanny przy jasnym słońcu na pogodnym niebie, które, dość wysoko już wzniesione, lało żar na twarz jej, słonym powiewem wichru smaganą. Wciągała z lubością w pierś ten rzeźwy oddech morza, rozchylając spieczone wargi purpurowe. Pod przymknionymi⁵³ powiekami, w oczach blaskiem oślepych, poczęło jej wszystko mącić się i falować: morze wzburzone i złote, niebo i wyspa ta czarna, zdająca się na grzbietach fal lecieć ku niej przyśpieszonym ruchem...

„Z dalekiej gwiazdy świecącej nad pustyniami przyszli ludzie onego czasu...” — zdźwięczało jej w uszach wspomnieniem.

Nagle odwróciła się. Wszakże On tam jest i walczy! Jak gdyby teraz dopiero zrozumiałwszy nareszcie, po co tutaj wyszła, zerwała się gwałtownie i przebiegła przez platformę ku drugiemu końcowi, skąd widać było miasto i szerokie za nim równiny. Szczęk walki milknął już i dymy opadały z wolna nad przygasającymi zgliszczami.

Szernowie, zwycięzcy w pierwszym ataku, mimo szalone natarcie⁵⁴ zmuszeni byli do sromotnej ucieczki. Przyczynił się do tego przede wszystkim popłoch, który wybuchnął w szeregach oddanych im morców, kiedy zobaczyli walczącego po ludzkiej stronie olbrzymia. W panicznym przestraszu rzucali broń i biegli ukryć się za mur warowny, porzucając panów swych na pastwę losów, niepomni straszliwej i okrutnej kary, jaka ich czeka za to odstępstwo. Własnym siłom pozostawiona garstka szernów walczyła zajadle — nie mogła jednak podołać przewadze. Unosząc się ciężkim i niedołącznym lotem ponad ludzkimi szeregami, razili je z góry ogniem i strzałami, co chwilę jednak któryś z nich upadał, dosiężony straszliwą bronią palną Zwycięzcy lub dobrze wymierzonym kamie-

⁵⁰częścią — dziś w tym znaczeniu: częściowo. [przypis edytorski]

⁵¹kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

⁵²roztocza — rozciągająca się przestrzeń, płaszczyna. [przypis edytorski]

⁵³przymknięty — dziś: przymknięty. [przypis edytorski]

⁵⁴mimo szalone natarcie — dziś, poza niektórymi konstrukcjami (np. mimo wszystko) najczęściej z D.: mimo szalonego natarcia. [przypis edytorski]

niem procarzy. Nie cofali się jednakże mimo strat do ostatniej chwili, aż skrzydła im mdleć poczęły, wydając ich na pastwę rozwścieczonego tłumu.

Ihezał widziała z góry, jak bliżsi warownego zamku krzywym, ociążałym lotem zdążać poczęli nagle ku jego wieżom, padając poza ogrodzeniem od ran i znużenia. Ci jednak, którzy zbyt w głąb ponad ludzką osadę się odbili, nie zdołali już bezpiecznego miejsca dosięgnąć i upadali wśród walczących, na dachy domów lub bruk uliczny, aby znaleźć tu natychmiastową i straszną śmierć z ręki przeważających zwycięzców. Łamano im skrzydła i tłuczono członki kamieniami albo rzucano związanych w żar dopalających się domostw. Żaden jednak z torturowanych nie prosił łaski ani zmiłowania, czy to wiedząc, że prośba byłaby daremna, czy też przez bezgraniczną dla rodu ludzkiego pogardę.

Ihezał obojętnym okiem rzuciła na te — naturalne, jak jej się zdawało — końcowe sceny walki i szukała w tłumie Zwycięzcy. Stał opodal, bój już skończywszy, ale jeszcze ze straszną swą bronią w ręku — czujny i uważny, jak z ruchów poznać było można. Rozglądał się wkoło i dawał głosem i ręką jakieś rozkazy. Dziewczyna słów nie mogła dosłyszeć, ale domyślała się łatwo, że idzie o odcięcie powrotu dwom czy trzem szernom, w zamęcie walki nad osadą zagubionym i pragnącym się teraz dostać do warowni. Jeden z nich, nie mogąc już latać ze znużenia, krył się tylko po dachach, przerzucając się na skrzydłach — gdy go wypłoszono — z trudem z jednego na drugi. Inny usiadł na zrębie muru i czekał spokojnie śmierci z ręki Zwycięzcy, który, spostrzegłszy go właśnie, wymierzył ku niemu broń swą zabójczą. Za trzecim goniono z krzykiem i nawoływaniem.

Ten, widząc, że odwrót ma odcięty, a nie mogąc się na znużonych skrzydłach wznieść dość wysoko, aby od strzał ludzkich być zabezpieczonym, rzucił się w wolną od wojowników stronę, ku świątyni i morzu — i przepadł gdzieś między domami. Spostrzeżono jego ucieczkę, a w obawie, aby osadę okrążywszy, nie dostał się ponad morzem do zamku, zaczęto go szukać pośpiesznie i zapalczywie.

Zwycięzca, ubiwszy drugiego szerna, wziął też udział w pościgu i biegł ku świątyni, rozglądając się wkoło bystrzymi oczyma.

Właśnie na niego patrzyła Ihezał, czekając z mimowolnym pragnieniem, aby spojrział w jej stronę, gdy nagle uderzył ją łomot jak gdyby spadającego tuż za nią ciała. Odwróciła się szybko — i krew jej w żyłach zamarła z przerażenia. O kilka kroków za nią leżał na płaskim kamiennym dachu świątyni ścigany szern. Leżał na pozór bezwładnie — jedno skrzydło zranione i podziurawione w kilku miejscach broczyło żółtawozieloną krwią — na piersiach i nogach miał też szerokie rany od strzał; znać jednak było, że żył: pierś mu dyszała ciężko, a czworo czerwonych i błyszczących oczu wpatrywało się uporczywie w dziewczynę.

Ihezał nie zdołała nawet krzyknąć, zaczarowana tym strasznym wzrokiem. Poznała wielkorządcę Awija po złotych na ramionach i u przegubów stóp obręczach i patrzyła na niego z martwym przerażeniem, z którym łączyła się wzrastająca ciekawość. Potworny i poraniony szern, po raz pierwszy w życiu z bliska widziany, wydał jej się mimo wszystko dziwnie i groźnie pięknym.

Była w nim jakaś moc zła i przewrotność napelniająca trwogą, a wraz i podziwem. Leżał na jednym boku, na złamanym skrzydle — drugie, czarne i lśniące, z granatowymi połyskami, roztoczył szeroko na posadzce. Głowę miał nieco uniesioną i pod słabo fosforyzującym czołem błyszczało czworo okropnych, krwawych oczu...

— Ukryj mnie! — charknął ludzką mową, patrząc wciąż na dziewczynę. W słowach jego nie było prośby, lecz raczej rozkaz nieodparty. Ihezał bezwiednie zbliżyła się o krok ku niemu.

— Ukryj mnie, suko! prędko! — zasyczał znów szern. A ona automatycznym, bezwolnym ruchem zbliżała się wciąż, nie mogąc oczu od płonących źrenic jego oderwać. Naraz, w chwili kiedy już krok ich tylko dzielił, zraniony szern podrzucił się gwałtownie ostatkiem siły i błyskawicznie wysunął spod skrzydeł strasne białe dłonie.

Z nagłym krzykiem grozy skoczyła w tył, unikając zgubnego uścisku. W tym momencie wróciła jej cała przytomność: chwyciła leżący podarty płaszcz arcykapłański i nie spodziewanym ruchem zarzuciła go na głowę wrogowi — a potem, nie mając nic innego pod ręką, zaczęła zdierać z siebie szaty i krępować nimi lepiej spętanego szerna.

Tymczasem biegnący wojownicy ze Zwycięzcą na czele byli już przed bramą świątyni. Usłyszała na schodach łomot ich kroków i głośnie nawoływania. Nie zważając na to, że

jest prawie naga, rzuciła się ku balustradzie i przechylona — z rozpuszczonymi włosami — poczęła krzyczeć:

— Pójdźcie⁵⁵! pójdźcie...

Tchu jej zabrakło; nie zdołała już powiedzieć, że uciekającego wielkorządcę pojmała.

Z jej głosu domyślono się jednak na dole, że szern tam być musi, rzucono się tedy z pośpiechem, aby go ująć.

— Żywcem, żywcem! — wołał Jeret, który wpadł pierwszy. — Zwycięzca kazał brać żywcem!

W mgnieniu oka przywalono Awija kupą zmagających się, ruchliwych ciał. Osłabiony ranami i zaplątany w podartych szatach niewieścich, nie mógł się nawet opierać; biorący go ludzie jednak nie dowierzali tej jego bezwładności, wiedząc o straszliwej broni, jaką szernowie posiadają w swych białych i miękkich dłoniach, które złączone uderzają nieprzyjaciela piorunującym i zabójczym prądem lub — wedle woli — władzę mięśni jego niweczą. Przewalono go tedy na piersi, usiłując ująć każdą dłoń z osobna.

Lewą, spod zranionego skrzydła, szybko wzięto w powrozy, ale do prawej, którą padając przyległ sobą, trudno się było dostać, nie uwalniając go z pęt zarazem. Po krótkiej naradzie Jeret rozkazał czterem co najcięższym chłopom klęknąć na plecach obalonego, a sam z pomocą dwóch jeszcze junaków począł mu wyłamywać zdrowe prawe skrzydło, aby wygrzebać dłoń, ukrytą pod nim i pod piersiami.

Szern, milczący dotychczas pogardliwie, szczechnął z bólu i rzucił się w bok gwałtownie, przewracając gniotących go ludzi, upadł jednakowoż natychmiast, zamroczony potężnym uderzeniem pałki w kark. Teraz wydobyto i drugą rękę i wzięto na powrót.

Jeret kopnął leżącego wciąż twarzą na posadzce.

— Wstawaj, gadzie! — krzyknął.

Awij uniósł głowę i łypnął krwawymi oczyma, ale nie ruszył się z miejsca. Tedy po trzech ludzi chwyciło za każdą linę, do przegubów dłoni twardo przywiązaną, i bacząc, aby rąk nie złączył, pociągnięto go ku przodowi dachu, skąd było widać plac, mrowiem ludu zaległy. Tutaj Jeret kazał mu założyć widły pod pachy i dźwignąwszy tak przerzucić przez kamienną balustradę, że zawisł na linach ponad przyczółkiem świątyni.

Poznano z dołu wielkorządcę i podniesiono ogromny krzyk tryumfu. Nedorostki rzucały kamieniami, które jednak nie dosięgały wysoko zawieszzonego — plwano w tę stronę i miotano nienawistne wyzwiska i szyderstwa. Szern nie jęknął nawet. Rozkrzyżowany w powietrzu na przodzie świątyni, z bezwładnie obwisłymi skrzydłami i wygiętymi w tył rękoma, patrzył tylko czworgiem swoich dzikich oczu w tłum, z niesłychaną nienawiścią i wzdargą.

Na dach świątyni wszedł Zwycięzca z nieodstępnym Elemem.

— Tu jest, tu jest, panie! — wołał nowy arcykapłan, wiedząc go ku przodowi platformy.

Marek wychylił się, a ujrawszy szerna, cofnął się z nagłym wstrętem, tak ten widok był potworny i ohydny zarazem.

— Zdjąć go! — zakrzyknął.

Ludzie, trzymający Awija, ściągnęli go, lubo⁵⁶ niechętnie, nie śmiąc się jednak rozkazowi opierać — i przywiedli na postronkach z rozkrzyżowanymi wciąż rękoma przed Zwycięzcę.

Elemowi zapłonęły oczy.

— Jaką mu śmierć przeznaczasz, panie? — pytał natarczywie, kręcąc się około kolan Markowych. — Można by go upiec na rożnie albo, co lepsza, rybom dać zjeść... Ty nie wiesz, panie, jak się to robi? Drze się na nogach mięso na strzępy, aby ryby przywabić, a potem chowa się po pas w wodę...

— Precz! — syknął Marek przez zęby, a potem rozejrzał się wkoło.

— Kto go ujął? — zapytał.

Zaległo głuche milczenie. Ludzie oglądali się jedni na drugich; ci, którzy później przyszli, wskazywali wcześniej przybyłych, aż wreszcie wszystkie oczy zwróciły się na wtuloną w kąt platformy dziewczynę.

⁵⁵pójdźcie (daw.) — dziś w zdaniu rozkazującym: chodźcie tu. [przypis edytorski]

⁵⁶lubo (daw.) — choć. [przypis edytorski]

— Kto go ujął? — powtórzył Marek.

— Ja.

Wyszła z ciżby i stanęła przed nim. Tak, jak zdarła była⁵⁷ ubranie z siebie, aby szerna nim spowić, stała teraz naga do pasa; od białych bioder tylko spływała jej do stóp lśniąca i faldzista fioletowa szata... Marek spojrział na nią, a ją nagle krwawy oblał rumieniec. Mimowolnym ruchem ściągnęła na pierś rozsypane po barkach włosy, jakby ukryć się w nich pragnąc...

— Ty? — szepnął ze zdumieniem — ty?!

— Wnuczka Malahudy! — szemrano poznawszy ją w tłumie. — Arcykapłana starego ostatnia latorość!

Ona stała tymczasem, patrząc w oczy Zwycięzcy, ze skrępowanym szernem u nóg prawie — i czuła, że pod jego wzrokiem wszystkie siły ją opuszczają. Krew ze zbielanych warg uciekła jej gdzieś do piersi i drgała cklivymi ciarkami w tętnicach; nogi nagle zesłabły⁵⁸ już się uginały... Wysiłła jeszcze wszystką wolę, aby nie upaść...

Naraz uczuła, że ktoś ją obejmuje ramieniem.

— To moja narzeczona — rzekł Jeret, podtrzymując słaniającą się.

Zachnęła się i wyrwała z jego objęć z nagle odzyskaną mocą.

— Nieprawda! — krzyknęła — nieprawda!

I złożony na piersi ręce, wołała szybko, jakby z najcięższego jakiegoś zarzutu chcąc się oczyścić:

— Ty nie słuchaj tego, panie, bo to nieprawda! Może... niegdyś... istotnie... ale teraz...

Zamilkła nagle.

— Teraz? — zapytał Marek, zdumiony tą całą sceną.

— Teraz — dokończyła, drżący głos mimowolnie zniżając — teraz ty jeden panem moim jesteś, Zwycięzco, z dalekiej gwiazdy przybyły, którego imię niech będzie błogosławione po wszystkie wieki wieków!

Mówiąc to, osunęła się na kolana i przypadła czołem do jego stóp, zsypując na nie pochylem głowy płynne i jaśniejące złoto swych włosów.

Tymczasem koło nich szmery jakieś rosły, aż wybuchły nagle burzą zgielkliwych głosów. Marek, który chciał był⁵⁹ właśnie odpowiedzieć klęczącej przed nim dziewczynie, wznosił głowę i pojrzał⁶⁰ dokoła pytającym wzrokiem, nie mogąc ze zmieszanych słów i wykrzyków⁶¹ dobrze wyrozumieć, o co idzie.

— Panie! — ozwał się Elem — lud żąda śmierci Ihezal, wnuczki Malahudy...

Marek uczuł, jak dziewczyna w nagłym lęku przyłgnęła piersią do jego kolan.

— Co? — rzekł — co? Czym zawiniła?

Nikt nie odpowiadał. Nagła cisza zapadła, a wszystkie twarze posępne i milczące partryły z bezlitosnym wyrokiem w oczach na złotowłosą dziewczynę. Marek spojrział na Jereta, który — sam byłego arcykapłana krewny — mienił się być przed chwilą jej narzeczonym. Młody wojownik brwi miał zmarszczone i kąsał usta, nie odzywał się jednak ani słowem protestu.

— Musi umrzeć — wyrzekł wreszcie Elem.

— Musi umrzeć! — krzyknęto naraz ze wszystkich stron.

— Czego wy chcecie od niej? co zawiniła? — powtórzył Marek, kładąc obronnym ruchem dłoń na jej włosach.

— Nic nie zawiniła — rzekł Elem — ale umrzeć musi. Była sam na sam z szernem — tu wskazał charczącego w powrozach Awija — samowtór⁶² z nim była, więc musi umrzeć.

— Ależ ona go ujęła! — krzyknął Marek.

— Tak, lecz czyniąc to, była z nim sama tutaj i dlatego musi umrzeć w piasku zakopana. Takie jest prawo.

— Takie jest prawo! musi umrzeć! — zawołano zewsząd.

Zwycięzca zapłonął nagłym gniewem:

⁵⁷zdarła była — daw. forma czasu zaprzeczonego; dziś: zdarła (wcześniej). [przypis edytorski]

⁵⁸zesłabły — dziś: osłabły. [przypis edytorski]

⁵⁹chciał był — daw. forma czasu zaprzeczonego; dziś: chciał (wcześniej). [przypis edytorski]

⁶⁰pojrzeć (daw.) — dziś: spojrzeć. [przypis edytorski]

⁶¹wykrzyk — dziś: okrzyk. [przypis edytorski]

⁶²samowtór (daw.) — sam z towarzyszeniem; we dwóch (we dwie, we dwoje). [przypis edytorski]

— Pluję na prawa wasze! Ja tu dziś prawa stanowią, odkąd uznaliście mnie panem!
Będzie żyła, bo ja chcę tego!

Elem zgiął się w pokorze.

— Ty możesz wszystko, Zwycięzco, ale nie zechcesz sam chcieć tego, czego my nie chcemy, aby z krwi naszej dzieci szernom się rodziły!

Ihezał zerwała się gwałtownie.

— Ja czysta jestem! — krzyknęła z płonącymi oczyma, twarzą do tłumu zwrócona — słyszycie, czysta! Kto śmie...

Łkanie zdławiło jej dalsze słowa w gardle. Zakryła oczy i padając znów do kolan Markowych, powtórzyła cichym i błagalnym głosem:

— Czysta jestem... Daj na śmierć, Zwycięzco, ale wierz, żem czysta...

Marek schylił się i wziął płaczącą jak dziecko na ręce.

— Jest pod moją opieką! słyszycie? — rzekł. — Nikt jej nie tknie. Ja sam biorę na siebie odpowiedzialność za nią.

Szmer przeszedł między zgromadzonymi, ale nikt nie śmiał się sprzeciwić. Marek zaś dodał jeszcze, zwracając się ku Elemowi:

— A przede mną ty za nią odpowiadasz! Jeśli włos jej z głowy spadnie, to ciebie żywcem w piasku każę zakopać!

Mówił twardym, rozkazującym tonem, do którego przywykł już nadspodziewanie w tym krótkim, wśród księżycowych ludzi spędzonym, czasie.

Elem schylił się w milczeniu.

— A z szernem co każesz zrobić, panie? — zapytał po chwili.

— Będzie żyw tymczasem. Umieścić go w pewnym i dobrym schowaniu. A teraz idźcie stąd wszyscy i zostawcie mnie samym.

Platforma opróżniła się szybko. Awija zwleczono na powrozach krętymi schodami i na rozkaz Elema przykuto z rozkrzyżowanymi rękoma, sznury zastępując łańcuchami, w podziemnym skarbcu świątyni, która odtąd miała być mieszkaniem Zwycięzcy, jako jedyny wzrostowi jego odpowiadający gmach w całej osadzie.

Na dachu pozostała z Markiem tylko Ihezał i ociągający się z odejściem Jeret.

Zwycięzca spojrzął na niego pytająco.

— Panie — rzekł młodzian — ona miała być moją żoną...

— A chciałeś jej śmierci!

— Nie. Nie chciałem ja. Tylko takie jest prawo.

— Było.

— Tym lepiej dla niej, że: było. Jednak i dziś żaden człowiek nie weźmie kobiety skażonej dotknięciem szerna.

Nie wierzysz, że jest czysta?

— Chcę wierzyć i wierzę, kiedy ty to mówisz, Zwycięzco, z gwiazd ku radości oczu naszych zesłany! Ale jeśli tak, prośbę mam do ciebie, ja, który psem twoim jestem i służyć ci będę, jako zechcesz. Nie odbieraj ty mi jej, panie! Ja ją kocham.

Marek zaśmiał się swobodnym, ziemskim swoim śmiechem.

— Nawet dzieckiem będąc, nie bawiłem się lalkami! Cóż bym ja z nią robił?

Ihezał, obojętnie dotychczas słuchająca rozmowy, wzniosła naraz oczy na niego.

Zadrgało w nich jakieś bolesne pytanie, jednakże nie powiedziała nic; zacięła tylko usta i patrzyła na dalekie morze... Marek spojrzął na nią i raz pierwszy przyszło mu na myśl, że jest prawie naga. Sprawilo mu to nieokreśloną przykrość, że Jeret patrzy tak na nią. Zdjął czerwoną szeroką chustkę, którą miał zawiązaną na szyi, i narzucił ją na drobne ramiona dziewczęcia. Nie poruszyła się wcale ani nawet wzrokiem mu nie podziękowała.

— O czym myślisz? — rzekł Zwycięzca nieco opryskliwie, zwracając się ku zapatrzonemu w dziewczynę Jeretowi.

Uśmiechnął się.

— Myślę, panie, że gdyby nie ty, byłbym stracił całe szczęście życia swojego. Bo anibyś śmiał, ani mógł opierać się prawu i ciału Ihezał żarłby już piasek w tej chwili...

Patrzył na dziewczynę płonącymi oczyma, nie śmiejąc się jednak zbliżyć do niej, czy to ze względu na obecność Zwycięzcy, czy też nieruchomą i zadumaną postawą jej powstrzymany.

— A ty — zapytał Marek — ty o czym myślisz teraz?

Wzniosła na niego smutne, ale jasne i spokojne oczy.

— Śni mi się powieść dawna, spisana w księgach ukrytych w skarbcu świątyni... Śni mi się błogosławiona prorokini Ada, która, nie znając męża, służyła niegdyś Staremu Człowiekowi, a kiedy na Ziemię powracał, odprowadziła go aż po krańce *Wielkiej Pustyni* i tam już życia dokonała, patrząc w daleką gwiazdę...

Zwycięzca roześmiał się nieco wymuszenie.

— Ja jestem „Młody Człowiek” — rzekł — i kiedy będę wracał na Ziemię, wezmę cię z sobą... Wezmę was oboje — poprawił się, wskazując na Jereta — tam będziecie szczęśliwi...

Ihezał uśmiechnęła się lekko, nie odwracając już oczu od wielkiego siniego morza.

V

Słońce zaledwie zaczynało się przechylać ku zachodowi, kiedy po zburzeniu zamku szernów lud odprowadzał w tryumfie Zwycięzcę do świątyni, obwołując go jedynym panem globu księżycowego...

Walka była ciężka i długa. Szturm przypuszczano w samo południe, w porze, kiedy codziennie szaleją burze nad wielkim księżycowym morzem — i w mgnieniu oka przełamano obronne mury dziedzińca. Ludzie, którzy dawniej na samą myśl o szernach z zabobonnym lękiem kreślili zbawczy znak Przyjścia na piersi i ustach, teraz — widząc obiecanego Zwycięzcę na czele szeregów — rzucali się w wir boju z zapamiętałością i odwagą niesłychaną. U bram trójszczytowej wieży jednakże spotkali się z oporem, o który mało co nie rozbiło się ich waleczne natarcie. Tym razem nie szernowie to byli, ale morcy, którzy, zbiegłszy sromotnie w pierwszym boju, teraz rozpaczliwie się bronili do ostatniego tchu, wiedząc, co ich czeka w razie pogromu. Każde drzwi trzeba było oddzielnie zdobywać, każdy korytarz i zakręt schodów, niemal stopień każdy.

Morcy, wyparci przeważającą liczbą z jednego stanowiska, cofali się na drugie, wyżej położone, broniąc się wciąż zaciekle. W oguszających grzmotach rozszalałej burzy postępowano w ten sposób z wolna ku szczytowi wieży, ślizgając się we krwi i gubiąc w ciemności wąskich przechodów⁶³, spotęgowanej jeszcze gęstymi na niebie chmurami i deszczem ulewnym.

Zwycięzca nie brał osobiście udziału w walce toczącej się wewnątrz; zbyt wielki wzrostem, aby się w ciasnych krużgankach móc swobodnie poruszać, pozostał na zewnątrz i stamtąd całą bitwą dowodził, bacząc jedynie, aby kto z oblężonych nie uszedł, z zamętu boju skorzystawszy. I to był rzeczywiście zamiar zamkniętych w wieży szernów. Widząc, że strach przed ich imieniem, który dotychczas ludzi z dała trzymał od warowni, znikł bez śladu, a o zwycięstwie już zwątpiwszy, pozostawili morcom obronę dostępu na najwyższe piętra, a sami poczęli się gromadzić na wąskiej platformie między trzema szczytami, czatując już tylko na sposobną chwilę do ucieczki. Spostrzegł ich Marek i z ruchów zrozumiał, że chcą skorzystać z niedołączonych skrzydeł swoich i rzucić się ku morzu ponad głowami napastników, a opanowawszy tam pod słabą strażą ludzką zostawione okręty, ująć bez obawy pościgu do ojczystych swych krajów. Krzyknął więc na Jereta, którego niejako w charakterze adiutanta miał przy boku, aby flotylli w zatoce pilnował, sam zaś zgromadził co najlepszych łuczników koło siebie i z ich pomocą począł razić zjawiających się na dachu szernów. Strzały z cięciw, słabymi napinanych rękoma, rzadko wprawdzie donosiły i małą wyrządzały szkodę, ale za to palna broń Zwycięzcy straszliwe wśród szernów czyniła spustoszenie. Po niejkiej chwili pozostali przy życiu przestali się już nawet jawić na dachu i zwątpiwszy snadź⁶⁴ o możliwości ucieczki za pomocą skrzydeł, szukali tylko wewnątrz murów ocalenia.

Był to jednak moment, kiedy przeredzone szeregi morców z najwyższego piętra wparcie rzuciły się były właśnie w popłochu ku szczytowi, chcąc zająć ostatnie obronne stanowisko u miedzianej kraty, zamykającej wejście na dach. Dwie fale spotkały się na ciemnych schodach — i szernowie, pogromem rozwściczeni, rzucili się z góry na morców, pędząc ich na nowo do śmiertelnej walki. Morcy, z dwóch stron napastowani, wpadli

⁶³przechód — dziś: przejście. [przypis edytorski]

⁶⁴snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

w szal. Strachem i czcią tłumiona nienawiść do pomiatających nimi panów wybuchła nagle z rozkiełzaną potęgą. Nie bacząc, że ludzkie bronie z tyłu śmiercią im grożą, zwrócili się ku górze i natarli gwałtownie na swoich ojców i ciemiężycieli.

Walka była krótka. Szernowie, nie wytrzymaawszy naporu liczniejszej kupy, rzucili się z powrotem na dach, otwierając przejście goniącym za nimi morcom. Tutaj jednak powitał ich znowu zabójczy ogień Zwycięzcy. Oszaleli tedy, straciwszy wszelką nadzieję ratunku, puścili się wszyscy lotem, jak chmara olbrzymich i strasznych sępów, wprost na Marka, chcąc na tym groźnym olbrzymie pomścić przynajmniej śmierć swoją niechybną.

Kilku ich już tylko było, jednak Zwycięzca, z nagłą napadnięty, byłby im uległ niechybnie, gdyby nie zgromadzeni koło kolan jego łucznicy, którzy z niesłychaną zręcznością szyli strzałami rzucających się na niego wrogów. Mimo to otrzymał kilka strasznych uderzeń prądu z ręki napastników, jeden zdążył nawet rzucić mu się na pierś i zduszony potężną dłonią olbrzyma, trupem jeszcze wisiał na nim, uczepiony dziobem i zadzierzstyimi szponami nóg.

Marek, osłabiony i wyczerpany długą walką, osunął się na ziemię, kiedy ze szczytu wieży zabrzmiał okrzyk tryumfu. Ludzie po wymordowaniu morców opanowali zamek w zupełności.

Bronił się jeszcze tylko jeden Nuzar, podręczny niegdyś Awija, z krwawym piętnem na gębie. Wdrapał się on na jeden z trzech ostrych szczytów wieży i stamtąd, zrywając dachówki, raził usiłujących go na próżno dosięgnąć napastników. Ludzie, wewnątrz wieży walczący, nie mieli luków ani proc z sobą, poczęli tedy wołać na pozostałych w dole, aby broń przynieśli, gdy z nagłą wybuchający niespodziewany pożar na dolnych piętrach zmusił ich do cofnięcia się.

Nuzar pozostał sam. Widząc uchodzących zdobywców zsunął się z ostrego stożka i siadł na gzymsie platformy, oczekując spokojnie śmierci. Spozrzegł go z dołu Zwycięzca i począł wołać, aby uchodził przed pożarem, obiecując mu życie i zdrowie. Morzec wahał się przez chwilę, obietnicy snadź⁶⁵ nie dowierzając, gdy jednak Marek powtórzył zapewnienie, wyciągnął pęk lin z ukrycia i uwiązawszy je u balustrady, spuścił się z płonącej baszty w sam środek ludzkiego tłumu. Widząc go zawieszonym w powietrzu, kilku łuczników napięło cięciwy, biorąc go już na cel niechybnym strzałem, ale Marek powstrzymał ich dość wcześnie, nakazawszy szacunek dla swego przyrzeczenia.

— Jest moją własnością ten morzec — wołał — kto go tknie, moją własność naruszy!

Tymczasem on dosiadał już ziemi, ale nie wierzył jeszcze w swe ocalenie, bo nie oddalał się od płonącej baszty, śledząc jeno⁶⁶ nieufnym okiem otaczających go ludzi.

Zbliżył się Elem ku niemu.

— Chodź, psie parszywy, do Zwycięzcy — rzekł.

Morzec mruknął coś, ale ruszył posłuszny za arcykapłanem wśród rozstępujących się z wyrazem wstrętu i nienawiści ludzkich szeregów.

Marek, siedząc wciąż na ziemi, dał mu znak, aby się zbliżył.

— Panie, jest niezwiązany, miej broń w pogotowiu — ostrzegwał Elem.

Jeret, który powrócił był właśnie od okrętów, zaśmiał się.

— Lepiej go związać od razu — rzekł rzucając pętlę, aby pochwycić w nią szyję morca.

Było już jednak za późno. Nuzar, odbiwszy powróż lewą ręką, wyciągnął nóż prawą w zanadrzu dotychczas ukrytą i błyskawicznym ruchem rzucił się na Zwycięzcę, godząc w jego obnażoną szyję.

Zwycięzca uchylił się przed ciosem i pochwycił uzbrojone ramię morca, wznosząc go wysoko ponad głowę. Nuzar chciał się bronić zębami, ale dosięgnął tylko zwisającego rękawa Zwycięzcy i począł kąsać zajadle.

— Śmierć! śmierć! — wołały zewsząd oburzone nienawistne głosy.

— Będzie żyw — rzekł Marek — potrzebny mi on do menażerii... Dajcie jeno powroza.

Morzec zwinął się w potężnym uścisku Markowych dłoni, ale nie jęknął nawet ani się już nie bronił, gdy ten krępował mu ciasno ręce na plecach złożone.

Rzucił koniec sznura Jeretowi.

⁶⁵snadz (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

⁶⁶jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

— Zaprowadź go do skarbcza, tam, kędyście owego szerna przytroczyli. I pilnuj. Gdy kiedyś wracać będę na Ziemię...

Nie dokończył zdania. Zaśmiał się tylko głośno do siebie na myśl, jakie nadzwyczajne przywiezie okazy z sobą.

Tymczasem walka była nieodwołalnie i pomyślnie skończona. Oprócz morca ujętego ani jeden z mieszkańców wieży nie pozostał żyw.

Burza, szalejąca prawie przez cały czas, ustała teraz. W północnej stronie nieba, około wysokiego stożka krateru *Otamora*, kłębiły się jeszcze i przewalały czarne chmury — grzmot stamtąd szedł jeszcze przytłumiony, daleki — ale nad miastem i morzem świeciło już jaskrawe słońce na bladym, księżycowym błękicie...

Marek w weselnym orszaku wracał ku świątyni. Patrzył na to słońce i dziwno mu było, że zaledwie zdążyło wypełznąć od horyzontu po zenit przez ten czas, w którym tak wiele rzeczy się stało... Wszakże o świtaniu zoczył dopiero z dala mury tego miasta — i ranek był, kiedy go na stopniach tej świątyni witano — a oto teraz odprowadza go lud tutaj, jako do domu, i sławi go, zwycięzcę w dwóch krwawych bitwach i samowładnego pana wszystkiej księżycowej krainy.

Takie to było niepojęte i tak nagłe, a tak po prostu się stało, że uśmiechnął się mimo woli ze zdziwieniem, jakby do snu własnego, myśląc o tym wszystkim. Wprawdzie od świtania do tej chwili, po ziemsku licząc, tydzień z górą upłynął, ale tutaj jest pół dnia dopiero — i zdawać by się mogło, że to sen był przedziwny, gdyby nie ten lud, wznoszący wokół okrzyki i zieleń mu pod nogi ścielący, gdyby nie te dymy ciężkie, co się tam w północnej stronie pod czarnymi chmurami włóczą dookoła zwalisk i zgliszczy...

Na schodach świątyni odprowadził tłum do domów. Mimo wyraźne jego życzenie nie chciano się rozchodzić i długo, długo wznoszono jeszcze na cześć jego okrzyki, zbawcą go zowiąc, zwycięzcą, ukochaniem i od wieków oczekiwanym błogosławieństwem księżycowego globu, aż ujęć w końcu musiał do wnętrza przed tymi niekończącymi się uwielbieniami... Nie chciał nawet, aby mu towarzyszył Elem lub ktokolwiek z dodanych mu do służby ludzi.

Odczuwał nieprzewartą potrzebę samotności: chciał wreszcie poza tym gwarem tłoczących się wydarzeń zastanowić się trochę, połapać się, rozważyć. Zdawało mu się, jakby myśli jego samej tchu brakowało — i musi teraz tego tchu zaczerpnąć, jeżeli nie ma pozostać w tyle poza stającymi się bez jego udziału zdarzeniami.

A przy tym znużony był i senny. W przeciągu stu kilkudziesięciu godzin, które upłynęły od świtania, spał bardzo mało, a nie miał natury tych księżycowych karłów, niemal bezsensownie przetrzymujących trzysta pięćdziesięciogodzinny dzień... Ubezładniał go upał południa i miarowy, jednostajny łoskot rozfalowanego jeszcze po burzy morza.

Wszedł do wnętrza świątyni i zamknął kute brązowe drzwi za sobą.

Mrok go ogarnął nagły, barwnymi witrażami okien rozświetlony, i chłód, z podziemnych gdzieś gmachów bijący.

Pusta świątynia wydała mu się czymś wielkim i tajemniczym — jakąś istotą żywą, której naraz serce i treść bytu wydarto; nieledwie olbrzymią maszyną, która w ruchu była przez wieki cała, a teraz nagle stanęła za jego przybyciem. Patrzył na znaki złote i napisy, z dziwnie poplątanych liter złożone, i myślał, że miały one znaczenie, a teraz stały się nieme i głuche, z chwilą gdy on tu wszedł i zapowiedź — może wielką? — którą one głosiły, zwrócił mimo woli na siebie. Lęk go ogarnął niemal zabobonny. Rankiem jeszcze sądził, że on jest — nie wiedząc o tym — tym przyobiecany nędznemu księżycowemu ludowi wybawicielem, a teraz gotów by prawie uwierzyć, że wdarł się w miejsce, które istotnie do kogoś należało, że przywłaszczył sobie lekkomyślnie czyjeś tajemnicze i wielkie prawa — i oto każdy napis zagadkowy i złoty z tych ścian patrzy na niego złowieszczo a groźnie, jak na samozwańca...

Odruchowo chciał biec i zwołać lud, i krzyknąć...

Uśmiechnął się sam do siebie.

— Znużony jestem i senny — rzekł głośno.

A potem przypomniały mu się słowa, niegdyś przed wiekami na Ziemi przez mędrca wielkiego wypowiedziane: „Tak daleko sięga prawo człowieka, pokąd sięga jego moc...”.

— Znużony jestem i senny — powtórzył — i taki niemocny teraz i dlatego w prawo swoje zbawiania tego ludu nie wierzę...

Prawo — zbawiania!...

W głębi pomiędzy dwoma filarami przygotowano mu posłanie, ale nie mógł się jakoś jeszcze odważyć, aby legnąć tu na sen — w tym świętym miejscu.

Zachciało mu się naraz powietrza i przestrzeni. Po krętych, nie dość dla ogromu ciała jego wygodnych schodach wyszedł na dach i rzucił się w pełnym słońcu na kamienną posadzkę platformy.

Przez małą chwilę usiłował myśleć o tym wszystkim, co się tu dzieje, i zdać sobie sprawę z tego, co go to wszystko obchodzi i czemu właściwie tak czynny udział bierze w wydarzeniach, ale myśli rozpiezchły nie chciały go słuchać.

Ciężka senność zawierała mu z wolna powieki. Rozgrzane, od pożaru słonecznego drgające powietrze paliło go w piersi za każdym oddechem, żar głowę ogniem mu obejmował, ale on nie czuł już siły, aby się w cień usunąć...

„Zrobię to za chwilę” — myślał zasypiając, rozleniwieniem znużenia objęty...

Morze uspokoiło się już po burzy i gdy wznosił jeszcze na chwilę ciężkie powieki, lśniło mu w oczy ogromną, blasku i przestrzeni pełną powierzchnią, zlewając się w snem zamroczonej myśli jego z marzennymi obrazami Ziemi.

Zasypiał, gdy naraz zdało mu się, chłód jakiś rozkoszny i wonny wionął mu w twarz — niby ktoś zawołał na niego z cicha po imieniu — zamajaczyły mu włosy złote, na drobną, tak zabawnie drobną i białą pierś dziewczęcą rozsypane — usta drgające, purpurowe...

Chciał sobie jeszcze imię, jakieś imię przypomnieć...

Usnął.

Kiedy się obudził nareszcie po długim i ciężkim śnie, zdawało mu się naprzód, że śpi jeszcze. O kilka kroków przed nim na białej, rozesełanej skórze siedziała Ihezal. Miała na nagim ciele jeno błękitną, rozwartą szatę; włosy jej związane były we dwa ogromne węzły ponad uszama, z wolno spadającymi na pierś końcami, które tworzyły jakby szeroki złoty haft na brzegach rozciętej tuniki. Patrzyła na niego z cichym uśmiechem...

Przez pewien czas nie śmiał się ruszyć, aby nie spłoszyć snadź⁶⁷ tego zjawiska, tak mu się wydało pięknym i słodkim⁶⁸. Uczuł, że nie leży już na kamieniach posadzki, lecz ma pod sobą miękkie i puszyste skóry, nad głową zaś zasłonę w kształcie namiotu, która go chroni od palącego słońca.

— Ihezal!... — wyszeptał mimowolnie.

Uśmiechnęła się znowu.

— Czy spałeś już dosyć, panie?

Nie odpowiadał. Przez chwilę zdawało mu się, że znowu zapada w sen, dziwnie słodki i rozkoszny...

Zerwał się nagle.

— Spałem...?

— Tak, panie. Spałeś dwadzieścia godzin z górą.

Spojrzał na słońce. Stało w tym samym miejscu, jak w chwili, kiedy sen go zmorzył.

„Ach, prawda! — pomyślał — jestem na Księżycu...”

Zwrócił z wolna oczy na dziewczynę.

Spuściła głowę.

— Czuwałam nad tobą prawie przez cały czas, kiedy spałeś, Zwycięzco.

— Jak weszłaś tutaj? — zapytał — drzwi zamknąłem za sobą...

— Ja mieszkam tutaj... — Zostałam w gmachu łączącym się ze świątynią, który dziadek mój, arcykapłan Malahuda, opuścił. Chciałam być w pobliżu, aby ci móc służyć, panie. Ale jeśli każesz, opuszczę te komnaty.

— Zostań. Gdzie dziadek twój?

— Nie ma go. Poszedł na te równiny szerokie, które stąd widzisz, Zwycięzco, a może w te góry tam na północy poza śnieżnym *Otamorem*, albo na morze sine... Nie ma go już, jak nie ma dnia wczorajszego, jak nie ma niczego, co wczoraj jeszcze było: jesteś tylko ty jeden...

Mówiła to śpiewnie, z dziwnym upojeniem w głosie, który zdawał się wzbierać i drzeć, jakby chciał więcej powiedzieć, niż te proste słowa wyrażały.

⁶⁷snadz (daw.) — tu: przecież, wszakże. [przypis edytorski]

⁶⁸wydało się pięknym i słodkim — daw. czas.: być, wydawać się, stawać się itp. wymagały N.; dziś z B.: wydało się piękne i słodkie. [przypis edytorski]

Marek wyciągnął z wolną ręką i położył ją lekko, ostrożnie na filigranowym ramieniu dziewczęcia. Patrzył na nią przez chwilę z jakimś mimowolnym podziwem, aż naraz zapytał:

— Słuchaj! czy ty wierzysz, że ja jestem owym, przez proroków waszych zapowiedzianym Zwycięzcą? Wierzysz naprawdę?

Ihezał spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczyma.

— Ja *wiem* o tym — odrzekła.

— Skąd... skąd wiesz?...

Złożyła ręce na piersi i mówić poczęła żywo:

— Zaledwie przyszedłeś, a już usta wszystkie i wszystkie ręce ciebie błogosławią! Mocny jesteś jak bóg i potrafisz w bitwie być srogim i straszny dla wroga, lecz mówiono mi także, iż pełniłeś już czyny miłosierdzia, które my tu na Księżycu z dawnego imienia zaledwie znamy... I piękny jesteś, panie, tą bujną i młodą mocą swoją, piękniejszy od wszystkiego, co kiedykolwiek oczy moje widziały! Chyba Ziemia jedna, gwiazda przejasna i święta, na którą patrzyłam raz, będąc w *Kraju Biegunowym*, nie jest mniej piękna od ciebie... Ale ty stamtąd właśnie zeszedłeś do nas, z wysoka na ten padół nędzy, bólu⁶⁹ i łez! O jakże jasny jesteś, jak piękny i boski, panie mój jedyny!

— Bądź przy mnie — szepnął Marek — bądź przy mnie... Nie jestem ja taki, jak ci się wydaję, i ta Ziemia nie jest taka jasna, jak stąd wygląda, gdy się poprzez gwiazdy i niebo na nią patrzy; ale ty bądź przy mnie, a wtedy... Chciałbym, odchodząc stąd, dobro zostawić po sobie, abyście mnie mogli wspominać jasnym i błogosławić...

Ihezał patrzyła nań zachwyconymi oczyma, przygarniając się bezwiednie ku jego kolanom. On się uśmiechnął i ukrył jej ręce małą dłoń w swej dłoni.

— Chciałbym, żebyś ty mnie też pamiętała i błogosławiła. Jesteś jak kwiat...

Naraz, zmieniając ton, odsunął dziewczynę od siebie i rzekł zniechęcony, prawie surowo:

— Dlaczego jesteś naga?

Purpurowy rumieniec nagle okrył całe jej ciało, zaróżowił niemal opalowe paznokcie jej dłoni. Szybkim, nerwowym ruchem zebrała fałdy rozwartej tuniki, kryjąc się w niej cała.

— Panie — rzekła — ty się nie gniewaj... Tutaj dziewczęta zawsze tak chodzą po domu... Idąc do ciebie zapomniałam, że w domu swoim już nie jestem... To nie przez brak szacunku...

Zgarniała wciąż jeszcze fałdy sukni, choć szczerlnie już nimi była zakryta, patrząc z lękiem w twarz Zwycięzcy...

A on poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili dopiero ozwał się tonem na pozór obojętnym, który jednak jemu samemu fałszywie zabrzmiał w uchu:

— I czy tak... widują cię... widują was wszyscy?

Ihezał nagle zrozumiała. Rozkoszny, obezwładniający dreszcz przebiegł jej drobne ciało, dłonie zaciśnięte około zgarniętych na piersi fałdów rozwarły się, opadając wzdłuż bioder. Patrzyła mu prosto w oczy.

— Odtąd nie będzie mnie widział nikt — rzekła.

Marek wzruszył ramionami.

— To mi wszystko jedno — rzekł niemal opryskliwie, patrząc w inną stronę. — Jeśli tu taki zwyczaj... Ale, ale! co chciałem mówić? A tak. Gdzie jest twój dziadek? Chciałbym go zobaczyć...

Wnuczka arcykapłana spoważniała.

— Poszedł, panie. Mówiłam ci już. Teraz Elem... Ale gdy każesz, szukać go będą wszędzie...

— Tak, tak. Wydaj polecenie. Chciałbym z nim mówić o wielu rzeczach...

Stała, patrząc mu w oczy śmiało i spokojnie, jakby czując się już jego wyłączną własnością — świętą i nietykalną.

— Wydaj polecenie — powtórzył.

Wyciągnęła dłoń ku niemu:

— Daj mi, panie, znak, że mam prawo wydawać rozkazy w twoim imieniu, a posłę ludzi na poszukiwania.

⁶⁹*bolu* — dziś: bólu. [przypis edytorski]

Marek zawahał się, nie wiedząc, co zrobić, gdy naraz przypomniał mu się dawny, z powieści mu już tylko znany ziemski obyczaj przelewania władzy. Z uśmiechem ściągnął pierścień z palca i podał go oczekującej dziewczynie.

Wzięła go i bez słowa zwróciła się ku schodom, z dachu płaskiego w głąb świątyni wiodącym.

Przeszła przez nawę i bocznymi drzwiami zapuściła się w głąb opuszczonego pałacu arcykapłańskiego...

Gdy po pewnym czasie wyszła stamtąd, miała na sobie strój bogaty: na szczelnie zapiętej fioletowej tunice lekkie futro złociste i sznur krwawych bursztynów prorokini Ady na szyi. Zbliżyła się teraz do miedzianych drzwi świątyni, z zewnątrz zapartych, i odsunąwszy wrzeczadze, rozwarła je na oścież.

Na dziedzińcu czekał lud. Co starsi i godniejsi zgromadzeni byli z Elemem na schodach, czekając cierpliwie przebudzenia się Zwycięzcy, aby ułożyć z nim nowy porządek rzeczy i ład zaprowadzić, przez złożenie władzy najwyższego dostojnika, Malahudy, naruszony. Nieopodal stał Jeret z młodzieżą, snując w zapalczywej głowie plany wojenne: pilno mu było iść ze Zwycięzcą tam, na drugą, tajemniczą stronę *Wielkiego Morza*, aby szernów potwornych, nim się spostrzegą, we własnych ich gniazdach wydusić...

A dalej był lud. Ci, którzy walczyli, i ci, którzy z dala przyglądali się walce, i inni, którzy skargi przed Zwycięzcę chcieli pozanosić, i inni, którzy przyszli z prośbami, i jeszcze inni, których tylko ciekawość niesyta przywiodła, aby ogromnego przybysza z Ziemi oglądać. Stały też na uboczu i kobiety, nieśmiało wobec mężów i władców, ale przeważnie z rozplonionymi oczyma i błogosławieństwem na ustach dla tego, który przybył, aby zmienić to, co było, wiedząc, że cokolwiek będzie nowego, lepszym tylko być może dla nich, dźwigających dotychczas twarde i srogie jarzmo mężowskiego prawa.

Ciągnęło się to mrowie ludzkie, jak okiem można było zasięgnąć, i falowało, szumiąc, prawie morzu z drugiej strony świątyni podobne.

Gdy drzwi świątyni się rozwarły, myślano zrazu, że to Zwycięzca wychodzi, i ogromna fala przyływu przeszła tłum, rzucając nim o stopnie kamienne, niby o brzeg skalisty.

Elem ze starszymi z ludu poruszył się także. Widząc wychodzącą dziewczynę, zapłonął gniewem.

— Jak śmiesz włóczyć się tędy — krzyknął — gdy my na Zwycięzcę czekamy?

Ihezał nie odezwała się ani słowa; wolnym i pewnym krokiem szła ku wyniosłemu miejscu po prawej stronie schodów, skąd zazwyczaj dziedziczni arcykapłani wolę swą ogłaszali ludowi.

Elem chwycił ją za odzież.

— Dokąd idziesz? Bacz lepiej, abys się z arcykapłańskiego gmachu co rychlej wyniosła, gdyż czas już mnie się tam wprowadzić...

Nie odpowiedziała i teraz. Uwolniwszy się jeno stanowczym ruchem od zakonnika, wstąpiła na mównicę i wzniosła ponad głowę rękę z pierścieniem.

— Ludu! — zawołała donośnym głosem — Zwycięzca przysłała wam przeze mnie pokój i pozdrowienie!

— Ściągnijciez tę szaloną! — krzyknął Elem — nie pozwólcie mówić z arcykapłańskiego stolca obwinionej o stosunek z szernem Awijem!

Na dźwięk nienawistnego imienia lud się poruszył: dały się słyszeć pomruki i groźne okrzyki.

Jeret poskoczył ku mównicy:

— Ihezał, zejdz! zejdz, jeśli ci życie mile! Tyś naprawdę szalona!

Zdawała się go nie widzieć. Oczy jej, spokojne i jasne, jakby snem jakimś zaczarowane, błądziły po rozfalowanym morzu głów ludzkich.

— Precz, precz z mównicy! — krzyczano. — Zwycięzca ma tylko prawo przemawiać i Elem, sługa jego wierny!

Ihezał wzniosła znów rękę, w której rozbłysnął słonecznymi promieniami jasny kamień pierścienia.

— Oto znak: pierścień Zwycięzcy, w jego ja mówię imieniu, wnuczka arcykapłana, szerna Awija pogromicielka i jak prorokini Ada, męża nieznaną, sługa tego, czyje

imię niech będzie błogosławione na wieki! On mnie wyrwał z rąk waszych, gdyście mnie niewinnej śmiercią grozili, i przysłał tutaj, ażebym była ustami jego błogosławiącymi.

— Kłamie! — krzyknął Elem — pierścień ukradła! Hej! ludzie! zwlec mi ją tutaj!

Tłum jednakże słów tych już nie słuchał. Szeroki okrzyk na cześć Zwycięzcy uderzył o mury świątyni; poczęto cisnąć się ku dziewczynie i poselstwo jej witać radosnymi słowy. Więc Elem, wystąpiwszy naprzód, uniósł oburącz kołpak arcykapłański i wołał:

— Patrzcie! nad głową moją błyszczy kamień z ręki Starego Człowieka i ja jeden mam prawo w imieniu Zwycięzcy przemawiać, ja, którym go pierwszy powitał i przywiódł!

Na dole poczęły się tworzyć dwa obozy. Niektórzy, widząc arcykapłańską czapkę ze świętym kamieniem na głowie dawnego przełożonego Braci Wyczekujących, stawali po jego stronie i wołali, aby Ihezal ustąpiła, ale ogromna większość zgromadzonych oświadczyła się za nią.

— Kto dał czapkę Elemowi? — pytano. — Wszakże Malahuda złożył ją do stóp Zwycięzcy, a on nie oddał jej nikomu; Elem ją sobie sam przywłaszczył!

Nawet ci, którzy rankiem sami domagali się od Elema, aby wziął kołpak po Malahudzie, krzyczeli teraz głośno, że jest samozwańcem i że Ihezal jedna, z pierścieniem Zwycięzcy przychodząca, ma prawo w jego imieniu przemawiać do ludu. Zapomniano już obelg ciskanych niedawno w twarz staremu arcykapłanowi, gdyż witał dziwnymi słowy ziemskiego przybysza — i żalowano go niemal, że złożył urząd i zniknął. Toteż gdy Ihezal oświadczyła, że Zwycięzca pragnie starca odnaleźć i mieć przy swoim boku, lud podniósł okrzyk radosny i był gotów w pierwszym zapale przebiec cały glob księżycowy, aby go odszukać.

Elem, posłyszawszy to, pobladł. Przez chwilę patrzył na tłum i na zbrojnych, których teraz właściwie, jako arcykapłan, pod swoją miał władzę, ale widocznie obawiał się w ten sposób pod boki Zwycięzcy mocy swej próbować, bo skinął jeno na starszych i wszedł z nimi pośpiesznie do świątyni. Nie znalazłszy tutaj Marka, zwrócił się z nieodstępnym orszakiem ku schodom wiodącym na górę.

Marek, odpawiwszy Ihezal, długim snem jeszcze rozleniwiony, przysiadł był⁷⁰ na kamiennej poręczy od strony morza i patrzył na dalekie, rozsiane po nim wyspy, nie słysząc zgoła kłótni, po drugiej stronie gmachu się toczącej. Był trochę podniecony krótką rozmową i dziwnym zachowaniem się złotowłosej dziewczyny, cieszył się przeto, że mu w tej chwili nikt samotności nie przerywa. Zmarszczył tedy brwi niechętnie, spostrzegłszy wchodzącego Elema i towarzyszących mu starców.

— Czy nie mówiła wam Ihezal — zaczął, uprzedzając powitanie — że chcę zostać sam?

Elem się zatrząsł.

— Panie — rzekł — sądziłszy, żeś to powiedział, aby się uwolnić od natrętnej dziewczyny, która cię nużyła zapewne prośbami, abys jej dziadkowi, co cię dziś rano znieważył, winę raczył darować...

Marek wzruszył ramionami.

— Wy mnie nużycie, przychodząc tutaj bez potrzeby.

— Sprawy ludu czekają, panie...

— Czekamy twoich rozkazów! — odezwali się chórem starcy, pokłon niski wybijając.

— Kto rządził dotychczas?

Zapanowało milczenie. Aż jeden ze starszych ozwał się:

— Malahuda, arcykapłan, ale on...

— Zgubił się. Wiem. Kazałem szukać Malahudy, a gdy go zobaczę, dowiem się od niego o wszystkim i postanowię... Z tego, co mówił, witając mnie, sędzę, że to najrozmniejszy wśród was człowiek.

— Ja jestem arcykapłanem twoim — rzekł Elem.

Marek poczynął się już niecierpliwić.

— A bądź nim sobie, bądź, mój przyjacielu, każę cię wezwać, gdy cię będę potrzebował.

— Kazałeś szukać Malahudy, panie...

— Tak.

⁷⁰przysiadł był — daw. czas zaprzeszy; dziś: przysiadł (wcześniej). [przypis edytorski]

Elem postąpił krokiem⁷¹ bliżej. Głos zadrżał mu tajonym wzburzeniem, nieledwie groźbą, gdy mówił:

— Panie, jam cię pierwszy powitał, jam cię tu przywiódł, ja obiecany Zwycięzcą na globie naszym ogłosił, a teraz...

— A teraz wynoś mi się stąd, pókiś cały! — krzyknął Marek, uderzając nogą o posadzkę, aż się mury świątyni zatrzęsły. — Jam tu jest panem dzisiaj nie przez ciebie, ale przez to, że tak chciałem! Czy zrozumiałeś?!

Elem przestraszony zgiął się w pokorze, lecz w oczach spuszczonej tliła mu się złość jadowita.

— Błogosławiona niech będzie wola twoja, panie — rzekł — my jeno sługami twymi jesteśmy... A jeśli ci się nie w porę przypomnieć ośmielił, to dlatego tylko, że rozkazów twoich łaknie lud, za pasterza i władcę swego cię mający...

Marek się uśmiechnął.

— Nie gniewaj się, arcykapłanie — rzekł, z naciskiem tytuł wymawiając — ale teraz naprawdę przyszedłeś nie w porę. Wołałbym zobaczyć kucharza, który by mnie nakarmił, bo głodny jestem diabelnie... Z wami później pomówię...

Elem odwrócił się w milczeniu i schodził po stopniach posępny, ważąc snadź w myśli jakieś plany czy zamiary...

⁷¹postąpił krokiem — dziś: postąpił o krok. [przypis edytorski]

CZĘŚĆ DRUGA

Wieść o przybyciu Zwycięzcy i strasliwym pogromie szernów rozeszła się szeroko po kraju — i kiedy onego dnia przysła godzina wieczornej modlitwy, obszerny plac przed świątynią nie mógł pomieścić mnóstwa napływających zewsząd tłumów. Oprócz mieszkańców *Ciepłych Stawów* i osad najbliższych i oprócz tych, którzy z orszakiem Marka razem tutaj ściągnęli, przybywały gromady rybaków znad morskiego brzegu i myśliwców, w głębokich zaroślach na stokach rozłożystych *Otamora* zamieszkałych, szli poszukiwacze bursztynu i pereł — rolnicy, mięsiste i jadalne rośliny księżycowe uprawiający — ludzie wpółdzicy, na *Przesmyku* między morzami osiadli, w ustawicznych walkach z morcami do krwawego trudu zaprawieni — i inni, z wiosek kwitnących, przywykli do zbytku i wszelkiej wygody.

Miejscowi kupcy porozkładali kramy na schodach świątyni, zachwalając przybyłym sieci rybackie i sprzęt wszelaki, na który często ze zdumieniem poglądali ludzie prości, z dala przychodzący, nie wiedząc, ku jakiemu by służył użytkowi. Ruch był około kramów ustawiczny. Po bokach placu zaś, pod podcieniami, w południe od żaru słonecznego chroniącymi, tworzyły się grupy ciekawych około kilku Braci Wyczekujących, którzy przybyli na plac pod wieczór i opowiadali już po raz tysięczny może o cudownym przyjsciu Zwycięzcy, co się objawił im pierwszym, jako od wieków było zapowiedziano, a teraz niesie pokój i błogosławieństwo na świat księżycowy. Inni cisnęli się znowu ku żołnierzom arcykapłańskim i zbrojnym Jereta, słuchając z zajęciem i uciechą o przebiegu bitwy, strasliwym pogromem szernów zakończonej. Wznoszono ręce, sławiono wielkość i moc Zwycięzcy i kupowano chętnie, płacąc toczonymi ziarnami bursztynu, skóry pobitych szernów, które zwycięscy żołnierze najwięcej dającemu ofiarowali, aby za uzyskaną cenę nabyć znów upajającego soku z rośliny noja lub rzucić ją jako stawkę w grze z towarzyszami.

Niektórzy szli też ku morzu, gdzie na stopniach wielkiego gmachu rozłożył się kupiec niewiast, sprzedając je stosownie do wieku i urody po dwie do sześć garści bursztynowych ziaren. Sarkano wprawdzie na zbyt wysoką cenę dnia dzisiejszego, ale płacono ją w końcu, gdyż natłok przybyłych był wielki i chętnych dość się znajdowało, którzy chcieli przy sposobności nabyć jasnowłose niewolnice do odległych domostw swoich.

Narzeczka różne krzyżowały się w powietrzu — klątwy, śmiechy i nawoływania; z otwartych na ścieżaj drzwi gospód były w ciepłym wieczornym powietrzu ochocze śpiewy pijących tęgi sok noi, mieszając się z odgłosem hymnów bractw, oczekujących w nabożnym skupieniu ukazania się Zwycięzcy.

Jakoż wyszedł rzeczywiście i stanął — ogromny — przed świątynią o tej właśnie wieczornej godzinie, kiedy od wieków najwyższy arcykapłan zwykł był witać lud pozdrowieniem: „On przyjdzie!”

Gdy go jeno spostrzeżono, przerwano targi, śpiewy i hałasy — i słać poczęto imię jego tysiącem głosów: błogosławiono dzień i godzinę, kiedy przybył na Księżyc, i osobno tę porę, kiedy nogą wstąpił do świątyni, i tę, kiedy szernów, odwiecznych wrogów ludu, mocarną dłonią pogromił.

A on stał wśród niemilkających okrzyków — w miejscu, gdzie zwykle bogato strojni arcykapłani stawali — stał w odzieży pospolitej, z głową odkrytą i w skórzanej jeno bluzie, na piersi rozpiętej, ale taka jasność i moc biła od wyniosłej, młodej postaci jego, że nie tylko ci, którzy go teraz po raz pierwszy widzieli, ale i mieszkańcy *Ciepłych Stawów*, znający go od rana, ku niemu jeno zachwycone zwracali oczy, zapomniawszy zgola o cisnącym się około nóg jego Elemie.

Marek wznosił ręce na znak, że chce mówić. Długa chwila upłynęła, nim uciszyło się na tyle, że mógł się odezwać bez obawy, iż głos jego utonie w zmieszonym gwarze tłumy. W odleglejszych zakątkach placu wadzono się wprawdzie jeszcze i śpiewano, ale bliżej świątyni zbiła się ciżba słuchaczy, oczekujących w nabożnym skupieniu i ciekawości pierwszych słów Zwycięzcy do ludu.

On powiódł jasnym okiem dokoła i odrzucił w tył bujną grzywę znad skroni.

— Bracia — zaczął — przybyłem tutaj z dalekiej gwiazdy, Ziemi, ale braćmi was mianuję, bo i wy przez zapomnianych ojców swoich stamtąd pochodzicie. Nie wiedziałem,

po co przychodzę, a zastałem tutaj trud, który podejmuję... Tak się złożyło, że pierwszej wypadło mi działać, niżli do was przemawiać. I dobrze się stało. Gdybym był mówił z wami jeszcze na początku tego długiego dnia, który oto chyli się ku zachodowi, byłbym wielu rzeczom zaprzeczył, może rozwiął wiele waszych nadziei... ale dzień przeszedł nam na wspólnym krwawym trudzie. Walczyłem z wrogami waszymi i poznałem, jacy są straszni. Poznałem krzywdy wasze i nędzę, której po części sami winni jesteście — ale to cierpienie waszych nie umniejsza. Mówiły mi o tym skargi wasze i te księgi, któreście wy nazwali świętymi... Czytałem je wszystkie, odpoczywając po boju, który i was wiele krwi i życia kosztował. Ale bój jeszcze nieskończony, wiecie o tym sami. Wrogowie wasi są źli i mocni, i trzeba ich zgnieść doszczętnie w ich własnych siedzibach...

Z ksiąg waszych dowiedziałem się także, o czym już i przedtem zasłyszałem, że oczekujecie z rodzinnej gwiazdy waszej, Ziemi, Zwycięzcy, który was wyzwoli. Oto z Ziemi przybyłem i chcę was wyzwolić. Nauczę was wszystkiego, co umiem sam. Sporządzimy broń palną, jakąście w moim ręku widzieli — i ja sam z pomocą dobranych naczelników wyćwiczę szeregi, z którymi pójdziemy za *Wielkie Morze* złamać na zawsze wrogą szernów potęgę...

Z nagłą wybuchające radosne okrzyki przerwały Markowi; poczekał więc nieco, aż się uciszyło, po czym znów podjął:

— Ale to pierwsza dopiero część zadania, które oto wziąłem na siebie. Potem chcę wykorzenić zło, jakie się między wami zagnieżdżyło. Widzę wśród was panów i niewolników, widzę bogatych i nędzarzy, pokrzywdzonych i krzywdzicieli... Widzę prawa okrutne i błędy, i zabobony, srogość z jednej, a z drugiej strony pobłażanie dla tych, którzy sobie umieją kupić bezkarność. Kobiety wasze są uciśnione, a mężowie sądzą, że spełnili swój obowiązek, gdy im głodu cierpieć nie dadzą. I na Ziemi niegdyś tak było, a przeszliśmy przez to, wierzę więc, że i wy z moją pomocą inaczej żyć będziecie.

Znowu okrzyki mu odpowiedziały, ale tym razem nie tak liczne i powszechne jak poprzednio. Owszem, niektórzy z dostojników i kupcy co bogatsi szemrać między sobą poczynali, przełękli nowatorskimi planami ziemskiego przybysza. Nie śmiano jednak przeczyć w głos — mówiono tylko z cicha, że porządek rzeczy na Księżycu jest ustalony i że właściwie nikomu się krzywda nie dzieje, a już bynajmniej nędzom, którzy nic nie tracą, nic i tak nie posiadają. Gorszy jest raczej los władnych i bogatych, bo oprócz trudów znosić muszą jeszcze i obawę, aby dobytów swych lub mocy nie postradali.

Zwycięzca mów tych nie słyszał; odetchnąwszy tedy niewiele, mówił tak dalej:

— A kiedy wszystko będzie już tak, jak być powinno, kiedy wolni już będziecie od wroga, który was gnębił, i wolni od zła, co mieszka między wami — wtedy zostawię was samych, abyście się rządźli, powracając do ojczyzny mojej, widnej stąd na niebiosach — na jasną rodzinną gwiazdę moją... Może kilku z was nawet wezmę z sobą, abyście zobaczyli przestwór wszechświata i gwiazdy nad głową i pod nogami, i Ziemię, z której był początek Księżyca i gdzie był ludziom początek na Księżycu mieszkającym.

Ale nim to nastąpi, nim sami tu zostanieie (bo wszystkich zabrać z sobą nie mogę!), ja panem waszym jestem i słuchać mnie macie we wszystkim, jeżeli chcecie, iżbym się stał dla was naprawdę tym przyobiecany Zwycięzcą, za jakiego dziś mnie już głosicie.

Kazałem szukać człowieka, który mnie witał dziś rano na tych schodach i mówił słowa mądre; chciałem z nim razem prawa nowe dla was stanowić, ale nie znaleziono go dotychczas. Rząd więc tymczasem pozostawiam w ręku Elema, który będzie wolę moją nad wami wykonywał, dopóki nie nauczycie się rządzić sami i własną rozumną wolą, jak ludy ziemskie rządzają się już od wieków. Nad zbrojnymi przekładam dzielnego Jereta, który będzie mi też pomocny w formowaniu szeregów, o których wspominałem. Ażebyście zaś wiedzieli, że w kobiecie cenię zarówno człowieka, nie pogardzając nią, jak wy to czynicie, biorę sobie za przyboczną woli mej głosicielkę Ihezał, wnuczkę zaginionego arcykapłana waszego...

Okrzyki rozległy się znowu a nawoływania. Powtarzano słowa Markowe, tłumacząc je na różne sposoby, rozprawiano o zaginionym arcykapłanie Malahudzie i o nowej władzy Elema, a nade wszystko podawano sobie z ust do ust wiadomość o zamierzonej wyprawie do kraju szernów i dziwiono się temu przedsięwzięciu, jako czemuś niesłychanemu, o czym dotychczas nie śmiałyby nikt nawet zamarzyć...

— W broń palną szeregi swoje uzbroi — powtarzano — w straszliwą broń, którą sam raził szernów uciekających przed oczyma naszymi!

— I zapas piorunów rozda między wojowników! Zdobędziemy bogactwa szernów i wytracimy ich do nogi!

— Tak, tak! Księżyc należy do ludzi. Stary Człowiek oddał go nam w dziedzictwo!

— Niech żyje Zwycięzca! niech żyje! niech żyje!

Sławiono go znowu i wielbiono bez końca.

A on dostojnym ruchem monarszym skinął tłumowi i miał się już cofnąć z łaskawym na ustach uśmiechem, gdy naraz poczuł, że ktoś podniesioną dłonią dotyka jego łokcia...

Stał obok niego człowiek niewielki, o dużej, bujnym włosom porosłej głowie, i patrzył na niego przenikliwie, niemal groźnie, drobnymi, siwymi oczkami.

— Jeśli masz skargę lub prośbę, udaj się z tym do Iheza! — rzekł Marek.

Człowieczek potrząsnął głową na znak przeczenia.

— Z tobą chcę mówić — odezwał się — i spytać cię, dlaczego lud bałamucisz?

— A! co? co?

Marek tak był zdumionym⁷² tym niespodziewanym pytaniem czy zarzutem, że zrazu nie umiał znaleźć właściwej odpowiedzi. Mały człowieczek wytłumaczył sobie snadź⁷³ na swoją korzyść to zakłopotanie olbrzyma, gdyż ściągnął brwi i powtórzył surowo:

— Dlaczego lud bałamucisz? Po co te bajki o Ziemi? Nie będę tutaj rozprawiał przed tłumem, ale jeśli chcesz, pójdz z mną do świątyni i wytłumacz się...

Teraz cała rzecz wydała się Markowi niezmiernie zabawną⁷⁴. Zaciekawiał go ten pewny siebie człowiek.

— Ależ owszem, owszem... Rad będę posłyszeć...

Mówiąc to, pochwycił poważnego malca pod pachę i wszedł z nim do wnętrza.

— A teraz — rzekł, gdy byli już sami — opowiedz mi, mój przyjacielu, jak to ja lud bałamucę?

Mały człowieczek odchrząknął i usiłował przybrać jak najpoważniejszy wyraz twarzy.

— Jestem Roda — rzekł z godnością.

— Bardzo mi przyjemnie.

— Jestem Roda — powtórzył tamten, widząc, że imię jego nie robi na Marku zgoła wrażenia.

— Słyszę! I cóż z tego?

— Arcykapłan Malahuda powinien mnie być kazać ukamienować...

— Na szczęście nie zrobił tego. Nie miałbym teraz przyjemności...

Roda zmarszczył brwi:

— Dajmy pokój żartom. Nie po to chciałem mówić z tobą...

— Bardzo dobrze. Więc: co?

— Całe życie walczyłem przeciw ogłupianiu biednego tłumu tymi kapłańskimi bajkami o ziemskim ludzi pochodzeniu.

— A! więc?

— Wiesz pan równie dobrze jak ja, że Ziemia zgoła nie jest zamieszкана, a przynajmniej na pewno nie ma na niej istot do ludzi podobnych.

Marek słuchał teraz z rzeczywiście i rosnącym wciąż zaciekawieniem.

— Jak to? a ja?

— Pan nigdy na Ziemi nie byłeś — rzekł Roda z głębokim przekonaniem...

— To rzecz dla mnie nowa! — zawołał Marek.

Cień niechęci przemknął po szerokiej twarzy Rody.

— Nie grajmy w chowanę. Wobec mnie to niepotrzebne. Przecież ja wiem.

— Więc ludzie, powiadasz pan, zawsze mieszkali na Księżycu? tutaj, tutaj zawsze mieszkali?!

— Nie. Tutaj nie mieszkali. Przywiódł ich tu, nie wiem dla jakich celów, mąż w legendzie Starym Człowiekiem nazwany.

— Przywiódł ich? skąd?

⁷²był zdumionym — dziś z B.: był zdumiony. [przypis edytorski]

⁷³snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

⁷⁴wydała się (...) zabawną — dziś z B.: wydała się zabawna. [przypis edytorski]

— Skąd pan teraz przybywasz — odparł Roda patrząc, bystro w oczy Zwycięzcy.

— A skądże ja przybywam, jeśli łaska?

Roda nie odpowiedział natychmiast. Siedząc na stole, obok którego zajął miejsce Marek, wsparł dłoń na kolanach i nachylił się nieco, patrząc wciąż w oczy Markowi, jakby z góry chciał zbadać wrażenie, jakie słowa jego wywrą. Po chwili dopiero rzekł powoli i dobitnie:

— Przybywasz pan... z tamtej strony.

— Nie rozumiem — rzekł Marek zupełnie szczerze.

Roda skrzywił się znowu z niechęcią.

— Widzę, że nie chcesz pan być ze mną szczerym — rzekł — ale mniejsza o to. Na dowód, jak dokładnie znam prawdę, opowiem panu to wszystko, o czym sam zresztą wiesz najlepiej, a wtedy może zdołamy się porozumieć, gdy pan zobaczysz, jak te bajki chybają celu wobec mnie.

— Więc skąd ja przybywam? — powtórzył Marek z lekką niecierpliwością.

Roda uśmiechnął się z odcieniem pewnej siebie wyższości.

— Zacznijmy od początku — rzekł. — Legenda, przez kapłanów podtrzymywana, głosi, że ludzie przybyli na Księżyc z Ziemi. Otóż ja utrzymuję po pierwsze: że Ziemia nie może być zamieszкана, po wtóre: że gdyby nawet była zamieszкана, to istoty tam żyjące nie byłyby do ludzi podobne, a po trzecie: że chociażby były do ludzi podobne, to nie mogłyby się nigdy dostać na Księżyc. I udowodnię panu...

Marek się uśmiechnął.

— Mój drogi panie Roda, przed kilku tysiącami lat żył na Ziemi mędrzec, który utrzymywał naprzód, że nic nie istnieje, następnie, że nawet gdyby coś istniało, człowiek o tym nie mógłby wiedzieć, a wreszcie, że choćby wiedział, nie mógłby tego komuś drugiemu udzielić. Był on płatnym nauczycielem wiedzy o wszystkich rzeczach...

— Cóż to ma za związek?...

— Niewielki. W każdym razie zabawne to dla mnie, z Ziemi przybyłego, gdy pan tak mówisz, którego ojcowie również z Ziemi tutaj przybyli.

— Choćbyś pan rzeczywiście z Ziemi przybył, to i tak ja miałbym słusność. Ale to jest wykluczone. Posłuchaj pan tylko. Ziemia, znacznie większa od Księżyca, jest też cięższa od niego i przeto przedmioty ważą tam więcej...

— Skąd pan masz takie wiadomości? — przerwał zdumiony Marek.

— Niestety! Wyznać to muszę: od was.

— Jak to?

— Rzecz prosta. Pański ziomek, który przed wiekami ludzi z „tamtej strony” przywiódł na tę, znany w legendzie pod mianem Starego Człowieka, miał z sobą księgi... Zazdrosny był o swoją wiedzę, jak wy wszyscy (widzę to, mówiąc z panem), tedy wracając na „tamtą stronę”, spalił księgi razem ze swym domem; coś niecoś jednak zdołano uratować... Ale to nie jest w przechowaniu arcykapłanów, o nie! Oni tylko księgi z płonnymi bajkami chowali! Tego skarbu, zawiści waszej wydartego, strzeże od wieków mój ród i stąd ja wiem niejedno.

— Tak, rozumiem. Z ksiąg na Ziemi spisanych czerpiesz pan dowody, że Ziemia nie jest zamieszкана. Bardzo słusznie.

— Mniejsza o to, skąd je czerpię. Ale to pewna⁷⁵, że je mam, i to niezbite. Mówisz pan, że ludzie na Ziemi są pańskiego wzrostu i postawy? Mój łaskawco! olbrzym taki, ważąc sześć razy więcej, mimo najsilniejszych mięśni nie mógłby się tam nawet poruszać! Samo ciśnienie gęstego powietrza tamtejszego piersi by mu zgmiotło. Cha, cha, cha! chciałbym widzieć, jak byś pan na Ziemi wyglądał!

Mówiąc to, zacierał ręce z zadowoleniem i śmiał się chytrze, patrząc w oczy Markowi.

— A przy tym — rzekł po chwili — te krótkie tamtejsze dni i noce nie mogą sprzyjać rozwojowi życia; roślinność, nim by miała czas w słońcu się rozwinąć, już by ginąć musiała w nocnym cieniu... Zresztą — czy pan wie, co znaczą te białe plamy pokrywające przez kilka dni naszych niektóre okolice Ziemi? czy pan wie?

— Chcę pańskie zdanie usłyszeć — rzekł Marek.

⁷⁵to pewna (daw.) — dziś: to pewne. [przypis edytorski]

— To śnieg! — wykrzyknął Roda tryumfalnie — śnieg, świadczący, że trwa tam zima i we dnie także, a przez czas tak długi, iż żadne żywe stworzenie znieść by tego nie zdołało!

— Prawie zaczynam wierzyć, że Ziemia jest niezamieszкана... Dziwno mi jeno wobec tego, skąd ja przybyłem doprawdy!

Roda przyjrzał się uważnie Markowi.

— Więc mimo wszystko nie chcesz się pan przyznać?... Dobrze. Mógłbym przytoczyć jeszcze mnóstwo dowodów, że na Ziemi ludzie nie żyją ani żyć nie mogą, ale to, jak widzę, nie wiecie do celu. Opowiem więc panu wprost, skąd przyszedł ów „Stary Człowiek” i skąd pan przychodzisz...

— Czekam na to.

Roda z obszernej teki, którą miał przy sobie, wyciągnął mapę i rozłożył ją przed oczyma Marka.

— Patrz pan!

— Mapa bezpowietrznej półkuli Księżyca — rzekł Marek, rzuciwszy okiem na kartę — mapa przerysowana ze zdjęć fotograficznych, jakie my robimy na Ziemi...

Roda się roześmiał.

— Nie wiem, jakie wy „zdjęcia” robicie na Ziemi, ale to pewne, że z odległości map takich się nie rysuje! Ten, który to skreślił, był tam, na miejscu. Z daleka, z daleka robi się tylko mapy takie!

To mówiąc, rzucił przed oczy Marka urywek zniszczonej karty Europy, wyratowany ongi ze spalonego domu Starego Człowieka.

Teraz Marek zaśmiał się z kolei.

— Ależ mój panie Roda! czyż ta mapa nie jest znacznie dokładniejsza i więcej szczegółowa⁷⁶?

— A właśnie, właśnie. Ażeby tak „dokładną” mapę narysować, trzeba mieć wiele... fantazji i wzór daleko, daleko na niebie! Patrz pan, ile tu pięknych barw, jakie ograniczenia lądów, w rzeczywistości nieistniejące! A te kółka! co znaczą? każde ma nawet swą nazwę specjalną i dowcipną.

Marek wzruszył ramionami.

— Zaczynam przypuszczać naprawdę, że nigdy na Ziemi nie byłem.

— Jeśliś pan dotychczas wierzył, że tam byłeś, to jesteś pan obłąkany — odparł Roda. — Nie przypuszczam tego jednakże — dodał po chwili — Zbyt pan jesteś rozumny... To myśmy tylko mieli uwierzyć!

Zeskoczył ze stołu i chodząc wielkimi krokami, począł mówić szybko i płynnie, jakby powtarzał rzecz wielokrotnie już wygłoszaną.

— Na bezpowietrznej półkuli Księżyca był niegdyś kraj bujny i obfity... Tam w blasku gwiazdy Ziemi mieszkali ludzie, na łąkach zielonych, pod szczytami śniegiem ubielonymi, nad brzegiem błękitnych, falujących mórz... A tutaj, tu, gdzie Ziemi nie widać i cień jest w nocy nieprzenikniony, żyli tylko szernowie, nieśmiejący się nawet zapuszczając w okolice tamtej półkuli — w kraj przez ludzi zajęty... Ludzie tam byli potężni a straszni, a szczęśliwi. Z czasem jednakże dobroczynna gwiazda Ziemia z niewytłumaczonego powodu przestała kraj ten nocami ogrzewać, powietrze uciekło, wyschły morza... A wtedy ludzie...

Urwał i wpatrzył się bystro w Marka przenikliwymi źrenicami.

— Wtedy? — podchwycił Marek.

— Znam waszą tajemnicę — rzekł Roda po chwili milczenia. — Spójrz pan jeno na mapę, ona was zdradziła! Tamta, ku Ziemi zwrócona strona Księżyca pełna jest szczelin, jam i czeluści. To wejścia do waszego kraju, do państwa waszego, któreście sobie pod powierzchnią pustego gruntu założyli! Tam — w jaskiniach sztucznie oświetlonych żyjecie sobie do dziś dnia szczęśliwi, w dobrobycie i zbytku... Macie miasta podziemne, łąki i podziemne morza... Strzeżecie zazdrośnie swego istnienia w obawie szernów, a może i nas, wydziedziczonych!

Twarz ściągnęła mu się namiętną nienawiścią, zęby zabłysły spod rozchylonych kurczowo warg.

⁷⁶więcej szczegółowy — dziś: bardziej szczegółowy. [przypis edytorski]

— Przeklęty niech będzie Stary Człowiek! przeklęty, ktokolwiek nas wywiódł tu na tę nędzę! Ale my się tam dostaniemy z powrotem! wcześniej czy później dostaniemy się!... Słabi jesteśmy, to prawda, ale nas jest więcej — z pewnością! Bo was przecie wielu w tych jaskiniach być nie może...

Marek położył mu rękę z wolna na ramieniu.

— Panie Roda, uspokój się pan — rzekł. — Proszę mi wierzyć, że to wszystko jest tylko tworem pańskiej wyobraźni... Tamta połowa Księżyca jest niezamieszka. Ludzie żyją na Ziemi... A czy to nie było zbrodnią tutaj ród ludzki przeszczepiać, to już rzecz inna... Stało się.

— Tak, tak, stało się! Ażeby to się zaś odstać nie mogło, żebyśmy nie powrócili do was, pan przychodzisz tutaj i opowiadasz nam odwieczną bajkę o Ziemi! Tak! tam na błękit patrzeć mamy, na gwiazdę daleką, byle tylko od Księżyca wzrok odwieść, byle tylko na nim nie szukać dobra nam należącego!

A może — ciągnął dalej — może już i wam szernowie zaczęli się dawać we znaki? Odkryli może przejścia wasze tajemne, nachodzą was i gnębią? Co? czy tak? I pana tu wysłano, przypominano sobie o nas, marnych potomkach wygnańca czy zbrodniarza jakiegoś, którego czcić nam każą kapłani — i my teraz pod bohaterskim pańskim przewodnictwem mamy walczyć i szernów w ich kraju własnym na waszą korzyść pokonywać! Wszakże pan głosisz wyprawę!...

Dusił się prawie słowami, wyrzucając je zapamiętałe z nienawiścią i gorzkim szyderstwem w błyszczących oczach. Nadaremnie Marek usiłował mu przerwać. Zacietrzewiony mędrzec nie słuchał go wcale. Na wszystkie przedstawienia machał tylko rękoma, pewny, że zna prawdę istotną i niewątpliwą, którą wydrzeć mu usiłują.

Wreszcie Marek zniecierpliwił się.

— Więc czego pan ostatecznie chcesz ode mnie? — zakrzyknął.

— Chcę, abyś pan ludu nie bałamucił, i tak już dostatecznie kapłańskimi bajkami ogłupionego! — odparł Roda stanowczo. — Chcę, abyś pan nie prawił o Ziemi, nie rozbudzał tęsknot mglistych a nieukojonych! Tutaj zbyt twarde i ciężkie mamy zadania, aby wolno było dla igraszki zwracać oczy nasze ku błękitom i prawić nam o śmiesznej niby-ojczyźnie, kędy nigdy noga nasza nie postoi. Tego żądam od pana. A gdybym jeszcze w pańską dobrą wolę mógł uwierzyć, żądałbym, abyś nam wskazał drogę do kraju, gdzie wy mieszkacie...

— A jeśli pańskich żądań nie spełnię?

— Wtedy między nami walka na śmierć i na życie.

— Choćbym wam dopomógł szernów zwyciężyć?

— Tak. Choćbyś nam pan dopomógł szernów zwyciężyć, bo baśniami swymi więcej nam krzywdy zrobisz na przyszłość, niżby mogli zrobić szernowie...

Marek powstał i zagórował nagle ogromnym wzrostem nad nikłą postacią swego przeciwnika. Ten odruchowo cofnął się o krok, ale nie chcąc okazać mimowolnego przestraszenia, jaki go ogarnął, zmarszczył brwi i rzekł twardo:

— Czekam pańskiej odpowiedzi.

— Mój panie Roda — odezwał się teraz Marek — mogę panu przyrzec uroczyście, że bajek ludowi prawić nie będę, ale niemniej stanowczo oświadczam panu, że nie przestanę mu przypominać, iż z Ziemi przybyli tutaj jego przodkowie i tam, na niebie, jest jego prawdziwa ojczyzna. To wzniesć was tylko może i uszlachetnić...

Roda zwrócił się bez słowa ku wyjściu.

— Czekaj pan jeszcze — zawołał Marek za nim. — Żądałeś pan także, aby wam wskazać drogę do kraju, skąd przybywam, i tam was zawieść. Wszystkich, gdy powracać będę, wziąć z sobą nie mogę, ale w wozie moim na sześćcioro ludzi waszej wagi jest miejsce... Czy zechcesz pan odbyć ze mną podróż na Ziemię i przekonać się naocznie, że jest zamieszka?

Roda zatrzymał się, słuchając z uwagą słów Marka.

Przebiegły uśmiech igrał mu około ust.

— Aha! słusznie. Chcesz mnie pan zabrać raczej ze sobą, aby tutaj po pańskim odejściu nikt już nie osłabiał wiary w ziemską bajkę, aby tu zgasło zarzewie...

Przerwał i zamyślił się.

— Więc jak pan tutaj przybyłeś? — zapytał po chwili z nagła.

Marek zakreślił szeroki ruch ręką.

— W pocisku... Możesz go pan zobaczyć w *Kraju Biegunowym*. Tkwi tam we własnym pancerzu...

— I możesz pan powrócić... tak samo?...

— Tak jest. Mogę powrócić. Dość wejść do wnętrza i zaśrubowawszy szczelnie otwór, nacisnąć guzik, rozbijając szybkę, która go zasłania...

— Guzik za szybką? — spytał Roda chciwie.

— Tak. Pocisk, wypchnięty wtedy powietrzem, które sam, spadając, w pancerzu zagęścił, powróci dokładnie na miejsce, skąd był wyrzucony, to jest na Ziemię...

Zwykły chytry uśmiech zjawił się znów na szerokich wargach Rody.

— Przypuśćmy, że nie na Ziemię, tylko do któregoś z otworów stanowiących wejście do waszych miast podziemnych na tamtej stronie... Ale mniejsza o to... Chciałem... Mniejsza. Doskonale obmyślana komunikacja, doskonale! Zwłaszcza że w ten sposób powracający poseł nam drogi zdradzić nie może... Jeno...

Urwał nagle i nie słuchając już, co Marek mówił, wyszedł pośpiesznie ze świątyni.

Zwycięzca popatrzył za nim i machnął ręką pogardliwie. Po chwili jednakże niespodziewana chmura zasępiła mu czoło. Zrobił ruch, jakby chciał iść za wychodzącym: przyszło mu na myśl, że trzeba by straż postawić przy wozie w *Kraju Biegunowym*, ale wkrótce znowu roześmiał się sam ze swych obaw.

— Straż mimo wszystko trzeba postawić — szepnął — będzie bezpieczniej.

Zdawało mu się, że w mrocznej głębi między filarami błysła ametystowa tunika złotowłosej Ihezal, i krzyknął na nią głośno, echo mu jednak tylko odpowiedziało. Więc uśmiechnął się znowu do siebie, ale już nie tak swobodnie, jak poprzednio, i zwrócił się w głąb, ku wielkiej kazalnicy z czarnego marmuru i kutym miedzianym drzwiom poza nią. Otworzył je znanym już sobie sposobem i zapaliwszy kaganek, począł schodzić w dół.

Dawny, ukryty skarbiec świątyni był opustoszały. Zamczyste i bogate skrzynie, pełne szat przekosztownych i wszelkiego drogocennego sprzętu, rozkazał nowy arcykapłan poprzemnieść do swego mieszkania po drugiej stronie placu, które zajął był rad nierad, kiedy Zwycięzca polecił zostawić dawny pałac arcykapłański wnuczce Malahudy. W opróżnionym skarbcu leżały jeno księgi, niegdyś święte, zwalone bezładnie na stos obok usuniętego pod ścianę stołu malachitowego. A w głębi, tam gdzie nad płytą z polerowanej lawy błyszczał tajemniczo złoty Znak Przyjścia, poniżej złotego napisu, którego dziwne, odwieczne litery spletały się w słowa wielkiej Obietnicy: ON PRZYJDZIE — z rozkrzyżowanymi w łańcuchach rękoma przykuty był potężny niegdyś wielkorządca, szern Awij, jeniec dziś niemocny, jakby na świadectwo, że czas się dopełnił i przyszedł zaprawdę na Księżyc Zwycięzca... Skrzydła na nim obwisłe, do ściany przygniecione, krwawiły jeszcze mimo opatrunku — krwawiła też szeroka rana na szyi, z której ściekająca po piersi posoka utworzyła kałużę u nóg pokonanego...

Marek uniósł w górę kaganek i oświetlił nim potworną twarz szerna. Ten łypnął krwawymi oczyma i wpatrzył się nienawistnym wzrokiem w zwycięskiego przeciwnika. W pewnej chwili nabrzmiały mu mięśnie w przykutych węzowych ramionach i drgnęły skrzydła przygniecione, ale natychmiast snadz⁷⁷ przypomniał sobie o swej bezmocy⁷⁸, bo nie próbując bezcelowego wysiłku, przymknął powieki i obwisł ciężko na żelaznych pętach. Marek odstał wstecz kilka kroków...

Wiedział on już, że szernowie, którzy z ludźmi się stykali, mowę człowieczą rozumieją, nie mógł się jednak zdobyć dotychczas na przemówienie słowem do tej tak nieludzkiej istoty... Gdy otworzył usta, głos mu w gardle zamierał — i ogarniał go wstręt, z lękiem po prostu graniczący. Raz — w obecności jego — Elem do Awija zagadał; powiedział mu z polecenia Zwycięzcy, aby się nie obawiał tortur ani śmierci, bo będzie w błyszczącym wozie jego wzięty żywcem na Ziemię. Awij w odpowiedzi zacharzał jakieś przekleństwo — i Markowi brzmiał dotychczas w uszach ten głos ohydny i nieprawdopodobny, tym straszniejszy, że ludzki, a wychodzący z gęby potwora, w niczym do człowieka niepodobnego.

⁷⁷snadz (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

⁷⁸bezmoc — dziś: przemoc. [przypis edytorski]

Usiadł na niskim malachitowym stole i postawił obok płonący kaganek. Niepewne, migotliwe światło rozpalalo się w złotych tarczach świętego Znak i zakrywało je znowu ogromnym, ruchliwym cieniem szerna, który za każdym drgnieniem płomienia błędził jak widmo po głądzonej ścianie. Potwór, na pozór martwy, trwał z bezwładnie obwisłymi skrzydłami i spuszczoną głową, a cień wychylał się spoza niego nagłymi rzutami, chwiał się, opadał i znowu wznosił się w górę, gasząc nagle lśniące litery napisu i tarcze Przyjścia złociste. Mimowolny lęk począł Marka ogarniać. Poruszył się, jak gdyby chciał wstać i uciec na światło, gdy naraz spostrzegł, że szern otworzył znów oczy i wpatruje się w niego przenikliwie...

Przemógł się i powstał.

— Czy ci tu krzywdy nie robią? — zapytał dziwnie zmienionym, jakby nie swoim głosem.

Szern przymknął leniwie oczy — i po długiej chwili dopiero odrzucił:

— Odejdź, psie. Nudzisz mnie.

Nagły gniew Marka napadł.

— Milcz, zwierzu! Jestem twoim panem i każę cię obatożyć!

— Każ.

— Ująłem cię.

— Nieprawda. Dziewka mnie przypadkiem ujęła, nie ty, kłocu.

— Wezmę cię z sobą na Ziemię...

Szern zaśmiał się zgrzytliwie.

— Ty sam na Ziemię nie wrócisz. Zdechniesz tutaj.

— Wrócę. Ale pierwszej wytracę szernów do nogi. Wytracę was tak w kraju waszym, jak tutaj wytraciłem. Oprócz ciebie żaden szern tu już nie jest żywy.

Awij otworzył obie pary oczu i przypatrzył się baczniej Markowi.

— Rozkuj mnie i puść — odezwał się po chwili — a pozwolę ci zdrowo wrócić na Ziemię.

Teraz Marek roześmiał się.

— Owszem, rozkuję cię, ale pod warunkiem, że będziesz mi służył za przewodnika do kraju waszego, który chcę zawojować.

Szern nie raczył odpowiedzieć. Odwrócił głowę w przeciwną stronę i począł patrzeć z zajęciem w migotliwy płomień kaganka. Wtedy Marek, przewyciężając wstręt, zbliżył się i dotknął dłonią kosmatej, miękkiej jego piersi.

— Cóż? czy poprowadzisz? — powtórzył.

Awij przeniósł z wolna wzrok na twarz Zwycięzcy, przyglądał mu się spokojnie i długo, a potem warknął:

— Źle zrobiłeś, żeś mnie nie zabił. Teraz ja będę w końcu zwycięzcą, bo ty jesteś głupi. Jak wszyscy ludzie.

— Więc nie powiedzisz?

— Ja powiodę! — odezwał się naraz niespodziewany głos z kąta sklepionej izby.

Marek odwrócił się żywo. Zapomniał był o obecności Nuzara, który, za nogę przykuty, leżał w cieniu na garści barłogu.

— Ty? ty? Czy znasz kraj szernów? — zapytał.

— Tak — odrzekł morzec, powstając. — Tam się urodziłem z ludzkiej branki, którą potem uduszono. A powiodę cię, panie, bo widzę, że jesteś od szernów silniejszy, i wiem, że zwyciężysz.

Awij zwrócił łeb w stronę dawnego sługi swego i wyrzucił z bezbrzezną pogardą jeden tylko wyraz:

— Głupi!

II

— Malahudy nie znaleziono?

Sewin skłonił głowę.

— Nie, Wasza Wysokość, nie znaleziono dotychczas...

Urwał i spojrzal w oczy nowemu arcykapłanowi, jakby chcąc z nich wyczytać istotną myśl tego pytania. Elem wpatrzył się również przez krótką chwilę w swego powiernika.

Potem, spuściwszy oczy, ręką pełną drogocennych pierścieni przesuwając zaczął stosy pism leżących na marmurowym stole. Nie podnosząc wzroku, spytał jakby od niechcienia:

— Może... nie dość pilnie go szukają? Zwycięzca chce...

Na ustach Sewina zaigrał chytry uśmiech.

— Posłowie radzi by spełnić, czego sobie życzy Zwycięzca, a także i Wasza Wysokość, ale są trudności nieprzewidywane. Dawnego arcykapłana widywali wszyscy, ale dziwna, jak mało jest ludzi, którzy go znają dokładnie z oblicza! Między wysłanymi na poszukiwanie nie masz ani jednego, który by mógł go poznać, zwłaszcza jeśli w przebraniu się ukrywa...

Elem odetchnął z ulgą.

— Czy mamy go szukać dalej? — zapytał Sewin po chwili, widząc, że arcykapłan milczy.

— Tak, tak. Niech go szukają...

— Ci sami ludzie, co dotychczas?

— Jeżeli nie można znaleźć innych, którzy by go lepiej znali...

— Stanie się, jak Wasza Wysokość każe.

— Chciałbym jednak wiedzieć, gdzie przebywa — rzekł Elem po chwili.

Sewin spojrzął mu w oczy i skłonił głowę na znak, że zrozumiał.

Arcykapłan wstał i poszedł ku szerokiemu oknu, otwierającemu się na plac przed świątynią. Tu — na obszernej wolnej przestrzeni ćwiczyli się właśnie żołnierze pod wodzą Jereta w używaniu nowej palnej broni, sporządzonej przez zaufanych robotników, którym Zwycięzca powierzył tajemnicę wyrobu tego strasznego narzędzia. Elem nadśluściwał przez jakiś czas łoskotu bijących w tarcze strzałów i krzykliwego głosu komendy, a potem zwrócił się znów do oczekującego w pokorze Sewina.

— Kogo ci ludzie słuchają? — zapytał z nagłą.

— Wasza Wysokość jest władającym arcykapłanem...

Elem przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki.

— Sewin, kogo ci ludzie słuchają? Zwycięzcy czy Jereta?

Sewin wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Więc powinieneś wiedzieć!

— Jak Wasza Wysokość każe. Ale...

— Co chciałeś powiedzieć? mów!

— Nie wiem, jak to Waszej Wysokości rzec... Może lepiej by było, gdyby Zwycięzcy słuchali, a nie Jereta?...

Pan i zausznik⁷⁹ spojrzeli sobie znów w oczy.

— Myślisz, że Jeret?...

— Tak, Wasza Wysokość. Dzisiaj jest jeszcze bezwzględnie Zwycięzcy oddany, ale wzbiera w nim żal z powodu tej dziewczyny i może kiedyś, z czasem...

Elem nie śpieszył się z odpowiedzią. Ważył coś w myśli długo, patrząc przez okno, jak pod uderzeniem kul rozkrusza się mur gruby, za cel strzałom ćwiczących się żołnierzy służący — aż wreszcie rzekł z wolna:

— Mylisz się, Sewin. Jeret jest całą duszą błogosławionemu Zwycięzcy oddany, tak jak i mnie, arcykapłanowi, można więc śmiało pouczać wojowników, że jemu przede wszystkim ślepe winni posłuszeństwo. Zrozumieją to tym łatwiej, że Jereta przecież Zwycięzca sam za wodza im postawił.

Teraz arcykapłan odszedł od okna; przemierzywszy kilkakrotnie wolnym krokiem wielką salę, siadł znów przed marmurowym, różnymi pismami zarzuconym stołem — i pogrążył się w czytaniu.

Sewin nie odchodził. Elem tedy, spostrzegłszy po chwili jego wyczekującą postawę, wznosił na niego pytające oczy.

— Chciałeś czego jeszcze? — rzekł.

— Zapytać chciałem, czy Wasza Wysokość nie każe uwięzić byłego brata naszego, Chomy?

Elem poruszył się żywo.

⁷⁹zausznik — powiernik, człowiek zaufany. [przypis edytorski]

— Ach tak! Choma... Więc co?

— Wiedzieliśmy zawsze, że jest wiekiem dzieciństwa, chociaż nie brak było ludzi, którzy częstokroć posłuch jego słowom dawali... Ale teraz obawiam się, czy szaleństwo jego nie przekroczyło dozwolonej prawem miary...

— Czy słuchają? — zapytał Elem wprost, odrzucając niecierpliwie wszelkie omówienia, jakich zwykle nawet w rozmowie ze swym zausznikiem używał.

— Dotychczas nie bardzo, ale mogą zacząć go słuchać pewnego dnia...

Elem zamyślił się.

— To nieprędko nastąpi! — rzekł po chwili, jakby do siebie.

— Nie wiem. Doniesiono mi właśnie, że Choma zjawił się między rybakami w okolicy *Przesmyku*: tam są ludzie ciemni, dzicy i nieokrzescani...

— Wielu z tych rybaków zaciągnęło się do szeregów Jereta — wtrącił arcykapłan.

— Tak, ale nie wszyscy. Ci, którzy pozostali w domach, słuchają teraz bluźnierstw dzieciinniego starca. Wasza Wysokość wie, co on prawi...

Elem skinął głową w milczeniu.

— Mówi — ciągnął Sewin dalej, utkwivszy oczy w swym zwierzchniku — że Zwycięzca nie jest Zwycięzcą, gdyż nie powstałi umarli na jego przyjęcie, jak w Piśmie było zapowiedziane, a więc my wszyscy Bracia Wyczekujący, którzyśmy wyszli z *Kraju Biegunowego*, jesteśmy wiarołomcami, a nawet ośmiela się Waszą Wysokość...

— Dobrze — przerwał Elem — już dobrze. To nie ma znaczenia. Chomy więzić nie rozkażę. Jest dzieciństwa i nikt rozumny zważać na niego nie będzie. Pilnujcie jeno dobrze, aby został między rybakami. Niechaj nigdzie dalej się nie zapuszcza.

— Jak Wasza Wysokość...

— Ale to mi przypomniało tego mędrka Rodę. Co z nim?

Sewin rzucił głową pogardliwie.

— Ten nie jest niebezpieczny! Zbyt wiele dowodzi i nazbyt chce pouczać. Śmieją się z niego, jak zawsze, jak ongi za czasów Malahudy...

— Czyż nie ma on zwolenników?

— Garść nieliczną, o której nie warto i wspominać! I jeśli Wasza Wysokość zechce przyjąć mą radę...

— Mów!

— Lepiej zostawić go w pokoju. Dopóki się go nie prześladowe, uwierzyć mu mogą tylko ludzie uczeni i poniekąd światli... A taki ruch śmiało można lekceważyć. A lud... Lud chciwy jest żyznych krajów, które szernowie za morzem zamieszkują, ale nie wierzy zgola, aby na *Wielkiej Pustyni* znaleźć się mogło co godnego pożądanego. Dopiero gdyby Wasza Wysokość wydała ostre zarządzenia przeciwko Rodzie lub co gorsza na śmierć go skazała, tłum by się zaczął zastanawiać i przypuszczać, że jednak coś prawdy musiało być w słowach skazanego... Co innego jest ze starym Chomą. On, jako członek zakonu, bezpośrednio nam podlega... i to nie zdziwiłoby nikogo...

Arcykapłan skinął ręką na znak, aby zamilkł.

— Tak, tak. Już dobrze. Namyślę się, co postanowić...

Sewin skłonił się, a widząc, że Elem, zatopiwszy wzrok w rozłożonych papierach, o nic go już więcej nie pyta, wysunął się po cichu z komnaty. Zaledwie jednak drzwi się za nim zawarły, dawny przełożony Braci Wyczekujących zerwał się od stołu i szybkim krokiem chodzić zaczął po izbie. Na czaszce niegdyś golonej włos mu już gęsty porastał; długa i czarna broda odcinała się ostro od lśniącej, żółtej szaty, którą miał na sobie. Stanowcze i dumne usta zaciskały mu się kurczowo — oczy pod ściągniętymi brwiami latały niespokojnie, zwracając się wciąż ku oknu wychodzącemu na plac, gdzie właśnie Zwycięzca ćwiczył swych wojowników.

Przystanął i patrzył. Śledził chciwym okiem każdy zwrot sprawnej gromady, chwycił szybkie ruchy rąk, które wznosiły broń ku twarzy, i po każdym błysku wystrzału wiódł wzrokiem w stronę rozsypującego się pod uderzeniem kul muru.

— To już dzisiaj wieczorem — szepnął do siebie.

Spojrzał na słońce — stało jeszcze wysoko, bardzo wysoko — i nagle niecierpliwie ogarnęła. On, który żyjąc w *Kraju Biegunowym*, przez lata całe nie znał czasu, dni, wschodów ani zachodów, drżał teraz na myśl, że koniec dnia jeszcze daleki, że nie wnet

jeszcze zamarznie lód w wieczornym chłodzie, budując skrzydlatym saniom Zwycięzcy most przez szerokie morze ku tajemniczej krainie szernów. Pilno mu już było, aby wyprawa w drogę wyruszyła. Mówił sobie głośno, że chce jak najrychlejszego pogromu odwiecznych wrogów ludu, ale w głębi duszy czuł, że rad także będzie, kiedy Zwycięzca na bój stąd odejdzie, jemu — arcykapłanowi — niepodzielną i niezamąconą władzę zostawiając.

A kiedy Zwycięzca powróci...

Nie myślał, nie chciał myśleć nic złego. Wierzył niezłomnie, że ten, który przybył, jest przez księgi święte i proroków zapowiedzianym, setki lat przez Braci Wyczekujących wyglądanym Zbawcą — wierzył, że w nim jest czasów dopełnienie i nowy świata księżycowego porządek, ale mimo woli wyobrażał sobie ten porządek nowy jako okres swojej władzy i panowania...

A kiedy Zwycięzca powróci z *Morza Wielkiego*...

Nie myślał jeszcze nic złego. Stawał mu jednak w wyobraźni cudowny, lśniący wóz Zwycięzcy, na powrót w przestrzeń międzygwiazdową ulatujący, ku Ziemi! — której on, arcykapłan, będzie błogosławił, oplakując odejście i dzięki czyniąc zarazem odchodzącemu w glorii Zwycięzcy, co szernów piorunową bronią poraził i nasienie ich na Księżycu wygubił, aby lud mógł żyć bez troski pod rządem niewzruszonym Elema, pierwszego z nowej arcykapłanów rodziny.

A jeśli... Jesliby?...

Nie chciał przypuszczać, aby Zwycięzca zapragnął pozostać na Księżycu i rządy samowolnie nadal sprawować, jemu cię władzy jeno pozostawiając... Żaden prorok nie mówił nigdy, że Zwycięzca na Księżycu pozostanie, i to nie było zgoła dogmatem, w który by wierzyć należało...

Dalej nie myślał już Elem jasno — owszem, powstrzymywał wolą przewidującą wyobraźnię, która mu na przekór majaczyła przed oczyma postaciami niewyraźnymi Chomy, Rody, a nawet Malahudy starego, który słowy bluźnierczymi witał niegdyś na stopniach świątyni radość oczu ludzkich, jasnego i błogosławionego z Ziemi przybysza...

Otrzymał się rychło z tych majaków i przetarł czoło, jakby ostatni ślad mimowolnych myśli chcąc opędzić, ale spojrzawszy mimo to przez okno niespokojnym wzrokiem na Jereta, który właśnie ze Zwycięzcą rozmawiał — i uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc służbistą, ale ponurą postawę młodego wojownika...

Jeret istotnie od owego dnia pierwszego, kiedy to prosił Zwycięzcę na dachu świątyni, aby mu nie zabierał dziewczki ukochanej, wcale się do niego nie odzywał okrom⁸⁰ zamiany koniecznych słów w sprawach wojska i wyprawy. Marek, polubiwszy dzielnego i zapalczywego młodzieńca, odczuwał boleśnie tę niechęć z jego strony, ale na próżno usiłował ją przełamać, próbując z nim czasem rozpocząć żywszą jakąś rozmowę. Jeret na pytania odpowiadał krótko i z szacunkiem, rozkazy spełniał niezwłocznie, ale nie uśmiechnął się nigdy, ani też nigdy nie dał się wyciągnąć na pogawędkę o rzeczach niedotyczących bezpośrednio spraw wojny z szernami.

W końcu Marek dał za wygraną. Przez kilka długich dni księżycowych, z górą pół roku wedle ziemskiej rachuby — żyli obok siebie bliscy, co parę godzin prawie się stykając, zakładali warsztaty dla wyrobu broni palnej, dobierali robotników i ćwiczyli, a potem żołnierzy ćwiczyli znowu razem — i Zwycięzca musiał przyznać po niewoli⁸¹, że trudno by mu było wymarzyć sobie lepszego, inteligentniejszego i bardziej oddanego sprawie pomocnika niż ten człowiek, coraz więcej obcy mu w duszy i coraz dalszy...

Dzisiaj odbywało się już ćwiczenie przed wyprawą ostatnią i Marek, siedząc na stopniach świątyni, przypatrywał się z zadowoleniem zadziwiającej sprawności strzelców, którzy bili kulami w rzucane naczynia z gliny, nigdy prawie nie chybiając, kiedy Jeret niespodzianie stanął przed nim.

— Wszystko jest gotowe, Zwycięzco — rzekł — i jeśli ci się podoba, możemy dzisiaj wyruszyć, skoro jeno lód po zachodzie morze nam zetnie...

— Tak! — odpowiedział Marek, przybierając mimo woli lapidarny ton, jaki Jeret do rozmów ich był wprowadził.

⁸⁰okrom — oprócz, poza. [przypis edytorski]

⁸¹po niewoli — tu: mimo woli. [przypis edytorski]

Dowódca księżycowej młodzieży zwrócił się bez słowa w stronę wybrzeża morskiego, gdzie sanie żaglowe już przygotowane na łód nocny czekały, ale zrobiwszy zaledwie kilka kroków, zatrzymał się nagle...

— Jeret?...

— Zdawało mi się, panie, żeś na mnie zawołał.

— Nie. Nie wołałem cię...

Odwrócił się tedy, aby iść dalej, ale teraz Marek rzeczywiście zawołał na niego.

— Jeret, pójdź⁸², chciałbym z tobą pomówić...

Powstał i szedł naprzeciw chłopaka, który — posłuszny — zatrzymał się w miejscu, oczekując uważnie rozkazu czy zapytania. Ale Zwycięzca nie rozkazywał ani nie pytał, jeno⁸³ zbliżywszy się ku niemu, usiadł na kamieniu, jak to czynić miał we zwyczaju, kiedy rozmawiał z ludźmi księżycowymi tak znacznie niższymi wzrostem od siebie — i ująwszy go za dłoń, patrzył mu długo w oczy jasnym, ale smutnym wzrokiem. Młodzieniec wytrzymał spokojnie to spojrzenie, nie spuszczać źrenic, brwi mu się tylko zbiegły i stwardniały w dwa skurczone łuki, głęboką bruzdą przedzielone...

— Jeret — zaczął Marek po chwili — od kiedy tu jestem między wami, troje tylko ludzi spotkałem, których chciałbym mieć za przyjaciół... Jeden z nich, starzec Malahuda, zginął mi w tej godzinie, kiedym go poznał, a drugi, ty...

Urwał, jakby szukając wyrażenia...

Jeret wznosił szybko oczy i poruszył nieznacznie ustami, a choć nie odezwał się ani słowa, Marek odczuł i zrozumiał ten ruch warg, który mu mówił:

„Ihezal została ci, panie...”

— Właśnie o Ihezal chciałem mówić — rzekł, jakby na głośno wypowiedziane zdanie odpowiadając.

Młody wojownik zachnął się mimo woli.

— Nie ma powodu, panie, abyśmy mówili o tym, co jest w najzupełniejszym porządku.

— Czy tak?

— Tak, Zwycięzco. Ihezal służy ci, jak ci służy i ja, jak wszyscy na Księżycu służyć powinni...

— A jednak masz do mnie żal z tego powodu. Zdaje ci się, że ja ci ją zabrałem.

— Czego żądasz ode mnie, panie?

Pytanie to rzucił tak po prostu i z nagłą, że Marek nie znalazł na nie odpowiedzi. Istotnie: czego żądał, czego chciał od tego chłopaka, któremu, choć mimo woli i wiedzy, bądź co bądź zabrał jedyne ukochanie? Odczuł, że śmieszny jest z tą chęcią zawiązania przyjaznych stosunków z pokrzywdzonym człowiekiem — i złość go ogarnęła na myśl, że się przez to w oczach jego poniża. Ściągnął brwi i chciał już rzucić jakiś rozkaz władczy, krótki i nieodwołalny, który by przeciął ten nastrój fałszywy, oznaczając właściwe obu stanowisko, ale Jeret tymczasem odezwał się głosem dziwnie zmienionym, jakiego on, Zwycięzca, z dawien u niego nie słyszał:

— A żal...? Mógłbym mieć żal jedynie do tego losu i porządku rzeczy, iż dwom panom służyć nie można i kto świętości odda duszę, jest dla życia stracony.

Umilkł — i po chwili dopiero dodał:

— Gdybyś, panie, był jak ja człowiekiem...

— A czymże ja jestem? — rzucił Marek mimowiednie, widząc, że Jeret zdania nie kończy.

Chłopak podniósł na niego jasne i spokojne oczy:

— Jesteś bogiem, Zwycięzco.

I nim Marek, tym po wszystkie wieki najcięższym słowem oszołomiony, zdążył odpowiedzieć i zaprzeczyć, on już był daleko, jak czarna, ruchliwa plama widny na żółtym piasku wybrzeża, w pobliżu sań i ludzi krzątających się około ostatnich przygotowań do wyprawy w głąb straszliwej i nieznannej szernów krainy.

Marek powstał i leniwym krokiem zwrócił się ku ogrodom opadającym stromo od tyłów świątyni ku morskiemu brzegowi. Tutaj — przed wrodzoną nienawiścią księży-

⁸²pójdź — dziś: chodź. [przypis edytorski]

⁸³jeno — tylko. [przypis edytorski]

cowych ludzi ukryty żył Nuzar od dnia owego, kiedy się ofiarował Zwycięzcy powieść zdobywcze zastępy na dziedziń szernów. Ogród słabo był wprawdzie strzeżony; straż, postawiona przy bramach, miała raczej za zadanie bronić przystępu do wnętrza fanatycznym napastnikom, niż pilnować jeńca, który miał zupełną swobodę ruchów. Istotnie morzec mógł być uciec każdej chwili i przesunawszy się morskimi wybrzeżem, które właśnie od tego miejsca ku północy ciągnęło się strome i skaliste, przepaść w gęstych lasach u stóp *Otamora*, gdzie nikt by go już wynaleźć nie zdołał. Jednakże nie próbował nawet ucieczki. Był dwukrotnie świadkiem straszliwego pogromu szernów i kaźni wszechpotężnego niegdyś wielkorządcy Awija; widział w ręku Zwycięzcy piorunującą broń, a rzuciwszy się na niego, miał się sposobność przekonać, jak te ręce są potężne. Odtąd w ciemnym, krwawymi obrazami walki i mordów jeno zajęty umysłem morca dokonała się rozstrzygająca przemiana. Zwycięzca zjawiał się jego oczom jako istota najpotężniejsza, a przeto najwięcej czci i miłości godna na Księżycu. Gdyby bodaj na chwilę zdolny był uwierzyć, że nowy władca jego może umrzeć lub w ogóle być pokonanym, rzuciłby się niewątpliwie powtórnie z nożem na niego — po prostu dlatego tylko, aby mieć w chwili śmierci chwałę przed samym sobą, iż on, morzec Nuzar, pokonał, co było najpotężniejszego — ale nic nie było równie dalekie od jego myśli, jak podobne przypuszczenie...

Toteż z rozkoszą myślał, że służy nieśmiertelnemu i wszechpotężnemu panu, i radował się naprzód w duszy obrazami pogromu ostatecznego szernów, o którym nie wątpił, że będzie straszny, chowając gdzieś na dnie dzikiego serca jeszcze słodką nadzieję, że po wygubieniu skrzydlatych pierwobyłców przyjdzie kolej i na ludzi... Planów nie śmiał robić — było to rzeczą pana — ale był pewny, że będzie to jakieś krwawe polowanie, gdzie on jak pies wierny u nogi Zwycięzcy tropić będzie wszelką żywą istotę, aby z ręki jego ginęła.

Gdy tak myślał, niepokromiona, bałwochwalcza miłość wzbierała w jego sercu ku nowemu panu i drżał z niecierpliwości, aby skrzydlatymi saniami gonić już na południe... Palnej broni w rękę mu nie dano — nie chciałby jej nawet brać, ale łuk sobie naprzód wyprosił tęgi i sam z psiego jelita przyrządził już do niego cięciwę i z trzciny strzał przysposobił lotnych, aby szyc nimi szernów przy boku zwycięskiego pogromcy.

Toteż gdy teraz wszedł do ogrodu Zwycięzca i oznajmił mu, że wyprawa pod wieczór wyruszy, zatrzęsł się cały z radości i wyć począł a skakać, do ogara przed łowami raczej niż do istoty poniekąd ludzkiej podobny.

Marek nakazał mu spokój, zupełnie jak psu, którego się do nogi przyzywa.

— Słuchaj! — rzekł — pozwoliłem ci służyć za przewodnika, chociaż mógłbym się obejść bez ciebie, ale jeśliśby zdradził, skórę każę zedrzeć z ciebie!

Nuzar nie rozumiał po prostu, co znaczy: zdradzić. Przejście, gdy się da, do wroga w razie pogromu uważał za rzecz zupełnie naturalną, od której jedynie nienawiść mogłaby powstrzymać, opuszczenie zaś sprawy zwycięzców za coś niepojętego. Patrzył tedy z tępyim zdumieniem na Marka, usiłując zrozumieć tajemne znaczenie jego słów i dołączonej do nich groźby, aż w końcu uśmiech wykrzywił jego szeroką, ohydny piętrem naznaczoną gębę:

— Zdradzę, jeśli każesz! — rzekł z przekonaniem, sądząc snadź⁸⁴, że Zwycięzca chce mu nakazać posłuszeństwo wobec siebie, choćby wiedział, że miasto⁸⁵ nagrody kaźni go z jego ręki czeka.

Marek roześmiał się mimo woli...

Przeszedł ogród i tylnym wejściem zmierzał do świątyni. W sklepionym korytarzu spotkał Ihezal. Skinął tedy na nią i z nią już razem zeszedł do podziemnej komnaty, kędy przebywał szern Awij, nieodmiennie łańcuchami do ściany przykuty. Marek próbował wielokrotnie nadać mu względną wolność przynajmniej, rozluźniając przykuwające dłonie jego pęta, ale za każdym razem szern korzystał ze swobody ruchów po to jedynie, aby napaść żywiącego go dozorcę lub też rzucić się w niepohamowanej wściekłości na Zwycięzcę. Ataki te były tym niebezpieczniejsze, że przychodziły niespodziewanie i nagle, przez większą część dnia bowiem szern leżał odrętwiały, nie racząc nawet usunąć się, kiedy dozorca kopał go, chcąc w więzieniu zrobić porządek. Przykuto go tedy ciasno na powrót i jeno aby znęcaniu się nad bezsilnym więźniem kres położyć, nie wolno było ni-

⁸⁴snadz (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

⁸⁵miasto (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

komu wchodzić do niego, jak tylko w towarzystwie Marka albo Ihezał, która drugi klucz do lochu posiadała.

W dawnym skarbcu nie zmieniło się nic, od czasu jak go na więzienną celę obrócono — pył jeno gęsty przysiadł stos świętych ksiąg, na podłodze się wałających, i przyciemnił złote na ścianach znaki i napisy... Wiała stąd jakaś pustka rozpaczliwa rzeczy dokonanej już i minionej, lkało po kątach pogwałcenie jakieś i pohańbienie w pośpiesznej przemianie tego wszystkiego, co wczoraj jeszcze było święte...

Marek spostrzegł w blasku pochodni, że Ihezał przybladła nagle... Stojąc na stopniu ostatnim — jak niegdyś owej nocy, gdy dziadka tutaj nad księgami naszła niespodziewanie, wahała się przez chwilę, jak gdyby niepewna, czy ma wejść... Białe ramię, oparte o uszak drzwi, wysunęło się z szerokiego rękawa, pierś wzniosła jej się kurczowo pod lekką lśniącą zasłoną. Przez jeden moment zdawało się, że padnie...

Podchwycił ją szybkim ruchem, w teje jednak chwili spostrzegł okrągłe, czerwone oczy potwora, lśniące w cieniu i na nich wprost zwrócone. Cofnął dłoń wstydliwie i podszedł ku więźniowi.

Krwawe oczy szerna przygasły nagle. Wtulił łeb między okrągłe ramiona, spod których sterczały skrzydła jak dwie płachty czarne, w luźnych fałdach na rogowym szkielecie rozwieszone. Dłonie jeno białe, w żelazo pęt ujęte, lśniły na tym tle, białe, umęczone dłonie, straszliwe przez swą bezwładną nieruchomość...

Marek patrzył na niego długo w milczeniu. Nie umiał sobie zdać sprawy, po co tutaj przyszedł — po co zachodził tu w ogóle — do tej kaźni i do więźnia, którego męka nieuchronna budziła w nim uczucie bolesnej odrazy... A przecież ciągnęła go tutaj jakaś nieprzeparta moc, jakby urok zły, przez dziwnego potwora na niego rzucony. Stokroć powtarzał sobie, kiedy z niesmakiem loch opuszczał, że już tu więcej nie powróci — i wchodził znowu wkrótce, wynajdując sobie blahe pozory albo udając, że chce z szerna wydobyć jakieś wiadomości, z których by mógł skorzystać w zamierzonej wyprawie...

Szern na pytania odpowiadał mu rzadko, a nigdy już nie wypowiedział żadnego słowa, które by dla Zwycięzcy mogło mieć jakieś znaczenie. Czasami nie mówił wcale. I teraz, gdy Marek się do niego odezwał, nie poruszył się nawet, zupełnie jakby nie słyszał rzuconego mu obojętnego pytania. Po pewnym czasie jeno⁸⁶ białe jego fosforyzujące czoło zaszło mętnosiną barwą, przez którą przeświecać poczęły szybko następujące po sobie błyski, całe gamy barw, roztapiające się chwilami w ogólnym, fioletowym tonie...

— Mówi — szepnęła Ihezał, patrząc na szerna szeroko rozwartymi oczyma.

A kolory grały tymczasem coraz silniej na czole potwora, czasami zmienne jak ruchliwa zorza polarna i tak jaskrawe, że sklep cały tęczowym światłem się mienił, a czasem znów przyciszone, leniwie i słodko wzajemnie w siebie się przelewające... Marek, patrząc, miał wrażenie, że śpiewa się przed nim jakiś przedziwny hymn światła i barw, zdolny może wyrazić rzeczy, jakich ludzki głos nigdy nie ogarnie.

Naraz na czole szerna zapłonął blask krwawy, jakby krzyk jakiś ogromny, kilku zimnymi błyskami sinymi przerwany — i zgasł w jednym momencie, jak ogień z nagłą przytłumiony...

Awij rozwarł teraz z wolna przymknione⁸⁷ dotychczas oczy i popatrzył na Marka.

— Po coś ty tutaj przyszedł? — odezwał się głosem — po co w ogóle ludzie przyszedli na Księżyc i niepokoją wyższe od siebie istoty?

Psem jesteś, ale słuchaj, co mówi wiedzący, nim zginiesz marnie za karę, iżeś śmiał rękę podnieść na szerna.

Zło wszelkie idzie z Ziemi i jest ona gwiazdą zbuntowaną i przeklętą, której nie powinni widzieć oczy nasze!

Księżyc był sadem cudnym i mieszkali na nim szernowie w miastach bogatych, nad szumiącymi morzami!

Dawno, dawno temu...

A dni wówczas były krótkie i Ziemia wschodziła i zachodziła na sklepieniu nieba, okrążając Księżyc cały dookoła — i służyła szernom, aby jasno im było w nocy!

⁸⁶jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

⁸⁷przymknione — dziś: przymknięte. [przypis edytorski]

Ale przyszedł czas, że stanęła na niebie gwiazda ona złowieszcza, zbuntowawszy się — i przeklętą stała się kraina, ponad którą się zatrzymała!

Ziemia nienasycona wykradła z niej wodę, wykradła powietrze — i pustynia jest dzisiaj nieprzebyta tam, kędy niegdyś ogród był rozkoszny!

Stoją na pustyni zwaliska gór i trupy rozpadających się miast stoją nad wyschłymi rzekami.

Przeklęta jest Ziemia i przeklęte to wszystko, co ona sprawia, i przeklęty twór wszelki, który stamtąd przychodzi.

Mówił to zwykłym, rzęzącym głosem szernów, ale w sposobie wypowiedzenia i intonacji zdań było coś, co słowom jego nadawało podobieństwo do jakiegoś hymnu czy powtarzanej prastarej klątwy lub modlitwy... Gdy zamilkł, zapadając w poprzednią, nieruchomą obojętność, Marek rzucił się żywo ku niemu:

— Mów, mów jeszcze! Więc niegdyś, na tamtej stronie...? I podanie dotychczas między wami się przechowuje?

Drżał z niecierpliwiej żądz, aby posłyszeć jeszcze nieco z tych słów, tradycją snadź⁸⁸ z pokolenia w pokolenie między szernami przekazywanych, które mu w dziwny sposób odsłaniały rąbek dawnej tajemnicy Księżycy, kiedy to morza były na pustyni i miasta bogate stały nad szumiącymi rzekami... Na próżno jednak nalegał, starając się obietnicami, prośbą czy groźbą dobrać coś więcej z milczącego szerna. Awij raz tylko jeszcze wznosił na Zwycięzcę błyszczące oczy i charknął nienawistnie:

— Wracaj na Ziemię! wracaj na Ziemię, dopóki czas! Myśmy jeden tylko błąd zrobili, pozwalając żyć tu i mnożyć się ludzkiemu pokoleniu! Ale teraz wytracimy was wszystkich, jeśli psami naszymi być nie zechcecie!

Potem wtulił znów głowę między ramiona i obwisł ciężko i nieczule na skuwających mu dłonie łańcuchach.

Marek pomyślał, że w tej chwili on to właśnie ma zamiar wytracenia wszystkich szernów raczej, ale nie powiedział już tego... Owszem, przez pewien czas wahał się, czyby nie oswobodzić szerna i w przyjazny sposób skłonić go do opowieści, ale wkrótce porzucił tę myśl, wiedząc już z doświadczenia, że nie prowadzi ona do niczego, a narażałaby wszystkich na niebezpieczeństwo z ręki nieobliczalnego potwora.

Z zadumy wyrwało go ciche westchnienie. Odwrócił się szybko: Iheza! stała, nieruchomie o uszak drzwi plecami oparta, blada jak trup, z szeroko rozwartymi oczyma, obłądnie utkwionymi w oczach szerna, które na nią wprost zwrócone jaśniały znów krwawo i złowieszczo, jak cztery czerwone rubiny, rozżarzone na czarnym, aksamitnym tle zwiniętego w kłęb potwornego ciała...

— Iheza! Iheza! — zawołał Marek.

— Boję się... — szepnęła zmartwiałymi usty. Dreszcz nagły ją przebiegł, ale mimo widocznych wysiłków woli oczu od krwawych źrenic szerna nie mogła oderwać.

Marek pochwycił ją na ręce i wybiegł szybko na dzieńne światło. Dziewczyna w przejściu nieświadomym ruchem zalęknionego dziecka objęła go rękoma za szyję, przytulając się do niego mocno całym ciałem, że on, niosąc ją tak, czuł przez rozchelstaną bluzę falowanie jej drobnej, ciepłej i jędrnej piersi i gwałtowny łomot tętniącego serca. Była jedna chwila, że oman jakiś uderzył mu w skroniach; przygarnął ją silniej mocarnymi rękoma i pochylił usta nad jej wonną, do złotego kwiatu tak podobną głowę — czuł już ciepło jej czoła i słodkie laskotanie sypkich włosów na wargach spragnionych...

Pełne światło dnia uderzyło na nich złotą falą... Marek otrząśł się i postawił dziewczynę na stopniach. Rozwarła oczy, jakby senna jeszcze; lekki dreszcz przebiegł jej ciało i zarumienione policzki...

Miało się już ku zachodowi. Marek, idąc z towarzyszącą mu wciąż dziewczyną wzdłuż morskiego wybrzeża, milczał zawzięcie. Minęli już osadę i ostatnie ciepłe stawy, dymiące nieustannie srebrnym oparem, wstępując z wolna na opustoszałą wyżynę, kędy jeszcze przed niedawnym czasem wznosiła się groźna wieżyca Awija. Gruzy tu były jeno teraz i belek nieco opalonych wśród rozwalonego muru — w obszernym i rozkosznym niegdyś ogrodzie chwast się bujny panoszył około krzewów suchych, podczas walki połamanych

⁸⁸snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

i stopami zwycięzców w grunt wdeptanych. Była tu teraz pusta⁸⁹ bezpańska, miejsce, które uchodziło za przeklęte, tak że nikt się nie odważył chaty na zgliszczu zbudować.

Na łysym czole wzgórza, nieopodal nad zwaliskami, usiadł Marek i patrzył długo na miasto, tuż w dole u nóg jego szeroko rozsiadłe i zachodnim słońcem pozłocone. Ihezał przyległa cicho u jego kolan, zwróciwszy zadumione⁹⁰ oczy na bezpromienne ogniste słońce, chylące się wolno ku widnokręgowi.

Naraz Marek drgnął i spojrzał na dziewczynę.

— Czy nie chcesz zaślubić Jereta, nim wieczorem ruszy na wyprawę? — zapytał z nagłą, przerywając brutalnie przedziwną ciszę miejsca i godziny.

Ihezał podniosła na niego z wolna duże, czarne źrenice, pełne jeszcze słonecznego blasku, który tlił na ich dnie gorącym, złotym zarzewiem...

— Jereta? — powtórzyła, jakby nie rozumiejąc pytania.

Uśmiechnęła się i wstrząsnęła głową.

— Ach, nie! Ani jego, ani nikogo, teraz ani nigdy!

Powieki z długimi rzęsami opadły jej do połowy na oczy, w których blask słońca dogasał — zadrgały purpurowe wargi.

Marek przechylił się w tył i leął na wznak, wspierając głowę na złożonych pięściach. Patrzył w niebo pogodne, wieczorną zorzą szeroko aż po zenit malowane.

— To jest dziwne właściwie — zaczął po chwili — przybyłem tu i idę dzisiaj szernów wytracać, w ich kraju własnym, na ich własnym globie. Dlatego, że ludzie tu chcą żyć... Dlatego, że oni są słabsi i że nie przybyli przed tysiącleciami na Ziemię i nie uczynili nas bydłem swoim... I jakie, jakie ja mam prawo? i jakie prawo macie wy w ogóle?...

Urwał i zaśmiał się szeroko, nieco wymuszenie.

Ihezał patrzyła na niego ze zdumieniem.

— Panie...?

— Tak, tak, wiem! mówiłaś mi! Błogosławieństwo idzie z Ziemi i święte jest wszystko, co z niej przychodzi. Święty jest mord, święta jest krzywda i łupiestwo... I nawet te kajdany...

Uczuł, że mówi rzeczy, które zgoła nie wpłyną na jego czyny, i zamilkł, nie dokończywszy zdania.

— Jasny jesteś, panie mój! — tchnęła cicho Ihezał, patrząc na niego rozkochanymi oczyma.

Psy gdzieś na dole w mieście zaszczekały, a potem ozwał się przeciągły, chórалny śpiew... Nie słyszało się tego z oddali dokładnie; zda się, że to jeno powietrze samo, rozfalowane i dźwięczne, rzuca jakieś przeczucia i wspomnienia melodii, że pieśń wonią tylko skądś zalatuje, że pachnie, miasto⁹¹ brzmieć...

Słońce było ogromne i czerwone, nisko nad daleką, poczerniałą równiną zwieszone... Od morza chłód już szedł przedwieczorny.

Marek zerwał się nagle i usiadł.

— Pójdźmy — rzekł.

Dziewczyna poruszyła się leniwie.

— Jak każesz, panie...

Wzniosła ręce, aby zebrać rozwiązane włosy, ale sypkie złoto wymykało się jej z drżących palców i błyszczało w słońcu na ramionach, na barkach, na twarzy... Opuściła dłonie bezradnie. Głowa przechyliła jej się nieco w tył, dotykając prawie piersi Markowej. Pobladała nagle i przymknęła powieki, z lekka usta rozchylając.

— Czy ty jesteś bogiem, panie? — szepnęła sennie.

Marek uczuł, że skroń jej, w tył podana, musnęła mu wargi...

Na dole — gdzieś na wybrzeżu, daleko, ozwał się twardy dźwięk trąby. Marek jednym skokiem zerwał się na nogi. Dziewczyna z cichym jękiem opadła mu twarzą na stopy, ale on już patrzył ku miastu, ku morzu. Pobudka ozwała się znowu, słyhać ją było w ciszy wyraźnie.

— To moja godzina — rzekł Marek — Wzywają moich żołnierzy.

⁸⁹pustać — pustka; teren opustoszały. [przypis edytorski]

⁹⁰zadumiony — dziś: zadumany (pogrążony w zadumie). [przypis edytorski]

⁹¹miasto (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

Schylił się i podjął leżącą dziewczynę.

— Ihezał, słuchaj, jeśli bym nie wrócił...

Patrzyła mu w oczy.

— Jasny jesteś i jak płomień⁹² okrążysz glob księżycowy! Morze cię poniesie i wichry, szcęk i pioruny pójną za tobą; strach ci będzie za gońca, strach wołający wielkie święte twe imię! A którzy padną, błogosławieni będą, że padną przy tobie, a którzy przeżyją, wołać będą: „Chwała Zwycięzcy”... A ja...

Głos jej się w piersi zaparł, poruszyła bezdźwięcznie ustami — i nagle wybuchnęła spazmatycznym łkaniem.

Trąba zagrzmiała po raz trzeci: wzywano teraz Zwycięzcę, aby sprawiał woje⁹³ do drogi.

III

Był czas wielkiej morskiej ciszy, która co dzień w przedpołudniowej porze poprzedzała nadejście burzy, szalejącej wichrem piorunowym, zaledwie słońce szczytu nieba dosięgło. Na wschodzie, kędyś poza *Wyspą Cmentarną*, chmury się już zbierały czarne i pomruk z nich szedł groźny, daleką, białą błyskawicą zapowiedziany, jakby lysnięciem kłów potwornego zwierza, który legł na nieboskłonnie i skradł się z wolna, goniąc po morzu za uciekającym słońcem. Za kilka, kilkanaście godzin ryk jego potężny wstrząśnie powietrze, ciężkie łapy opadną na wodę i stratuja rozszałą, pianą bryzgającą aż gdzieś pod niebo, na którym szare kudły zwierza się rozwełnią — ale tymczasem zwierz czał się jeszcze w oddali, między skłon nieba a widny krąg morza wtulony — i cisza była ogromna.

Powierzchnia wód wyglądała jak olbrzymia, sinostalowa tarcza gładzona doskonale; czuło się niemal okiem twardość jej niezarysowaną, nagle z płynności w metal zakrzepłą. Około brzegów dalekich wysp jeno⁹⁴ barwa morza się zmieniała: drżały tam jakieś pawie otęcze, niby pierścienie, kamień drogi ujmujące. A nad tarczą morza lyskliwą żar wisiał w powietrzu nieruchomy, ciężki prawie i osowiały, jarkim⁹⁵ blaskiem słońca na wskroś przebity...

Ihezał, biegnąc wybrzeżem, minęła już ostatnie domy osady. Wszystkie drzwi były na glucho zamknięte, okna pozasłaniane. Młodzież poprzedniego wieczora pociągnęła ze Zwycięzcą na wyprawę — ci, którzy pozostali, pokryli się w mrocznych izbach przed południowym upałem, straszniejszym, zda się, dziś niż zazwyczaj.

Dziewczyna przystanęła w cieniu cypla skalnego, biegiem i gorącym zmożona. Oczy ćmiły jej się od nadmiernego blasku i morze wydawało się w nich chwilami plamą czarną, na bezmiar kędyś rozlaną. Zwidywały jej się wtedy na mgnienie oka w blasku czerwonych pochodni mknące po lodzie niezliczone sanie z rozwiniętymi na nocny wiatr żaglami, słyszała ostry świst płoz okutych i krzyk gromki, jak wicher odlatujący.

Rzuciła okiem mimo woli, czy nie dostrzeże jeszcze tych niknących w dali ogników, które wyglądały jak garść gwiazd z rozmachem po śliskiej tafli lodu puszczonej, ale w otwarte źrenice blask ją znowu słoneczny uderzył i rozplywająca się w nim, zaledwie nad widnokrąg sięgła⁹⁶ błyskawica. Spojrzała szybko w stronę czających się chmur: burza nadchodziła, nieuchronna, ale tak leniwa, że ledwo było znać krok jej opieszwały po bładym błękiecie nieba.

— Zdążę jeszcze — szepnęła prawie głośno, a upewniwszy się, że jej nikt nie śledzi, zbiegła żywo ku zastygłej pośród skał zatoce. Pewnymi rękoma odwiązała małą, pod gładem ukrytą łódkę i wskoczywszy w nią, skierowała się na pełne morze, w stronę widnej z dala *Wyspy Cmentarnej*. Wiosła wygięły się w jej drobnych dłoniach i łódź szła, ryjąc jak ostrze diamentu ciemną stal wody... W smudze zaiskrzyło się słońce migotliwymi perłami.

Na kilka staj⁹⁷ od brzegu Ihezał opuściła wiosła. Brakowało jej sił w obezwładniającym upale, lekkie szaty dusiły jej ciało. Rozdziała się tedy szybko do naga, aby swobodniej

⁹²płomień — dziś r.m.: płomień. [przypis edytorski]

⁹³sprawiał woje — dziś: sprawiał wojów (wojowników). [przypis edytorski]

⁹⁴jeno — tylko. [przypis edytorski]

⁹⁵jarki — dziś: jarzący się; żarzący się. [przypis edytorski]

⁹⁶sięgły — dziś: sięgający. [przypis edytorski]

⁹⁷staje a. stajanie — daw. pozaukładowa miara długości; tu: chodzi zapewne o s. staropolskie wynoszące ok. 134 m a. s. austriackie równe 65,4 m. [przypis edytorski]

wiosłować, ale zaledwie słońce dotknęło się jej białej skóry, nagle, rozkoszna omdłałość przeniknęła niemocą wszystkie jej członki. Rzuciła się na dno łódki, przymykając oczy.

Przez zwarte powieki czerwony, własną jej krwią malowany blask bił w jej źrenice — na piersiach i biodrach czuła błędzące słońce ogniste, jakby usta jakieś mocarne, niesyte, pocałunkami ją pochłaniające... Jasna, zwyczajna postać w pamięci jej zamajaczyła i dreszcz niemal lodowaty przebiegł jej ciało, żarem słońca objęte...

Zbudził ją silniejszy grzmot, odzywający się w dali. Zerwała się nagle: powierzchnię morza marszczył już pierwszy, nisko lecący wiatr. Chwyliła znów wiosła i zaczęła pracować pośpiesznie, z wysiłkiem, mając teraz do przewyciężenia zrywający się co chwila powiew przeciwny i falę, która szła równa, obła i łódkę w takt kołysała, rozpryskując się w białą grzebień o dziób jej ostry.

Wicher się już zrywał niecierpliwy, skrzydłami lotnymi niespokojnie w wodę bijący, kiedy Ihezał złotowłosa, upadając ze znużenia, przybiła wreszcie do ukrytej pod drzewami maleńkiej przystani w niskim brzegu *Wyspy Cmentarnej*. Zaledwie miała czas dziób łodzi do pniaka przytroczyć i szaty z niej porwać zrzucone, gdy burza zwała się całym brzemieniem na spienioną pod zaciemnionym niebem wodę. Wicher pełną garścią chwycił złote włosy dziewczęcia i targnął nimi, na blask je błyskawic rzucając, szarpnął jej odzież z ręką i wirem szalonym około białego jej ciała się owinął. Skoczyła pod kamień jakiś płaski, pochyło spod zielonego trawnika sterczący, i walcząc z wiatrem, ubierać się jęła pośpiesznie. Pierwsze, ciepłe krople deszczu padły jej jeszcze na barki nieokryte.

Biegła w ulewie, na osłep, przewijając się znajomym bezdrożem między kępami drzew, nagle w blaskach błyskawic wstające przed nią w pomroczonej cigezi⁹⁸ — przeska-kiwała głazy w trawie ukryte i zsuwała się po oślizgłych wodą zboczach pagórków. Około kopców, kędy wedle podania leżą zwłoki pierwszych ludzi na Księżyc przybyłych, zawróciła znowu w stronę brzegu morskiego i wbiegła na szczyt niskiego wzgórza, między głazy spiętrzone.

Pod jednym z nich otwierało się wejście do obszernej pieczary. Ihezał weszła w nią i tutaj przystanąła dopiero, chwytając oddech kurczowo wznoszącą się piersią. Woda ściekała jej z włosów i lekkiego odzienia, oklejonego wprost na smukłych jej członkach.

Z bocznej komory wysunął się starzec i spojrzął w szary półmrok jaskini.

— Jesteś! — zawołał — bałem się już o ciebie...

— Spóźniłam się nieco, dziadku — odrzekła — ale nie mogłam wcześniej wypłynąć; obawiałam się, aby mnie nie spostrzeżono.

Malahuda ujął ją za rękę i pociągnął w głąb za sobą.

W jednym z rozgałęzień obszernej pieczary urządzone miał iście pustelnicze mieszkanie. Dawny arcykapłan sypiał na pęku skór, podobnie jak półdzicy rybacy z okolicy *Przesmyku*; za krzesła i stół służyły mu wielkie kamienie. W kącie widno było⁹⁹ naprędcę z kamienia postawiony piec, który snadź¹⁰⁰ ogrzewał jaskinię podczas nocnych mrozów.

Ihezał, zapomniawszy o znużeniu i przemokłej odzieży, wpatrzyła się w dziadka w mrocznym świetle, dobywającym się skądś przez szczeliny w sklepieniu. Wydał jej się starszym i smutniejszym — i dostojniejszym zarazem, mimo że stał teraz przed nią bez uroku świętości i władzy, którą porzucił był onego dnia, witając wchodzącego Zwycięzcę... Serce jej się ścisnęło na ten widok — i mimo woli porównywała tę szlachetną, a nawet w dobrowolnym opuszczeniu pełną godności postać z chytrym i łapczywym Elemem, do którego wstręt miała nieprzewyciężony, czując może nieświadomie obłudę jego wobec Marka pod pozorami uległości i pokory. Przyszło jej na myśl, że Malahuda, pozostawszy na stolcu arcykapłańskim, mógłby teraz pełnić świętą wolę Zwycięzcy i hojnymi rękoma rzucać błogosławieństwo nowej ery na świat księżycowy. Żal w niej wezbrał nieukojojony — miasto¹⁰¹ witać się z dawno niewidzianym, zawołała z wyrzutem:

— Dziadku! dlaczego ty odszedłeś i czemu nie chcesz powrócić!

Ale starzec nie słuchał jej słów. Krzątał się już jak dobry gospodarz po jaskini i wyciągał z jakiegoś schowka proste, skórzane odzienie.

— Rozbierz się — mówił — trzeba się oblec w coś suchego.

⁹⁸cigeż a. cigeć (gw.) — cień. [przypis edytorski]

⁹⁹widno było — dziś w tym znaczeniu: widać było. [przypis edytorski]

¹⁰⁰snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

¹⁰¹miasto (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

Jednocześnie białymi niegdyś, a teraz namulonymi od pracy dłońmi rozwiązywać ją zawężłone w pośpiechu zawiązki pod jej szyją.

Dziewczyna chwyciła go za ręce:

— Nie, nie...

Spojrzał na nią ze zdumieniem:

— Przebrać się musisz.

A ją rumieniec nagły całą umalował.

— Przebiorę się, dziadku, ale tam, za tym głazem, w ukryciu.

Widziała, że starzec, do niewinnego bezwstydu księżycowych kobiet przyzwyczajony, nie rozumie zgoła jej wzdraganie, dodała więc tonem objaśnienia, rumieniając się jeszcze bardziej:

— Przysięgam Zwycięzcy, któremu służę, że nikt mnie nagiej nie zobaczy, nawet kobieta...

— Cóż to za ślub niedorzeczny! — mruknął Malahuda, daleki od przypuszczenia erotycznego podkładu w tak dziwnej przysiędze.

Nie spierał się jednak i gdy Ihezal przewdziewała się¹⁰² na uboczu, on rozniecał żar, tłący się w piecu, aby zgotować posiłek.

Za krótką chwilę wnuczka w twardą skórę na białym ciele przyodziana stała już przy nim, pomagając mu białymi rękoma.

Południowa burza tymczasem szalała na świecie. Głuchy odgłos grzmotów wpadał do pieczary — zdawało się, że wichur z loskotem kamienne drzwi sobie otwiera; czuć już chłodny oddech jego, za chwilę runie do wnętrza i stanie w jaskrawe błyskawice ubrany... W krótkich przerwach ciszy słychać było potężny, jednostajny, uroczysty łomot morza, które biło o skalną wyspy podstawę, cierpliwe i pewne, że jeszcze kilka wieków, jeszcze jeden lub dwa marne tysiące lat, a pochłonie i tę resztę dawnego ładu, jak już setki mil pochłonęło — nim jemu z kolei przyjdzie wyschnąć i przepaść...

Po krótkim posiłku starzec usiadł z wnuczką na głazie, kudłatą skórą pokrytym, i złożony ręce na kolanach, mówić jął powoli:

— Dałem ci znać, że tutaj jestem, dopiero teraz po odejściu zbrojnych na wyprawę, gdyż jedyny mój zaprzysiężony powiernik, rybak i dobrowolny stróż prastarych grobów na tej wyspie, doniósł mi, żeś się zakłęła Zwycięzcy odnaleźć moją kryjówkę i zawiadomić go o niej. A ja nie chcę...

Dziewczyna chciała coś odpowiedzieć, ale arcykapłan nakazał jej dłonią milczenie.

— Nie przerywaj mi teraz — rzekł. — Mam ci wiele do powiedzenia i chcę, abys mnie wysłuchała uważnie.

Dziwno ci, że odszedłem. Wiem, że niektórzy przypuszczają, że — starzec — do władzy przywykły, nie chciałem jej dzielić z gwiazdnym przybyszem i wolałem raczej dobrowolne wygnanie... Tak nie było. Tłumaczyć ci nie będę wszystkich powodów, które mnie do ukrycia się skłoniły, bo zbyt wiele musiałbym opowiadać o gmachach, które jednej nocy runęły i pewien jestem, że nie zrozumiałabyś mnie dobrze.

Wyście tam już Zwycięzcę powitali — ja czekam na niego dopiero. Nie tak, jak Choma, który, jako mnie słuchy dochodzą, tego uznać nie chce i wieści przybycie innego, prawdziwego Zwycięzcy. Nie — ja czekam, aby ten, który przybył, stał się Zwycięzcą. Niemniej przeto czekam.

Gdy zobaczę, iż błogosławieństwem jest dla Księżyca prawdziwym, umrę w spokoju, a jeśli będzie mnie na co potrzebował, zjawię się przed nim; teraz jeszcze nie czas.

Ostatniej nocy wyszedłem z jaskini i widziałem sanie pełne zbrojnych, młodych i dufnych, śmigające wartko na południe. Czekać będę, aż wrócą tą samą drogą. Uznam Zwycięzcę, jeżeli powrócą, a nie będą rozproszone uciekały przed ścigającym je wrogiem.

Starość moja nauczyła mnie jednej rzeczy wielkiej: każde przedsięwzięcie jest błogosławione, gdy skutek je uwieńczy pomyślny i błogi. Zbyt wiele klęsk i upadków w życiu widziałem, aby się cieszyć zamiarami albo zaliczać wdzięczność i uwielbienie z góry na poczet czynów, które mają być spełnione dopiero.

Zatęskniłem jednak za tobą, bo kwiatem mi zawsze byłaś, dziecię jedyne nieżyjących dzieci moich — i dlatego cię wezwałem, posyłając z wieścią stróża mogił tutejszych.

¹⁰²przewdziewać się — dziś: przebierać się. [przypis edytorski]

Prawże mi teraz, jako się masz, i opowiadaj, co oczy twoje widzą.

Ihezal zapatrzyła się w mroczną głąb pieczary i milczała kęs czasu, nim mówić poczęła:

— Dziadku, oczy moje teraz widzą jedno tylko... Idą moje oczy przez burzę na wskroś, przez morze rozkołysane w daleki kraj i straszliwy, i widzę bitwę krwawą, od szalejącej tuczy¹⁰³ czerwieszą. Słyszę gromy strzałów i jęki padających, a serce się we mnie raduje i pieśń zwycięstwa śpiewa, bo to szernowie pola trupem zalegają, bo to morcy jęczą nieprawi, w pierś gromem i słowem Jasnego rażeni.

Dziadku! widzę go, że jest zwycięski, roześmiany i młodemu bogu podobny — i serce we mnie płacze, że nie jest on jak ja człowiekiem!

Przypadła twarzą do kolan dziadka i głos szatą jego tłumiąc, skarżyć się poczęła gorącymi słowy¹⁰⁴:

— Dziadku! krew się we mnie wzburzyła! Dziadku, nie wiedziałam, co to jest ogień, a oto mnie pożera i trawi, że jak kwiat zwiędnę w południowym skwarze. O! żeby już przysła burza dżdżu! o, żeby przyszedł wicher niszczyciel albo piorun, który zabija!

Malahuda nie odpowiadał. Suchymi rękoma ujął ją tylko za głowę i pogrążył się w cichej zadumie. A ona płakała tymczasem bez łez, spazmem jeno szarpiącym, który pierś jej drobną zrywał, aż po pewnym czasie uspokoiwszy się nieco, mówić zaś jęła:

— Dlaczego mi nie odpowiadasz, dziadku? Boję się twego milczenia! Wolalabym, abys mnie skarcił, abys mnie za włosy jasne, karząc, do nóg swoich pociągnął! Oto mówił Zwycięzca, pan błogosławiony, że nowe prawa chce dać ludowi i ustawy podobne do tych, które są pono na Ziemi, i że zrównać chce kobiety z mężczyzną, aby nie była nadal niewolnicą! Dziadku! dlaczegoż Zwycięzca, który jest mądry, nie przemieni raczej mężów księżycowych, żeby byli jemu podobni i aby służyć im i podlegać było warto i słodko? Nie swobody chce serce moje niewieście ani zrównania, lecz owszem, poddanym pragnie być najmocniejszemu, a on jest ci jeden, który zstąpił z Ziemi na Księżyc! Dlaczego on usty mocarnymi nie spali kwiatu ciała mego? Wszakżem ja jest kwiat piękny i wonny, najwonnejszy owszem, jaki wyrósł na księżycowym globie, który pono, z Ziemi widziany, srebrny jest także i świecący, do gwiazdy wielkiej zgoła podobny... Czyż przeto, że jemu spodobano się być bogiem, ja mrzeć mam z niesytej własnej krwi tęsknoty?

Przysięgłam się jemu, a on mnie nie bierze! Boję się tego, dziadku, bom ja go z miłości nadmiernej znienawidzić gotowa i dobrać się do serca jego, aby się przekonać, czy w nim krew także płynie czerwona...

Mówiąc to, głowę w tył odrzuciła i błysnęła białymi zębami, jak pantera złota, co rozpęd już w sobie do skoku zbiera.

Starzec powstał z wolna.

— Żle jest, źle — rzekł raczej do siebie, na wnuczkę nie patrząc — kto wie, czym ja ostać tam nie był powinien i czuwać...

Spojrzał na dziewczynę w twarz jego zapatrzoną — uśmiechnął się smutno.

— Nie nad tobą, nie! Tu czuwanie na nic by się nie zdało. Wiedziałem już, że zginiesz, wówczas, kiedy weszłaś do skarbcza i nad księgami mnie zastałaś. Obawiam się, że nad nim czuwać bym winien, nad nim, którego wy dziś już zwiecie Zwycięzcą i nad miarę wielbicie. Bo oto mi się widzi, że jeśli zwycięży naprawdę i rzeczy, które na Księżycu krzywo wyrosły, prościć¹⁰⁵ zechce jak pan, zwróci się wszystko przeciwko niemu, i ty nawet, nawet i ty! Ale teraz już nie czas. Co innego wybrałem wedle sumienia swego i nie ujmę już teraz w rękę tego, co raz z niej wypuściłem.

Siedzieli jeszcze długo, milcząc albo z cicha urywanymi zdaniem rozmawiając z sobą, aż promień słońca, przez szczeliny skądś wpadający, doniósł im, że burza się skończyła i świat, strugami deszczu odświeżony, cieszy się znowu życiem.

Wtedy Malahuda wziął za rękę złotowłosą Ihezal i wyszli oboje na słońce. Po trawie świeżo umytej i od dżdżu jeszcze oślizgłej, co boscie ich nogi chłodną głaskała pieszczotą, przebiegli łączką niewielką, dostając się na szczyt wzgórza od wieków *Grobem Marty* nazwanego. Głaz tu był wielki, pochyły, ze śladami liter przed wiekami może kowanych¹⁰⁶, których nikt już odczytać nie umiał...

¹⁰³tucza — chmura; szczególnie: ciemna, ciężka chmura burzowa. [przypis edytorski]

¹⁰⁴słowy — dziś N.Im: słowami. [przypis edytorski]

¹⁰⁵prościć — dziś: prostować. [przypis edytorski]

¹⁰⁶kowany — dziś: kuty; wykuty (w kamieniu). [przypis edytorski]

Na tym to głazie Malahuda wsparł rękę drżącą i powiedział:

— Nie wiem już dzisiaj, co jest prawdą, ale jest w księgach podanie, że w tym grobie leży matka księżycowego ludu, błogosławiona rodzicielka pierwszego męża i sióstr jego, i natchnionej prorokini Ady, która służyła w dziewictwie Staremu Człowiekowi. Ale podanie mówi, że Stary Człowiek nie był ojcem ludu księżycowego, jeno opiekunem... Owszem, niektórzy utrzymują na podstawie kart jakichś, pono ze spalonego domu jego przed wiekami nalezionych¹⁰⁷ (nie wiem, czy prawda?), że miłość do ludzkiej kobiety jego, boskiego, na Księżyc sprowadziła i że cierpiał, dopóki nie odszedł na Ziemię... Czemuż byś cierpieć nie miała i ty?

Mówił to kapłana dawnym nałogiem, od lat przyzwyczajony słowa Pisma wykladać i dla spraw życia codziennego ciągnąć z nich naukę czy pociechę, ale wnet się opamiętał, że mówi rzeczy mało dające się tu stosować i nieprzekonywujące zgoła. Zresztą nie wierzył sam w to, co mówił...

Zamilkł tedy, spostrzegłszy zwłaszcza, że Ihezal go nie słucha. Poblądła twarzą zwrócona była na południe i wypatrywała kłębiących się białych chmur na widnokręgu, które wyglądały jakoby wojska, w powietrzu nad morzem pośród perlistej kurzawy walczące. Zauważył snadź podobieństwo i Malahuda, bo ozwał się nagle, myśląc o rzeczywistej bitwie, która się w tej stronie w owej chwili może właśnie odbywała:

— A jeśliby Zwycięzca zginął?

W pierwszej chwili, słysząc te słowa, Ihezal poblądła jeszcze bardziej, tak iż się zdawało, że kropli krwi nie ma w jej ciele, ale zaraz potem potrząsnęła głową z uśmiechem.

— Nie! On zginąć nie może!

Rzekła to z takim przekonaniem głębokim, że starzec nic nie odpowiedział, jeno brodę swą siwą na pierś pochylił i zadumał się, patrząc zaczerwienionymi oczyma na morze jasne i szerokie.

A o tej właśnie godzinie Marek w krainie szernów spoczynek odbywał w pierwszym mieście zdobytym.

Noc całą niósł go szalony pęd wichru, w rozwite żagle dmącego. Kierując się wedle kompasu, mijał wyspy w świetle gwiazd czarnym cielskiem na lśniącym lodzie majające; niekiedy Nuzar go ostrzegał o gorących wirach podmorskich, kędy¹⁰⁸ woda nie zamarzała nawet w nocy... Na rozległej płaszczyźnie sanie, w szeroki łańcuch rozsypane, dawały wzajemnie znać o sobie blaskiem czerwonych pochodni na przodzie umieszczonych i mknęły tak wciąż bez ustanku i postoju przez ziemskich dni jedenaście...

Nad ranem, kiedy już za czterdzieści godzin słońce się miało pokazać i szary obrzask szedł po lodach od wschodu, Nuzar dał znać Zwycięzcy, że się zbliżają do wybrzeża. Jakoż Marek spostrzegł istotnie daleką, białą od śniegu linię na horyzoncie, sterczącymi jakby wieżami tu i ówdzie poprzerzywaną.

Morzec stał przy nim i ręką wskazywał:

— To ich miasto największe, w którym dziś już nikt prawie nie mieszka. Połowa zapadła w morze razem z gruntem i gdy jest cisza, widać przez toń wieże, ponad którymi ryby pływają. Szernowie cofnęli się w głąb lądu i tam dalej na wschód. Oto ich osada, kędy¹⁰⁹ mają przystań...

Pokazywał zaledwie widoczną grupę domów na wybrzeżu, około głęboko wciętej zatoki.

Sanie, na których jechał Jeret, poczęły się zbliżać w pędzie do Zwycięzcy. Młody wojownik błady był i usta miał zaciśnięte, ale twarz spokojną.

— Zwycięzco — rzekł — wicher nas pędzi wprost na osadę, za kilka godzin tam będziemy.

Marek wydał rozkazy. Stery sań, ostro w lód się wrzynające, zazgrzytały krępkimi skręcone rękoma i cały tabor poczał zawracać ogromnym półkolem wzdłuż brzegów zatoki. Najbliżej lądu wysunęły się sanie, na których działa połowe umieszczono, i w pewnej chwili runęły ogniem na uśpioną szernów osadę. Widać było kurz, z walących się domostw nagle powstający, a ludzie nabijali już pośpiesznie po raz drugi wystrzelone armaty i znowu zagrzmięła z bliska salwa celna a straszliwa.

¹⁰⁷naleziony — dziś: znaleziony. [przypis edytorski]

¹⁰⁸kędy — gdzie. [przypis edytorski]

¹⁰⁹kędy — gdzie. [przypis edytorski]

Nim zdziesiątkowani we śnie, obłąkani z przestachu mieszkańcy mogli zdać sobie sprawę z tego, co zaszło, wicher poranny porwał już napastników i niósł dalej, ku miejscu pustemu, gdzie wedle słów Nuzara mogli bez przeszkody lądować.

Słońce już wschodziło, kiedy tabor sań, na ląd wyciągniętych, zamieniono na obóz warowny.

Pokazywali się też już z dala szernowie, zdumiali¹¹⁰, napadu zgoła pojąć niemogący, podlatywali z rzadka na ciężkich skrzydłach ku obozowi i ginęli od niechybnych strzałów załogi. Cofnęli się tedy z nagłą, pozostawiając chwilę spokoju napastnikom.

Marek wiedział, że spieszyć mu się potrzeba i nie dawać szernom czasu do opamiętania, lecz zmuszony był przeczekać ranne roztopy, nim by mógł zacząć straszliwe swoje polowanie. Tymczasem więc trzymał tylko obóz w pozycji obronnej, a sam rozglądał się ciekawie po otaczającej go krainie.

Płaska była i rozległa. O ile z opowiadań Nuzara mógł wywnioskować, szernów stonsunkowo niezbyt wielka liczba żyła już na Księżycu: większość miast zalegała w gruzach, opuszczona, i pola szerokie leżały odłogiem, o ile nie było rąk morców do ich uprawy. Leniwi szernowe niechętnie brali się do pracy, mając ją sobie niemal za ujmę.

Tym bardziej jednak Marek dziwił się straszliwej ich potędze, przez którą zdołali ujarzmić skrzętne i liczniejsze od siebie plemię człowiecze.

Grunt grząski był jeszcze i mokry od spływającej wody z roztopionych śniegów, gdy Jeret zwrócił uwagę Marka na zbliżające się gromady. Szli kupą morcy, wedle zwyczaju przez szernów w pierwszy ogień pędzeni. Ale do bitwy właściwej nie przyszło. Kilka salw broni palnej w zbitą masę wysłanych rozproszyło ją w okamgnieniu. Młoda, spod śniegu w oczach rozwijająca się trawa zaczęła się gęstym trupem. Ludzie poszli rannych dobijać.

Wstrętny to był widok dla Marka, który widząc w potwornych szernach istoty zwierzęce, nie robił sobie wyrzutów z ich mordowania, ale wzdrygnął się na myśl o rzeźni bezbronnych morców, bądź co bądź ludzką postacią noszących. Ale nie mógł się wahać, wydał więc tylko litościwy rozkaz, aby rannym szybko i pewnie śmierć zadawano.

Dwóch czy trzech lekko skaleczonych morców wybrał Nuzar i obietnicą życia namówił, aby z nim razem zwycięzcom służyli za przewodników. Zwłokami nakarmiono psy do zaprzęgu przywiezione.

Jakoż wkrótce rozpoczęło się polowanie wedle krwawego serca Nuzarowego.

Uruchomiono sanie, koła do nich zakładając, i posuwano się tak z wolna naprzód taborem. Obóz zatrzymywał się miejscami, a wtedy wychodzili z niego myśliwcy. Marek szedł naprzód, mając koło siebie trzech morców i kilka psów o dobrym węchu i paszczach zajadłych, a za nim szli zbrojni, z ręką na cynglu, z bystrym i czujnym okiem, każdy załom gruntu naokół śledzący. Gdy się pojawił morzec lub szern, zabijano go i posuwano się znów dalej, ku murom zbombardowanej w nocy osady.

Słońce rozświetliło się tymczasem jasne na niebie i morze rozkołysało się słodko, dzwoniąc kryształem o piasek płaskiego wybrzeża. Z rozwiniętych przedziwnych roślin księżycowych woń szła upajająca i chwilami cisza była taka, że Markowi zachciewało się legnąć na wznak wśród zieleni i patrzeć na błękitne niebo ogromne, rozpięte nad tym smutnym a dziwnie rozmarzającym krajem. Lecz oto warknął pies albo morzec zahukał koło jego nogi i Marek podnosił rażno broń do oka, aby ubić uciekającego szerna lub nakazać gromadny strzał do morców, spokojnie w polu pracujących i nieświadomych jeszcze napadu. Domostwa napotykanego po drodze palono z pośpiechem, a jeśli były kamienne, rozwalano sumiennie, aby snadź nie posłużyły za kryjówkę szernom uchodzącym. I pracowano tak wśród licznych postojów, z wolna, ale niestrudzenie. Szernowie dotychczas nie stawiali poważnego oporu; zdawało się, że kraina bez zbytnich ofiar i wysiłków będzie zawojowana, a ród pierwobyłców księżycowych do cna wyniszczony.

Tymczasem zbliżało się południe długiego dnia księżycowego. Podczas największego upału stanął Marek ze swoim oddziałem pod murami miasta. Nowa osada, działowymi kulami rozwalona, którą minął był wcześniej, była pusta zupełnie. Widocznie wszyscy mieszkańcy schronili się do starego grodu, którego zaniedbane i na wpół w gruz rozsypane mury obronne lśniły się oślepiająco w południowym słońcu.

¹¹⁰*zdumiali* — dziś: *zdumieni*. [przypis edytorski]

Zwycięzca czuł, że spotka się tutaj z oporem rozpaczliwym. Patrzył na wieże wiekiem poszczerbione o kształtach mocarnych, na łuki i olbrzymie bramiska ze sklepieniami rozchodzącymi się często z powodu opadania gruntu, za którym miasto falą kamiennych domów ku morzu splaywało, aby wreszcie utonąć w jego głębinach — i myślał o wieści przed setkami lat przez Starego Człowieka Ziemi przekazanej, że są i na *Wielkiej Pustyni* miasta podobne — w gruzach i ruinie.

Któż to wie, jakie skarby, jakie tajemnice ten gród ginący w sobie chowa? i o czym mógłby mu powiedzieć, gdyby nie był zmuszony zamienić go za chwilę na bezkształtną kupę gruzów, kulami dział poszarpaną?...

Na krótką chwilę przyszło mu na myśl, żeby wysłać parlamentarzy. Nuzara na przykład, i starać się ocalić to miasto prastare od zagłady, ale roześmiał się sam zaraz z tego. Jakież tu mogło być porozumienie? jaka zgoda? Dylemat był jasny: albo ludzie będą wiecznie służyli szernom na Księżycu, lub też szernowie muszą być wytraceni do nogi. Doświadczenie wieków lud już nauczyło, że paktów żadne ani ugody nie prowadzą z wiarolomnymi szernami zgoła do niczego, gdyż z chwilą kiedy widzą korzyść w ich złamaniu, łamią je bez namysłu. Czy miał im więc zaproponować, aby wyszli wszyscy i potopili się dobrowolnie w morzu, zostawiając glob swój własny zagwiezdnym przybyszom — czy też ludzi wszystkich miał zabrać z powrotem na Ziemię? Wszakże innego wyjścia nie było!

Gdy tak myślał, sprawni wojownicy jego ustawiali już działa z pośpiechem, zwracając ich lśniące paszcze ku cichym i jakby zamarłym murom miasta. Od strasznego żaru słonecznego drżało rozfalowane powietrze, zamieniając kamień na majak jakiś nierzeczywisty, mieniący się w oczach i rozwiewny. Były chwile, że Markowi zdawało się, że miasto całe jest tylko odbiciem jakiegoś snu w ruchliwej i blasku pełnej wodzie i rozplynie się wnet jak sen na tym pustym morskim wybrzeżu.

Nie wiedział nawet, kiedy dał głową przyzwalający znak Jeretowi, pytającemu, czy można zaczynać. Straszliwy łomot wystrzałów z nagłą go dopiero otrzeźwił. Pojrzał na mury zwietrzałe, które kruszyły się pod uderzeniem kul, i na wieże, mocne z pozoru, chwiejące się nagle w podstawach. Działa ryknęły powtórnie, z bliska, i tuman kurzawy buchnął w górę z walących się domów.

Jednocześnie zabrzmiał u jego nóg ostry krzyk Nuzara. Spojrzał w kierunku wyciągniętej ręki morca — i zdało mu się, że ciężka, nisko zawieszona chmura czarna płynie na niego z niepojętą szybkością.

— Szerny! szerny! — rozległ się już krzyk w szeregach.

W jednej chwili wyćwiczonym ruchem rozsypali się wojownicy, aby nie dawać w gromadzie celu z góry miotanym pociskom szernów. Zachręściła ręczna broń palna i ozwał się grzechot strzałów, nieregularny, lecz nieustanny. Z chmury szernów poczęły co chwilę padać ciężkie ciała na ziemię i broczyć... Niewiela¹¹¹, a rozpoczął się pościg zabójczy za rozproszonymi w ucieczce potworami.

Większa ich część jednak schroniła się w mury miasta — i znowu działa zagrzmiały. Bito w domostwa jeszcze stojące, w na pół rozwalone wieże i w sklepiska przed wielu wiekami stawiane, potem bito w gruzy, a w końcu już tylko w bezładną masę spiętrzonych głazów i kamienia. Burza się rozhuła tymczasem na świecie i waliła gromami, pomagając ludziom w dziele zniszczenia.

Czasem z kupy zwalisk szern się jaki zerwał, rozpaczliwej próbując ucieczki, ale wnet padał kulą rażony, nie zdolawszy nawet dotrzeć do pierścienia oblegających niszczycieli. Niektórzy, strachem śmierci obłąkani, wlatywali nad rozhułkane morze i ginęli rychło, w fale padając.

Zwycięstwo odniesiono zupełne — nawet bez straty jednego człowieka.

Kiedy jednak Marek po pewnym czasie wprowadzić chciał ludzi swoich na dymiące ruiny, aby je przeszukać, Nuzar pochwylił go za brzeg bluzy i potrząsł głową przecząco.

— Tych jeszcze nie trzeba gubić — rzekł pokazując na zwycięskie szeregi — jeszcze ci się, panie, przydadzą.

Marek spojrział na niego z pytaniem.

— Szernowie tam są jeszcze w jamach ukryci; pod miastem całym ciągną się głębokie pieczary. Kto wejdzie tam, zginie.

¹¹¹niewiela (daw.) — dziś: niewiele; tu w znaczeniu: mało co, lada chwila. [przypis edytorski]

— A wejścia do pieczar? — spytał Marek.

— Są liczne. Niektóre z nich pod batem morcy замуrowali, bo wody morza się przez nie wdzierały.

— Gdzie się znajdują?

— Ujęci morcy wskażą ci je niechybnie. Znają te miejsca aż nadto dobrze, bo mury pod uderzeniem fal psują się ciągle i wciąż je trzeba wzmacniać i naprawiać...

Marek nie czekał nawet uspokojenia burzy. Morze jeszcze rozkołysane i wściekle biło o zwaliska, rozmywając je uderzeniami, kiedy na rozkaz Zwycięzcy pośpiesznie zakładano miny, mające usunąć falom kamienną zaporę.

Jakoż rychło zagrział huk potężny i bryznęły w górę słupy wody i kamienia. Morze cofnęło się na moment, wybuchem w tył rzucone, ale w tejże chwili zakotłowało się gwałtownym wirami i runęło przez rozdarte zapory do wnętrza pieczar tajemniczych.

Szernowie, potopem zagrożeni, uciekać zaczęli z kryjówek bocznymi wyjściami i ginęli z ludzkich rąk bez miłosierdzia, aby się spełniły słowa Pisma, iż przyjdzie na Księżyc Zwycięzca.

A on sam usiadł nad gruzami i w nowym, świeżym słońcu, zza chmur wychylonym, patrzył, jak morze, po burzy uspokojone, wypełniwszy jaskinie, wygładzało się z wolna, otwierając się oku szerokim tęczowym zwierciadłem, przez które widno było¹¹² tam w głębi miasto zatopione, jedyny ślad, jaki pozostał, że tu na tych gruzach żywe niegdyś mieszkaly istoty.

Wojownicy wreszcie odpoczywali...

Ptak jakiś przedziwny o złocistych skrzydłach zerwał się z pobliskich zarośli i lśniąc w słońcu, krążył począł nad głową Zwycięzcy, coraz szersze zataczając kręgi.

IV

Wieść naprzód przysła głucha, nie wiadomo skąd, i rozchodziła się między ludem, z ust do ust podawana. Opowiadano sobie wzajem o przedziwnych Markowych przewagach i mimo że je uświęcony „Zwycięzca” odnosił, dziwiono się im, nie dowierzano prawie, zwłaszcza że nikt nie umiał podać pewnego źródła tych wiadomości... Wskazywano półdzikich rybaków z okolic *Przesmyku*, którzy zjawili się byli od pewnego czasu w towarzystwie jakiegoś starca obłąkanego w pobliżu *Ciepłych Stawów*. Podobno jeden z ich współziomków, opuściwszy szeregi Marka, z niewiadomej przyczyny do domu powrócił i przyniósł dobrą nowinę — ale że pogłoski szły z drugiej i niepewnej ręki, przyjmowano je ostrożnie, choć chciwie słuchano i poglądano po staremu ku *Wielkiemu Morzu*, za którym kraj szernów leżał.

Wyprawa ta wydawała się czymś tak nieprawdopodobnym przyzwyczajonym z pokoleń do szernowskiego jarzma ludziom, że dotychczas oswoić się nie mogli z myślą, iż poszła ona istotnie, i z lękiem, wbrew wieściom pomyślnym, oczekiwano klęski i przybywającego po niej najazdu straszliwych pierwobyłców. Byli już niektórzy, co brak pewnych wiadomości tłumaczyli wygubieniem do szczętu zuchwałych szaleńców i zlorzeczenia czynili niemal Zwycięzcy, do niedawna wychwalanemu przez nich nad miarę...

A gdy wreszcie dnia pewnego o szarym brzasku wschodzącego poranku zjawiono się dwoje sań skrzydlatych na brzegu zmarzłego morza, lud z trwogą wyległ naprzeciw przybyłych, nie śmiejąc ich nawet wypytywać, zali nie są ostatnimi, którzy przy życiu zostawszy, ująć jeszcze zdołali z pogromu. Ale z sań wyszli ludzie znużeni, lecz weseli i ze śmiechem zdążali ku miastu, dając z dala znaki radosne... Krzyknięto tedy z ucieszą i zaczęto biec ku nim i otaczać ich kołem zgietliwym a ciekawym... Tedy oni prawili rzeczy wprost niesłychane: jako Zwycięzca idzie w chwale przez ziemię szernów i wytraca bez miłosierdzia wszelkie żywe ich nasienie, jako miasta już zdobył wszystkie nad brzegiem morza i na równinach leżące, strachem i śmiercią kraj zamiatając, a teraz poszedł w góry na południe ku biegunowi wzniesione, kędy w grodach niedostępnych ukryli się pozostali jeszcze przy życiu szernowie. Ich zaś wysłał tutaj, ażeby przywieźli nowy zapas amunicji, która jest już na wyczerpaniu.

Tłum tedy, szalony obłądną radością, wziął przybyłych na ręce i niósł ich w tryumfie ku świątyni, gromkie wznosząc okrzyki.

¹¹²widno było — dziś w tym znaczeniu: widać było; widoczne było. [przypis edytorski]

Ranek był jeszcze mroźny i śniegi z pól nie zesły, kiedy się to wydarzyło. Wielu mieszkańców osady przy *Ciepłych Stawach* spało jeszcze albo w domach zamkniętych czekało ciepłych promieni słońca. Gwar ich dopiero wciąż rosnący obudził, więc z izb zacisznych wychodzili, nierzadko z oczyma jeszcze snu pełnymi, a posłyszawszy, co się dzieje, przyłączali się do tłumu, który o tak wczesnej porze zalegał już cały plac przed świątynią.

Elem, w pałacu swoim zgiełk posłyszawszy, sądził zrazu, że to wraca Zwycięzca, i pospiesznie szaty na siebie kładł arcykapłańskie, aż mu Sewin doniósł dopiero, że to poselstwo jeno z radosną wieścią przybyło. Więc nie czekając, aż go obloką, wyszedł, jak stał, w domowym stroju z narzuconym jeno futrem na ramionach — i wołał z progu donośnie, aby posłowie naprzód jemu się pokłonili i sprawę z poselstwa zdali. Oni jednakże, wedle wyraźnego snadź¹¹³ Zwycięzcy polecenia, poszli przede wszystkim szukać dziewczyny złotowłosej, a znalazłszy ją na przejściu z dawnego pałacu do świątyni, twarzą przed nią uderzyli w sposób dotychczas niebywały, wręczając jej drogie podarki. A więc: perły różowe, zdarte z odwiecznych szat uroczystych szernowskiej starszyny dostojnej, kości przed setkami lat snadź w tajemniczym kraju rzezane i ozdoby z ciągnionego złota, do kwiatów przedziwnych podobne.

Ihezał przyjmowała podarki w milczeniu — z dziwnym jeno, prawie błędnym uśmiechem na ustach, a kiedy ręce miała już pełne wszelkich rzeczy drogocennych, zdało się posłom, że zły blask nagle w oczach jej zaświecił, podobny do błysnięcia krótkiej stali, znienacka w pierś uderzającej. Ale rychło przywarła powieki i uśmiechając się miłościwie a kusząco, mówić jęła do posłów zdumionych:

— Zaliście mi nie przywieźli rzeczy najcenniejszej, która droższa jest o wiele od tych pereł różowych, po posadzce się oto z dźwiękiem toczących, jako że ręce moje są zanadto pełne?

Aza¹¹⁴ nie wziął kto z sobą dla mnie rzeczy najczerwieńszej i jak dzwon po kraju szernów huczającej?

Czemżeście mi nie przywieźli podarku najkosztowniejszego, który żądam mieć?

Tak mówiła, nieprzytomna, zda się, od uniesienia tajemnego, a kiedy posłowie dopytując się poczęli: co jest takiego, czego by pragnęła? a oni o tym łasce Zwycięzcy skwapliwie doniosą, dorzuciła jeszcze te słowa, zgoła niezrozumiałe:

— Serca jego bym chciała, krwawego, czerwonego serca!

Był zaś między posłami chłopak jeden nieletni, co sam się teraz Marka o powrót dopraszał, za rodziną rzekomo stęskniony. Ten od początku — jakby w zachwyceniu — patrzył w twarz Ihezał, a kiedy mówić skończyła, nagle wyjął zza pasa żelazo krótkie i niepohamowanym ciosem wraził je sobie w gardło. Krew z otwartej rany buchnęła strumieniem, a on upadł na posadzkę, bijąc nogami.

Zrobiło się zamieszanie. W zdumieniu niesłychanym skoczono mu na ratunek, ale on ruchem ręki wszystkich oddalał, poglądając jeno z gasnącym uśmiechem w twarz złotowłosej dziewczyny... Dopiero kiedy Ihezał, ciekawością wstręt na widok konania przemógłszy, głowę pochyliła nad rannym, on, charcząc gardłem przebitym, szepnął z trudnością:

— Musiałem umrzeć, bom słowa twoje zrozumiał i zostawszy przy życiu, byłbym spełnił, czego żądałaś!

Więcej mówić nie zdołał. — Ihezał także już nie pytała. Odwróciła się z odrazą od konającego i wzruszając z lekka ramionami, odeszła w głąb z wyrazem niesmaku i politowania na ustach purpurowych.

Słowa jej własne i śmierć ta, która bezpośrednio po nich nastąpiła, wydały jej się czymś wstrętnym; miała teraz wrażenie, że nie ona sama, lecz duch jakiś zły z niej przemawiał, i oczy naszły jej łzami, a serce wezbrało nagle niepokromioną miłością ku temu oddalonemu i jasnemu bogu... Garście pełne chłodnych, różowych pereł przycisnęła do łona i do lic rozpalonych, szepcąc w uniesieniu:

— Nie, nie, nie! Niechaj twe serce mocarne bije i grzmi, niech ja ginę raczej w próżnej tęsknocie! Pierwsza bym mordercę twego na męki srogie wydała, o ukochany!... i dobrze

¹¹³snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

¹¹⁴aza (daw.) — azali; czy. [przypis edytorski]

się stało, iż ten chłopak karę wymierzył sobie natychmiast, ośmieliwszy się pomyśleć to, com ja powiedziała!...

Jednocześnie zamajaczył jej jednak w oczach cień uwięzionego Awija: cztery oczy jego krwawe i skrzydła czarne, na gładzonej ścianie poniżej złotego Znak Przyjścia szeroko rozpostarte. Uczuła nieprzemogoną bezwiedną żądzę spojrzenia w te oczy straszne i urokliwe, aby zobaczyć w nich pogńębienie na widok darem przysyłanych jej łupów...

Mechanicznie, nie myśląc prawie, co robi, zesłała po schodach w głąb i otworzyła drzwi kaźni.

Awij wzniosł głowę. A ona, rozjarzywszy powoli i nie śpiesząc się zgoła wszystkie światła u stropu i po ścianach, bawić się poczęła w milczeniu różowymi perłami, przesypując je z dłoni do dłoni, aby blaski w nich grały tęczowe, i cieszyła się, że paznokcie jej palców podobny połysk mają i barwę. A potem nagle rzuciła kilka pereł na twarz potwora i zaśmiała się głośno, srebrzyście. Awij wtulił głowę w ramiona i śledził jej ruchy płonącymi oczyma. Ihezał zbliżyła się jeszcze więcej ku niemu.

— Czy poznajesz? — rzekła, pokazując mu ozdoby złote i kawałki tkanin przedziwnych, zza morza przez Zwycięzcę jej przysyłanych.

Na ustach jej igrał uśmiech niewinny, prawie zalotny.

On poznał przesypane przed oczyma swymi klejnoty — i na jedną chwilę czoło zaszło mu ciemnostalową, mętną barwą i zgasły krwawe źrenice, ruchliwymi powiekami nakryte. Wnet jednak rozwarł znów oczy i spojrzał bystro na dziewczynę.

— Czy poznajesz? — powtórzyła. — Oto dla igraszki przysłał mi podarki i świecidełka Zwycięzca wszystkimogący na znak, że przeszedł potężną stopą przez krainę szernów i poraził ich bronią piorunową! Zawojował miasta i wygładził ich mieszkańców! mury zburzył i okopy i wieżom kazał czołem do stóp swych uderzyć! Błogosławiony jest Zwycięzca, szernów pogromca, i błogosławiona gwiazda Ziemia, która go zesłała!

Coś jakby uśmiech zadrgało około rogowych warg potwora.

— Tak — rzekł po chwili — gruby człowiek, którego nazwaliście Zwycięzcą przedwcześnie, przeszedł przez kraj nasz i złupił miasta nasze, i mieszkańców ich pozabijał. Widzę w twych ręku klejnoty jasne, cząstkę skarbów nieprzebranych, któreśmy przez wieki zebrali, wtedy, gdy jeszcze ludzi nie było nawet na Ziemi, świecącej nam jasno, jak słońce ogniste i ruchliwe... Przeszedł wasz Zwycięzca nad morzem i przez kraj przeszedł niziny, a oto stało się, czego ty mi nie mówisz, ale ja wiem: do gór przyszedł wyniosłych i stanął przed nimi bezradny! Nie pomoże broń piorunowa i słupy żelazne, ogniem bijące: stanął Zwycięzca sławiony przed wyniosłymi górami, kędy są miasta szernów na cyplach skał! we wnętrzu skał ogromnych! Pogląda w górę, jak pies, któremu ptak ścigany uciekł na gałąź wysokiego drzewa. Oto jest moc waszego Zwycięzcy, oto jest jego potęga! Skrzydła szernów szerokie wyniosą ich dziś, jako przed wiekami, na szczyty skał, do domów niedostępnych, kędy szczydzić mogą z napastników i dumy ich nieposkromionej!

Zazgrzytał śmiechem złośliwym szern, żelazami do ściany przykuty, i wpatrzył się krwawymi ślepiami w dziewczynę, której ręce z wolna opadły wzdłuż bioder, sypiąc perły różowe na kamienną posadzkę więzienia.

— Czymże wy jesteście, istoty marne i niedoskonałe? — zaczął znów po chwili — czymże wy wobec nas jesteście? Chwalicie się swoim rozumem, a działaliście mało co więcej od psów, które w podobny sposób, jak wy, na Księżycu się rozmnażać umieją! Przybył do was człowiek z Ziemi i opowiada o urządzeniach, sztukach i wynalazkach, które tam mają...

— Przeszliśmy już dawno przez to wszystko, my, szernowie, i już nawet zapomnieć zdążyli, doszedłszy do tej mądrości dojrzałej, że trzeba tylko żyć i innym kazać pracować za siebie! Idź! powiedz swojemu Zwycięzcy, niech pójdzie na *Wielką Pustynię* i przeszuka gruzami, w pył się tam rozlatujące — a dowie się, o czym myśmy wiedzieli przed wiekami, kiedy jeszcze życia na Ziemi nie było! Niech sobie przypnie skrzydła i niech zdobędzie za morzem miasto nasze największe, na skałach wysokich — niech się nauczy czytać księgę tam ukrytą, a barwami tylko pisaną — i przekona się, jak znaliśmy Ziemię, gdy ona o nas nawet nie śniła — i jaki ciężar wiedzy odrzuciliśmy już z dawną jako rzecz niepotrzebną! To wszystko, czym wy usiłujecie nas pokonać, to, czym się dzisiaj na Ziemi chępcie, co sobie macie za rzecz najcenniejszą i wam tylko właściwą!

Dziewczyna słuchała tego potoku chrapliwych słów w dziwnym oszołomieniu, nie śmiejąc nawet oczu oderwać od postaci szerna, który wydał jej się nagle nie tylko straszny, ale zarazem i wyższą jakąś istotą... On snadź to zauważył, bo oczy błysnęły mu dumą nieposkromioną, zgola nieprzystojną dla jeńca, i mówić znów począł szyderczo:

— I cóż z chwilowej przewagi waszego Zwycięzcy? Jeśli nie powróci na Ziemię, to zdechnie tutaj, a wy — mimo broń piorunową — służyć nam będziecie po staremu!

Urwał nagle i wpił urokliwe oczy w twarz mieniącą się¹¹⁵ dziewczyny.

— Służyć nam będzie plemię człowiecze — rzekł — z wyjątkiem tej, która zechce zostać panią i pójdzie za szernem dobrowolnie w miasto cudowne, na górach zbudowane, aby tam z nim królować i mieć morców od psów posłuszniejszych i ludzi do usług jeńcami pobranych — i skarby nieprzebrane, od gwiazd ciemną nocą wyiskrzonych jaśniejsze! Królować będzie ludzka kobieta, przez szerna wybrana — królować będzie od chwili, kiedy pozna i zrozumie, że nie ma zła ani dobra, które ludzie słabi wymyślili, nie masz słuszności ani krzywdy, zasługi ani nagrody, kary ani grzechu, jeno moc jest jedna, w najwyższym tworze świata, w szernie wszystkimyślącym zawarta!

Oniemiała, przerażona lhezal wysiłkiem słabnącej woli wstecz się cofała, drżąc na całym ciele w dziwnym, niepojętym dla siebie samej uczuciu...

— Pójdź! — zawołał Awij.

Krzyknęła głośno i ku drzwiom się rzuciła. Na schodach upadła wyczerpana, wybuchając spazmatycznym płaczem.

Kiedy przysła wreszcie do siebie, posłyszała liczne głosy ludzi, wypełniających świątynię. Ulgę jej to sprawiło, że nie jest sama, i uniośszy się, pobiegła z radością niemal zmieszać się z tłumem.

Na kazalnicy, pustej od dawna, stał znowu arcykapłan Elem i opowiadał zgromadzonym słowa poselstwa od zwycięskich wojowników zza morza przyniesione. Sławił moc i odwagę człowieczego plemienia, sławił jedyne jego wywyższenie nad wszystkie twory świata, prawiąc zarazem o zwierzęcej ciemności i dzikości na zagładę skazanych szernów... Głos jego niezbyt donośny, ale przenikliwy, brzmiał ostro pomiędzy filarami świątyni, wywołując czasem silniejszym słowem dzwoniące gdzieś pod kopułą echo.

Prawił tak długo, aż wreszcie zakończył hymnem na cześć przez wieki oczekiwanego Zwycięzcy, który przybył z Ziemi, a kiedy spełni swe dzieło, na Ziemię znowu powróci. Gdy przestał mówić, zrobiła się cisza chwilowa — i wtedy zabrzmiał nagle głos od wejścia świątyni:

— Nieprawda! nieprawda! Zwycięzca nie przybył!

Wszystkie twarze zwróciły się w tamtą stronę. Na szerokiej podstawie filaru, plecami do niego przyparty, stał starzec w dawnym habicie Braci Wyczekujących, z głową ogoloną i płonącymi oczyma. Suchą rękę wznosił nad głowy ludu i trzęsąc nią w powietrzu, krzyczał w zapamiętaniu:

— Nieprawda! Kłamie Elem, zdrajca i pohańbiciel Zakonu! Zwycięzca nie przybył na Księżyc! to ja mówię, ostatni i jedyne już Brat Wyczekujący! Tamten jest fałszerz! Nie wstali umarli! nie wstali umarli!

Wszczął się ruch i zamieszanie. Wielu słuchało ze zgrozą słów starca, jakby odzywającego się głosu proroka, ale inni rzucili się ku niemu z nienawistnymi okrzykami, aby go ściągnąć i za drzwi świątyni wyrzucić. Skoczyli mu jednak na ratunek dziwni przybysze z okolic *Przesmyka*: rybacy półdżicy i do wszelkich trudów zaprawieni. Wywijali mocnymi pięściami, krzycząc:

— Prawda jest u proroka Chomy! Precz z Elemem! precz z fałszywym Zwycięzcą!

Wytworzyła się bójka u drzwi, w której nieliczni rybacy mimo rozpaczliwą obronę musieli ulec, pokrwawieni i razem ze starym Chomą za próg wyrzuceni. Na placu jednak otoczyli zakonnika zwartym kołem, a on, na barkach ich wzniesiony, mówić znów począł:

— Przekleństwo Księżycowi dla fałszu i obłudy! Oto Zakon świętej dziewicy Ady podeptany jest nogami, a ciało jej na proch spalone! Obrabowana świątynia i splugawiona zamkniętym szernem w miejscu, kędy Słowo było przechowywane! Biada, biada Księżycowi dla grzechu i zgorszenia! Nieprzyjaciel zesłał fałszywego Zwycięzcę, który lud

¹¹⁵mieniący się — tu: zmieniający się; zmieniający wygląd (wyraz twarzy). [przypis edytorski]

uwiódł, aby więcej już nie czekał! Mimo bojów, o których słyszycie, nie spełni on wybawienia — i przyjdzie gorsza niedola! gorsze zło i pohańbienie!

Ludzie z przerażeniem go słuchali, w teźże jednak chwili załomotał po bruku miarowy krok oddziału zbrojnych, przez arcykapłana wysłanych. Idąc zwartą kolumną, przez Zwycięzcę wycwiczeni, rozłamali w mgnieniu oka tłum, otaczając odłączonego od obrońców swych Chomę jakby żelaznym pierścieniem. Chciano go jeszcze odbijać, ale on sam dał znak zwolennikom, aby męczeństwu jego nie przeszkadzali. Tedy zbrojni ujęli suche ręce jego w kute łańcuchy i mając się przed napadem na baczności, powiedli więźnia ku przedsiomkom nowego arcykapłańskiego pałacu.

On sam, arcykapłan Elem, siedział już wewnątrz, krytym gankiem niedawno wzniesionym ze świątyni przeszedłszy — i rozmawiał z Sewinem. Zausznik stał przed nim pokorny i zastraszony na pozór gniewem zwierzchnika, ale chytre oczy jego zwracały się często porozumiewawczo na wzburzonego arcykapłana, zdając się więcej mówić niż usta.

— Dlaczego nie spełniono, czego chciałem? — wołał Elem — czemu pozwolono przyjść Chomie tutaj?...

Sewin skłonił nisko głowę.

— Wasza Wysokość ma niewątpliwie słuszność i wydaje zawsze mądre rozkazy, ale spełnić je w tym wypadku było trudno, zwłaszcza że Wasza Wysokość nie dozwoliła Chomy aresztować...

— Było tysiąc innych sposobów, aby go zatrzymać!

— Zapewne. Toteż moja wina, jako przełożonego policji Waszej Wysokości, że nie umiał wśród tego tysiąca znaleźć ani jednego skutecznego... Zresztą dłuższe pozostawienie szaleńca pośród rybaków, na jednym miejscu, groziło poważnym niebezpieczeństwem. Wyznawcy jego wzmacniali się i łączyli, mógł powstać wrzód na organizmie naszego państwowego ustroju. Dozwoliliśmy mu więc przenosić się z miejsca na miejsce i wszędzie rzucać ziarno raczej, niżby miał oczekiwać żniwa w jednym miejscu. Teraz zależy wszystko od woli Waszej Wysokości. Możemy rzadki zasiew kielkujący stłumić albo też wedle okoliczności pozwolić mu wzrósć, jak Wasza Wysokość uzna za stosowne... Choma spełnił swoje i jest dziś ujęty. Przyznam się nawet, że mu naumyślnie pozwoliłem dzisiaj dostać się do świątyni, właśnie dzisiaj, kiedy w doszłych nas z kraju szernów wiadomościach mamy przeciwwagę dla bluźnierstw obłąkańca...

Elem zamyślił się. Siedział przez chwilę nieruchomy, gładząc białymi dłońmi długą czarną brodę, i patrzył na Sewina — bez gniewu już, owszem, nawet z pewnym podziwem. Naczelnik policji oczy miał spuszczone, około ust błąkał mu się niewyraźny uśmiech.

— Niech go tutaj sprowadzą — rzekł nagle Elem. — Chcę z nim mówić sam.

Sewin skłonił się i wyszedł, a po chwili dwóch żołnierzy przywiodło do sali starca z okutymi rękoma. Arcykapłan dał im znak, aby się cofnęły, pozostawiając go sam na sam z uwięzionym.

Choma stał ze zmarszczonymi brwiami i wzniesioną głową, oczekując z pewnym ukontentowaniem męczeństwa, które sobie był przepowiedział z dawna. Zdziwił się tedy niepomiernie, gdy zobaczył, że arcykapłan przyjaźnie zbliżył się ku niemu i zgoła niegroźnym, owszem, poufałym ruchem kładzie mu dłoń na ramieniu. Cień przykrego zawodu przemknął po jego strupieszalej twarzy — zaraz jednak pomyślał sobie, że pewno słowa jego wzruszyły zatwardziałe serce arcykapłańskie i że to chwila odpowiednia, aby on je swoją wymową zmiękczył do reszty. Wzniósł tedy natchnionym ruchem okute dłonie i począł proroczyć¹¹⁶.

— Nieszczęścia spadną na Księżyc, jakich jeszcze dotychczas nie było! Szernowie skażą wszystkie niewiasty ludzkie, a potem wyschnie wielkie morze i pola przestaną rodzić. Będą umierali wszyscy po kolei, przeto iż nie czekali na prawdziwego Zwycięzcę, wskrzesiciela martwych, lecz obalamucić się dali samozwańcowi! Pustynia głodna wyjdzie z granic swoich i pochłonie kraj, gdzie ludzie mieszkali, aby nie zostało nawet śladu po grzesznikach!

Mówił długo, wymyślając coraz to nowe a straszniejsze klątwy i groźby, aż zamilkł w końcu zmęczony, gdy już sądził, że wzruszył dostatecznie serce arcykapłana. Dziwno mu tylko było, że Elem nie pada na kolana i nie kaja się przed nim. Wszakże rybacy

¹¹⁶proroczyć — dziś: prorokować. [przypis edytorski]

jego po wysłuchaniu czwartej części słów tak groźnych dawno bili już o ziemię twarzami, wyprzysięgając się grzechów nie tylko popełnionych, ale takich nawet, o których im się dotychczas nie śniło.

Elem spokojnie i z uwagą, choć z dziwnym uśmiechem na ustach, wysłuchał słów proroka — zdawało się, że ceni w myśli ich znaczenie i doniosłość; przy każdym szczęśliwszym i bardziej piorunującym zwrocie kiwał głową z uznaniem, robiąc natomiast niechętny ruch, kiedy się prorok powtarzał lub nudnym się stawał. W końcu uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Nieźle, nieźle! — rzekł, klepiąc Chomę po ramieniu. — Nie myślałem nawet tam, w *Kraju Biegunowym*, że jesteś takim mówcą, chciałem rzec: prorokiem!

Chomie zachowanie arcykapłana wydało się trochę nieprzystojnym¹¹⁷, nie chcąc jednak zrażać na wstępie tej nakłaniającej się ku niemu duszy, nie odrzekł ani słowa i ważył jeno w myśli, jaką by dalej wieść drogą dzieła nawrócenia.

Elem tymczasem usiadł i kazał mu zbliżyć się ku sobie. Prorok mimo woli przez dawne, wpojone latami posłuszeństwo wobec przełożonego podszedł ku niemu skwapliwie i gotów mu już prawie był oddać pokłon czołobitny, gdyby sobie nie był dość wcześniej przypomniał o zmienionej swej roli obecnie. Nie miał jednak czasu na dalsze rozważania, gdyż arcykapłan zagadnął znienacka:

— Ale powiedz mi, jakie ty masz dane, że przybyły z Ziemi Zwycięzca nie jest Zwycięzcą rzeczywistym? Tylko nie prorokuj już w tej chwili, lecz mów jasno i w porządku.

Choma wyciągnął ręce, ile mu na to kajdany pozwalały, i zaczął liczyć na palcach.

— Przede wszystkim nie powstali umarli, aby go witać, jak napisano. Po wtóre: dzień się nie zrobił wieczny, lecz noc po staremu zapada, wbrew słowom proroków dawniejszych. Po trzecie: nie rozwarło się *Morze*, aby mu do kraju szernów drogę utorować. Po czwarte: nie zwycięża szernów sam, lecz ludziom bić się z nimi każe. Po piąte... nie powstali umarli...

— To już było! — zawołał Elem — wymyśl jeszcze co nowego!

Choma zgniwał się i wpadł znowu w zapał prorocki, zwłaszcza że łatwiejszy on był od żmudnego wyliczania. Teraz jednak arcykapłan nie chciał go już słuchać tak cierpliwie, jak poprzednio. Owszem, przerwał mu potok dreszczem wstrząsających słów dosyć brutalnie i wezwał żołnierzy, aby go odprowadzili do więzienia.

— A wymyśl co lepszego, na wszelki przypadek! — zawołał za nim jeszcze.

Po czym żołnierze wywlekli proroka z izby, począł im się bowiem opierać, nie dlatęgo wprawdzie, aby pragnął tu dłużej pozostać, ale dla samej zasady, przeczuwając, że się zaczyna jego męczeństwo. Zdumiony też był znowu niemało, kiedy go wprowadzono do suchej i widnej celi i dano wszelkie skromne wygody, których zdrowie jego i wiek potrzebowały. Rozejrzawszy się po nowym swym mieszkaniu, pokręcił głową z podziwem i zapytał z pewnym onieśmieleniem strażnika przez okienko w drzwiach: kiedy będzie ukamienowany? Strażnik roześmiał się tylko szeroko i poradził mu, aby zjadł kawałek chleba, który ma na stole, bo pewnie jest głodny. Choma tedy z przyzwyczajenia zaczął go nawracać, namawiając, aby się odprzysięgł fałszywego Zwycięzcy, ale strażnik był śpiący i niewiele przeto słowom jego dostępny. Jakoż ziewnął wkrótce i zasnął właśnie w chwili, kiedy starzec był w połowie swoich przepowiedni o nieuchronnym i straszliwym księżycowego świata zniszczeniu.

Przed pałacem tymczasem na placu stał Sewin i mówił do ludu, wzburzonego z przedziwną tłumem logiką zarówno występem Chomy, jak i jego uwięzieniem...

Zausznika arcykapłańskiego powitano krzykiem i gradem obelg; on jednak przeczekał ten wybuch spokojnie i z zastygłym uśmiechem na chudej twarzy, a gdy się na mgnienie oka cisza zrobiła, skorzystał z niej natychmiast, aby zawołać:

— Jego Wysokość arcykapłan Elem przysłała mnie, aby się o waszej woli względem ujętego starca dowiedzieć!...

Te słowa dziwne sprawiły wrażenie. Lud przyzwyczajony był zawsze dowiadywać się o woli arcykapłanów i wtedy nie wahał się nigdy, co ma czynić: jeśli był w dobrym humorze, słuchał, jeśli w złym, oponował głośno i krzykliwie. Ale pytanie Sewina zmieszało tłum najzupełniej. Chciano dzisiaj Elemowi robić na przekór, a nie wiedziano, jakie są

Tłum

¹¹⁷wydato się (...) nieprzystojnym — dziś: wydato się nieprzystojne. [przypis edytorski]

jego zamiary. Nawet z postawy jego żołnierzy nie można było wywnioskować: siedzieli spokojnie z odłożoną bronią na stopniach pałacu i rozmawiali z sobą, przeciągając się w słońcu...

Krzyki ustały, zaczęły się natomiast w mniejszych kółkach zwady pomiędzy tłumem. Sewin i ten okres przeczekał spokojnie, a w końcu odezwał się, mimo że tłum zgoła woli swej nie objawił:

— Jego Wysokość cieszyć się będzie, że wola jego zgadza się najzupełniej z waszą. Istotnie postanowił on to, czego wy się domagacie: wybadać Chomę, który tymczasem wygodne ma w pałacu pomieszczenie, a następnie oddać go wam, abyście z nim wedle sądu swego postąpili...

Tłum rozszedł się, wychwalając Elema.

Pod koniec tego długiego dnia Ihezal odwiedziła znowu Malahudę. Gdy mu opowiedziała wszystko, co się wydarzyło, starzec zadumał się posepnie.

— Nie powinienem był dopuścić — rzekł po pewnym czasie — aby Elem wziął kołpak arcykapłański. Stał się błąd.

Ale na uwagę dziewczyny, że można to jeszcze naprawić, że dość mu się pokazać wśród tłumu, aby go z powrotem jako pana powitano, potrząsł głową przecząco.

— Mówiłem ci już raz — rzekł — i teraz powtarzam: za późno! Obecnie zjawiając się, wzmógłbym tylko zamieszanie. Tu muszę czekać, w ukryciu.

Ihezal nie nalegała. W ogóle dziwna była tego dnia: oczy jej patrzyły w świat jakby spoza mgły jakiej, usta miała poblądłe i drżące...

Kiedy przed zapadającym wieczorem wracała przez chłodne morze, twarzą ku złotemu, zachodzącemu słońcu zwrócona, lica jej kwitły niezdrowym rumieńcem, przez cienką białą skórę gdzieś od wnętrza przeświecającym — i czarne oczy, sino podkrążone, głębszymi się jeszcze wydawały niżli zazwyczaj.

Przybijając do brzegu posłyszala gwar tłumu, zgromadzonego jeszcze na placach i przed domami: kłótnie, nawoływania, śpiewy, kłótnie i targi, całą ruchliwą i zgiefku pełną małość dnia dzisiejszego — i wargi ściągnęły jej się nagle niepohamowanym obrzydzeniem. Przymknęła oczy, starając się wywołać przed nie postaci Zwycięzcy świetlaną, ale wbrew natężonej woli pod zwartymi powiekami zamajaczył jeno szerokoskrzydły, czarny cień szerna Awija, czterema krwawo płonącymi źrenicami w nią wpatrzony.

V

Stało się rzeczywiście, jak szern Awij przepowiedział.

Kraj nizinny pomiędzy brzegiem *Wielkiego Morza* a górami, wznoszącymi się już w pobliżu południowego bieguna, zawojował Zwycięzca zupełnie. Miast zburzył trzydzieści kilka i wytracił szernów tak na tym obszarze, iż śladu po nich nawet nie zostało. Czternaście długich dni księżycowych minęło od chwili, kiedy zdobywcy wylądowali na tajemniczym brzegu, i dotychczas szczęście wojenne szło za nimi bez ustanku i odmiany. Ale dnia czternastego, po upływie roku z górą — licząc po ziemsku — trudów i walk nieprzerwanych, znaleźli się z dala od morza, w kraju górzystym i niedostępnym.

Słońce szło tu już we dnie nisko, poza ich plecami położy¹¹⁸ łuk po niebie zakreślając, i długo w noc płonęła zorza wieczorna, świadcząca, że gwiazda dnia pełzła niegłęboko pod widnokręgiem schowana. Minięto już strefę burz południowych; dni były mniej upalne, a w nocy mróz nie tak silnie dokuczał.

Ogromne góry pierścienne wznosiły się przed nimi, jakoby twierdze. Ponad nieprzebytym pasem lasów i zarośli, podnóża gór pokrywających, błyszcząły w słońcu strome łąki zielone, głębokimi poryte żlebami... A wyżej był już tylko głaz lity, w turnie i krzesanice poszarpany i lśniącą koroną lodową z góry nakryty...

Obok tych pierścieni olbrzymich wznosiły się i inne, niskie a rozległe, z obłogu, lasem porosłego wału utworzone...

Na wąskich, zielonych dolinach między pierścieniami nie można było znaleźć żywej duszy. Tu i owdzie napotymano jedynie domostwa opuszczone i rozmyślnie zburzone;

¹¹⁸ *połogi* — pochyły, nisko pochylony. [przypis edytorski]

zwaliska te jednak wyglądały niepokojąco — snadź¹¹⁹ były to tylko szalasy pasterskie, które rzucono pośpiesznie i zniszczono bez żalu, uchodząc przed nadciągającym nieprzyjacielem.

Ale dokąd schronili się szernowie? Marek mimo woli zwrócił oczy na te potężne i przyrodzone twierdze kamienne, którymi kraj cały pokryty był ku południowi, jak okiem zasięgnąć. Góry piętrzyły się za górami, szanice olbrzymie, groźne i niezdojane. Zrozumiał Zwycięzca, że tutaj wyprawa jego niszczycielska musi się zakończyć — że odtąd jedynym dla niego zadaniem może być: nękać szernów tak w ich niedostępnych warowniach, aby wreszcie sami zażądali pokoju...

Zmarszczył brwi i usiadł na głazie, patrząc w dziwny kraj przed sobą... Pokój z szernami! — Pokój z szernami! — Wiedział, że równa się on klęsce, gdyż żadnej nie przyniesie korzyści ani też niczego ludziom nie zapewni... Kiedy stąd odejdzie, szernowie znowu wzrosną w moc i poczną znów lud niepokoić, nie dbając o przyrzeczenia i obietnice, jakie by od nich wymóc zdołał. Przez pewien czas będzie ich jeszcze powstrzymywała pamięć straszliwej klęski na równinach i groza imienia Zwycięzcy, ale potem? potem? Czy nie zechcą się owszem mścić tym srożej, aby powetować pogrom niespodziewany?

Dając ludziom broń palną, Marek pozostawił sobie tajemnicę wyrobu materiału wybuchowego — w tej myśli, że wracając na Ziemię po doszczętnym wytraceniu szernów, zabierze ją z sobą, aby nie dać ludziom możliwości używania tej broni straszliwej w celach walk bratobójczych...

Ale teraz widzi, że szernów zupełnie wygładzić nie zdoła. Więc co? Trzeba będzie dać ludziom i na przyszłość skuteczną obronę w ręce, trzeba ich będzie nauczyć wytwarzać środki wybuchowe i odszedłszy stąd, myśleć, jakie zgubne skutki może ta wiedza przynieść dla globu srebrnego...

Pełen troski pojrzał za siebie, na rozległe równiny przebyte — ciągnące się aż hen ku dalekiemu morzu, nad którym wlokło się słońce, nisko nad horyzontem zwieszone. Opuścić ten kraj zdobyty znaczyło to samo, co dać możliwość szernom zajęcia go na nowo i nowego wzrosnięcia w siły na tych żyznych łąkach, które snadź od wieków były ich śpichrzem... Cała wyprawa wtedy była na próżno podjęta i lepiej jej było zgoła nie zaczynać... A sprowadzić tutaj ludzi zza morza? rozdzielić między nich te pola? pomóc im pobydować domy i osady?

Wszakże kiedy on, Zwycięzca, stąd odejdzie, oni będą w takim razie pierwsi ofiarą mściwych szernów! Na wieki wieków trzeba by tych osadników skazać na życie wojenne, z dłonią przyrosłą do broni, z oczyma czujnymi, które by wciąż śledzić musiały, zali¹²⁰ od gór niedostępnych nie spada na nich nawała wrogów. I kto wie, czy mimo to wszystko jeszcze oprzeć by się zdołali, morzem od dalekich współbraci odcięci, zdani jedynie na własne siły w najbliższym szernów sąsiedztwie? Któż to wie, czy mężowie, tutaj osiedleni, nie staliby się z czasem niewolnikami szernów? czyby kobiety ich nie były zmuszone rodzić morców na nowe i wieczyste już rodu ludzkiego poharńbienie? Ludzie, mieszkający w dawnych miastach, za morzem, zamiast braci swoich wspomagać, gardzić by nimi jęli z czasem, jako istotami nieczystymi, wrogo stając przeciwko tym, którzy mieli być przedmurzem, ród ludzki od szernów chroniącym.

I to byłoby błogosławieństwo, które oczekiwany Zwycięzca przywiódł na świat księżycowy! to byłby czyn, za który przyszłe pokolenia święcić mają jego imię!

Zerwał się Marek i spojrzął na piętrzące się przed nim góry. Nie! tutaj się zatrzymywać nie można! Raz rozpoczętą grę trzeba doprowadzić do końca: zwyciężyć ostatecznie albo też paść — nie ma innego wyboru!

Wezwał Jereta i Nuzara. Gdy przyszli, aby rozkazów jego wysłuchać, on zwrócił się przede wszystkim do morca z zapytaniem:

— Gdzie są szernowie?

Nuzar wznosił na niego oczy zdziwione, nie wierząc, czy Zwycięzca pyta się, chcąc istotnie zasięgnąć wiadomości, czy też tylko, aby jego wy badać.

Ociągając się, wskazał ręką w stronę gór.

— Tam...

— Gdzie?

¹¹⁹snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

¹²⁰zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

— Tam, wewnątrz.

— Wewnątrz? poza tymi pierścinnymi łańcuchami skał?

— Tak.

— Czy byłeś tam?

Nuzar potrząsnął głową z przeczeniem.

— Nie. Oni tam morców nie dopuszczają. A zresztą...

— Co?

— Aby tam się dostać, trzeba mieć skrzydła, jak oni, szernowie. Skały są niedostępne.

Zwycięzca zamyślił się. Wtedy morzec, upewniwszy się szybkim spojrzeniem, że Jeret, odwrócony, nie słucha, wspiął się na gład i szepnął Markowi:

— Czy to już nie czas, panie... zdradzić? Szernowie się już schronili; moglibyśmy teraz zacząć polować na ludzi?

Marek, nie odpowiadając nawet, oddalił go skinieniem ręki. A potem spojrzał na Jereta.

— Cóż?

Jeret wzruszył niepewny ramionami.

— Trzeba mieć skrzydła...

Mówiąc to, patrzył w twarz Markowi. A on milczał przez czas niejaki, jeno brwi mu się nad oczyma powoli w jeden twardy łuk ściągały, aż wyrzekł wreszcie stanowczo:

— Więc będziemy mieli skrzydła. Wola nasza skrzydłami nam będzie.

Jeretowi twarz się rozjaśniła. Szybkim ruchem pochylił się do stóp Markowych.

— Tyś jest naprawdę zesłany na ten świat Zwycięzca!

Za mało¹²¹ składano już rozbite namioty i gotowano się do dalszej wyprawy. Marek rozumiał, że przede wszystkim musi okazać szernom moc swą nieodpartą, zaczepiając ich i gromiąc tam, gdzie czuli się zupełnie bezpiecznymi. W tych górach pierścinnych były bez wątpienia ich miasta ukryte; ale który z tych niezliczonych wałów skalnych warto było przebywać? Czy wszędzie szernowie mieszkają? Jeżeli po trudach niesłychanych po to tylko na złodowaciałą grań się z wojownikami wydostanie, aby ujrzeć przed sobą pustą kotlinę?

Pytani morcy, których Nuzar ongi pobrał, nie umieli dać pewnego objaśnienia. Nie byli z tych stron i podawali sprzeczne i chaotyczne wskazówki... Wnioskowanie również nie prowadziło do niczego. Jeśliby szernowie w tym kraju byli dawniej niepokojeni, pobudowali by miasta swe wśród pierścieni górskich co najniebezpieczniejszych, ale jeśli pokój tu zawsze mieli i kryć się przed żadnym wrogiem nie potrzebowali, cóż by ich zmuszało do wybrania miejsc obronnych i trudnych? czyż nie usadowiliby się raczej od wieków wśród tych położeń, lasem porośniętych wałów? Z drugiej jednak strony mogli teraz, opuściwszy dawne siedziby, uciec właśnie przed najazdem w góry, dające im pewne i bezpieczne schronienie.

Na wszelki sposób uczuł Marek, że stoi wobec problemu, który samym myśleniem nie da się rozwiązać. Trzeba będzie próbować, szukać, zdobywać. Z tą też myślą niewesołą ruszył w stronę bieguna południowego, pozostawiając na razie przypadkowi dalszy wybór drogi.

W ciągu dnia jeszcze obesli rozległy, lesisty wał jednego z niższych pierścieni górskich i przed zachodem słońca stanęli w miejscu, gdzie wał przerwany jakoby bramą szeroką do poziomu opadał, otwierając wygodną drogę do wnętrza. Kotliną to była olbrzymia, w stosunku do otaczającego ją lądu nieco wgłębiona, a na niej z rzadka rozsiane kopce niełączących się z sobą pagórków i stawów kilka cichych i zamarłych.

Noc długą, ale niezbyt już mroźną, przepędzono u wejścia owego, mając się na ciągłej baczności przed napadem szernów. Ale szernowie się nie zjawili. Więc z pierwszym brzaskiem dnia, zaledwie świt szary kontury gór począł na gwiazdzystym jeszcze niebie rysować, pchnął Zwycięzca swoje szeregi we wnętrze kotliny.

Przeszli ją wszerz i wzdłuż, badając każdą wyniosłość gruntu, każdy załom nielicznych pagórków. Znalezione jednak tylko osady opuszczone, jak tam — w kraju odkrytym, pola niedawno jeszcze uprawne i ślady pośpiesznej ucieczki... Szerna nie spotkano ani jednego.

¹²¹za mało — tu: niedługo, wkrótce. [przypis edytorski]

Nie ulegało już teraz wątpliwości, że mieszkańcy schronili się w okolicy niedostępne i tam gotują się do obrony. Spojrzenie Marka zwróciło się mimo woli na olbrzymi, turniami zjezony pierścień, wprost naprzeciw owej bramy otwartej na południu się wznoszący. Kilkadziesiąt kilometrów dzieliło szczupły zastęp zdobywców od tej niezdobytej zaiste twierdzy, co lśniła przed nimi lodami szczytów w jasnym słońcu porannym.

Zwycięzca wznosił rękę i wskazał zawieszoną pod niebem grań Jeretowi.

— Tam was powiodę.

Młodzieniec skłonił głowę na znak posłuszeństwa.

— Pójdziemy za tobą wszędzie — rzekł.

Zaczęła się tedy mozolna wyprawa. Od północnej strony ściany, ponad lasami widoczne, wydały się Markowi tak niedostępnymi, że postanowił raczej ze stratą czasu pierścień okrążyć, szukając jakiej przełęczy, którą by łatwiej można dostać się do wnętrza. Ale im dalej się posuwano, tym silniej występowało u Marka wrażenie, że idzie razem ze swymi ludźmi wzdłuż muru okólnego¹²² twierdzy wprost niezdobytej. Obawiał się przy tym zasadzki i nie śmiał się w głąb lasów zapuszczać, aby z bliższa poszukać możliwego do przebycia miejsca.

Na Ziemi drugi już tydzień upływał, odkąd tak zaczęli krążyć około olbrzymiego „krateru”, i zbliżyło się księżycowe południe, kiedy natrafili na stok z lasów ogołocony i mniej, jak się zdawało, bystry¹²³. Tędy powiódł Zwycięzca swoich wojowników.

Doszedłszy do pewnej wysokości — po łąkach zrazu bujnych, a następnie coraz skąpiej zieleń porosłych, przez które nierzadko kamienny calec¹²⁴ wydobywał się na wierzch twardymi łysinami — przedzierali się potem w górę przez pola ogromne, grubym piargiem zasłane, skacząc z kamienia na kamień w ciągłym i mozolnym trudzie... Ze śniegów, szczyt pierścienia wieńczących, spływające potoki ginęły tutaj bez śladu wśród głazów, tak że pragnienie coraz dotkliwsze nękało wstępujących ludzi. Padali już prawie ze znużenia, ale żaden nie śmiał nawet zażądać odpoczynku: wszystkie oczy patrzyły jeno na Zwycięzcę, krocącego na czele gromady — dopóki on szedł, nikt się zatrzymać nie chciał.

Marek zarządził częste postoje, ale bawił na nich krótko, chcąc się co rychlej wydostać nad piargi, gdzie by mógł znaleźć ciekącą po skale wodę. Lecz pola, okrucieństwem skalnym zasypane, przeciągać się zdawały w nieskończoność... Po usypisku z głazów ogromnych jak domy, między którymi były tak wielkie szczeliny, że jeno dzięki małej wadze ciał na Księżycu wojownicy przesadzać je zdołali, przyszła kolej na piargi jeszcze uciążliwsze, drobne i ruchome, które usuwały się za każdym krokiem spod nóg, ciągnąc ludzi wstecz za sobą. Wzięto się tedy nieco w bok ku sterczącej grzędzie kamiennej.

Popękana była i niepewna przez mnóstwo luźnych głazów ruchomych, zwodniczo w calec wciśniętych. Nogi tu już nie wystarczały; trzeba się było uciekać do pomocy rąk.

W pewnej chwili zdawało się idącym na przedzie, że widzą szernów w pobliżu, ale wnet pokazało się, że była to tylko złuda. Zwierz jakiś górski przemknął między kamieniami i przepadł z oczu... Gorączkowe zwidzenia poczęły nachodzić ludzi, wyczerpanych pragnieniem i trudem. Sił ubywało.

W jednym miejscu, gdzie trzeba się było na drugą stronę grzędy przerzucić, aby ominąć gładkie krzesanice, jeden z żołnierzy zatoczył się i runął w przepaść. Idący za nim stanęli nagle. Niektórym poczęły drżeć nogi, a palce rąk, kurczowo w szczeliny kamienia wciśnięte, zwierały się coraz mocniej, tracąc już czucie. Poczęto się oglądać za siebie i przysiąść, ile miejsce na to pozwalało. Nastąpiła chwila przygnębiającego milczenia, naraz ktoś jęknął, w innej stronie odpowiedziało mu westchnienie spazmatyczne... Dał się słyszeć łoskot drugiego ciała spadającego. Tym razem żołnierz jakiś skoczył sam w przepaść, głową w dół, z rozłożonymi rękoma...

Chwila jeszcze...

Wtem na przodzie, wśród garstki z kilku śmielszych i zręczniejszych złożonej, którzy nie spostrzegli upadku dwóch towarzyszy, pnąc się całym wysiłkiem w górę, rozległ się zbawczy okrzyk:

— Woda! woda!

¹²²okolny — dziś: dookolny; okalający. [przypis edytorski]

¹²³bystry — tu: stromy. [przypis edytorski]

¹²⁴calec — tu: odosobniona, naga skała. [przypis edytorski]

Zapomniano o wszystkim — rzucono się naprzód w szalonym pośpiechu. Ludzie, przed chwilą już ubezwładnieni, pieli się teraz z niepojętą zrećnością po zębatej i stromej grani — osłabli nowych sił skądś dobywali. Zaczęto wykrzykiwać radośnie i prześcigać się wzajemnie.

Grzęda kończyła się tutaj tępo, przyparta do szerokiej i obszernej półki, w wielkiej części trawą porosłej i przerznętej głębokim żlebikiem, na którego dnie szemrał potok, w piargach poniżej ginący.

Marek patrzył, jak ludzie cisną się, chwytając wodę rękoma, ustami, w czapki i blaszanki — jak kto mógł i zdołał. Napad szernów w tej chwili mógłby być zgubny po prostu, ale na szczęście żadnej żywej duszy nie było naokół... Mimo to zrozumiał Zwycięzca, że w ten sposób dalej posuwać się nie może, jeżeli nie chce stracić ludzi tych i siebie. To też kiedy ugaszono pierwsze pragnienie, nakazał rozłożyć się wojownikom na spoczynek, a sam, dobrawszy sobie kilku co najśmielszych ludzi i morca Nuzara do towarzystwa, ruszył w górę, ażeby wyszukać najlepsze przejście na grań — a nadto, stanąwszy tam, przekonać się, czy wwozić na nią żołnierzy warto, to jest, czy we wnętrzu pierścienia kryje się istotnie osada szernów...

Chciał i Jeret iść z nim razem, ale on kazał mu zostać z wojskiem i baczyć, aby ich z nagła nie napadnięto.

Wchodzenie wzwyż było istotnie nader mozolne. Marek, myśląc ciągle, że trzeba mu się będzie tędy przedzierać całą gromadą zbrojnych i objuczonych ludzi, wyszukiwał i wybierał przejścia co najłatwiejsze, co pociągało za sobą znaczną stratę czasu... Mijały godziny długie; słońce skryte za bystry zrab skalny — szli bowiem po stoku północnym — przechyliło się na zachód i spojrzawszy wędrownikom w twarz z lewej strony, prążyć ich zaczęło złotawymi już promieniami... Trudności przejścia zwiększały się z każdym niemal krokiem. Przerzucać się musieli na półki bystre, pośród krzesanic nad przepaściami zwieszane, i drzeć się nieraz w górę kominami pełnymi zapartych głazów, które pochód znacznie utrudniały... Znaczono za sobą drogę, ustawiając małe kopce z kamieni w miejscach widocznych, na wystających cyplach skalnych lub skąpych trawnikach.

Nie doszli dotychczas do linii wiecznego śniegu. Charakter skały zmuszał ich do pożądanego trawersu ku wschodowi, z małym tylko wznoszeniem się w górę. Krążyli tędy popod granicą śniegu, przecinając tylko zasiane nim żleby, które jednakowoż zbyt bystre były i z góry obcięte, ażeby mogły służyć za prostą drogę wzwyż.

Wreszcie natrafiono na żleb, nie szerszy wprawdzie od innych, ale znacznie mniej stromy i pnący się w górę bez przerwy aż do szerokiej śnieżnej przełęczy. Nadto zastanowiły Marka na śniegu jakieś ślady. Były to jak gdyby odciski palczastych nóg szernów i bruzdy, wydarte snadź¹²⁵ przez ciężkie, wciągane tędy przedmioty.

Teraz nie wątpił Zwycięzca, że znalazł drogę właściwą i że we wnętrzu górskiego pierścienia spotka szernów istotnie.

Nie było celu odbywać dalszej drogi samotnie i tracić czasu na to niepotrzebnie. Zatrzymawszy tedy tylko Nuzara przy sobie, odesłał resztę ludzi z powrotem, aby cały oddział sprowadzili znajomym już sobie przejściem.

Nastaly długie godziny oczekiwania, więcej jeszcze męczące niż wspinanie się w górę. Nuzar zwinął się w kłębek pod jakimś głazem, jak gdyby zwierzę, i spał na śniegu; Zwycięzcę poczęły w samotności dręczyć różne myśli i obawy. Żałował już, że nie poszedł sam po towarzyszków — wysłańcy mogli przeoczyć kopce, dość rzadko stawiane, i nie trafić na właściwe miejsce... Bał się nadto, czy bez jego pomocy i towarzystwa ludzie zdołają pokonać trudności przejścia — czy przy jakim nieuchronnym wypadku nie wybuchnie znów popłoch, czy nie ogarnie ich zaraźliwym tchnieniem straszliwa góraska choroba na widok skał niedostępnych i zionących zewsząd przepaści?

Wreszcie pomyślał także o niebezpieczeństwie ze strony szernów, o którym w ciągłym trudzie wstępowania zapomniał był zupełnie. Wszakże każdej chwili mogli oni wypaść z zasadzki i zniweczyć doszczętnie szczupły zastęp po prostu strącanymi z góry kamieniami!

¹²⁵snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Czuł, że na tę myśl przerazenie dławi mu dech w gardle. Zrozumiał teraz dopiero, jak szaleńczo i lekkomyślnie zapuścił się w turnie z garstką oddanych sobie i wierzących w niego niezłomnie ludzi.

Spojrzał na śpiącego Nuzara i zawahał się, jakby go chciał obudzić... Ale wnet porzucił ten zamiar jako śmieszny i niepotrzebny. W czymże mógł mu teraz być pomocny ten morzec o mózgu na wpół zwierzęcym?

Niepokój jednak nurtował go coraz większy, nie pozwalając mu usiedzieć na miejscu. Wstał i ruszył sam powrotną drogą na grzędę, ograniczającą żleb od zachodu. Gdy stanął na niej, wyszedłszy z cienia, słońce oblało go żywe. Przymrużył oczy pod blask i począł się pilnie rozglądać wkoło. Badał przez szkła każdy cypel skalny, każdy załom i szczelinę, ale nie dojrzał niczego oprócz głazu i kamienia.

Snadź¹²⁶ szernowie, zbyt ufając niedostępności skał, nie pomyśleli nawet o potrzebie zasadzki... Prawdopodobnie nie wierzyli, aby się Zwycięzca na to szalone przejście odważył, a tym mniej, aby znalazł jedyną może ludzkim nogom dostępną drogę na szczyt.

Odetchnął swobodniej. Z tej strony przynajmniej nie groziło mu niebezpieczeństwo na razie.

Miał już schodzić w dół, aby iść naprzeciw swego zastępu, ale naraz ogarnęło go nieprzemожone lenistwo. Rozciągnął się na skale w słońcu z myślą, że chwilę jeno krótką odpocznie, zaledwie jednak głowę na złożonych ręku położył, sen go zmorzył słodki i głęboki...

Po jakimś czasie zbudziło go lekkie dotknięcie. Otworzył z trudem rozespane oczy. Nuzar siedział przy nim i wskazywał ręką w dół.

— Idą, panie — rzekł.

Marek zerwał się na równe nogi.

— Szernowie?

— Nie. Twoi ludzie idą, Zwycięzco.

Na próżno jednak patrzył Marek w wskazaną stronę. Bystre oczy morca dostrzegły, czego on przez szkła nawet nie mógł wysledzić. Przypuszczał już, że się Nuzar pomylił, gdy doleciał go wreszcie ledwo dosłyszalny gwar zmieszanych głosów. Spostrzeżono go snadź¹²⁷ z dołu, stojącego na wyniosłej grzędzie na tle białych śniegów, i podniesiono okrzyk powitalny. Jakoż dostrzegł wreszcie drobne, poruszające się mrowie pośród głazów. Jego ludzie zbliżali się istotnie.

Za kilka godzin ruszono razem w górę. Co silniejsi szli przodem, rąbiąc na zmianę szerokie stopnie w śniegu, w które wstępowali idący za nimi, tak się z wolna ku przełęczu posuwając żlebem, bystrzejszym miejscami, niż się początkowo z dołu patrzącym wydało. Droga była uciążliwa i zawrotna. Słabszych i skłonniejszych do górskiej choroby powiązano długimi linami, zabezpieczając ich w ten sposób od upadku. Nadto Marek zakazał zbrojnym surowo oglądać się poza siebie. Szli zatem naprzód w milczeniu, bojąc się krzykiem lub pieśnią ostrzec szernów przedwcześnie — wszyscy w błękitne niebo nad białym śniegiem przełęczu wpatrzni...

Nieraz zdawało się naprzód idącym, że już tylko kroków kilkadziesiąt od siodła ich dzieli, że niewielkiego jeszcze tylko potrzeba wysiłku, aby osiągnąć cel upragniony — i rąbali śnieg coraz twardszy z niecierpliwym pośpiechem — ale wkrótce nadzieja okazywała się złudną; siodło, które za grzbiet najwyższy już mieli, było tylko progiem, poza którym rozciągała się znowu ku górze pochyła, lśniąca płaszczyna... Więc ręce znużone im mdały, a w oczach blaskiem osłepłych śnieg nagle czerniał i zdawał się falować jak morze... Marek wtedy stawał sam na przedzie i powtarzając gromko rozkaz: „Nie patrzeć! nie patrzeć w dół!” — wiódł upadających ze znużenia, wolą jego zahipnotyzowanych, wciąż wyżej i wyżej.

Właściwy żleb już się zakończył, rozlany w górze w obszerne, nieco wklęsłe pole śnieżne. Rąbanie stopni na niezbyt pochyłej płaszczynie było już zbyteczne, toteż łańcuch idących rozspął się wnet szerokim półkolem. Każdy szukał sobie tu drogi sam, jak mógł i umiał.

¹²⁶snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

¹²⁷snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

I naraz stała się rzecz dziwna. Przed oczyma żołnierzy, tylekroć zawiedzionych w nadziei, że szczytu już dochodzą, nagle w najmniej spodziewanej chwili otworzył się widok do wnętrza tego olbrzymiego kotła w pośrodku górskiego pierścienia, a idący za nimi nie zdawali sobie jeszcze sprawy, że towarzysze ich już najwyższe wzniesienie w przełęczu osiągnęli... Dobiegali ich tedy małymi grupami i stawali z kolei sami w podziwiew wobec tego widoku, nawet dla ich księżycowych oczu nadzwyczajnego. Z niezmiernej wysokości patrzyli na ogromną dolinę okrągłą, otoczoną ze wszech stron potężnym wałem górskim o lodowych szczytach. Dolina lśniła się całą przepyszną zielenią, od której odcinały się ciemniejsze oka pawie licznych stawów. Małe wyniosłości, jak gdyby kopce zielone, rozsiane były z rzadka po dnie kotliny, wspinającej się łagodnymi piętrami ku lesistym zboczom gór. Na piętrach owych i na wzniesieniach, a także u brzegów niektórych stawów bieleły się małe osady, rozległymi sadami otoczone. Ale w pośrodku doliny sterczał mniej więcej do połowy wysokości okolnego wału górskiego potężny, tępo ścięty stożek, dźwigający na szczycie obronne i wielkie miasto, najeżone setką wież i dziwnych budowli strzelistych.

Cień południowo-zachodniego grzbietu pierścienia zaścielał już większą część doliny, kryjąc w szafirowej cigezi¹²⁸ pogasłe stawy, i otulał podnóże stożka, pelzając wolno wzwyz ku bramom miasta, które paliło się całe złote i purpurowe w blaskach chylącego się na widnokręgu słońca...

Marek stał długo i patrzył oniemiały na ten cudownie piękny i cichy kraj, który — nim słońce zgaśnie — on miał zamienić na widownię walki, najkrwawszej może, jaka dotychczas na Księżycu była stoczona — gdy nareszcie wyrwały go z zadumy głosy żołnierzy, urywane i świętym jakimś tchnące lękiem.

Obejrzał się. Ludzie jego stali od tajemniczej krainy szernów odwrócen i z podziwem pokazywali sobie jakąś rzecz nadzwyczajną na dalekim południowym horyzoncie. Ponad krainą, jak gdyby morze falami, tak w nieskończoność gdzieś idącymi górami zwelnioną, wgrzyzał się w ostrą piłę najdalszych szczytów obłok jakiś nikły i białawy, kolisto górą sklepiony i dziwnie odmienny...

Przez długi czas nie mógł sobie Marek zdać sprawy z tego zjawiska, aż nagle — usta mu zadrgały... Tak! wszakże znajduje się już w pobliżu bieguna południowego i w tej wysokości!... Tak, tak! ten skrawek znikomy, ten wąski sierp biały, w dole zębatym od gór widnokręgiem poszczerbiony!...

— Ziemia! Ziemia! — poczęto tymczasem już głośno wołać pośród żołnierzy.

Niektórzy padali twarzą na śnieg, inni wznosili ręce i trwali tak, pełni zachwytu, nie mogąc zrozumieć, jak gwiazda, z innego krańca księżycowego globu dla nich widoczna, tutaj zjawia się znowu przed ich oczyma!

— Ziemia idzie za Zwycięzcą! — szepnął ktoś zbladłymi ustami¹²⁹.

— Ziemia przyszła patrzeć na szernów pogrom ostateczny.

Jeret rozłożył ręce szeroko:

— Ziemia jest wszędzie! — zawołał. — Oczy ludzkie widzą ją na jednym miejscu i nieruchomą, ale ona okrąża tarczę Księżyca i pilnuje granic *Wielkiej Pustyni!*

— Ziemia jest wszędzie! — zakrzyknęto chórem.

I wnet ludzie padać poczęli na twarz przed Zwycięzcą, sławiąc go, świętego Ziemi wysłańca.

A on stał nieporuszony, zapomniawszy w tej chwili o szernach i korzącym się u stóp jego ludzie, i patrzył na białą zjawę ojczyzny swojej skroś nieba — po raz pierwszy wilgotnymi oczyma...

VI

W niskiej i ciasnej izdebce gwar panował nieopisany. Czekano na mistrza Rodę, który spóźniał się dzisiaj nad miarę, i skracano sobie czas gorącymi dysputami, przechodzącymi co chwila w spory zażarte. Młodzi ludzie, podnieceni, z błyszczącymi oczyma przyskakiwali do siebie, krzycząc i wywijając rękoma, o ile tłok i szczupłość miejsca na to pozwalały.

Jakiś chłopak o płonących oczach i rozwichrzonej czuprynie dowodził zapamiętane:

¹²⁸cigeż a. cigeć — cień. [przypis edytorski]

¹²⁹usty — dziś N.lp: ustami. [przypis edytorski]

— Czyny, jakich tak zwany Zwycięzca dokonywa, nie wchodzi w rachubę! Jest to obojętne, co zdoła, chociażby na naszą względną korzyść, wobec tej sumy naszych krzywd w stosunku do ludzi zamieszkujących *Wielką Pustynię*... My tam musimy się dostać, tam żyć!

Na krawędzi stołu siedział człowiek niestary, ale z głową niemal zupełnie wyłysiałą i z twarzą gładką, bez zarostu, uśmiechającą się ustawicznie jakimś przyrośłym do ust grymasem. Wypłowiłe rybie oczy zwrócił na mówiącego i odezwał się, kołysząc z lekka górną połową ciała:

— A ja powtarzam: tam nie ma miejsca już dla nas...

— Musi być! — krzyknął tamten zapamiętale.

Łysy człowiek mówił głosem spokojnym i monotonnym:

— Nie ma miejsca dla nas. Jaskinie i pieczary, w których oni żywot, wierzę, iż rajski, prowadzą, szczupłe są niewątpliwie w stosunku do zaludnienia...

— Więc niech nam miejsca ustąpią! Niech oni idą tutaj bić się z szernami!

— Tak, tak! — krzyknęto ze wszech stron.

Łysy człowiek uśmiechał się ciągle.

— Jak ich zmusić do tego? co? nie wiecie?

Jakiś zapaleniec o wychudłej, poczerniałej twarzy przyskoczył do niego z pięściami:

— Mataret! milcz! jesteś przekupiony...

Hałas wszczął się znów większy. Izba huczała, jak wnętrze ula podczas roju; w powietrzu krzyżowały się krzyki, dowodzenia, wołania. Chwilami, kiedy gwar na jeden moment przycichał, słychać było miarowe, uparcie powtarzane słowa Matareta:

— A ja wam mówię, że miejsca tam już nie ma...

Dalsza część zdania ginęła jednak nieodmiennie w zrywającym się znów zapamiętłym wrzasku.

W pewnej chwili ktoś stojący koło drzwi zawołał:

— Roda idzie!

Zwrócono się żywo, aby witać mistrza.

Jakoż wszedł istotnie, a raczej wbiegł, rzucając się natychmiast bez tchu na najbliższe krzesło. Był bez czapki — bluza na nim była rozdarta — zmierzwił włosy i liczne sińce na twarzy i odkrytej piersi świadczyły o przebytej walce.

— Co się stało? mistrzu! — poczęto wołać do niego ze wszystkich stron.

Roda dał znak ręką, aby się uciszono. Siedział z głową bezwładnie na poręcz krzesła opuszczonej i dyszał ciężko. Oczy miał przymknięte — wśród zakrwawionych warg widać było dziurę, powstałą przez wybite dwóch zębów przednich.

Mataret jeden nie ruszył się z miejsca. Siedział wciąż na stole i ze zwykłym uśmiechem patrzył spod przymrużonych powiek na mistrza.

— A nie mówiłem! — rzekł po chwili. — Pewnie znowu miałeś kazanie do ludu!

Roda się zerwał. Oczy mu się zaiskrzyły; wzniosł w górę pięść, sterczącą z podartego rękawa, i potrząsając nią groźnie, począł wołać zapuchłymi od uderzeń ustami:

— Niegodni! niegodni niewolnicy! podły ciemny tłum! bydło!

— To racja — przyświadczył spokojnie Mataret — ale powinieneś być o tym wiedzieć już od dawna...

Roda rzucił mu z boku wściekle spojrzenie.

— Tak! ciebie nic nie obchodzi, niczemu snadź¹³⁰ nie wierzysz naprawdę! Byleś mógł siedzieć na stole, kiwać się i uśmiechać, to cóż ci szkodzi, że kapłani lud bałamucą? że tak zwany Zwycięzca wyzyskuje go haniebnie do swoich celów, że jedyna chwila ratunku może minąć niepowrotnie i na darmo! Cóż tobie szkodzi, że tłum żyje w karygodnej i oplakanej ślepotie, własnego dobra nie rozumiejąc, że ciągle oczy na bezpłodną Ziemię wywała, nie chcąc poszukać należnego mu raju tu, gdzie on jest, tu — na Księżycu! Tobie to jest obojętne, ale ja, ja chcę...

— Zbierać sińce koniecznie! — dokończył Mataret.

— Chociażby nawet! W każdym razie mam to przeświadczenie...

Zaczął krzyczeć znowu tak, że w rozgwarze podnieconych głosów ginęły słowa mistrza. Niektórzy wołali, że arcykapłan Elem i jego wysłannicy winni są wszystkiemu, oni

¹³⁰snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie; tu: właściwie. [przypis edytorski]

to bowiem lud wrogo przeciw apostołom prawdy podburzają — i trzeba tedy z arcykapłańską przewagą bój rozpocząć; inni, rozsądniejsi, wykazywali natomiast niemożliwość mierzenia się z siłami władzy, przynajmniej dziś, na razie, do czasu...

— Lud jest nam wrogi — mówili oni — nie przekonamy go ani nie przeciągniemy masy na naszą stronę! Wszelkie wysiłki okazały się daremnymi! Trzeba nam działać na własną rękę!

Po pewnym czasie godzili się na to wszyscy, ale nikt nie umiał sobie zdać jasno sprawy, na czym owo działanie na własną rękę ma polegać.

Matareta, który wystąpił ze zdaniem, że najlepiej dać pokój wszystkiemu, gdyż lud jest widocznie po to, aby był głupi i nieszczęśliwy, zakrzyczano natychmiast i omal nie ukamienowano. Całe szczęście, że w pustej izbie nie było przedmiotów mogących posłużyć do tego tradycyjnego i doraźnego wymiaru tak zwanej sprawiedliwości.

Wreszcie mistrz Roda zabrał głos. Uspokoilo się nieco, a on zaczął mówić obszernie, powtarzając na wstępie po raz setny to, o czym wszyscy zgromadzeni wiedzieli i czemu wierzyli niezłomnie. A więc mówił o niezamieszkaney Ziemi i odwiecznym obywatelstwie ludzi na Księżycu, o bajkach kapłańskich i o niewątpliwym raj, który się znajduje na tamtej, rzekomo pustej stronie Księżyca.

Słuchano go z należnym szacunkiem, ale niezbyt uważnie, gdyż każdy z obecnych znał już te rzeczy na pamięć. Ożywiono się natomiast, gdy zaczął wyliczać krzywdy, jakie oni, w Bractwo Prawdy związani, ponieść musieli od społeczeństwa i władzy. Wyśmiewano ich i prześladowano na każdym kroku. Zgromadzenia odbywać muszą potajemnie z obawy przed arcykapłańskimi siepaczami, a publiczne występy członków Bractwa w celu szerzenia prawdy przynoszą tylko, jako jedyny plon, sińce, guzy i rany. Tu słuchacze zaczęli żywo potakiwać, zwłaszcza że mało było między nimi takich, którzy by nie stwierdzili byli na sobie w bolesny sposób prawdziwości słów mistrza.

— A jednak — prawil Roda — nie wolno nam sprawy zaniedbywać! Obecnie bawi na tej stronie Księżyca człowiek, z tajemnego wnętrza *Wielkiej Pustyni* przybyły — i my musimy skorzystać z jedynej sposobności, aby odkryć drogę do wydartej nam szczęśliwej ojczyzny! Użyliśmy wszelkich środków, aby rozbudzić tłum i otworzyć mu oczy na istotne cele rzekomego Zwycięzcy. Gdyby się nam to było powiodło, gra byłaby już łatwa! Zwycięzca po powrocie z krainy szernów, gdzie nadzwyczajne pono za krew naszych rodaków odnosi przewagi, byłby ujęty i tak czy owak zmuszony do wydania swej tajemnicy. Wiecie jednak wszyscy, że wszelkie usiłowania nasze spełzyły na niczym, rozbijając się o przemożną głupotę ludzką, która wierzy łatwiej¹³¹ starej i naiwnej a niedorzecznej bajce o ziemskim człowieku pochodzeniu, niż najoczywistszej i płodnej w skutkach swych prawdzie! Jedna nam tedy droga pozostaje, którą Bractwo Prawdy może iść samo i bez pomocy niczyjej pożądaný cel osiągnąć!

Urwał na chwilę, a uczniowie i wyznawcy zaczęli się tłoczyć koło niego i prosić, aby odkrył wreszcie myśl swoją, którą już od dawna wyjawic przyobiecał. Nawet Mataret przestał się uśmiechać i przechylił się nieco w stronę mówiącego, aby lepiej słowa jego słyszeć.

Roda rozkrzyżował ręce, kładąc je na ramionach dwóch najbliższ stojących towarzyszy; twarz jego, pokaleczona i posiniąta, rozjaśniła się blaskiem jakiegoś złego uśmiechu.

— Musimy opanować wóz — rzekł — tam, w *Kraju Biegunowym*...

— Wóz Zwycięzcy! — zakrzyknęto.

— Tak jest. Zwycięzca może pobić szernów i lud uwodzić jak mu się podoba, ale bez naszego zezwolenia stąd nie odjedzie!

Mataret skrzywił się niechętnie i machnął ręką.

— Głupstwo! Jeżeli nam zechcą odebrać wóz przemocą, siły nasze nie wystarczą!...

Roda zaśmiał się i począł szeptać coś żywo przyciszonym głosem. Opowiadał swój plan obszernie i szcęgółowo. W miarę jak mówił, nawet najbardziej nieufni poczynali kiwać głową, przytakując z zadowoleniem jego słowom. Gdy zaś skończył, wybuchnął wśród zebranych jednogłówny okrzyk zachwyty.

Młodzi zrywali się, jak gdyby biec już chcieli do *Kraju Biegunowego*, pewni powodzenia i zwycięstwa. Ten i ów na głos snuł plany fantastyczne o zdobyciu i podziale krajów

¹³¹łatwiej — dziś: łatwiej. [przypis edytorski]

tajemniczych na „tamtej stronie” — w oczach zapaleńców cała pustynia bezpowietrzna wydała się naraz jakimś czarodziejskim rajem niesłychanym, zbiorem grot najcudniejszych, pełnych miast kryształowych, łąk, kwiatów, słońc sztucznych i wszelkiego bogactwa! Mówiono o nocach jasnych, kiedy przez szczeliny głębokich wąwozów patrzy się w górę na promienną Ziemię nad głowami, i o rozkosznych dniach, których żar złagodzony jest słodkim i wilgotnym cieniem sklepień kamiennych.

Ktoś zdjął ze ściany mapę Księżyca, z drogocennych szczątków kart po Starym Człowieku przerysowaną — i rzucił ją na stół. Kilkanaście głów się nad nią pochyliło; wzdono palcami po obszernych równinach Księżyca, które znają światło Ziemi nocami, wskazywano rysy, szczeliny, góry, kłócono się już o położenie największych miast i sposób komunikacji między nimi...

Mataret niezadowolony, że go strącono ze stołu, usunął się w kąt izby i usiadł w milczeniu na stosie książek, w pyłe się wałających. Zbliżył się Roda ku niemu.

— Jakże ci się mój plan podoba? — zagadnął niby mimochodem, nie chcąc się zdradzić tonem, że mu zależy na zdaniu dziwaka.

Mataret, wbrew zwyczajowi, przestał się uśmiechać. Wzniósł tylko brwi i ruszył nieznacznie ramionami:

— Wóz jest podobno strzeżony — rzekł.

— Straż jest nieliczna, możemy nią łatwo zawładnąć...

— Tak...

Wsparł dłoń na kolanach i milczał przez pewien czas w myślach zatopiony. Naraz wznosił głowę:

— Roda, kiedy wyruszamy do *Kraju Biegunowego*?

— Chcesz mi i ty towarzyszyć?

— Naturalnie. To będzie ciekawe...

— Wolałbym pozostawić cię tutaj na czele Bractwa Prawdy... Bo przecież wszyscy odejść nie możemy. To wzbudziłyby podejrzenia.

— Ja pójdę — rzekł Mataret stanowczo i powtórzył znowu:

— Kiedy wyruszamy?

Roda spojrzął na wielki zegar kalendarzowy, umieszczony w przeciwległym rogu izby:

— Jest około południa; lepiej wyprawę odłożyć do jutra będziemy mieć cały dzień przed sobą...

— A jeśli tymczasem Zwycięzca dziś w nocy powróci?

— Nie sądzę. A zresztą to lepiej dla nas nawet. W zamęcie, jaki niewątpliwie nastanie po jego powrocie, zniknąć możemy niepostrzeżenie...

Mataret pokręcił głową.

— Różnie się może zdarzyć. Może nasz Zwycięzca przybyć tu, uciekając przed zwycięskimi szernami, a wtedy będzie pewno gnał w *Kraj Biegunowy*, aby zniknąć co prędzej w swym wozie...

— Myślisz, że szernowie mogliby istotnie zwyciężyć? — spytał Roda niespokojnie.

— Nic nie myślę prócz tego, że lepiej dzisiaj jeszcze wyruszyć...

— Możemy wreszcie i tak zrobić...

Urwał, a po chwili zaśmiał się głośno.

— O! to będzie nadzwyczajne! Gdy zechce nam uciec i przekona się, że odjechać nie może, bo części wozu jego odśrubowano i ukryto! O! to znakomite będzie! Musi się wtedy wdać z nami w układy, a my będziemy dyktowali...

Mataret, pogrążony w myślach, zdawał się słów mistrza nie słuchać. Nagle przerwał mu:

— Czy ty jesteś bezwzględnie pewny, że on przybył... nie z Ziemi?

Roda się obruszył.

— Czyż wątpisz jeszcze? Dlaczego tedy nie idziesz zmieszać się z tłumem, który oczywiście na Ziemię wytrzeszcza? czemu przystąpiłeś do Bractwa Prawdy?

— Bo chcę znaleźć prawdę za wszelką cenę — odrzekł Mataret krótko i powstał z miejsca, przerywając rozmowę.

Przy stole tymczasem nad mapą wszczęła się kłótnia. Chodziło mianowicie o znaczenie linii powtórzonej tutaj również za oryginalnymi kartami Starego Człowieka, na

których wyrysowana była oddzielnie... Linia ta falista, czerwoną barwą wyciągnięta, poczynała się krzyżykiem, w miejscu oznaczonym dziwną nazwą *Sinus Aestuum*, biegła w lek- kich skrętach przez *Mare Imbrium*, aż po górę *Platona*, załamując się tutaj nagle ku wschodowi, aby dalej przewijać się znów wśród gór ku północnemu biegunowi Księży- ca...

Członkowie Bractwa Prawdy starali się od dawna wytłumaczyć sobie znaczenie tego krętego węża, przecinającego czwartą część księżycowej kuli. Niektórzy przypuszczali, że jest to ślad drogi, przebytej niegdyś przez Starego Człowieka, ale mistrz Roda przeciwny był takiemu mniemaniu — owszem, uważał je nawet za herezję wobec prawdy.

— Po cóż by bowiem — mówił — Stary Człowiek miał się posuwać z trudem i w nie- bezpieczeństwie po martwej powierzchni Księżyca, kiedy musi istnieć pod powierzchnią wygodna komunikacja między ukrytymi osadami?

Linia czerwona pozostała tedy nadal niepokojącą członków Bractwa zagadką, powo- dem częstych, a niekończących się sporów pomiędzy gorętszymi wyznawcami Prawdy.

Jeden z nich, młodzieniec o rozwichrzonej czuprynie, który przemawiał był właśnie dzisiaj, w chwili gdy Roda przybył na zgromadzenie, wystąpił teraz z nową teorią. Utrzy- mywał on mianowicie, że jest to „linia niebezpieczeństwa”, jak się wyrażał... Nie droga przez Starego Człowieka przebyta, lecz droga na powierzchni do przebycia możliwa, któ- rej mieszkańcy *Wielkiej Pustyni* strzegą zapewne w ciągłej obawie powrotu „wydziedzic- zonych”...

Rzucił tę myśl jako przypuszczenie, w miarę jednak, jak mu zaczęto oponować, zapalał się coraz bardziej i upierał, aż w końcu począł uważać domysł swój za prawdę niewątpliwą i udowodnioną i żądał nawet, aby Bractwo wyciągnęło stąd praktyczne konsekwencje w celu dostania się bez pomocy „Zwycięzcy” do tajemniczego kraju pod *Wielką Pustynią*.

Wezwano Rodę do rozstrzygnięcia sporu.

Mataret, stojąc we drzwiach, patrzył przez chwilę, jak mistrz z niezmierną powagą zdanie swoje wygłaszał, wodząc palcem po rozłożonej mapie... Zrobił nawet ruch, jak gdyby się miał zbliżyć i posłuchać, ale uśmiechnął się tylko i rękę położył na kłamce...

Długim, wąskim i ciemnym korytarzem dostał się niepostrzeżenie na ulicę. Była to najnędzniejsza dzielnica w mieście, siedlisko ubogich wyrobników, na wpół zaprzędanych w niewolę kupcom i fabrykantom mieszkającym w pięknych domach tam, w środku osady, w pobliżu świątyni i arcykapłańskiego pałacu. Lepianki marne i krzywe cisnęły się z obu stron ciasnej ulicy, opadającej w załomach ku morskemu brzegowi. Kupy śmiecia wały się przed progami, gnijąc w żarze południowego słońca — zza rozwalonych opłot- ków sterczały wędnące badyle bujnych chwastów. W cieniu wylegiwało się kilka psów, zleniwiałych upałem.

Mataret przebiegł szybko zaulek, oglądając się, czy go kto nie widzi. Domyślano się, że jest członkiem tajnego Bractwa Prawdy, znieawidzonego zwłaszcza w tej dzielnicy, gdzie Zwycięzca miał najgorętszych wyznawców i zwolenników. Ludzie, w ciężkiej pracy i trudzie gorzkim żyjący, widzieli w tym jasnym ziemskim przybyśzu nadzieję lepszej przyszłości i oczekiwali z niecierpliwością chwili, kiedy pokonawszy szernów, powróci z za morza, aby ład nowy na Księżycu zaprowadzić.

Ale dzisiaj nikt z okna nie wyjrzał ani nie rzucił przez zęby przekleństwa, mijając w przechodzie „pustyniarza”, jak pogardliwie tutaj członków Bractwa nazywano. Dziel- nica, która zazwyczaj nawet podczas największych południowych upałów roiała się ludźmi, nędzą do pracy zmuszonymi, wyglądała jak gdyby wymarła. Dopiero na szerszym placu, skąd się już pięknie brukowane drogi ku śródmieściu poczynały, spotkał Mataret grupkę z kilku robotników złożoną. Stali w cieniu jakiegoś pustego kramu i rozmawiali żywo, z widocznym niepokojem poglądając ku morzu.

Z kilku zasłyszanych w przelocie słów Mataret wyrozumiał, iż stało się coś ważnego, co miało związek z wyprawą Zwycięzcy na południe. Przyśpieszył tedy kroku, zwracając się w stronę miasta, gdzie spodziewał się zasięgnąć pewnych wiadomości.

Plac przed świątynią był natłoczony ludem. Rozprawiano o przybyciu posłów, któ- rzy z powodu niesprzyjającego wiatru w nocy zmylili drogę i wylądowali nad ranem daleko na wschód za szczytem *Otamora*, pół dnia zużyć musieli, nim się pieszo zdołali dobić do miasta. Mataret przysłuchiwał się z zajęciem krzyżującym się w powietrzu zda- niom. Z bezładnych urywków rozmów niewiele zdołał się dowiedzieć o szczegółach, ale

Prawda

odniósł wrażenie, że tym razem posłowie mniej pomyślną przynosili nowinę. Lud był niespokojny; zamiast radosnych okrzyków słychać było spory i narzekania, twarze pełne troski poglądały ku morzu, jak gdyby obawiały się grożącej z tej strony nawały wrogów.

Zwątpił już, czy uda mu się coś niewątpliwego dowiedzieć, kiedy niespodziewanie na stopniach świątyni wśród tłumu zobaczył Jereta. Zdumiał się wielce, nie sądził bowiem, aby on, prawa ręka Zwycięzcy, był użyty na posła... Jeśli tak się stało, musiała to być rzecz nader ważna, z którą młody wojownik przybywał.

Znał on Jereta dawno i dobrze. Byli nawet niegdyś przyjaciółmi, nim ich rozdzieliła różnica wierzeń i poglądów na sprawę Zwycięzcy. Liczył jednak na dawną zażyłość, toteż przecisnąwszy się przez tłum, pociągnął Jereta za rękaw, dając mu znaki, że chce z nim mówić. Młodzian poznał go i powitał.

— A! Mataret!...

— Później! za chwilę! — dorzucił, posłyszawszy wzrastający gwar w otoczeniu. — Przyjdź za dwie godziny do świątyni!

Ostatnie słowa mówił już wstępując na kamienną arcykapłańską kazalnicę przy schodach.

Lud ruszył się i zafalował, zobaczywszy go wzniesionym nad sobą. Dały się słyszeć znowu głośniejsze skargi i okrzyki. Niektóre z nich bluźniły już Zwycięzcy.

Jeret zaczerpnął w piersi powietrza i mówił:

— Wstyd mnie, gdy patrzę na was, gdy słucham głosów waszych, niewieścich zgoła, a nie męskich! Zwycięstwo będzie nasze, ale trzeba jeszcze wysiłku i pomocy! Przybyłem tu nie skarg waszych słuchać, ale zebrać nowy oddział, który by wsparł walczących! Broni jest jeszcze zapas. Niech młódź się zgłasza i zaciąga w szeregi, bo gdy słońce zajdzie, ruszymy znów na południe po zamarym morzu!

Mówił jeszcze przez jakiś czas, rzucając na głowy tłumu zdania krótkie i twarde jak kamienie. Mataret tymczasem ustąpił nieco na bok. We drzwiach świątyni dostrzegł Iheza. Stała o węgar¹³² oparta, patrząc przed siebie dziwnymi, sennymi oczyma, które zdawały się nawet nie widzieć tego, na co patrzyły. Twarz miała pobladłą i wychudzoną, białe ręce trzymała złożone na piersi, na kosztownych łańcuchach z szyi jej zwisających.

Mataret pochodził z jednej z najprzedniejszych i najbogatszych rodzin w mieście i był niegdyś w bliskich stosunkach z domem arcykapłana Malahudy. Zobaczywszy teraz dziewczynę, przystąpił do niej i pokłonił się.

— Jak się macie, złotowłosa? — rzekł z uśmiechem.

Iheza spojrzała na niego z roztargnieniem i odwróciwszy się, weszła do świątyni bez słowa odpowiedzi. Wzruszył tedy ramionami i siadł na progu, czekając na Jereta. Nie widno go już było¹³³ na kazalnicy. Skończył mówić i wmieszał się między lud. Mataret, patrząc z góry, dostrzegł go, jak rozmawiał z kilku starszymi, odpowiadając żywo na jakieś zadawane pytania. Później zbliżył się do niego Sewin. Zausznik arcykapłana prawił mu coś długo z uprzejmym i chytrym uśmiechem na ustach, wskazując kilkakrotnie ręką grupę stojących osobno rybaków, którzy przysli tu byli z uwięzionym obecnie Chomą.

Mataret widział jeszcze, jak Jeret się zachnął i dłonią odepchnął arcykapłańskiego sługę od siebie — a później znudziło mu się patrzeć na wszystko i wzniosł oczy na niebo, wyjątkowo dzisiaj o tej porze jeszcze pogodne.

Południowa burza opóźniła się. Słońce przechyliło się już z zenitu na zachód i sypało miarki żar na fasadę świątyni. Mataret przymknął oczy; w upalnej spiecu dnia senność go ogarniała.

Majaczyły mu się właśnie jakieś przedziwne wejścia do pieczar kryształowych na tamtej stronie Księżycy, kiedy zbudziło go z półuśpienia lekkie dotknięcie na ramieniu. Jeret stał przed nim.

— Chciałeś mówić ze mną...

— Zmęczony jesteś — rzekł Mataret, patrząc rozbudzonymi naraz oczyma w szerniałą i wychudłą twarz jego.

— To nic, to nic, odpocznę...

¹³²węgar — część otworu drzwiowego a. okiennego, występ wzdłuż pionowych krawędzi otworu, stanowiący oparcie dla ościeżnicy i uszczelnienie połączenia ze ścianą. [przypis edytorski]

¹³³Nie widno go (...) było — dziś: nie widać go było. [przypis edytorski]

Weszli w głąb świątyni i przysiedli w jednym z bocznych, przyciemnionych krużgan-
ków. Jeret złożył dłonie na głazie i wsparł na nich czoło.

— Zmęczony jestem rzeczywiście — szepnął po chwili, nie wznosząc głowy.

Mataret patrzył na niego w milczeniu, mrugając nerwowo powiekami. Zdawało mu się, że czyta na tej ogorzalej i pobrużdżonej twarzy, z boku ponad złożonymi widnej ręko-
ma, całą historię wyprawy: historię trudów niesłychanych i wysiłków, bojów, zwątpień
i nadziei...

— Dlaczego ty właśnie przybyłeś? — zapytał wreszcie znienacka.

Jeret drgnął i spojrział mu w oczy. Nieobecny w czasie, kiedy się zawiązało ostatecz-
nie Bractwo Prawdy, nie miał pojęcia o jego istnieniu, wiedział jednak z dawniejsza, że
Mataret, sceptyk urodzony, z wielką nieufnością patrzył na Zwycięzcę... To nawet by-
ło powodem, że stosunki ich, niegdyś bardzo serdeczne, oziębily się z czasem. Mimo
wszystko jednak nie mógł się nigdy oprzeć uczuciu pewnego podziwu i uległości niemal
wobec tego dziwnego człowieka, który uśmiechał się ciągle, ciągle przeczył i myślał, nie
zapalając się na pozór nigdy i do niczego, jak gdyby stał gdzieś ponad wypadkami, a nie
w prądzie ich największym, jak inni ludzie. On, Jeret, umiał tylko działać, wybuchać,
radować się albo ponuro w sobie się zasklepić...

Toteż teraz, wręcz zapytany, zawahał się przez chwilę, ale przemogła w nim wnet
ochota wywnętrzenia się przed kimś, wobec kogo nie potrzebowałby odgrywać roli wodza,
posła ani nauczyciela...

— Jestem tu potrzebny — szepnął, mówiąc więcej posępnym ściąganiem brwi niż
tymi obojętnymi słowami.

— Źle wam się powodzi? — rzekł Mataret, nie spuszczać z niego oka.

Jeret ruszył ramionami.

— Nie... nie można powiedzieć: źle... Ale...

Urwał i zamilkł, jakby szukając wyrazu. Mataret milczał również przez jakiś czas,
a potem rzekł, powstając:

— Jeżeli nie chcesz mówić, odchodzę. Po cóż mam cię zmuszać do tego, abys kłamał
przede mną?

Jeret pochwycił go żywo za rękę.

— Zostań. Owszem. Chcę mówić, tylko...

Otrząsnął się.

— Widzisz, ja sam nie wiem, jak to nazwać. Źle nam się dotychczas nie powodzi,
mimo że jest ciężko w tej chwili... Zrobiliśmy dotychczas wszystko, co w mocy ludzkiej
leży...

Wzniósł głowę, spojrział Mataretowi wprost w oczy.

— Wszystko, co w mocy ludzkiej leży — powtórzył z naciskiem — ale ponadto: nic.

Zaczerwienił się naraz, jakby mimo woli słowo wiele znaczące z ust mu się wymknę-
ło... Mataret nie uśmiechał się. Oczy jego wylupiaсте i zazwyczaj szydercze patrzyły gdzieś
w dal — prawie smutno. Wyciągnął rękę i położył ją na złożonych dłoniach wojownika.

— Mów — rzekł.

Jeret zaczął mówić. Opowiadał długą i krwawą historię, jakby w myślach przed sa-
mym sobą ją rozsnuwając. Mówił o walkach na nizinie, o miastach zdobytych i zburzo-
nych, o setkach i tysiącach szernów wyciętych w pień bez miłosierdzia, bronią ognistą
rażonych, topionych w rzekach lub w morzu i pożarom na pastwę oddanych. Mówił
o tym wszystkim spokojnie i równo, jak robotnik, który wieczorem powtarza w myśli
ciężką pracę przebitego dnia...

A potem opowiadał Mataretowi, jak przyszli w niedostępne góry i poczęli się na
grzbiet olbrzymiego pierścienia skał wydostawać. Mówił o trudach przejścia, o dziwnym
mieście szernów wewnątrz kotliny i o Ziemi, która, zewsząd widoczna, tam się oczom
ich ukazała.

— Mielśmy to sobie za dobrą wróżbę i znak, że Zwycięzca jest z nami. A tymczasem,
od chwili kiedyśmy z tamtej wysoczyzny na Ziemię spojrzeli, zaczął się dla nas najstras-
niejszy trud, bo bezowocny. Myślałem, że spadniemy jak wichur i zmieciemy to miasto
w dole; żal mi już prawie było jego na zagładę skazanej piękności, ale tutaj Zwycięzca

się zawahał. Postąpił jak człowiek: rozumnie. Postąpił tak, jak każdy z nas byłby w tym przypadku postąpił...

I tu opowiadał dalej, jak Zwycięzca, przeliczywszy szeregi, nie ośmielił się wprowadzić ich wszystkich w kotlinę, aby nie mieć w razie niepowodzenia odciętej drogi do odwrotu.

— Część wojska — mówił — kazał się wrócić i pilnować drogi (o! jeśli to można drogą nazwać), którą weszliśmy na przełęcz, aby snadź szernowie z innych miast nie przedostali się za nami... Tam ja byłem wodzem. Reszta żołnierzy pod jego własnym przewodnictwem opuściła się ku wnętrzu kotliny, do połowy niemal wysokości wału górskiego — i tam założyła obwarowany obóz. Na równinę w dole schodzą tylko drobne oddziały, nękają szernów i wracają znów do obozu, często ze stratami. Przestaliśmy zwyciężać, wojujemy teraz.

— I tak jest wciąż, bez zmiany? — zapytał Mataret po chwili milczenia.

Jeret poruszył głowę.

— Bez zmiany. Z tą ilością wojska nic nie zdziałamy, to pewna. Szernowie widzą naszą bezsilność i rozzuchwalili się. Oni nas teraz zaczepiają. Nie było prawie godziny, abym ja ze swym oddziałem nie musiał staczać utarczek... Zdawało się, że cała kraina jest pusta, a oni tymczasem powyrastali skądś całymi zastępami i prą na nas. Skąły czernią się od nich i roją, jakby od złego ptactwa. Strzelamy do nich ciągle i bijemy, ale musimy oszczędzać naboju w obawie, aby nam ich nie zabrakło. Wtedy bylibyśmy zgubieni...

— I co będzie dalej? — zapytał Mataret.

— Nie wiem. O pewnej rannej porze dnia wczorajszego Zwycięzca sam przeszedł dzielącą nasze oddziały przełęcz i mówił długo ze mną. Nie mówił jeszcze o odwrocie, ale z jego stroskanej twarzy myśl tę już było widać. Kazał mi przybyć tutaj i przywieść jak najprędzej posiłki, broń i naboje. Ciężką miałem drogę ku morzu i saniom, pod opieką garstki małej zostawionym; przekradać się musiałem jak gad samowtór z towarzyszem, ale wiem, że jeszcze ciężiej wracać nam będzie z posiłkami, bo szernowie chcą teraz za wszelką cenę zgubić Zwycięzcę i nas z nim razem...

Nastała cisza. Obaj patrzyli przed siebie, błędząc w zadumie myślami daleko od miejsca, w którym się znajdowali.

— Tak. Trzeba ich zawiadomić — odezwał się nagle Mataret po pewnym czasie.

— Kogo?

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko zwykłym swoim uśmiechem i wyciągnął dłoń ku Jeretowi.

— Nie o Zwycięzcę mi chodzi. To mniejsza. Może nawet nie o lud... Nie wiem sam o co. Zbieraj posiłki i trzymajcie się, dopóki będzie można. Ja zrobię swoje.

Zwrócił się ku odejściu i wydał lekki okrzyk. Pod rzeźbionym narożnikiem stała w cieniu Ihezal. Zauważywszy, że ją spostrzeżono, postąpiła szybko naprzód. Minęła Matareta i szła wprost ku Jeretowi.

— Jeret! — zawołała, składając ręce błagalnym ruchem — Jeret! weźcie mnie z sobą!

— Słyszałaś wszystko?!

Przyświadczyła niemym skinieniem głowy.

Jeret zmarszczył brwi i poruszył niespokojnie dłoń. Spojrzał na Matareta, jakby jego obecność powstrzymywała go od odpowiedzi.

— Weź mnie! — powtórzyła — ja chcę do Zwycięzcy!

Oczy jej płonęły prawie radośnie, odbłask jakiejś nadziei rozświetlał jej białe, wewnętrzzną gorączką strawione lica.

Jeret się odwrócił.

— Pilnuj szerna, którego ci zostawiono! Dość jeden w więzach na ciebie!

Ihezal pobladła i cofnęła się w tył.

— Jeret! — krzyknęła.

Ale on wychodził już ze świątyni, nie oglądając się nawet poza siebie.

Dziewczyna pochyliła głowę i stała przez pewien czas bez ruchu. Wir dziwnych, w szalonym kole tańczących myśli ją ogarnął. Huczały jej w piersi jakieś hymny radosne, że on jest... że może być, jak ona, człowiekiem, a jednocześnie czuła ból, jakby kto nagła i niepojętą pustkę w jej duszy uczynił...

Obejrzała się trwożliwie. Przez pustkę wewnętrzną odczuła mimo woli silniej pustkę miejsca, gdzie się znajdowała, pustkę ogromnej, opuszczonej świątyni. Odruchowo

przypadła do stóp jakiejś kolumny, wtulając się między podstawy wielkich kamiennych kadzielnic.

Próżne były i wystygłe. Od dni już długich nie rzucił nikt wonnej żywicy do wnętrza miedzianych czar, kędy się wałały w pyłe resztki węgla, niegdyś świętych. Na pniu kolumny znać jeszcze było czarne ślady dymu, który stąd niegdyś wznosił się ustawicznie.

Patrzyła na otaczającą ją pustkę zdziwionymi, szeroko w łęku rozwartymi oczyma, jak gdyby ją dzisiaj po raz pierwszy dopiero spostrzegła i zauważyła.

— Jak to było? — powtórzyła szeptem bezwiednie — jak to było? jak było?...

Sny jej się dziewczęce przypomniały, a potem zjawa jasnego ziemskiego przybysza...

— Gdzie on teraz jest?...

W uszach zadźwięczały jej zasłyszane niegdyś zgrzytliwe słowa:

„Przeszedł Zwycięzca nad morzem i przez kraj przeszedł niziny, a oto stało się, że do gór przyszedł wyniosłych i stanął przed nimi bezradny...”

I znowu:

„Służyć nam będzie plemię człowiecze — z wyjątkiem tej, która zechce zostać panią i pójdzie za szernem...”

— Nie! nie! nie! — krzyknęło w niej coś buntem rozpaczliwym.

Wyciągnęła ręce białe, z szerokich fioletowych rękawów wysunięte.

— Jeret! — wołała w głos, choć dawno już nikogo koło niej nie było. — Jeret! zmiłuj się! weź mnie z sobą! Ja chcę do Zwycięzcy! Nie zostawiajcie mnie tutaj pod urokiem szerna! Na oczach jego nie ma łańcuchów! Chcę do Zwycięzcy! Chcę widzieć, czuć, że on jest silniejszy, że on...

Upadła z klęceczką twarzą na kamienną posadzkę, aż zadźwięczały drogie, u szyi jej zwisające łańcuchy.

Słońce, rozsrebrzone w mglistej śródzie, wpadało jeszcze przez okno do świątyni, ale grom zbliżającej się burzy zahuczał już — donośny i groźny. Ihezał nie ruszyła się z miejsca.

„Oto pęka nade mną sklepienie świątyni — myślała — oto wałą się kolumny i rozchodzą zręby kamienne...”

Niech się stanie! niech się stanie!

Niechaj świat cały zapadnie i mnie pod gruzami pogrzebie!”

Ponowny, huczący i bliski już grom wstrząsnął ścianami i blask słońca, chmurą pochłonięty, zagaśł nagle. Ihezał płakała cicho.

Tymczasem Mataret, pożegnawszy się na schodach z Jeretem, którego wezwano do arcykapłana, szedł zadumany przed siebie, nie myśląc nawet, dokąd idzie. Na rogu jakiejś ulicy trafił niespodziewanie na Rodę. Mistrz oczy miał błyszczące i jasność na pokaleczonej twarzy. Zobaczywszy towarzysza, przystanął i zawołał na niego głośno:

— Mataret, czy już wiesz?

Ten, zamiast odpowiedzieć, przystąpił ku niemu i ujął silnie za łokieć.

— Zawołaj ludzi, którzy mają nam towarzyszyć — rzekł — wyruszamy zaraz.

— Czyś oszalał? — krzyknął Roda — patrz!

Wskazywał ręką na zaciemniające się chmurami niebo, pod którym wicher już hulał i wpadał ze świstem w opustoszałe ulice, targając ubrania na nich, jedynych dwóch ludziach, którzy się jeszcze przed burzą do domów nie schronili.

— Wyruszamy natychmiast — powtórzył Mataret spokojnie.

Stanowczy, niemal rozkazujący ton, którego dotychczas nigdy nie przybierał, zadziwił Rodę. Spojrzył na towarzysza w zdumieniu, nie wiedząc prawie, jak się zachować... Mataret, spostrzegłszy jego zakłopotanie, uśmiechnął się:

— Mistrzu, jesteś wielki i nigdy czcić cię nie przestanę, ale wierz mi, że nam nie wolno już teraz tracić czasu. Mam swoją myśl...

Deszcz jeszcze lał strugami, jakby niebo w wodę się roztopiło, kiedy jedenastu ludzi w płaszczach owiniętych wykradało się z bram miasta z małym zaprzęgiem psów, dążąc odwiecznym szlakiem ku północy.

VII

— A jeśli ja posiłków nowych zbierać nie pozwolę?

Jeret wznosił z wolną głowę i spojrzał w twarz arcykapłanowi.

— W takim razie ja je zbiorę bez pozwolenia Waszej Wysokości — rzekł spokojnie, ale stanowczo.

Elem zaśmiał się.

— Podobasz mi się, chłopcze — rzekł — to była tylko próba... Posiłki odejdą dziś w nocy...

— Wiem.

— Zwycięzcy rzeczywiście takich sług jak ty potrzeba. Bez nich nie działalibyśmy zapewne nic...

— Czy Wasza Wysokość pozwoli mi odejść?

— Czekaj. Rad bym się jeszcze dowiedzieć nieco.

— Powiedziałem już wszystko Waszej Wysokości!...

Arcykapłan zbliżył się ku niemu i zwrócił na niego przejmujące spojrzenie nieruchomych czarnych oczu.

— Walczycie tedy, zwycięzacie — mówił z wolna.

— Tak.

— Dzięki Zwycięzcy? prawda?

Jeret przyświadczył skinieniem głowy.

— I gdyby Zwycięzcy z wami nie było — ciągnął Elem dalej, nie spuszczać z niego wzroku — to cała wyprawa nie mogłaby się udać, co?

— Bez wątplenia. Bez Zwycięzcy nic byśmy nie działali.

— Nawet gdybyście mieli broń palną?

Jeret rzucił głową mimo woli i spojrzał na arcykapłana. Nie odpowiadał zrazu. Przemknęło mu przez myśl, że jednak... w tym przypadku...

— Broń palną mamy od Zwycięzcy — rzekł głośno z pewnym pośpiechem.

— Tak, już ją macie... od Zwycięzcy... — powtórzył Elem z wolna, jakby w roztar-gnieniu.

— Wasza Wysokość... — Jeret spojrzał znów ku drzwiom.

— Czy widziałeś wnuczkę Malahudy? — zapytał arcykapłan, zmieniając nagle ton.

Jeretowi twarz sposepniała. Zmarszczył brwi i nie odrzekł ani słowa. Elem tymczasem mówił dalej z przyjaznym uśmiechem:

— Pozostawiłem jej dawny pałac. Nie tyle ze względu na Zwycięzcę, którego te sprawy nie powinny właściwie obchodzić, jak przez pamięć o rodzie jej dostojnym... Czy wciąż poza Zwycięzcą nic nie widzi? — dodał, zwracając się wprost do Jereta — nawet teraz, kiedy jego tu nie ma?

Jeret ruszył niechętnie ramionami.

— Nie pytałem jej o to. Moja rzecz: wojna z szernami. O resztę się nie troszczę.

— Tak — rzekł Elem, odstępując nieco — tak, słusznie cię tutaj mają za największego bohatera ze wszystkich, jacy kiedykolwiek żyli na Księżycu... Posłowie poprzedni opowiadali, że to ty właściwie sprawiasz szeregi i ty właściwie odnosisz zwycięstwa.

— Wasza Wysokość! — krzyknął Jeret porywczo — proszę mi pozwolić odejść!

— Idź już — rzekł Elem z uśmiechem. — A pokłoń się Zwycięzcy do nóg ode mnie, który sługą jego jestem i psem na równi z tobą.

Młódź tym razem bez zapału, owszem, niechętnie nawet do szeregów się zgłaszała i Jeret z największym trudem tylko zdołał zgromadzić trzystu ochotników z bronią palną obeznaną, którzy zgodzili się powiększyć szczupły zastęp Zwycięzcy. Byli to przeważnie ludzie ubodzy, wyrobnicy i rzemieślnicy, w ciężkiej doli żyjący, którym błogosławione imię Zwycięzcy jeszcze nie przybłądło. Ludzie, po wsiach i dalszych osadach mieszkający, odpowiadali wysłańcom Jereta ni to, ni owo, prawiąc im o uwięzionym starcu Chomie, na którego ponoć duch prorocy spłynął. Zamożniejsi i z zasady każdemu arcykapłanowi rządzącemu oddani, wyśmiewali wprawdzie Chomę, ale natomiast powtarzali słowa, które Jeret od Sewina był usłyszał, że Zwycięzca, o ile jest Zwycięzcą istotnym, bez pomocy obejść się winien i własną ręką szernów porazić...

Bractwo Prawdy działało także swoje. Wprawdzie niewielu stosunkowo członków liczyło, ale byli to wszystko ludzie młodzi i najzapaleńsi, na których w innym przypadku mógłby być Zwycięzca liczyć najwięcej...

Wieczorem tłum dosyć liczny odprowadzał ochotników do sań przygotowanych, ale więcej wśród niego słychać było płaczu i pożegnań niż okrzyków zachęty, które rozbrzmiewały niegdyś szeroko, gdy sam Zwycięzca sanie na południe prowadził.

Z górnego tarasu świątyni patrzyła za odjeżdżającymi Ihezal. W białe puszyste futro szczerlnie przed mrozem owinięta, poglądała zadumanymi oczyma, jak światła sań niknęły cicho w oddali — i chociaż zgasły już, patrzyła jeszcze długo w stronę, kędy zginęły. Potem weszła do wnętrza świątyni i wolnym, sennym krokiem zwróciła się ku wejściu do podziemnego sklepu, gdzie szern Awij był zamknięty.

A tymczasem na północy, na szerokiej równinie Roda z Mataretem i dziewięciu towarzyszami rozbijali obóz na nocne leże.

Mistrz, w miarę jak się zbliżano do celu wyprawy, snuł plany coraz fantastyczniejsze. Opowiadał szczegółowo, jak zamierza wozem zawładnąć i w jaki sposób uczynić go niezdatnym do użytku. A potem wymieniał warunki, na których gotów będzie zawrzeć pokój z przybywającym Zwycięzcą. A więc przede wszystkim odkrycie drogi do tajemniczej krainy na „tamtej stronie”...

Niegdyś żądał od przybysza, aby wszystkim tę drogę obwieścił, całemu ludowi — obecnie jednak po namyśle doszedł do przekonania, że lepiej będzie, gdy tajemnicę poznają tylko członkowie Bractwa Prawdy, a potem dopiero wedle potrzeby i uznania lud będą objaśniali... A nawet nie wszyscy stowarzyszeni muszą się od razu dowiedzieć. Są między nimi ludzie różni. Na razie wystarczy, gdy oni, jedenastu, usłyszą... Wreszcie, gdyby Zwycięzca się temu opierał, to niechże powie przynajmniej jemu i Mataretowi, a chociażby już tylko jemu. Ale od tego już nie odstąpi. On, Roda, znać musi wszystko, całą prawdę, którą zna i dzisiaj, ale jeszcze nie tak dokładnie, jak trzeba. W ogóle, jak tylko Zwycięzca powróci...

— A jeśli nie powróci? — przerwał mu Mataret.

— Jak to?

— Jeżeli zginie w kraju szernów, on i jego ludzie?

— Byłoby to fatalnie! — rzekł Roda skłopotany — naprawdę fatalnie! Nie mielibyśmy już środka, aby się dowiedzieć...

— I nic ponadto? — zapytał Mataret.

— Nie rozumiem cię.

— Przecież to jasne. Co się z nami stanie wtedy, jeśli szernowie będą w końcu górą? Czy myślałeś o tym?

— Po cóż takie rzeczy przypuszczać!

— Zapewne. Ja tylko zastanawiam się, czy nie słusznie by było naprzód wesprzeć Zwycięzcę, a potem dopiero stawiać mu żądania...

— Odkądże to takie rzeczy przychodzą ci do głowy?

— Od niedawna. Ale mniejsza!...

Roda zamyślił się.

— Wszakże Jeret, mówiłeś, miał zebrać posiłki — rzekł po chwili.

— Tak, posiłki. Zapewne. Nie mówmy już o tym.

Roda kilkakrotnie jeszcze wracał uporczywie do tego tematu, ale Mataret już nie odpowiadał. Uśmiechał się tylko wedle zwyczaju i patrzył wylupiastymi rybimi oczyma na góry czerniejące w dali na tle łuny pozachodniej, pomiędzy które wieść miała jutro ich droga...

Noc przepędzili na jednym miejscu w spokoju, nie posuwając się naprzód nie tyle z obawy mrozów, do których, jak wszyscy ludzie księżycowi, byli przyzwyczajeni, jak raczej z powodu nader obfitych śniegów, zaścielających cały kraj dokoła. Na tym puszystym i utrudniającym wszelki pochód całunnie niepodobna się było orientować w nieprzeniknionej ciemności „księżycowej” nocy.

Następny dzień nie miał już dla nich wieczoru, bo nim słońce przechyliło się w stronę, kędy zwykle zachodzi, oni przedostawali się już krętym wężowem w kotlinę wiecznego świtu na północnym biegunie Księżyca.

Tutaj przed wejściem w kraj otwarty złożono radę wojenną. Wszyscy byli zaopatrzeni w broń, w palną broń, której tajemnicę Zwycięzca przywiózł na Księżyc, i gotowi do czynu. Nie wątpili ani na chwilę, że przyjdzie im stoczyć ciężką walkę. Nie wiedzieli, jak

liczna jest straż przy wozie, ale przypuszczali, że w każdym razie będzie liczniejsza od ich szczupłej garstki. Tę straż należało rozbroić albo pokonać.

Wprawdzie mistrz Roda nosił się przez pewien czas z zamiarem, aby wystąpić wobec czuwających żołnierzy z płomienną a ścisłą mową, w której by ich niezbitcie przekonał o słuszności stanowiska Bractwa Prawdy i skłonił do uległości wobec swych planów, ale Mataret oparł się temu stanowczo.

— To nie prowadzi do niczego — mówił do mistrza — wyśmieją cię tylko i obiją w końcu, a tego próbowałeś już tyle razy, że nie warto jeszcze raz próbować dla próżnego popisania się wymową...

Roda zżymał się¹³⁴ zrazu, ale w końcu ustąpił, sam niezbyt snadź¹³⁵ pewny skutku swego kazania.

— Ale to tylko dlatego — mówił — że nie mam zgoła pewności, czy żołnierze na straży postawieni są ludźmi dość rozumnymi, aby słowa moje mogli pojąć, bo gdyby nie to!...

Ostatecznie postanowiono użyć siły. Zbliżyć się w przyjazny sposób do straży i wedle możliwości zabrać jej broń lub gdyby się to nie udało, na dany przez Matareta znak wymordować. Roda w zasadzie potępiał tę ostateczność i oświadczył stanowczo, że on sam zabijać nie będzie, ale przyznawał, że w danym razie może nie być innej drogi wyjścia. Zresztą cel Bractwa Prawdy jest tak wysoki, mówił, że można dla niego nawet nieco krwi poświęcić.

Trzeba było teraz przede wszystkim wóz wyszukać na rozległej równinie.

Z opowiadań świadków wiedzieli, że spadł on był w pobliżu dawnych namiotów Braci Wyczekujących, które znajdowały się ongi u stóp wzgórz oddzielających biegunową kotlinę od *Wielkiej Pustyni*. Oni przybyli ze strony przeciwnej i aby się tam dostać, musieliby przejść środkiem rozległej i gładkiej płaszczyzny, narażając się na to, że obudzą przedwcześnie czujność strażników. Dla uniknięcia tego błędu postanowiono tedy wybrać drogę okólną, łańcuchami wzgórz, przedstawiającymi z powodu nierówności gruntu aż nadto dobrą zasłonę dla szczupłej garstki.

Droga była uciążliwa. Przedzierano się z wolna między omszałymi głazami, po śliskich, wilgotnych zboczach, nigdy słońcem nieoświetlonych. Chłód zionął z każdej szczeliny, przejmując dreszczem znużonych wędrowników. A płaszczyzna przed nimi była ciągle gładka; oczy, szklami nieuzbrojone, nie mogły wysledzić niczego, co by wskazywało miejsce, gdzie upragniony wóz Zwycięzcy mógł się znajdować.

Po kilkudziesięciu godzinach nad wyraz przykrego przedzierania się po bezdrożach, przez glazy i zarośla jakichś nibyskrzypów ogromnych, których mięsiste łodygi łamały się pod nogą przechodnia, kiedy już zatoczono większą część półkregu ponad dnem kotliny, ukazały się oczom znużonych wzgórzza obłe i łyse, na których niegdyś były groby Braci Wyczekujących.

Na grzbiecie, widne z dołu, czerniły się jeszcze kamienie ogromne, służące niegdyś trupom za oparcie. Za radą Matareta tutaj porzucono uciążliwy pochód stokami i postanowiono wydostać się śmiało na grzbiet w tej myśli, że stare grobowe kamienie wystarczą dla zamaskowania ich osób.

Na wysoczyźnie uderzyło ich w oczy słońce czerwone, idące już nad *Wielką Pustynią* w stronę Ziemi, wąskim, ku słońcu wygiętym sierpem błyszczącej na widnokręgu.

Oprócz Matareta i Rody jeden tylko z uczestników wyprawy widział niegdyś świętą Ziemię, kiedy go jeszcze jako chłopca nieletniego zabrali z sobą rodzice w pobożną pielgrzymkę do *Kraju Biegunowego*, gdzie Bracia Wyczekujący obiecanego Zwycięzcy wyglądali. Toteż cała gromadka stanęła w cichym podziwieniu, patrząc na ostre srebrzysty sierp wrzynający się w niebo czarne prawie z tej strony.

Jakieś onieśmienie nagle, niezmiernie do lęku podobne, ogarnęło tych ludzi. Przeczając wszystkim „bajkom” o Ziemi, poczęli z wolna i nieświadomie uważać ją samą także za bajkę i stanęli teraz w zdumieniu mimowolnym i dla siebie samych niespodziewanym, widząc ją jaśniejącą i ogromną na nieboskłonie. Młodziak, który widział ją był niegdyś jako dziecię wierzące, podniósł odruchowo dłoń do czoła, aby nakreślić Znak Przyjścia...

¹³⁴zżymać się — oburzać się, gniewać się. [przypis edytorski]

¹³⁵snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Zatrzymał rękę dość wcześnie i obejrzał się ze wstydlwym lękiem, czy kto nie spostrzegł podejrzanego ruchu. Ale nikt nie zważał na niego; wszyscy patrzyli na Ziemię w milczeniu. Naraz w ciszę wpadły słowa Rody:

— Tak, tak, to zupełnie naturalne, że ta bajka powstała, że musiała powstać nawet...

Głos jego brzmiał zrazu niepewnie, jak wymówka czy usprawiedliwienie raczej, ale wnet dźwiękiem własnych słów obudzony z ciężkiego uroku, począł mówić ze zwykłą sobie swadą i pewnością:

— Człowiek, aby dodać sobie we własnych oczach znaczenia i wynieść się ponad marność, którą czuje, szuka rad dla siebie początku wyższego niż to, co go otacza. Nie zdziwiłbym się nawet zgoła, gdyby bajka o ziemskim ludzi pochodzeniu starsza była niżli nasze wygnanie z raju, do którego drogi powrotnej właśnie szukamy. Może już tam, w miastach rozkosznych, pod *Pustynią* ukrytych, śniło się ludziom w długie, srebrnym blaskiem Ziemi rozjaśnione noce, że zeszli na Księżyc z tamtej pustej i bezpłodnej gwiazdy, która tak łatwo uwodzi oczy dziwną zaiste pięknnością...

Mówił jeszcze długo w ten sposób, a uczniowie i towarzysze słuchali go w nabożnym skupieniu, usiłując śmiało poglądać na Ziemię uwodzicielkę.

Roda wyciągnął rękę:

— Patrzcie na te głazy dookoła nas i pomyślcie o dziwnym obłędzie człowieka! Popęd samozachowawczy i żądza jedynie rozumnego szczęścia, księżycowego, ustępują czasem przed myślą fałszywą, a jednak zdolną wbrew naturze określić czyny człowieka. Pokolenia całe spędzały życie w tej tu kotlinie, modląc się do martwej gwiazdy srebrnej, i całe pokolenia patrzyły spod tych głazów zmarłymi oczyma na tarczę jej zmienną, wyczekując razem z żywymi posła stamtąd, Zwycięzcy...

— Czyżby nie przybył w istocie? — bąknął Mataret półgłosem, w myślach zatopiony.

Roda dosłyszał i odwrócił się żywo ku mówiącemu:

— Z Ziemi?

Zapanowało milczenie. Po chwili dopiero Mataret wstrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Nie! mimo wszystko uważam to za niemożliwe.

Roda chciał coś odpowiedzieć, ale przerwał mu lekki okrzyk jednego z towarzyszków.

— Wóz! — wołał, wyciągając rękę w stronę zacienionej kotliny.

Odkrycie to wstrząsnęło wszystkich obecnych. Ci, którzy byli usiedli, zrywali się i biegli ku mówiącemu; tłoczono się i wyteżano wzrok, aby zobaczyć ten upragniony cel wyprawy.

Jakoż wkrótce dostrzeżono go. Stał u stóp wzgórza, na łące, podobny z dala do lśniącego kamyka, na wpół ukrytego pośród zieleni. Straży nie było widać. Nieopodal jeno stał mały, niezdarnie sklecony namiot, niby szalas pasterski, także do połowy niskich ścian bujającą zielenią zarosły.

Niepodobna było przypuścić, aby w tej marnej lepiance wszyscy strażnicy się mieścili — ukryli się oni widocznie — rozumował Roda — w wygrzebanych dołach z góry zasłoniętych w pobliżu wozu i czuwają tam bez przerwy wedle rozkazu Zwycięzcy. Jeżeli się ich nie uda zająć niespodziewanie, trzeba się przygotować na ciężką walkę.

Po krótkiej naradzie ruszono w dół, nie tracąc czasu. Każdy z jedenastu uczestników wyprawy, z gotową bronią, ukrytą pod odzieniem, szedł inną drogą, korzystając z każdego załomu gruntu, z każdego głązu i szczeliny, ażeby się ukryć przed bacznyim okiem śledzących niewątpliwie okolicę strażników. Czołgano się na brzuchu i przystawano z zapartym oddechem, kiedy kamień jaki potracony przypadkiem w dół się stoczył, mogąc obudzić czujność straży.

Wedle planu mistrza Rody zbliżyć się mieli wszyscy do wozu najwięcej, jak tylko będą to mogli zrobić bez zwrócenia na siebie uwagi, a potem na dany świstawką znak rzucić się do walki... Znak miał dać Mataret. On jeden nie krył się — miał owszem iść prosto w stronę lepianki z góry widzianej i zająć wyłącznie swoją osobą ludzi wozu pilnujących.

Po godzinie Roda podpełznął tak blisko, że zaledwie kilkadziesiąt kroków dzieliło go od wozu. Ukrył się w kępie bujnego zielska, które wyrosło na zgliszczach stosu, kędy¹³⁶ niegdyś ciała pomarłych członków Zakonu spłonęły, i czekał umówionego znaku, drząc na całym ciele. Przygnębiało go i rozstrajało to, że nie widzi przeciwników. Wychylał

¹³⁶kędy — gdzie. [przypis edytorski]

co pewien czas głowę ostrożnie spoza mięsistych i bujnych badyli, śledząc niespokojnym okiem przestrzeń, dzielącą go od wozu. Nie dostrzegł jednak nikogo — naokół¹³⁷ pustka była zupełna, a nadto nic nie wskazywało, aby tutaj przebywała jaka żywa ludzka istota. Zielsko bujało zewsząd swobodnie, nogą nieprzydeptane; okrom¹³⁸ rozpadającego się szalasu po drugiej stronie wozu nie było widać żadnej kryjówki, gdzie by się człowiek mógł przytulić.

Naraz dostrzegł Roda Matareta. Szedł on, brodząc w chwastach po kolana, ku lepiance i rozglądał się ze zdziwieniem dokoła. Roda widział, jak przystawał i schylał się niekiedy, badając grunt pod nogami. Doszedł wreszcie do chaty i zapukał pięścią w zaparte drzwi. Otworzono mu nierychło. Kto stał na progu, Roda z kryjówki swej nie mógł zobaczyć, ale widział plecy Matareta, rozmawiającego żywo z kimś, który był za drzwiami. Po chwili Mataret cofnął się i usiadł spokojnie na kamieniu pod ścianą. Z domu wyszła jakaś kobieta i opowiadała mu coś, pokazując na wóz rękoma.

Roda nie mógł dłużej wytrzymać. Nie bacząc, że plan cały może popsuć przedwczesnym ukazaniem się, wyskoczył z kępy zielska i pobiegł szybko ku lepiance. Mataret dostrzegł go i począł mu dawać znaki, wołając głośno, aby się zbliżył.

— Pójdźcie wszyscy! — zakrzyknął — nie ma niebezpieczeństwa.

Kobieta, spostrzegłszy wyskakujących nagle z zarośli ludzi, rzuciła się z przerażeniem do ucieczki, ale Mataret chwycił ją za rękaw...

— Nie bój się, przecznac! — zaśmiał się — oni ci nic złego nie zrobią!

Roda stał już przy nich.

— Co to jest? co to jest? — wołał.

Mataret patetycznym ruchem ręki wskazał trzęsącą się jeszcze ze strachu kobietę.

— Mam zaszczyt, mistrzu, przedstawić ci straż wozu Zwycięzcy! — rzekł.

Ale Roda się nie śmiał. Wściekłość jakaś się w nim zbudziła: czuł tylko, że go „znowu oszukano”, nie zdając sobie sprawy, że się cieszyć raczej powinien z tego zawodu, iż spotyka tutaj zamiast zbrojnej straży jedną tylko wylęknioną kobietę.

— Kto ty jesteś? — krzyknął zwracając się do niej.

— Nechem, panie...

— Na licha mi twoje imię! Ale co robisz tutaj?

— Pilnuję wozu...

Odpowiedział jej chóralny wybuch śmiechu.

— Sama? — rzucił Roda, przygryzając usta ze wściekłości.

— Tak, panie. Tamci poszli.

— Kto? gdzie? dokąd? jak?

Kobieta padła przed nim w strachu na kolana.

— Nie gniewajcie się, panie! Wszystko wam opowiem. Ja nie jestem winna...

— Mów!

— Panie! Zwycięzca litość nade mną okazał. Dawno, dawno, owego dnia, kiedy na południe ku morzu stąd wyruszył... Służyć mu zawsze chciałam, ale on mnie nie potrzebował. Więc kiedy posłyszałam, tam przy *Ciepłych Stawach*, że straż do *Kraju Biegunowego* dla pilnowania wozu wysłał, uprosiłam ludzi, aby mnie wzięli z sobą, że im będę jedzenie przyrządzała i odzież łątała w razie potrzeby... Myślałam, że w ten sposób Zwycięzcy przydam się na co...

— Do rzeczy, do rzeczy! Gdzie jest straż?

— Odeszli, panie. Z początku było ich tu dwudziestu, ale tutaj jest kraj nudny i tylko Bracia Wyczekujący wytrwać tu mogli. Strażnicy tęsknili do domów i nie mieli tu co robić. Odchodzili więc po dwóch, po trzech, niby to na krótki czas, zdając pieczę nad wozem tym, którzy pozostawali. Ale żaden z nich, odszedłszy, nie wrócił. W końcu zostałam ja z dwoma najmłodszymi tylko. Aż i tym się znudziło. Nie wytrzymali. Poszli i oni, kiedy słońce stało na południu, ot ponad tymi górami. Mnie przykazali wozu pilnować, więc pilnuję...

— Nie jestże to przepyszne, co? — zaśmiał się Mataret. — Czcigodna Nechem jako jedyna niezłomna strażniczka wozu świętego!

¹³⁷naokół — dziś: naokoło. [przypis edytorski]

¹³⁸okrom — oprócz. [przypis edytorski]

Roda się zachnął.

— To jest łajdactwo! Taka ucieczka, takie lekceważenie nałożonego obowiązku!

— O co się ty gniewasz właściwie? — spytał Mataret półgłosem, patrząc na niego zdumionymi naprawdę oczyma. — Przecież na tej niedbałości strażników myśmy chyba wyszli najlepiej.

— Ale mogliśmy wyjść jak najgorzej! — oburzył się mistrz. — Pomyśl tylko, gdyby tu był kto przyszedł przed nami i zepsuł wóz...

— Nie byłabym dała! — krzyknęła Nechem i błysnęła zębami, gotowa jak zwierzę rzucić się na każdego, kto by się ośmielił własność Zwycięzcy naruszyć. — Nie byłabym dała, panowie, chociaż jestem sama! Powiedźcie Zwycięzcy, który was wysłał, że wszystko jest w porządku...

Roda chciał coś odpowiedzieć, ale Mataret chwycił go szybko za rękę, dając mu znak milczenia.

— Tak, Zwycięzca nas posłał tutaj — rzekł, zwracając się do kobiety. — Mamy z jego polecenia stan wozu zbadać i donieść mu, czy wszystko jest w porządku...

— O! jeszcze jak! — zawołała Nechem z radosną dumą. — Oglądajcie! Po odejściu strażników ja wozu doglądałam i czyszczę go nawet. Świeci się jak złoto...

— Pewne części wozu kazał nam Zwycięzca zabrać z sobą — wtrącił Roda.

Nechem spojrzała na niego podejrzliwie.

— Pewne części zabrać, mówicie, panie?

— Nie, nie, uspokójcie się! tylko na wypadek gdybyśmy nie wszystko zastali w porządku — rzekł szybko Mataret, po czym odciągnąwszy Rodę na bok, tak aby ich Nechem nie mogła słyszeć, zwrócił się do niego z wyrzutem:

— Po co straszysz babę? gotowa nam przeszkodzić...

Roda rzucił głową pogardliwie:

— Każę ją związać zaraz!

— Nie potrzeba.

— Owszem. Zwłaszcza że obawiam się zdrady, podejścia, zasadzki. Strażnicy mogą powrócić. Może są gdzieś w pobliżu...

— Dlatego też trzeba nam działać niezwłocznie...

Mówiąc to, spojrzał na góry. Oświetlone były ich szczyty od strony północnej; słońce snadź zbliżało się ku Ziemi.

— Patrz! na tamtej stronie jest właśnie dzień...

— Więc co z tego?

— Nic. Śpieszyć się musimy...

— Bez wątpienia — rzekł Roda. — Ale Nechem będzie nam przeszkadzała rozebrać wóz, jeśli jej związać nie każę...

Mataret chwycił go znów za rękę.

— Czekaj. Pierwej wóz trzeba obejrzeć. I wewnątrz także. Wszak Zwycięzca wyjaśnił ci jego urządzenie?

— Tak.

— Więc pójdźmy...

Zbliżył się do wozu, około którego stało dziewięciu ich towarzyszków, podziwiając w niemym uwielbieniu nadzwyczajną machinę. Patrzyli oni na ogromny stalowy cylinder, wryty w grunt głęboko, z którego sterczał stożkowaty szczyt pocisku ze zwieszającą się na wół zbutwiałą sznurową drabiną.

— Tędy snadź wchodził Zwycięzca — odezwał się Roda, wskazując na nią.

— Wejdzmy — rzekł Mataret.

Usta mu drgały nerwowo; w oczach miał blask niezwykły. Ręką chwycił już za sznur, pośpiesznie, chciwie. Wyglądał, jakby mu pierwszy raz w życiu pilno było do czegoś: zmieniony był nie do poznania.

Ale mistrz Roda nie patrzył na niego w tej chwili. Otoczony uczniami, wykladać im znowu począł, że Ziemia jest niezamieszka, i wskazując pocisk, mówił, jak niedorzeczne jest przypuszczenie, aby taki kłoc stalowy dolecieć mógł do Ziemi, niewątpliwie bardzo od Księżyca odległej. Mataret przerwał mu wreszcie zniecierpliwiony:

— Czy czekasz, aby strażnik który powrócił?

Roda spojrział na wóz.

— Nie wiem, jak się wziąć do rzeczy... — szepnął.

— Zobaczymy. Naprzód trzeba zbadać wszystko...

Mówiąc to, zabierał się znowu do wchodzenia po drabinie. Ale sznury, w wilgotnym powietrzu zetlałe, rozlazły mu się w rękę, nim nogę zdążył w pętlę założyć. Zaczęto się tedy naradzać, z czego zbudować drabinę. Materiału żadnego nie było pod ręką, aż jeden z obecnych zwrócił uwagę na chatę, w której Nechem mieszkała. Postanowiono rozebrać dach i lichymi drągami podparte ściany i zbudować z tego rusztowanie, po którym by się można było dostać do szczytu pocisku, gdzie się znajdowała kłapa wchodowa¹³⁹.

Kobieta podniosła lament, nie zważano na nią jednak teraz. Silne młode ręce rwały pośpiesznie nędzną budowlę; wbijano pale i wiązano je strzypami szat w braku sznurów. Roda przypatrywał się pracy bezczynnie, wydając tylko rozkazy.

Wreszcie wszystko było gotowe. Sklecono coś w rodzaju schodów, po których można się było dostać z pewnym trudem do otworu żelaznego cylindra i tkwiącego w nim pocisku.

Mataret szedł pierwszy, za nim Roda. Po długich bezskutecznych usiłowaniach udało im się wreszcie otworzyć kłapę, wiodącą do wnętrza. Metalowa drabinka opuszczała się stąd aż do dna pocisku. Roda, spojrzawszy w dół, zawahał się:

— Nie mamy tam po co wchodzić, ciemno jest...

— Wejź — rzekł Mataret popychając go z lekka.

Kiedy Roda zagłębił się w czeluści, Mataret, stojąc jeszcze na schodkach, zatrzasnął kłapę za sobą. Jednocześnie zabłysło światło elektryczne, przez zamknięcie drzwiczek mechanicznie się zapalające.

— Co robisz? — zawołał Roda.

— Nic — odrzekł Mataret spokojnie i zeszedł w głąb.

Roda był dziwnie zaniepokojony, znalazłszy się tak sam na sam z towarzyszem we wnętrzu pocisku tajemniczego, ale wstydził się dać to poznać po sobie. Począł się tedy rozglądać dokoła i tonem nauczycielskim wyjaśniać Mataretowi mechanizm i urządzenie, co sam niegdyś od Zwycięzcy był posłyszał.

Mataret słuchał go z roztargnieniem, przypatrując się jednocześnie ścianom pocisku.

— To ten guzik, nieprawdaż? — odezwał się naraz, pokazując kościaną gałkę w metalowej oprawie, tkwiącą w ścianie za szybką cienkiego szkła.

— Jaki guzik? — spytał Roda.

— Ten guzik trzeba nacisnąć, aby... wyruszyć w podróż?

— Tak. Zdaje mi się... Ostrożnie! nie dotykaj! — dodał żywo, spostrzegłszy, że Mataret wyciąga rękę w stronę guzika. — Moglibyśmy wylecieć niechcący...

— Dlaczegoż niechcący? — rzekł Mataret z dziwnym uśmiechem.

Roda wzruszył ramionami.

— Wyjdźmy już. Dość długo tutaj siedzimy.

Mataret go zatrzymał.

— Czekaj. A gdybyśmy tak wyruszyli naprawdę „na tamtą stronę” we dwóch?

— Czyś oszalał?!

— Nie. Bądź co bądź Zwycięzca walczy w naszej sprawie, a potrzeba mu pomocy, bo inaczej padnie w wojnie z szernami... Można by mu tę pomoc sprowadzić z „tamtej strony”... Wesprą go zapewne, gdy się dowiedzą...

Roda stanął między Mataretem a złowieszczą gałką w ścianie.

— Wychodzimy stąd natychmiast! — rzekł. — Idź naprzód i otwieraj kłapę!

Mataret się zaśmiał.

— Przeląkłeś się? Nie bój się! nie mam przecież zamiaru... To żart był tylko...

W tejsze jednak chwili szybkim ruchem sięgnął ponad ramię mistrza i wepchnął gałkę w metalowy pierścień, rozgniatając szkło.

Lekki dreszcz wstrząsnął podłogą pocisku.

— Co robisz! — krzyknął Roda.

Mataret był blady.

— Nie wiem, czyś się nie omylił — rzekł. — Zdaje mi się, że stoimy w miejscu...

¹³⁹wchodowy — dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

— Nacisnąłeś guzik?!

— Tak.

Roda rzucił się ku schodkom, ale Mataret go powstrzymał.

— Jeżeli jednak jesteśmy już w przestrzeni, nie można klapy otwierać. Tu musi być gdzieś okno...

Po długich poszukiwaniach odnaleźli metalową płytę w podłodze, zakrywającą grubym szklanym blokiem.

Mataret przykląkł i patrzył długo. Gdy powstał, blady był jak trup, w oczach miał najwyższe zdumienie.

— Zdaje mi się, że lecimy na Ziemię — szepnął.

Roda rzucił się do okna i spojrzał. Tam pod ich nogami Księżyc uciekał z przerażającą szybkością — widać już było ogromną część *Wielkiej Pustyni*, od której oddalali się coraz więcej, pędząc w przestrzeń.

Roda opadł bez sił na podłogę.

— Na Ziemię, na Ziemię... — szeptał zmartwiałyimi wargami.

— Tak — rzekł Mataret z cicha. — Zwycięzca mówił prawdę. Nie myślałem...

Wtedy Roda zerwał się nagle i krzyknął, przyskakując z pięściami do Matareta:

— Ależ Ziemia jest niezamieszкана! rozumiesz? niezamieszкана!! Ja ci zaraz udowodnię...

CZEŚĆ TRZECIA

I

Nechem, wyrwawszy się z rąk członkom Bractwa Prawdy, biegła w błędnym przerażeniu przez równinę, gdy nagle posłyszała potworny huk za sobą i uczuła, że prąd powietrza rzuca nią gwałtownie o ziemię. Kiedy po pewnym czasie przyszła do przytomności i powstawszy, obejrzała się za siebie, zdało jej się zrazu, że naokół nic się nie zmieniło. Wóz sterczał wśród zielonych krzewów, jak dawniej, i cisza była zupełna. Zaczęła więc zawracać nieśmiało, poglądając, gdzie by się mogli podziać ludzie, czepiający się ścian wozu jeszcze przed chwilą.

Gdy jednak podeszła bliżej, zaniepokoiła ją zmiana, jaką spostrzegła. Zewnętrzny pan-cerz wozu stał wprawdzie w tym samym miejscu, co dawniej, ale brak w nim było stożka samego pocisku, sterczącego przedtem u wylotu. Zauważyła również, że rusztowanie, z resztek jej lichego domku wzniesione, zniknęło bez śladu. Przypomniała sobie, że gdy uciekając, obejrzała się raz, widziała członków Bractwa Prawdy uczepionych śmiesznie u wylotu maszyny, tuż około lśniącego szczytu właściwego wozu. Teraz nie widać ich było nigdzie. Tknęło ją jakieś złe przeczucie i szła ku wozowi z lękiem w zamarłym sercu, ostrożnie i gotowa w każdej chwili do ponownej ucieczki.

Na kilkadziesiąt kroków przed wozem potknęła się, a spojrzawszy na przedmiot, o który zawadziła nogą, wydała straszliwy okrzyk grozy. Była to głowa oderwana od ciała i pokaleczona ohydnie. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa — w przerażeniu nawet uciekać nie mogła. Potoczyła tedy błędnym wzrokiem dookoła: wszędzie leżały szczątki ciał, poszarpanych okropnie, razem z kawałkami zmiecionego rusztowania.

Nechem patrzyła przez pewien czas w niemym osłupieniu na to wszystko, czego zgoła nie rozumiała, aż nagle krzyknęła znów przeraźliwie i rzuciła się do ucieczki. Biegła, nie wiedząc sama, dokąd biegnie ani po co. Przewracała się na kamieniach, powstawała znów i gnała przed siebie, zadyszana, z sił opadająca i tą jedną tylko chęcią pędzona: znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, gdzie jakaś straszliwa i niepojęta dla niej rzecz się stała.

Po kilku godzinach doszła do krańca równiny i padła na mech wyczerpana. Odpocząwszy nieco, zaczęła się zastanawiać i gromadzić myśli rozpieczętowane, usiłując związać w jakiś sąd jednolity to wszystko, co spostrzegła. Ale było to tak nadzwyczajne, że przechodziło po prostu zdolności jej myślenia. Wóz, a przynajmniej część jego najważniejsza, środkowa, zniknęła — to było pewne. Zniknęła tak w jednym mgnieniu oka, jak gdyby się w nicość rozwiała. Słyszała przy tym huk straszliwy i czuła jakieś potworne wstrząśnienie powietrza, które ją o ziem rzuciło¹⁴⁰. Była prawie pewna, że to samo wstrząśnienie stało się powodem okropnej śmierci uczepionych u szczytu wozu napastników, ale dalej nic już pomyśleć nie umiała. Co to wszystko znaczy? dlaczego się to stało? w jakim celu? z jakiego powodu?

Uczuła, że nie rozwiąże nigdy tej zagadki, i przestraszył ją ogarnął na nowo. Stało się w każdym razie coś, co nie powinno było się stać — i kto wie, czy ona nie jest odpowiedzialna za to, co się stało? O strażnikach zbiegłych nie myślała wcale ani o tym, że gdyby wytrwali byli na posterunku, zdolaliby prawdopodobnie przeszkodzić temu napadowi, któremu ona oprzeć się nie mogła. Wiedziała tylko, że ci przybysze podeszli ją i sprowadzili dobrowolnie czy też nieumyślnie jakiś straszny wypadek, niedający się już cofnąć...

A Zwycięzca? Przeczucie mówiło jej, że nie stało się to z jego wiedzą ani wolą. I jeżeli teraz będzie się gniewał? Na nią, naturalnie na nią przede wszystkim, która była przy tym obecna i nie przeszkodziła niczemu. Trzeba może iść i wyznaczyć. Albo raczej ukryć się i nie wspominać o tym nikomu? Nawet Zwycięzcy...

Ta myśl ostatnia zwłaszcza zapuszczała w jej mózgu korzenie. Poparło ją mimowolnie uświadamiające się rozumowanie: „Jeśli Zwycięzca jest wszechwiedny¹⁴¹, to zupełnie zbyteczna¹⁴² powiadomić go o wypadku, o którym wie sam z siebie — raczej ukryć się tylko

¹⁴⁰które ją o ziem rzuciło — dziś: które ją rzuciło o ziemię. [przypis edytorski]

¹⁴¹wszechwiedny — dziś: wszechwiedzący. [przypis edytorski]

¹⁴²zbyteczna — dziś: zbyteczne (jest). [przypis edytorski]

przed jego gniewem należy. A jeśli wszechwiedny nie jest, to lepiej, że dowiedziawszy się o wszystkim przy jakiejś sposobności, nie będzie wiedział, że ona, Nechem, brała w tym jakikolwiek udział. W każdym razie — trzeba się ukryć”.

Z tym postanowieniem, odpocząwszy nieco, puściła się krętym wąwozem ku południowi, zamyślając następnie rzucić się na zachód, ku zagubionym wśród gór osadom, aby tylko być jak najdalej od miasta przy *Ciepłych Stawach*, gdzie niewątpliwie Zwycięzca przebywa...

Bo nie wiedziała nawet, że morze ją w tej chwili dzieli od niego, wojującego z szernami w pobliżu drugiego bieguna Księżyca...

I Marek, stojąc na wale górskim, w Ziemię zapatrzony, jawiącą się na horyzoncie, nie przeczuwał zgoła, że wóz jego dąży właśnie z zamkniętymi w nim dwoma ludźmi ku tej rodzimej jego gwieździe.

Miało się pod wieczór i oczekiwał przybycia posiłków z Jeretem na czele. Walka stała się coraz cięższa i sił już zaczynało brakować upadającym z bezsenności i trudu. Według odwiecznej reguły stali oni się teraz z napastników napastowanymi. Już nikt nie myślał o tym, aby szernów w ich gniazdach wydusić — chodziło teraz o to tylko, aby się utrzymać w zajętych pozycjach i nadejścia posiłków doczekać. Nie mówiono głośno o odwrocie, ale większa część wojowników myślała już o tym, jako o rzeczy nieuchronnej, która odwieka się tylko z powodu zbyt słabych sił garstki, mogącej przepaść w ciężkim pochodzie przez kraj, niedawno w tryumfie przebyty. Czekano tedy i wyglądano z utęsknieniem a niepokojem, czy Jeret z nowym zastępem nie idzie, z którym złączywszy się, raźniej będzie podążyć ku *Morzu Wielkiemu*...

Gwiazda Zwycięzcy bladła.

On sam nie mówił nic i nie zwierzał się nikomu ze swych zamiarów. Kazał jeno, odkrywszy śnieżystym żlebem wygodniejszą „drogę”, powciągać na linach działa w dole zostawione, ustawił je na pozycjach, paszczami ku cudnemu miastu szernów zwróciwszy, i czekał. Działa stały nieczynne, gdyż amunicji było już niewiele; kroków zaczepnych nie przedsiębrano żadnych. Ograniczano się tylko do odpierania spadających wciąż zniecka szernów, których trupami zasłane już były wszystkie skały naokół.

Tak minął jeden jeszcze dzień, nieskończenie długi dzień księżycowy. Pod wieczór Zwycięzca, dotychczas niewzruszony, począł się widocznie niepokoić. Z najwyższego siodła przełęczy, otoczony garstką przybocznych strzelców, badał przez szkła całą okolicę, zwracając wzrok ciągle w stronę, skąd się spodziewał przybycia posiłków. Twarz mu się przeciągała i marszczył chmurnie brwi, nie mogąc wysledzić wśród widnych stąd wąwozów żadnego znaku idących... Do zachodu słońca było już mało co więcej nad pięćdziesiąt godzin.

Miał już dać swoim ludziom znak do powrotu na wewnętrzną stronę górskiego pierścienia, gdzie z główną siłą leżał obozem, kiedy zastanowił go nagły ruch ku dołowi szernów, krążących dotychczas około jego wojska jak stada kruków nieodstępnych. Drgnęło w nim przecucie, że Jeret idzie z posiłkami i szernowie chcą przeszkodzić połączeniu. Tedy zamiast wracać na swoją stronę, ruszył z ludźmi pędem w dół ku oddziałowi, zostawionemu dla pilnowania drogi, i rozkazał niezwłocznie rozpocząć ogień resztą amunicji.

Zachrząściła broń ręczna i huknęły strzały w zawieszoną poniżej na śniegach chmurę szernów... I naraz, jakby boska muzyka, zagrała w uszach Zwycięzcy z dołu odpowiedź; strzelano i tam — Jeret szedł niewątpliwie.

We dwie godziny¹⁴³ później widać już było oddział, wdzierający się wśród nieustannej walki stromym żlebem do góry. Ludzie szli powoli, odstrzeliwali się bowiem często, a nadto obarczeni byli skrzyniami z amunicją i bronią. Marek wysłał im część swego oddziału ku pomocy.

Kiedy nareszcie na spadzistym śnieżnym stoku wojsko się połączyło i szernowie zniknęły w szczelinach skał, pozostawiając jeno gęsty trup poza sobą, Jeret, ociekły krwią i potem, zbliżył się do Zwycięzcy, aby mu zdać sprawę z poselstwa... Marek jednak nie słuchał.

— Później, później — przerwał mu. — Czy to już wszyscy, którzy przybyć mogli?

¹⁴³we dwie godziny — dziś: w dwie godziny. [przypis edytorski]

— Pozostawiłem za *Morzem* Anasza. — Może jeszcze jutro nieco ludzi przywiedzie... o ile dojsz zdoła...

— Dobrze. Na odpoczynek nie ma teraz czasu. Obejmij dowództwo nad tymi wszystkimi i prowadź za mną na tamtą stronę, do mego oddziału.

— Czy nie lepiej by było tamtych tu wezwać? — rzekł, myśląc o odwróceniu do kraju, jeden z podwładnych Marka, dotychczasowy naczelnik wojska po tej stronie przełęczy.

Marek, nie odpowiadając, ruszył w górę.

Przebyto śnieżną przełęcz i spuszczone się na zawieszoną wśród turni halę, gdzie główna część wojska spoczywała. Nowo przybyli zaczęli się witać głośno ze starymi wojownikami, którzy ze swej strony radośnie ich przyjmowali, pewni, że ich przybycie zwiastuje im rychły powrót do ojczyzny. Zapomniano prawie o obecności ubóstwianego niedawno Zwycięzcy i trapieno się tylko, że długa noc nadchodzi, którą trzeba będzie tutaj jeszcze przeczekać.

Zwycięzca tymczasem przerwał rychło powitania i ku niezmiernemu zdumieniu wojska kazał natychmiast rozdzielać amunicję i formować się w szeregi. Żołnierze posłuchali z nałogu, ale szmer niezadowolenia przebiegł między nimi. Niektórzy skarżyli się już głośno, że z sił opadają, i parskali półgębkiem, że cała wyprawa była próżnym a krwią kosztownym szaleństwem.

Dosłyszał to Marek i jakby w odpowiedzi rzucił Jeretowi rozkaz ustawienia ludzi przy działach, z dawna przygotowanych. Potem, spojrzawszy na chylące się słońce, zwrócił się do wojska:

— Mamy czterdzieści godzin do zachodu. Wystarczy. Będziemy nocowali w mieście szernów.

Krótkie te a niespodziewane słowa spadły na żołnierzy jak grom. Przez chwilę milczeli wszyscy oszołomieni, aż nagle zabrzmiał huczny okrzyk zapału. Ludzie, już chwiejni i gotowi już do sromotnego odwrotu, nawet ucieczki, poczuli znowu, że jest ponad nimi prawy Zwycięzca, z którym iść im trzeba na śmierć i na życie.

Marek nie dał ochłonąć pierwszemu uniesieniu i nie pozostawił swym ludziom czasu do namysłu. Huknęły działa, a pod osłoną ich ognia wojsko zaczęło się staczać pospiesznym krokiem w dolinę.

Na ten napad szalony szernowie nie byli snadź¹⁴⁴ przygotowani, zwłaszcza teraz, kiedy dzień się miał ku końcowi. Nie stawili też nawet gromadnego oporu. Zbiegali się jeno zewsząd luźnymi kupami, krążyli bezradni z krzykiem nad głowami prącego naprzód wojska i ginęli strasznie całymi masami, nie zdoławszy powstrzymać pochodu. Zwycięstwo, które, zda się, zostało już było w tyle na szerokich równinach, szło znowu przed ludźmi, jak za niedawnych dobrych czasów...

W kilka godzin, nie wstrzymując pochodu, zamiótł Marek większą część kotliny, napełniając krwią i trupami ciche, szafirowe stawy wśród łąk zielonych. Spotkane po drodze domostwa burzono pospiesznie niszczącymi bombami i walono wciąż naprzód ku miastu, na środkowym, skalistym stożku górskim zbudowanemu. Działa tymczasem, ze stoku zwleczone, zbliżały się za nimi i biły ponad ich głowami coraz straszliwiej w chwijające się już mury...

Jeret patrzył na Zwycięzcę rozplomienionymi oczyma. Nie mówił ani słowa, ale znać było, że widzi w nim znowu boga jasnego, zesłanego iście na Księżyc dla pogromu wrogów ludzkości, i wielbi go tym gorącej, że niedawno ośmielał się już był o nim wątpić.

A on — Zwycięzca — tymczasem, podprowadziwszy zastęp do stóp wzgórza, na którym wznosiły się bramy i wieże grodu, nie zatrzymał się i tutaj, lecz wskazał ręką niedostępne z pozoru turnie:

— Naprzód! naprzód! dopóki słońce nie zajdzie!

Łatwiej to jednak było rozkazać, aniżeli wykonać. Żołnierze padali dosłownie z wyczerpania, w gardłach im zasychało, ręce się trzęsły, a oczy ośleple od błysku ustawicznych strzałów zaledwie zdołały rozróżnić drogę przed sobą.

— Wypocznijmy, panie! — wtrącił Jeret nieśmiało.

Ale Marek potrząsnął głową przecząco.

— Ani godziny — rzekł — słońce nam ucieka, a szernowie mogą się opamiętać!

¹⁴⁴snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

— Połowa żołnierzy padnie...

— Tak, lecz druga połowa dojdzie za mną tam!

Mówiąc to wskazał na wieże, błyszczące ostatnimi promieniami słońca, kryjącego się już za okolnymi turniami.

Ryknęły więc znowu działa i zaczęto się wdzierać na bystry stok, pod gradem pocisków i kamieni, z góry przez szernów sypanych.

Nie wiadomo, jaki byłby wynik tego szaleńczego szturm, gdyby nie szczęśliwy przypadek. Kiedy żołnierze zaczęli się już mieszać i cofać mimowolnie, tak że lada chwila mógł zgubny popłoch wśród nich wybuchnąć, Nuzar, idący na przedzie obok Zwycięzcy, odkrył z wrodzoną sobie bystrością pod załomem skały wejście do pieczary, z wiodącymi wewnątrz w górę stopniami. Była to widocznie droga do miasta dla mieszkańców, chcących się podczas znużenia lub zbyt silnego wichru nogami zamiast skrzydeł posilkować.

W tę ciemną szyję, zakrywającą przede wszystkim od pocisków z góry miotanych, wprowadził Marek natychmiast swoich junaków. Kute wrota, zapierające przejście w pewnej wysokości, wysadzono bez trudu wybuchem podłożonej miny i wspinano się wwyż, strzelając na oslep przed siebie, aby drogę z nieprzyjaciół oczyścić.

Wreszcie rąbany w skałę korytarz się skończył i wojownicy wyszli nagle na obszerną łąkę, na łagodnym stoku wzgórza ponad skałami już położoną. Z dołu widać jej nie było i oni też nie widzieli stąd swych towarzyszy, przy armatach pozostawionych, ale słyszeli ciągle łoskot strzałów bijących w mury miasta, które się wznosiło o kilkaset kroków wwyż przed nimi. Marek kazał dać trzykrotną salwę, jako umówiony znak, aby ognia z dołu zaprzestano, i ruszył wprost na miasto wybitym w murach wyłomem.

Popłoch ogarnął szernów. Stała się snadź¹⁴⁵ rzecz dla nich zgoła niespodziewana, bo nie próbując już nawet obrony, zerwali się jak spłoszona chmura ptactwa drapieżnego i zaczęli uciekać w dół, zostawiając miasto zwycięzcom.

Słońce właśnie zachodziło, kiedy Marek, kazawszy wciągnąć na linach w dole zostawione działa, obwarowywał się na długą noc w opustoszałym grodzie. Ognie wszędzie rozpalono i czujne postawiono straż w obawie nocnego szernów napadu; część wojska stała na zmianę w pogotowiu, z ręką na broni, śledząc oczyma, czy gdzie nad głowami nie błysnie słabym obrzaskiem czolo przelatującego szerna, aby go razić natychmiast strzałem niechybnym.

Marek tymczasem przy zapadającym mroku zamknął się samowtór z Jeretem w jednym gmachu ogromnym i sklepistym, w gruz się już od starości i niedawnych strzałów armatnich rozpadającym.

Siedział na jakimś glazie do starego ołtarza podobnym, z łokciami wspartymi na kolanach i z brodą w dłoniach ukrytą, i patrzył szeroko rozwartymi, nieruchomymi oczyma w płonące ognisko. Nieopodal na rozesłanej skórze leżał Jeret. Raniony był w nogę rzuconym z góry kamieniem; na wychudłej od trudów i poczerńiałej twarzy świeciły mu jeno oczy blaskiem gorączkowym. Uniósł się nieco na łokciu i opowiadał Zwycięzcy, gestykulując drugą ręką, dzieje przebytego dnia. Mówił, jak od morza aż po góry szli krajem pustym, spotykając po drodze jeno wystygłe zgliszcza, które ongi za pierwszym przejściem zostawiono — i jak na wstępie do kraju górzystego spotkał zastępy szernów, usiłujących w walce pochód jego wstrzymać. Prawił o trudach i wysiłkach niezmiernych i o bitwie nieustającej, gdzie każde staje¹⁴⁶ drogi trzeba było krwią kupować — i o groźnym już pogromie u stóp góry, od którego wybawiła go jeno dość wczesna pomoc Markowego wojska...

A Zwycięzca słuchał w milczeniu, zasępiony i nieruchomy. Jeno kiedy Jeret, o poselstwie wspomniawszy, opisywał zamieszanie i niechęć tam, w kraju ludzkim, brwi mu się zbiegły na chwilę i rzucił głową jakimś dumnym ruchem niechęci...

Młody wojownik wreszcie zamilkł i badawczym wzrokiem począł patrzeć w twarz Marka. Znać było, że drga mu na ustach powstrzymywane wciąż pytanie: co dalej? Po czynie ostatnim i wprost niepojętym zwycięstwem wygubił w sobie wszelkie, jeśli jakie istniały, wątpliwości o posłannictwie i boskiej mocy jasnego z Ziemi przybysza, ale nie-

¹⁴⁵snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

¹⁴⁶staje a. stajanie — daw. pozaukładowa miara długości; tu: chodzi zapewne o s. staropolskie wynoszące ok. 134 m a. s. austriackie równe 65,4 m. [przypis edytorski]

mniej troska o przyszłość myśl mu ćmiła radosną. Wiedział, że choćby Zwycięzca walkę całą chciał dalej prowadzić, to żołnierze padną z trudu samego i wycieńczenia.

I Marek to czuł także. Teraz w zdobytym mieście szernów, w górskiej, obronnej, a przecież wziętej pieleszy widział jaśniej niż kiedykolwiek, że o ostatecznym, nieodwołalnym zawojowaniu księżycowych pierwobyłców nie może być nawet mowy. Potrzeba by na to lat całych i sił bez porównania większych niż te, jakimi ludzie tutaj w ogóle mogli rozporządzać...

Niewesołe dumania przerwało mu wejście kilku żołnierzy ze straży. Prowadzili oni szerna, ze starości już posiwiąłego, którego ujęto w pobliskim gmachu. Ponieważ nie usiłował się zgoła bronić ani uciekać, więc go nie zabito, lecz wedle rozkazu Zwycięzcy, który kazał jeńców brać żywcem dla języka, przyprowadzono w zdrowiu przed jego oblicze.

Stary szern opończę na sobie miał przedziwną, gęstym a bezcennym szytą kamieniem, i obręcze z wyrabianego złota na rękę i nogach. Przywiedziony przed Marka, patrzył na niego ciekawie, ale spokojnie.

Marek przemówił do niego, ale on poruszył tylko głową na znak, że nie rozumie, i począł błyskać mętnymi światłami na czole. Wśród obecnych nikt tej mowy barwnej nie rozumiał — rzucono się tedy na poszukiwanie Nuzara i poddanych mu dwóch morców, ongi ujętych, którzy, wśród szernów w tym kraju wychowani, mogli prawdopodobnie służyć za tłumaczy.

Czekano więc na nich, a tymczasem począł Marek rozpytywać żołnierzy o okoliczności, wśród których szerna ujęli. Ci opowiedzieli mu rzecz dziwną. W wieży okrągłej, nieopodal gmachu, w którym się znajdowano, wzniesionej, trafiono, szukając noclegu, na sklep¹⁴⁷ zamczysty tuż pod samym szczytem...

Miasto całe było próżne i opuszczone: nikt w nim nigdzie dotychczas szerna nie znalazł, nie spodziewano się więc i tutaj zastać nikogo.

Sklep jednak był zamknięty. Sądzono, że szernowie, oknem przed najściem wrogów ulatując, drzwi zostawili zaparte. Wzięto się tedy do pracy, aby drzwi wyrąbać — ot, tak, bez myśli, można się bowiem było i gdzie indziej na nocleg rozłożyć...

— Byliśmy bardzo znużeni — mówił jeden z żołnierzy — to prawda, ale gdy się człowiek walką rozochoci, to choć z nóg spada, rad by jeszcze tłuc, co jest pod ręką... A przy tym ta wieża jest dziwna i zaciekawiała nas. Na ścianach około schodów są różne znaki, a z dołu widzieliśmy na płaskim dachu jakieś niepojęte przyrządy... Gdyśmy drzwi z wielkim wysiłkiem rozrąbali, bo mocne były i grube, wpadłem ja pierwszy do komnaty z tym oto towarzyszem moim i zobaczyłem szerna. Nie wiem, co mam o tym powiedzieć, ale gdy go zobaczyłem, pomyślałem zaraz, że to musi być szern zwariowany. Siedział bowiem spokojnie tyłem do nas i malował kamyki.

— Co robił? — zapytał Marek, nie rozumiejąc.

— Mówię: malował kamyki. Nawet się nie poruszył, kiedyśmy weszli. Tam izba cała jest pełna kamyków kształtu kulek, mało co większych od pięści i pokrytych w zupełności kleksami farb najrozmaitszych. Leżą w porządku na półkach. Oto wziąłem jeden na okaz.

Mówiąc to, podał Zwycięzcy sporą gałkę z kamienia toczoną, która pokryta była od jednego bieguna do drugiego gęsto zwiniętą linią spiralną, z drobnych plamek różnobarwnych złożoną. Marek wziął kulkę w rękę i przyglądał jej się długo, a potem zwrócił oczy na szerna. Jeniec drżał teraz cały, patrząc z najwyższym niepokojem na ręce Markowe. Zwycięzca począł gałkę podrzucać, jakby bawiąc się nią — czy szerna biegały za nią, wciąż śledząc niemal każde jej poruszenie w powietrzu.

W tej chwili właśnie doniesiono, że przybywa Nuzar z towarzyszami. Morcy weszli i spostrzegłszy szerna, byli tak jego widokiem poruszeni, że zapomnieli nawet oddać zwykłego pokłonu Zwycięzcy. Patrzyli przez pewien czas na starego potwora, oniemiałi i załękli niemal, spoglądając z widocznym zdumieniem na pęta surowych rzemieni, które się wiły około przegubów jego dłoni, tuż obok lśniących złotych obręczy. Aż nagle Nuzar, rzuciwszy okiem na gałkę, w ręce Marka bujającą, wznosił ręce w górę i obrócił się, runął przed Zwycięzcą twarzą na posadzkę.

¹⁴⁷sklep (daw.) — sklepienie; tu: sklepienie pomieszczenie; komnata. [przypis edytorski]

— Tyś jest pan — wołał — tyś jest mocarz największy! Wielkiego Szerna pojmałeś, o którym tylko słyszały uszy nasze, bo oczom naszym widzieć go nie było wolno! A oto patrzmy na niego, jak stoi przed tobą, panem, i w pętach!

Dwaj towarzyszący mu morcy padli również na twarz, bełkocąc jakieś niezrozumiałe wyrazy. Po dłuższym czasie dopiero zdołał z nich Marek wyciągnąć niejakię objaśnienia...

Słyszeli oni z dawien wśród szernów, że w mieście jednym niedostępnym jest starzec wszechwiedny, Wielkim Szernem nazwany, stróż tajemnic wszelkich, spisanych od wieków barwami na krągłych kamieniach. Za świętość i jedyną nietykalną istotę mają go szernowie, choć on nie rządzi ani nie rozkazuje. Oni sami nie chcą nic wiedzieć, uważając to za ciężar niepotrzebny i zapomnienie ceniąc nad inne dobro, ale on wie wszystko, a kiedy czuje zbliżającą się śmierć, wybiera następcę, którego wtajemnicza, aby snadź¹⁴⁸ wiedza nie przepadła...

Wielki Szern również spisuje wszystko ważne, co się staje, i ma nad tym pieczę. Morcy poznali go po płaszczu i złotych obręczach, a nadto po okrągłym kamieniu, których w kraju szernów, okrom¹⁴⁹ tego dostojnika, pod karą śmierci pismem pokrywać nie wolno.

Marek słuchał ze zdumieniem opowiadania, patrząc na starca ciekawie. A potem zapytał morców, czy zdołają się z szernem porozumieć?

Nuzar się stropił.

— Jeśli on zechce co mówić blaskami, wyrozumiemy może od biedy — rzekł — ale jemu głosem nic się nie powie, jeśli nie był nigdy wśród ludzi. Szernowie między sobą używają głosu tylko tak, jak ludzie ruchów rąk lub głowy, dla wyrażenia rzeczy najprostszych, gdy nie mogą sobie wzajem patrzeć na błyszczące czoła. Cóż mu tedy powiemy?

Mimo to Zwycięzca zażądał, aby spróbowali zapytać szerna, czemu nie uciekał razem z innymi? Nuzar się cofnął, nie czując się na siłach tego wyrazić; tedy dwaj pozostali morcy zaczęli wydawać dzikie i zgrzytliwe głosy, pomagając sobie przy tym pewnymi ruchami. Szern patrzył na nich pogardliwie, a po chwili błysnął czołem. Morcy, umilknąwszy, wpatrywali się z natężoną uwagą w przemykające blaski...

— Co mówił? — spytał Marek niecierpliwie.

— Powiada, że tak mu się podobało — odparł Nuzar z pewnym wahaniem w głosie.

— Jak to? i nic więcej?

— Nic, panie. Mówi, że mu się tak podobało.

Marek powstał i zbliżył się ku stojącemu nieruchomo szernowi. Potworne oblicze pierwobylca spokojne było i z lekka wzgardliwe, kiedy spoglądał na dwakroć wyższego od siebie olbrzyma. Nie znać na nim było ani śladu trwogi lub pomieszania; zaledwie cień ciekawości przeglądał z czworga krwawych, przygasłych oczu...

— Mówcie mu — rzekł Marek, do morców się zwracając — mówcie mu, że będzie żywy i wolny, jeśli zechce odpowiadać na moje pytania...

Morcy jęli znowu wycić i szczeleć, gestykulując przy tym żywo, a gdy po pewnym czasie szern im coś odbłysnął, zwrócili się do Zwycięzcy z wyrazem zakłopotania w tępych twarzach.

— Powiada, że gdyby mu było na życiu zależało, byłby uciekł razem z innymi... Chciał tylko zobaczyć...

Morzec urwał.

— Zwycięzco! — odpowiedział Nuzar szybko.

— Czy tak rzekł? Istotnie?

— Powiedział inaczej, ale nie śmiem...

— Mów!

— Grubego i głupiego psa chciał zobaczyć — dokończył morzec z kłopotliwym uśmiechem.

Wszelkie dalsze usiłowania wydobywania z szerna czegoś ponadto spetzły na niczym. Zdawał się być tak obojętnym na to, co go czeka i co z nim zrobią, że ani groźbą, ani obietnicą nagrody nie można go było zmusić do dawania odpowiedzi. Raz tylko, gdy

¹⁴⁸snadz (daw.) — tu: przecież. [przypis edytorski]

¹⁴⁹okrom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

Zwycięzca zapytał o treść ksiąg kamiennych, będących w jego przechowaniu, uśmiechnął się wyniośle i odparł:

— Idź a przeczytaj — po czym zapadł w niewzruszone już milczenie, cieniem na jego czole się objawiające.

Marek kazał go tedy odprowadzić do sklepionej komnaty na wieży i straż koło niego czujną postawić. Sam zaś, odprawiwszy morców i Jereta, wyszedł na dwór, aby odetchnąć nieco świeżym, mroźnym powietrzem...

Niebo było pogodne i gwiazdami wyiskrzone. Śnieg jeszcze nie padał, szron tylko obfity pokrył ulice i płaskie dachy domów kruchą powłoką. Marek, odkrywszy przy blasku wziętej z sobą latarni na wpół zrujnowane schody na szczyt kopuły gmachu wiodące, począł z wolna wstępować w górę. Głazy wąskiego przejścia zionęły jeszcze ciepłem, za dnia upalnego wessanym, w niepewnym świetle latarni majaczyły na nich resztki rzeźb jakichś i malowań, spelzłych już snadź przed wiekami i wieki całe w zaniedbaniu ginących... Na jednym miejscu, gdzie wznoszący się wciąż w górę korytarz rozszerzał się w rodzaj niskiej kolistej komnaty, zastanowiło Zwycięzcę malowidło dziwne, z szeregu stykających się kół złożone. Wzniósł latarnię i począł się przyglądać pobladłym resztkom...

— Nie omyliłem się — szepnął do siebie — ale to dziwne, to dziwne!...

Koła owe nie były niczym innym, jak mapami ziemskiego globu z różnych stron zdejmowanymi. Zatarty już rysunek nie pozwalał rozróżnić zbyt wielu szczegółów, ale znać było jeszcze, że mapy musiały być niegdyś wcale dokładne. Zarysy lądów, mórz i pasma górskie oznaczone były bez błędu, lubo¹⁵⁰ grubymi liniami... A ponad tym wszystkim ciągnął się pas falisty koloru czarnego z cęglastożółtymi na tym tle językami. „Czyżby to miało oznaczać w barwnym języku szernów przekleństwo dla gwiazdy znienawidzonej?” — myślał Marek, wstępując znów wyżej.

Po kilkunastu krokach trafił znów na szerszą niszę i znalazł w niej znowu rysunki podobne, jeno starsze bez porównania, tak że kształty ginęły prawie w szarzyźnie kamienia. I to była Ziemia niewątpliwie, ale jakaś inna niż ta, którą ludzie znają. Wewnątrz jednego z kół można było poznać coś podobnego do Europy, ale Morze Śródziemne było tu tylko wąskim, zamkniętym jeziorem, a głęboka zatoka morska wrzynała się z północy aż po Góry Karpackie...

Dziwne uczucie ogarnęło Marka. Nie wątpił, że ma przed sobą mapę rodzimego globu swojego z owych zamierzchłych epok przedhistorycznych, kiedy może nawet ludzie jeszcze nie istnieli, a oczy szernów patrzyły już na gwiazdę, na niebie czarnym ponad pustynią wiszącą...

Jakaś groza go objęła; przyspieszył kroku, aby się wydostać z tych dusznych korytarzy na szczyt kopuły...

Gdy stanął na niewielkiej platformie u szczytu, noc była na Księżycu nieprzenikniona. Cień gruby leżał pod gwiazdami na mieście, na kotlinie całej i na górach, kryjąc przed okiem nawet białosc ich śniegów. Jeno w stronie południowej lekki srebrzysty obrzask ponad piłą szerniałych szczytów się znaczył — a Zwycięzca poznał, że to blask dalekiej Ziemi, tam pod widnokregiem ukrytej...

Wyciągnął ręce z tęsknotą ogromną — i pociechą mu była myśl, że jeszcze kilka długich dni księżycowych, a poleci w błyszczącym wozie swoim przez niebieskie przestworza tam, do domu, zostawiając ten straszny świat bez żalu za sobą.

II

Słońce ukryte jeszcze było za okólnym wałem górskim i zaledwie śnieżne szczyty na zachodzie różowiły się w czół pierwszymi, złocistymi promieniami, kiedy Marek w towarzystwie Jereta i kilku ze starszyzny wyszedł na zwiedzenie zdobytego miasta.

Rad był, że noc już minęła, długa, ciężka noc, podczas której myśli posępne jak złowieszce ptaki siedziały u jego węzłowia, czekając jeno, rychło się z krótkich męczących snów przebudzi, aby go napaść całą chmarą. W tych godzinach czuwania, przy świetle płonącego na kamiennej posadzce ognia, czyn jego i to całe „zwycięstwo” w dziwnie ponurej stawały przed nim postaci. Rozumiał, że się pokusił na rzecz szaloną i zgoła, niestety, bezowocną. Miał miasto w posiadaniu i czuł już, że mimo woli więźniem w nim

¹⁵⁰lubo (daw.) — choć, chociaż. [przypis edytorski]

będzie... Gdy zasnął na krótką chwilę, budziły go zwidzenia nocnych napadów — zrywał się z łoża w przestraszu i biegł na mróz patrzeć, czy strażę czuwają i czy nie błyszczą w górze pod zaciemnionymi gwiazdami blade ogniki nadlatujących chmurą szernów. Ciszsza jednak była niezmienna i spokojna. Szernowie snadź¹⁵¹ nie chcieli się w cieniu nocnym na niepewną walkę narażać, czy też lękali się zimna, lub przestraszeni jeszcze świeżym pogromem sił dotychczas nie zebrali, dość że nic nie mąciło spokojnego snu zdobywców... Wracał tedy Marek do izby i zapatrzony w płonący ogień, usiłował snuć jakieś plany, przedrzeć myślą ten otaczający go mrok beznadziejny. Ale myśl, w jakąkolwiek stronę wysłana, grzęzła ciągle w jakiejś niemożliwości zasadniczej, w niepodobieństwie wysnucia wniosku, mającego bodaj pozory sensu...

W końcu znużył się bezcelowym myśleniem. Nad ranem napadł go sen, blisko dobieg trwający, z którego obudził się silniejszym i nadspodziewanie pokrzepionym. Nie zeszło na niego wprawdzie natchnienie i nie miał żadnego planu dalszego działania, ale przez reakcję swej zdrowej fizycznej natury popadł w pewną beztronską obojętność wobec wszystkiego, co może przyjść. Myślał już tylko o chwili obecnej, o tym, że jest w mieście zadziwiającym, kędy każdy głaz i każda budowla mogą mu opowiadać tajemnice nieśnione i nadzwyczajne.

Ubrał się tedy pośpiesznie i nie czekając wschodu słońca, wezwał orszak, mający mu w wycieczce towarzyszyć. Na wstępie jednak otrzymał przykrą wiadomość: Wielki Szern, wieczorem ujęty, znikł był w ciągu nocy bez śladu. Żołnierze czuwający nad nim przysięgali, że stać się to musiało jakąś siłą nieczystą, gdyż pomimo że więzień nie miał pęt nałożonych, drzwi celi zamknięte¹⁵² były szczelnie i bez przerwy strzeżone. Nadto zniknęły z nim razem malowane kamienie, które izbę wypełniały.

Marek, usłyszawszy tę wiadomość, zadumał się. Chociażby nawet przypuścić, że szern umknął, korzystając z chwilowego niedbalstwa straży, to gdzież się mogła podziąć owa „biblioteka” z głazów, ważąca zbyt wiele, aby ją mógł unieść już niejeden, ale stu szernów nawet? A gromadę taką, przybywającą po kamienie, byłiby przecież strażnicy niewątpliwie spostrzegli...

Nagle błysnęła mu myśl, niby promień światła niespodziewanego. Zrozumiał, że Wielki Szern pozostał wyłącznie dlatego, aby ocalić swe „księgi”, których niepodobna mu już było ukryć podczas nagłego i nieoczekiwanego snadź wtargnięcia ludzi. A teraz spełnił swoje zadanie i umknął. Spełnił zadanie, to znaczy, powrzucał cenne kamienie w jakąś tajemną i niewidoczną dla oka kryjówkę, może wewnątrz muru gdzieś wyżłobioną i głazem gładkim w ścianie zapartą, a uczyniwszy to, dostał się również tajemnym przejściem na dach i korzystając z nocy spłynął na szerokich skrzydłach niepostrzeżenie w dolinę.

Pierwszym odruchem woli chciał Zwycięzca wydać już rozkaz swym ludziom, aby celę przeszukali i w razie potrzeby jęli się łupania murów, byle tylko ukryte kamienie odnaleźć, ale zamiar ten zgasł w nim wnet sam, rozplywając się w uczuciu dziwnym i przykrym, a zawiłym.

Pochylił głowę i patrzył w milczeniu na otaczających go ludzi... Przez jedną krótką chwilę miał wrażenie, jakby był spółnikiem¹⁵³ tych pogromionych¹⁵⁴ szernów i bronić miał skarbu ich wiedzy przed niszczyielską ręką ludzkich barbarzyńców. Otrząsnął się wnet z tego, ale zarazem przyszło mu na myśl, że z kamieni owych on, choćby je odnalazł, nic nie skorzysta, nie będzie bowiem mógł snadź¹⁵⁵ nigdy odczytać barwnego ich pisma, a trudu będzie musiał i czasu poświęcić wiele na walenie muru, kto wie czy nie bezowocne... Nie odrzekł tedy ani słowa żołnierzom, wieść mu przynoszącym, i szedł wolnym krokiem przez miasto...

Domy wszędzie były kamienne i rzadko który z nich miał drzwi na poziomie ulicy. U największej części okna tylko było widać koliste i płytkie przed nimi balkony, często sterzące tylko belki kamienne, do wlotu snadź mieszkańcom służące. Budowle to wszystko były stare i od długich wieków snadź nieoprawiane. Kamienie sypały się

¹⁵¹snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

¹⁵²zamknięty — dziś: zamknięty. [przypis edytorski]

¹⁵³spólnik — dziś: współnik. [przypis edytorski]

¹⁵⁴pogromiony — dziś: zgromiony. [przypis edytorski]

¹⁵⁵snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

z górnych piętr, doły obrastał w wilgotnym cieniu mech jakiś, dając gmachom pozór skał samorodnych.

Do jednego z takich domów wszedł Marek i minawszy sieni ponurą i ciasną, znalazł się niespodziewanie w sali okrągłej, z niesłychanym urządzonej przepychem. Posadzkę kamienną pokrywały tu futra strzyżone i barwione wzorzysto¹⁵⁶, do tkanych dywanów na pierwszy rzut oka nader podobne. Broń jakaś dziwna wisiała na ścianach i makaty a rzeźby niewysłowionej roboty. Na niskich kwadratowych sofach leżały porzucone tkaniny purpurowe i miękkie, pełne ostrej jakiejś upajającej woni... W skrzyniach, ze składanych kawałków rzeżanej kości sztucznie zdziałanych, spoczywały całe bogactwa naczyń drogocennych, perły i kamieni. Miedziane wygasłe czary na kutych trójnogach stały między sprzętami i pośród zwierciadeł z nieznanego czarnego metalu.

Drzwi nad wysokim kamiennym progiem otworzone wskazywały drogę, którą uszli mieszkańcy...

Marek, schyliwszy się w zbyt niskim na wzrost jego otworze, wyszedł na balkon, w powietrzu przy szarym murze zawieszony.

Słońce wschodziło właśnie, połową tarczy zza zębatej piły szczytów leniwie się wychylając. Promienie jego złościły już miasto, nie grzejąc jeszcze zbyt mocno. W dolinie, u stóp wzgórza, opar się snuł białawy, podobny do morza, pierścieniem gór zamkniętego, pośród którego sterczał jeno samotnie skalisty ostrów, miasto na sobie dźwigający.

Uczucie beznadziejnego osamotnienia ogarnęło Zwycięzcę. Pojrzał po towarzyszach i z twarzy ich zrozumiał, że czuć oni muszą to samo. Oto są tutaj — garstka ludzi zuchwała — doliną i górami, i krajem szerokim, i morzem od domów swoich odcięci; zdobywcami są niby i w mieście wroga gospodarzą, a nie wiedzą nawet, co się wokół nich dzieje pod tym całunem mgły, całą kotlinę zaścieleną...

Dumał tak Zwycięzca, kiedy na ulicach miasta budzić się jęły głosy niespokojne — nieliczne zrazu, a potem coraz tłumniejsze. Żołnierze biegli w zamieszaniu i pytali o wodza. Dostrzegł to pierwszy Jeret z wysokiego balkonu i zwrócił się ku Markowi.

— Zwycięzco — rzekł — stało się coś niedobrego; szukają cię.

Marek obrócił głowę w głąb ulicy, starając się na próżno wyrozumieć coś z dolatującego zgiełku. Ale Jeret słuch miał widocznie bystrzejszy, czy też lepiej gwarę swoich współziomków rozumiał, bo posłuchawszy nieco, rzekł przyciszonym głosem:

— Szernowie napierają...

Nie było czasu do stracenia. Marek ruszył powrotną drogą na plac przed gmachem, kędy¹⁵⁷ noc przepędził. Kiedy mijał znów bogatą komnatę, przyszło mu na myśl, że to jednak szczególna¹⁵⁸, iż tyle skarbów w mieście zostało po uchodzących szernach, a tak mało żywności, której szczupły zapas z trudem się tylko udało żołnierzom jego zgromadzić. Najpierw pomyślał o tym obojętnie, ale potem myśl powróciła do niego z przeraźliwą jasnością. Wszakże to z pewnością nie jest przypadek! Szernowie unieśli z sobą zapasy, albo też zniszczyli je, o ile im tylko na to czas w śpiesznej ucieczce pozwolił, oddając raczej w ręce wrogów skarby i martwy dobytek! A teraz... teraz?

Na placu wojsko oczekiwało wodza z niecierpliwością. Garść żołnierzy, na noc u stóp wzgórza pozostawiona, powróciła była właśnie, napadem szernów zdziesiątkowana. Pozostali przy życiu opowiadali, że kotlina cała roi się od strasznych pierwobyłców, którzy miasto gęstym otaczają pierścieniem z widocznym zamiarem uwięzienia i ogłodzenia zuchwałych zdobywców...

Marek, otrzymawszy tę wiadomość, spojrział w twarz Jeretowi. Ten stał z pochyloną głową i namarszczonymi brwiami.

— Co mamy robić? — zagadnął Zwycięzca.

Młody dowódca wzruszył ramionami.

— Ty mnie się pytasz, panie? Zdziałałeś czyn boski, gród szernów niedostępny zdobywając, a teraz...

Urwał i zamilkł.

Marek nie pytał już więcej. Chmurny, ale stanowczy rozkazał wojsku szykować się do opuszczenia tak krwawo wziętej twierdzy.

¹⁵⁶wzorzysto — dziś: wzorzyć. [przypis edytorski]

¹⁵⁷kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

¹⁵⁸szczególna — dziś: szczególne; rzecz szczególna. [przypis edytorski]

Kiedy szeregi stoczyły się pośpiesznym marszem ze skalistego zbocza, mgły się już na dole rozwiały, odsłaniając całą obszerną zieloną kotlinę. Czerniła się ona teraz od szernów, zewsząd ją zalegających. Zwycięzca wznosił rękę, wskazując towarzyszom daleki wał górski...

To, co się teraz dzieć zaczęło, podobne być mogło tylko do zamętu, jaki powstaje w pełnym ulu, kiedy przejść chce przezeń żuk-niszczyciel. Ludziom broniącym się ręce mdlały i ból łamał karki, zdrętwiało od wznoszenia głowy ku spadającemu z góry wrogowi.

Każdą piędź przestrzeni trzeba było zdobywać, każdy krok krwią okupować. Szli jak rębacze w puszczy dziewiczej, z tą jeno różnicą, że nie martwe kłody i pnące ścinać musieli, ale wśród żywych ciał żelazem przejście sobie czynić. A kotlina przed nimi zdawała się rosnąć w nieskończoność...

Oparli się wreszcie o stawek kolisty i tu pod nadbrzeźnymi skałami stanawszy, zaczęli sobie gęstą strzelbą mościć drogę ku góróm. A kiedy atak szernów osłabł na chwilę i zbite zastępy rozpraszać się zaczęły, ognia nie mogąc wytrzymać, ludzie, nie czekając, ażeby się wróg opamiętał, ruszyli skokiem naprzód, siekąc po drodze zapóźnione w ucieczce luźne kupy.

Tak z wolna posuwali się ku góróm, patrząc oślepyłymi od dymu i błysku strzałów oczyma na ten niebosiężny wał skalisty, jak gdyby on im miał być ucieczką i ochroną...

Nadziei tej Marek nie podzielał; owszem, był przekonany, że z chwilą wstąpienia na stok górski bitwa się jeno zaostrzy, gdyż szernowie zechcą wyzyskać niedogodne położenie wdzierających się w górę żołnierzy. Poglądał też często ku śnieżnemu grzbietowi, starając się wysledzić czatujących w zasadzkach szernów, gotowych staczać z góry gruz i kamienie... Na szczęście jednak obawy okazały się płonnymi. Czy to, że szernowie, mimo przeważającą liczbę, znużeni byli walką, nader dla nich kosztowną, czy też po prostu nie przypuszczali, że ludzie zdołają żywcem przedrzeć się przez kotlinę: dość, że nie pomyśleli zgoła o obsadzeniu górskiego przejścia. Odstąpili nawet od niego, kiedy oddział Marka zaczął się wdierać na stok, dając opadającym ze znużenia ludziom chwilę odetchnienia...

Żołnierze odsapnęli niewiele¹⁵⁹ i pożywiwszy się nieco, ruszyli znów w górę, nie zwłócząc. Marek szedł w przodzie, czujne mając oko na wszystkie strony — w tył jeno¹⁶⁰ nie śmiał się oglądać, aby nie liczyć szeregów, do połowy niemal stopniałych. Przewagę dawała mu tylko broń palna — toteż teraz drżał na myśl, że szernowie, złupiwszy poległych, mogą zabrać ich broń i naboje i zwrócić przeciw pozostałej garstce. Tym bardziej tedy gnał do pośpiechu, czując, że jedyne ocalenie jest już tylko w ucieczce.

Ludzie zagadywali go czasem: „Zwycięzco!” — a on za każdym razem, kiedy to miano posłyszał, zaciskał usta boleśnie, jak gdyby mu szyderczą obelgę w twarz rzucono. Zresztą pochód uciążliwy odbywał się w milczeniu, przerywanym jeno czasami zgiełkiem coraz radszych walk z dopędzającymi oddział szernami. Stawano tedy na krótką chwilę i bito napastników kulami — i posuwano się znowu naprzód, byle wyżej i wyżej.

Na przełęczu Marek zarządził dłuższy odpoczynek. Żołnierze znużeni, nie bacząc już na nic, niepamiętni niebezpieczeństwa wciąż grożącego, rzucali się na śnieg zaczęli i zasypiali tak w okamgnieniu, jakby ich śmierć nagła ogarniała. Niewiele czasu upłynęło, a Zwycięzca stał już tylko sam, patrząc pod blask słońca na opuszczoną kotlinę.

Przetarł ręką czoło i powieki, jak gdyby sen z oczu chciał spędzić. Bo naprawdę snem mu się to wszystko teraz straszonym wydało: walka i przedziwne miasto zdobyte, i potem ten odwrót najkrwawszy... Ciche, śnieżne góry były dookoła niego i tam w dole kotlina cicha leżała, zielona i stawów pełna tęczowych, w blasku słońca uspiionych. Myśl jego ginęła w jakiejś dziwnej próżni.

„Po co, po co to wszystko?” — zapytywał się w duchu tak szczerze i nie znajdował odpowiedzi na to proste pytanie...

Z wolna obrócił oczy ku południu, w stronę bieguna.

Lekki, biały, kulisty obłok ponad górami.

Ziemia.

¹⁵⁹niewiele (daw.) — dziś: niewiele. [przypis edytorski]

¹⁶⁰jeno — tylko. [przypis edytorski]

Wyszła już z pierwszej kwadry i zbliżała się z wolna do pełni, górnym rąbkiem swej tarczy widna oczom Zwycięzcy. Cisza była naokół niezmierna, świat cały księżycowy zamarł w blasku słońca, niskim łukiem po niebie biegnącego.

Marek zadumał się. Szeroko rozwartymi oczyma patrzył teraz na Ziemię i myślał, jak ciężka walka go jeszcze czeka, nim będzie mógł po skończonym trudzie powrócić tam — na rodzinną swoją planetę. I myślał także, co ludziom księżycowym po sobie zostawi. Nie dokonał wprawdzie i wie już, że nie dokona podjętego dzieła: szernów wytepić do imienia¹⁶¹ na Księżycu niepodobna — ale ogniem i mieczem przeszedł całą wrogów krainę i nauczył tych strasznych pierwobyłców bać się człowieka i jego broni, a zastęp zbrojnych jego towarzyszków, choć zdziśiatkowany, umie teraz stawić czoło szernom w otwartym boju i zwyciężać ich, jeśliby się kiedyś jeszcze pokusili o zawojowanie ludzkich dziedzin...

Pocieszał się tymi myślami i tym jeszcze, że kiedy powróci szczęśliwie do ludzkich osad, przed odlotem na Ziemię uporządkuje tam stosunki, nada prawa wydziedziczonym i uciśnionym, mocnych nauczy sprawiedliwości i miłosierdzia...

Byle wracać! byle wracać co prędzej!

Zerwał się i zaczął budzić uspijonych żołnierzy. Wstawali niechętnie, ociągając się, na wpół jeszcze nieprzytomni i ciężkim snem pijani. Marek jednak nie dopuścił już żadnej odwołki. Ledwo byli na nogach, kazał im schodzić w dół, ku równinom, ku morzu.

Południe zastało ich już u stóp gór pierścieniowych; przed nocą spodziewali się być na równym kraju padolnym¹⁶².

Jakoż rzeczywiście rażno posuwano się naprzód. Odwrotu ich szernowie prawie niepokoiłi, nie można było bowiem brać pod uwagę drobnych utarczek zwycięskich z przypadkowo napotykanymi gromadami, które po jednej lub dwóch salwach szybko się rozpraszały. Pierwobyłcy widocznie, krwawym nauczeni doświadczeniem, nie ufali swym siłom w pustym i odkrytym kraju. W żołnierzy wstępował duch wesoly. Cieszyli się, przeczuwając (Marek bowiem tego nie mówił), że idą do domów i będą mogli odpocząć po niesłychanym trudzie. Jeret tylko patrzył przed siebie ponuro i unikał coraz więcej widoku Zwycięzcy.

O pewnej godzinie popołudniowej, kiedy wchodzili już na rozległe równiny, Marek zbliżył się do niego na postoju. Nie mówili dawno z sobą, toteż Jeret drgnął, kiedy usłyszał niespodziewanie głos Zwycięzcy.

— Jeret — rzekł on — chciałem się z tobą naradzić...

— Jestem tu, panie, aby słuchać twoich rozkazów.

Marek skinął na niego i wyszli obaj poza obóz na małą wyniosłość ponad płynącą leniwie rzeczulkę. Widać stąd było nieliczne namioty (resztę ich w walkach utracono bezpowrotnie) i krzątających się dookoła nich żołnierzy. Obdarci byli i słońcem opaleni; na wychudłych ich twarzach rysowały się wyraźnie ślady przebytych trudów. Poruszali się jednak żywo, znosząc wodę w wiadrach na uwarzenie stawy — straże obchodziły obóz miarowym krokiem z bronią na ramieniu. Marek patrzył przez pewien czas w milczeniu na ten stopniały do połowy zastęp wiernych swoich towarzyszków, aż naraz zwrócił się do Jereta z zapytaniem:

— Co myślisz o tych ludziach?

— Byliśmy ci wszyscy wierni i spełniliśmy, co leżało w naszej mocy, Zwycięzco...

— Dlaczego nazywasz mnie ciągle „Zwycięzcą”? — zauważył Marek.

Jeret nie odrzekł ani słowa. Więc Marek zapytał znowu po chwili:

— A o mnie co myślisz?

Teraz młody dowódca wzniosł na niego oczy i odparł szczerze:

— Nie wiem.

Marek uśmiechnął się.

— Mniejsza. Nie o tym chciałem mówić... Dostałem się między was na Księżyc i pełnię trud, który wziąłem na siebie dobrowolnie. W krajach, które odtąd, gdzie stoimy, ciągną się ku morzu, mieszkali niegdyś szernowie. Nie zdołaliśmy ich w górach wytracić, ale te żyzne ląny przed nami są wolne. Oddam je ludziom na posiadanie.

¹⁶¹do imienia (daw.) — całkowicie. [przypis edytorski]

¹⁶²padolny — tu: dolinny. [przypis edytorski]

— Nim ludzie tu przyjdą — ozwał się Jeret po chwili — szernowie powrócą do swych zburzonych miast na nizinach i trzeba będzie nową walkę toczyć.

— Nie. Ludzie tutaj już są i nie powinni pozwolić szernom na powrót.

Jeret spojrział na niego zdumiony.

— Ty byś chciał, panie?...

— Słuchaj mnie — rzekł Marek, przerywając mu. — Myślałem nad tym długo, co wypada robić, i wahałem się nawet... To sąsiedztwo szernów w górach nie jest bezpieczne ani wygodne, ale niepodobna nam już opuścić zawojowanego kraju, jeśli cała wyprawa nasza nie ma być zgoła bezowocna. Tam, z tamtej strony morza, zaczyna wam być ciasno — tutaj są ziemie bujne i bogate... A od szernów przecież będziecie się umieli bronić... Tych krajów nam już opuszczać nie wolno.

Jeretowi nagle rozbłyły oczy.

— Zwycięzco! więc my nie idziemy do domów?

— Z radością to wyrzekłeś...

— Tak, panie. Z radością. Bo ja... nie mam tam nic...

Urwał i sposepniał nagle. Marek zrozumiał, że Jeret myśli o dziewczce. Wyciągnął dłoń i dotknął z lekka jego ramienia...

— Jeret — rzekł — wierz mi, że nie masz powodu...

— Nie mówmy o tym, panie. Rad jestem, że krew nasza nie na próżno była rozlana. A obawiałem się już, że zechcesz nas odwieść stąd...

— Ale czy wy pozostać zechcecie?

— Ludzie są zmęczeni i pilno im do domów. Myślę jednak, że zostaną, gdy im ty, Zwycięzco, rozkażesz. Początkowo będzie tu ciężko, bo szernowie zapewne pokoju nam nie dadzą. Zostaniemy jednak, dopóki inni nie przyjdą, aby się tutaj już osiedlić, i obrony stałej nie utworzą.

— Czy i ty chcesz tu pozostać?

— Tak. Na zawsze.

— Jak wolisz! Myślałem zabrać cię z sobą.

— Nie. Wracaj, panie, sam nad *Ciepłe Stawy* i ucz ludzi prawa...

— Poczekam na Anasza. Wedle tego, coś mówił, powinien by dzisiaj przywieść posiłki...

— Sądzę, że jutro spotkamy go nad morzem lub na naszym dawnym szlaku w głąb kraju...

Zamilkł na chwilę. Po jakimś czasie dopiero Marek ozwał się znowu, patrząc z boku na zadumanego młodzieńca:

— Osadnicy zapragną tutaj pobudować domy i założyć rodziny... Czyś i ty?...

— Ja?

— Tak. Zamierzałeś niegdyś pojąć w małżeństwo... wnuczkę Malahudy. Czy mam ci ją przysłać tutaj, powróciwszy za morze?

Jeret spojrział mu prosto w oczy.

— Panie, czy ty sądzisz, że wnuczkę Malahudy można komuś przysłać?

— Myślę, że mnie posłucha, gdy jej powiem, że taka jest moja wola...

— A jeśli by cię posłuchała, czy sądzisz, panie, że ja ją zechcę wziąć z twoich rąk?

Nie mówiono już więcej o tym.

Namioty zwinięto rychło i ruszono znowu na północ, ku morzu. Nad większymi rzekami i w pobliżu wybrzeża miano dopiero zostawić załogi.

Przed zapadającym wieczorem spotkano Anasza z niezbyt liczną, ale dobrze uzbrojoną garścią ludzi. Opowiadał, że przybycie jego z posiłkami opóźniły trudności, jakie miał ze strony rządzącego arcykapłana Elema, a także niespodziewany napad szernów od strony *Przesmyku*, który jednakże odparto z łatwością dzięki pomocy Malahudy.

— Czyjej? czyjej pomocy? — zapytał Zwycięzca.

— Malahudy — powtórzył Anasz wyraźnie — dawnego arcykapłana. Zaginiony stazec zjawiał się niespodziewanie w najgorętszej chwili, właśnie w porze, kiedy wszyscy głowy potracili, i objął dowództwo nad zbrojnymi, którym Elem nie umiał przewodzić. Napastników otoczono i wybito do nogi.

Na nocnych już leżach, nim mróz począł ogarniać krainę, wezwał Marek złączone oddziały i objawił im swój zamiar pozostawiania załóg w zdobytych ziemiach. Przyjęto tę

wieść bez zapachu, ale też i bez szemrania. Rozumieli wszyscy, że trzeba utrzymać to, co się tak krwawo kupiło — i że jedyny na to jest sposób: zaludnienia tych niedostępnych dotychczas nodze ludzkiej okolic.

Tedy Marek oddał głos Jeretowi, który wezwał ochotników, chcących z nim na posterunku pozostać — przynajmniej do czasu, nim osadnicy nowi zza morza nadpłyną. Ludzie zgłaszali się z wolna, zwłaszcza spośród świeżo z Anaszem przybyłych; ale i między weteranami nie brakło takich, którzy byli gotowi stanować przedmurze dla przyszłych miast i wiosek człowieczych.

W końcu zebrał się zastęp wcale pokaźny, który można już było na kilka, dość silnych, rozdzielić. Zwycięzca zostawił tym ludziom wolność podzielenia się ziemią do woli, zastrzegając tylko, że pewne obszary mają być zawsze własnością gromadzką, nigdy zaś osobistą.

Dziwnym się żołnierzom wydał ten rozkaz, przyjęli go jednak bez protestu i święcie zachować poprzysięgli, zwłaszcza kiedy posłyszeli, że jest to wstęp do nowych i zbawionych praw, którymi Zwycięzca chce ludność nowego kraju uszczęśliwić.

Pierwszą osadę postanowiono założyć na miejscu, gdzie właśnie noc przepędzono — i tutaj na przyrodzonym szlaku wiodącym od gór w kraje nizinne zostać miał Jeret z garścią co najwyborowszego¹⁶³ męża, jako stróż i naczelnik.

Rankiem, gdy reszta obozu, oprócz pozostających, ruszyła dalej, żegnał się z nim Zwycięzca, wzruszony myślą, że po raz ostatni ściska drobną, a tęgą dłoń wojownika... Gdy miał już odejść, drgało mu jeszcze na ustach pytanie, co ma złotowłosej Ihezał powiedzieć, jeżeli go o niego zapyta, ale spojrzawszy w posępne oczy Jereta, uściśnął mu tylko dłoń jeszcze raz, żywo i gorąco, i odszedł bez słowa...

I tak posuwano się ku morzu, zostawiając załogi po drodze, w miejscach na osady dogodnych a obronnych, aż gdy w późnej popołudniowej godzinie zobaczono z dala rozfalowaną siną przestrzeń wody, mała już tylko garstka została przy Zwycięzcy. Nad morzem spotkano oddział pilnujący sań zostawionych. Tutaj pozostawał jako naczelnik Anasz, który na razie miał jeszcze odprowadzić Zwycięzcę do starego kraju i wrócić z osadnikami.

Słońce zachodziło, kiedy sanie, przygotowane już do drogi, oczekiwały na piasku, rychło¹⁶⁴ mróz nocny zetnie morze szklistym pomostem. Marek, rozciągnięty na wybrzeżu, patrzył na lunę zachodnią. Palila się szeroko, czerwieńsza i krwawsza niżli zazwyczaj, jakby symbol ostatni i pożegnalny owych długich dni, pełnych trudu, mordy i pożogi... Zwycięzca przypomniał sobie ostatni wieczór przed wyjazdem i jasną głowę Ihezał na piersi swojej opartą — i wznosił ręce w milczeniu, jakby Bogu bez słów dziękując, że trud jego największy jest już ukończony i że wraca do kraju, skąd rychło odleci na zawsze z Księżyca...

Łuna tymczasem nie gasła, lecz zdawała się owszem zażęgać coraz szerzej i krwawiej, pół nieba prawie obejmując. I nagle dziwny strach przeniknął Marka, jak gdyby ten pożar niebieski i ta krew po zachodzie słońca nie tylko przeszłe dni znaczyła, lecz miała dla niego być zarazem wróżbą jakiegoś losu straszego...

III

Wieść o napadzie szernów na ludzkie dziedziny przyszła tym razem od zachodu i wywołała niesłychany popłoch. Zbiegowie z rybackich krajów nad brzegiem morza w okolicy *Przesmyku* donieśli, że zbliża się oddział pierwobyłców, nie wiadomo skąd przybyły — i pali i morduje wszystko po drodze... Nikt nie myślał stawiać oporu. Uciekano tylko na wschód, ku miastu przy *Ciepłych Stawach* z jękiem a przekleństwami. Wołano już głośno, że Zwycięzca zapewne poległ, a z nim i wszyscy towarzysze — i teraz zacznie się zemsta szernów nieuchronna a straszliwa. Ludzie łamali ręce w bezradnym przestraszu i cisnęli się dokoła arcykapłańskiego pałacu, wołając na próżno Elema, aby się ukazał i lud swój ratował.

Elem nie wychodził. Zamknięty w komnatach, stracił głowę zupełnie i nie wiedział wprost, co począć. Nie wierzył on wprawdzie, aby Zwycięzca był już zgubiony, ale słysząc

¹⁶³najwyborowszy — dziś: najbardziej wyborowy. [przypis edytorski]

¹⁶⁴rychło (daw.) — szybko. [przypis edytorski]

za oknami przekleństwa miotane na głowę tego do niedawna bożyszczu ludu i zarazem głośy wzywające jego, jako arcykapłana, aby w tym nieszczęściu dał pomoc i ochronę: poczuł całkowitą bezsilność władzy swojej i stanowiska.

Szeregów sprawić nie umiał, nie mógł stanąć na czele zbrojnych, aby opór stawić straszному wrogowi, a czuł, że nawet w razie odwrócenia zguby, jaka grozi rodzajowi ludzkemu, chwije się pod nim tron arcykapłański, i musi coś radzić, coś postanowić, jeżeli nie chce, aby w razie cudownego ocalenia zejść musiał w cień z zajmowanego dotychczas stanowiska.

Lud tymczasem burzył się w trwodze i rozpaczy. Odzywały się głośy, że należy się ukorzyć przed szernami i błagać ich o zlitowanie, a zwłaszcza Awija, który mógłby być pośrednikiem. Byli tacy, którzy nie namyślając się dłużej i nie czekając już rozkazu arcykapłańskiego, pchać się zaczęli do świątyni i domagać się, aby ich puszczono przed oblicze dawnego wielkorządcy...

Gdy Sewin doniósł Elemowi o tym ruchu, zadumał się on na chwilę głęboko. Myśl jakaś poczęła mu świtać w głowie. Nie wierzył, aby Awij, więziony długo i dręczony, zechciał być po uwolnieniu łaskawym pośrednikiem między ludźmi a swymi zwycięskimi w tej chwili współziomkami; byłoby to przypuszczenie stanowczo nazbyt optymistyczne... Sądził jednak, że więzień może się stać poniekąd środkiem ocalenia, jako zakładnik, i może zechce dla bezpieczeństwa własnego życia przez pisma jakieś skłonić napastników do pokojowych układów. Postanowił tedy sam z szernem się rozmówić.

Sewin ogłosił z okna ludowi tę wolę arcykapłańską, a on sam kazał tymczasem wdziewać na siebie uroczyste szaty. W skarbcu po dawnych arcykapłanach strojów była wielka obfitość, Elem jednak wybrał stamtąd tylko klejnoty co najjaśniejsze, nakazując się oblec w suknie nowego wyrobu, jaskrawsze i więcej barwne od starego odzienia. Chciał okazałością i przepychem postaci swojej olśnić oczy szernowskie, spodziewając się, że w ten sposób zewnętrznie moc swą okazawszy, skłonniejszym go zrobi do uległości...

Awijowi o zaszyłych wypadkach doniosła Ihezal. Zaszła do podziemnej komnaty bez zamiaru mówienia z więźniem o czymkolwiek, z przyzwyczajenia raczej, które stało się już jej wewnętrzną potrzebą. Ludzie odsuwali się od niej coraz więcej. W miarę jak gasł urok Zwycięzcy, w dalekim kraju w niepewnych walkach zagubionego, poczynano i na nią patrzeć inaczej, gorszym i podejrzliwszym okiem. Zapomniano nawet, że była wnuczką Malahudy, ostatnią latoroślą odwiecznego arcykapłanów rodu, a widziano w niej już tylko strażniczkę szerna i przeto zaczęto ją za istotę nieczystą uważać. Młodzież podziwiała po dawnemu piękność jej uwodzicielską, ale w podziwie owym była jakby obawa, jakby nienawiść prawie.

Spoglądano na nią z daleka i mówiono po cichu rzeczy dziwne. Byli tacy, którzy przypisywali jej siły nadprzyrodzone i zgubne. Mówiono, że przenosić się może niewidzialna z miejsca na miejsce i umie zysłać wzrokiem mór i chorobę. Doszło do tego, że ludzie, mijając ją, kreślili zbawienny Znak Przyjścia na ustach — znak, który przez wypełnienie czasów stracił już był dawne swoje znaczenie, ale mimo to zachował się wśród ludu jako środek odżegnania wszelkich złych uroków.

Ihezal nie szukała też niczyjego towarzystwa; dziadka nawet przestała od dawna odwiedzać. Miała sama wrażenie, że wzbiera w niej złość i jad, jak u lśniącego gadu, zamkniętego w miejscu, gdzie nikogo kąsać nie może. Wzgardzona i odepchnięta, ludźmi zaczęła gardzić nawzajem ze zdwojoną siłą, zwłaszcza że mimo wszystko czuła swoją moc nad nimi. Wiedziała, że kiedy się ukazuje na stopniach świątyni, ci, którzy uciekają, aby szat jej nie dotknąć, poglądają bokiem w oczy jej czarne i na jedno jej wezwanie gotowi by się złemu zaprzedać, byle tylko w godzinę śmierci dłonie jej poczuć na czole. I była to rzecz dziwna, że im więcej się jej bano i więcej unikano, tym moc jej tylko wzrastała.

Lubiła czasem doświadczać tej siły. Stawała na progu świątyni i pętała oczyma przechodnie¹⁶⁵, wabiąc ich na chwilę neodpartym uśmiechem, aby w tymże okamgnieniu odwrócić się od nich, jak od martwego i zgoła obojętnego przedmiotu... A czasem znowu wzbierała w niej pogarda bezbrzeżna i zła, aż bolesna prawie, kiedy przechodziła wśród niechętnego sobie tłumu z zastygłą twarzą i zaciśniętymi ustami, nie racząc nawet rzucić okiem koło siebie albo odpowiedzieć na rzadkie pozdrowienie... W tych godzinach kryła

¹⁶⁵pętała oczyma przechodnie — dziś B.: (...) przechodniów. [przypis edytorski]

się w mrocznej głębi opuszczonej świątyni albo wyzywając hardo potępiające ją głosy, szła do podziemnego sklepu, aby spędzać długie chwile w towarzystwie Awija.

Sama rzadko mówiła, ale słuchała coraz chętniej dziwnych opowieści szerna, który jej mówił o kraju swoim i o miastach na pustyni martwych, i o żywych miastach wśród gór, które legną pokonane może u stóp Zwycięzcy, ale mu nigdy tajemnic swoich nie rozewrą... Po rozmowach takich wychodziła często na dach świątyni i patrzyła na szerokie morze. Ku *Wyspie Cmentarnej*, ciemnym zarysem na lśniącej powierzchni się kładącej, ku falom, które szły z dala, ruchliwe i ciągle, ku widnokręgowi dalekiemu w sinich mgłach, słońcem przepojonych... I wtedy przychodził jej na myśl Zwycięzca. Czasem jak ze światła i mgły przedwczorajszej usnute, dawne wspomnienie — czasem jak fala dziewczęcej krwi gorącej, co bije nagłym, rozkosznym uderzeniem w usta i w piersi, paląc je silniej niż słońce pod lekkim odzieniem, że wyrwać się chcą spod zasłon i ochłodzić w rzeźwym powietrzu lub mdleć pod pocałunkami...

Ale najczęściej myślała o nim z dzikim, namiętym żalem. Czemu moc jej swoją pokazał i odszedł od niej, jak gdyby nigdy nie był jej widział? Dlaczego ważniejsze były mu walki i dobro ludzi, i jego posłannictwo — niż ona, kwiat i perła —? Usta jej wzdymały się krwawym szyderstwem; szła znów z powrotem do jamy potwora, aby słuchać obelg i bluźnierstw, przeciw tamtemu jasnemu miotanych... A czasem ukrywała się w ciemnym zakątku pod alabastrową kolumną i trzęsa się od łkań wewnętrznych, niezdolnych przez oczy łzami wytrysnąć.

Owego dnia wieść o najeździe szernów doszła Ihezal, kiedy rankiem wracała znad morza. Nie umiała powiedzieć nawet, kto ją jej przyniósł i kiedy... Widziała ludzi biegnących, ale nie obchodziło jej to zgoła, dlaczego biegają i o co krzyczą. Zaledwie słyszała dźwięk ich załęczonych głosów... Minęła tak jedną grupę i drugą, i dziesiątą — i o nic nie pytając, nie nadśluchując niczego, spostrzegła, wchodząc na stopnie świątyni, że wie już o wszystkim.

Kilka służebnic czekało ją w przedsionku; chciały jej coś mówić, o czymś opowiadać, lecz ona odprawiła je bez słowa skinieniem dłoni i szła prosto do dawnego skarbcza...

Awij dnia tego posepny był i mrukliwy. Nie odpowiadał jej na pytania, nie mówił zwykłych, długich, dziwnych a straszliwych powieści... Kilkakrotnie powtarzał tylko, jakby tonem rozkazu: „Puść mnie, rozwiąż!”

I teraz to były pierwsze słowa, którymi przywitał wchodzącą złotowłosą. Zgojone od dawna skrzydła rozpostarł, o ile mu na to pozwalały łańcuchy — i krwawe światła zaczęły wydobywać z siebie.

— Puść mnie! — zakrzyknął wreszcie — puść mnie! Czuję, że wiatr jest nad morskimi falami i słońce. Puść mnie, wolnym chcę być!

— Z mojej łaski?

— Mnie łaski wyświadczyć nie można. Stoję daleko poza tym wszystkim, co wy łaską, litością albo krzywdą nazywacie. Chcę być wolnym przez wolę swą, której ty jesteś narzędziem.

— Nie jestem.

— Będziesz.

— Zginiesz, jeśli cię uwolnię.

— Nie zginę. Jeśli rozkujesz moje więzy, będę królem nad tobą, będę królem nad tą tłuszcą psów, a przez jak długi czas? Cóż to kogo, ciebie lub mnie obchodzi?

— Współbraci twoich Zwycięzca wycina.

— Kamień, lecący z góry, miażdży krzewy po drodze, a przecież spadnie nisko i leżeć już będzie na wieki. A krzewy odrosną. My mamy moc.

— Tymczasem ty jesteś w więzach i ja cię mogę bić, jeśli mi się spodoba.

— Mówisz tak do mnie, abys sama słowa swoje słyszała, bo czujesz, że jesteś niczym wobec mnie...

Ihezal zbliżyła się z wolna do potwora i jęwszy ułomek łaski, porzucony gdzieś w kącie, zamierzyła się, chcąc go w twarz uderzyć. Szern nie drgnął nawet. Rozwarł tylko szeroko czworo swoich krwawych oczu, do czterech nieruchomych ogni w tej chwili podobnych.

Ihezal opuściła rękę bezwładnie.

— Awij! Awij! — krzyknęła mimowolnie.

Cofnęła się w głąb, krzyżując ręce na piersiach.

Słowo, Siła

— Ziomkowie twoi napadli nasz kraj — rzekła po chwili zgoła niespodziewanie.

Szern nie okazał zdziwienia ani radości. Milczał przez pewien czas.

— Za wcześniej — ozwał się wreszcie. — Jeszcze nie nadeszła pora...

Dalsze słowa przerwało mu wejście posłańców arcykapłana.

Weszło ich do celi sześciu, chłopów rosyłych i tępych, którzy minawszy Ihezał, jakby jej nie widzieli, zbliżyli się wprost do więźnia, zarzucając mu pętle na uwolnione z okuć dłonie. Po dwóch trzymało sznury z każdej strony; dwaj pozostali poczęli żywo rozkuwać żelaza i otwierać kłódki, przywierające szerna do kamiennej ściany.

— Co robicie! — krzyknęła Ihezał.

Nie odpowiedzieli jej wcale, jeno targnęli uwolnionego więźnia i pociągnęli na linach za sobą ku górze. Ihezał poszła z wolna za nimi.

W pośrodku świątyni na tronie arcykapłańskim siedział Elem w całej okazałości uroczystych, klejnotami wszelkimi błyszczących szat. Otaczali go kołem dostojnicy miasta i stolicy. Zebrani byli wszyscy, jakby na roki lub gody, lecz wzrok ich, mimo zewnętrzną powagę, biegł co chwilę niespokojnie ku wrotom świątyni i znać było, iż najlżejszy szelest ich straszy. Gdy szerna przyprowadzono, patrzyli na niego, jak gdyby oni byli skazańcami, a on sędzią, los ich w ręku trzymającym. Elem jeno zachowywał jeszcze pozory mocy i godności.

— Wiedz — rzekł do byłego wielkorządcy — że bracia twoi w zamorskim kraju są pokonani i zniszczeni na wieki. My jednak chcemy litosierdzie łaskawe okazać nad nimi, zwłaszcza nad tobą...

Przerwał na chwilę, aby zaczerpnąć oddechu, którego w piersi mu brakowało.

Wtedy szern niespodziewanie zapytał:

— Czy daleko od wałów waszego miasta są zwycięscy szernowie? Widzę bowiem po was, że się boicie: i barwne szaty nie mogą zakryć podłych strachów waszych.

Zaległo głuche milczenie.

Elem oprzytomniał pierwszy i uniósłszy się nieco na siedzeniu, odezwał się, jakby nie zauważył hardego szyderstwa w głosie skrępowanego szerna:

— Istotnie niedobitki waszego rodu, pogromem przepłoszone, wpadły tu do naszego kraju, ale gotów jestem nawet darować im życie...

— Cha, cha! — zaśmiał się szern.

— Tak, darować im życie, jeżeli...

— Co?

— Zechcą ustąpić.

— Cha, cha, cha!

Twarz Elema sposepniała.

— Inaczej zginiesz ty, nim oni murów miasta osiągną.

— Czego chcecie ode mnie?

— Ostrzeż ich, napisz, powstrzymaj... Jesteś tu naszym zakładnikiem. Wyślemy posła...

— Kto z was pójdzie z moim poselstwem?

Zrobiła się cisza. Nikt nie dawał odpowiedzi i nikt nawet myślą nie szukał śmiałka, który by się odważył posłować, wiedząc, że idzie na pewną śmierć i na męki. Awij to zrozumiał.

— Uwolnijcie mnie — rzekł.

Elem się zawahał.

— Kto nam zaręczy, że uwolniony, zechcesz nas chronić, a nie mścić się?

— Ja wam ręczę — rzekł wielkorządca — że uwolniony mścić się będę, a nie chronić was. Lecz jeśli mnie nie uwolnicie, zemsta będzie jeszcze straszniejsza!

Arcykapłan chciał mu coś odpowiedzieć, ale w tej chwili przeszkodził mu ruch, powstający nagle u drzwi świątyni. Wbiegali ludzie z krzykiem i lamentem — słychać było głosy, że szernowie palą już osady w pobliżu miasta — z wałów widać ścielące się szeroko dymy... Popłoch naraz zapanował. Dostojnicy porywali się z siedzeń, niektórzy z nich cisnęli się w załęknienu około tronu Elemowego, jak gdyby ratunku lub schronienia od niego czekając.

Elem stał bezradny, niezdolny nad tym zamieszaniem zgubnym zapanować...

Szern wtedy, targnąwszy się na linach, wstał na podniesienie tronu i zacharczał:

— Do nóg moich, psy! na twarz, na twarz! Skomleć mi tutaj o życie, którego wam nie dam!

Nie wiadomo co by się było stało, bo odruchowo w nieprzytomnym strachu niektórzy ze starszyny i ludu zatoczyli się już, jakby mając runąć pod nogi potwora, gdy nagle u wrót świątyni zabrzmiał potężny, znajomy głos:

— Ludu! stój!

Obejrzeni się wszyscy. Na niskiej z kwadratowego głazu kazalnicy obok wejścia stał Malahuda. Szarą miał szatę na sobie, bez oznak żadnych i ozdób, na której odcinała się tylko długa, siwa broda, ale z postawy jego całej biło dawne, przemożne dostojeństwo. Znać było, że przyszedł ująć władzę w tej ciężkiej chwili.

— Malahuda! Malahuda! arcykapłan! Cudem się jawi! — poczęto krzyżeć ze wszech stron i cisnąć się ku niemu.

A on, objąwszy okiem świątynię, powstrzymał napór i uciszył zmieszane gwary jedynym ruchem dłoni.

— Szerna odprowadzić do lochu — rzekł — a lud na plac, przed świątynią. Tam wydam rozkazy.

Rzucono się na Awija i wepchnięto w mgnieniu oka do podziemia, gdzie pachółkowie przywiązali go znów do kamiennej ściany. Tłum tymczasem zaczął się ze świątyni przez szerokie wrota na dziedziniec wywalać.

Malahuda przeczekał, aż cała fala podle¹⁶⁶ niego przepłynęła, po czym ostatni wyszedł z opustoszałej hali, nie rzuciwszy nawet okiem na Elema, w głębi nieruchomo i samotnie siedzącego.

Ze schodów zwrócił się wprost na arcykapłańską mównicę, górującą nad placem. Powitano go zapamiętałym okrzykiem radości. Wiatr rozwiewał jego długi, biały włos, nienakryty kołpakiem ani złotą obręczą nie spięty — dłoń, którą wznosił nad tłumem, bez pierścieni była i bez arcykapłańskiej laski, a jednak ugięli się wszyscy na jego znak i zamilkli, aby rozkazów wysłuchać.

Dawny arcykapłan przemawiał krótko. Poleciał kobietom, dzieciom i starcom rozejść się do domów, a na placu zgromadzić się wszystkim zdolnym do wojennego trudu. Oddzielnie kazał Anaszowi zebrać i uszykować mężów obeznanych z użyciem broni palnej.

— Zwycięzca — rzekł (po raz pierwszy przed ludem wymówił to miano, do Marka je stosując) — Zwycięzca nie zginął ani nie upadł. Bądźcie przekonani. Gdyby było inaczej, szernowie nie małą garstką, o której słyszę, ale całym zastępem byłiby się tutaj na nas zwalili. Ten napad to widocznie ostatnia ich próba ratunku. Spodziewali się popłoch tutaj wywołać. Niechże zamiast tego zastaną mężów i zgubę znajdą ostateczną. Wiodłem was nieraz do boju i dzisiaj jeszcze w braku młodszych powiodę.

W kilka godzin zebrane szeregi z Malahudą i Anaszem na czele wysypały się z murów miasta, dążąc na zachód, ku rozwleczonej po horyzoncie dymom.

W mieście oczekiwano tymczasem wieści niecierpliwie. Jakoż przysła wcześniej, niż myślano. Wnet po południu, zaledwie burza ucichła, przybiegli pierwsi posłowie, donosząc o zwycięstwie. Garstkę zuchwałych szernów otoczono znienacka i wybito do nogi, tak iż żaden z życiem nie uszedł.

Zapanowała radość nie do opisania. Lud wybiegał przed bramy, ażeby powitać zwycięskiego starca, tak w porę przybyłego — wołano już, że musi on na nowo zasiąść stolec arcykapłański na miejsce niegodnego Elema. Ale radosne poselstwa spotkały tylko Anasza, wracającego na czele zwycięskich szeregów. Malahuda zniknął.

Nie tań wprawdzie, teraz odchodząc, że się ukrywa na *Wyspie Cmentarnej*, ale nakazał zarazem, aby mu nikt nie śmiał samotności przerywać.

Obwieścił to Anasz ludowi i powiedział jeszcze, że Malahuda kazał mu nie odstępować od pierwotnego zamiaru i zawieść w nocy posiłki Zwycięzcy za morze. W mieście utworzone tylko być miało pogotowie dla obrony na wszelki przypadek.

Lud był dotknięty i oburzony odejściem Malahudy. Odczuwano to jako wzgardę ze strony dumnego starca i w gniewie zapominano nawet, że on przed niewielu godzinami zjawieniem się swoim ocalił miasto może od hańby i zagłady. Z nastroju tego skorzystał co rychłej Elem, posyłając między lud Sewina, który w formie pogłoski rzucił myśl, że to

¹⁶⁶podle (daw.) — obok, wzdłuż. [przypis edytorski]

sam arcykapłan wezwał starca ku obronie, znając jego większe doświadczenie w rzemiośle wojennym.

Zresztą tak prędko się to stało i pozornie z taką łatwością, że ludzie wkrótce przestali wierzyć w istnienie niebezpieczeństwa, przed którym drżeli niedawno, i ze śmiechem, a jeszcze więcej z pewnym przykrym wstydem i tylko niechętnie wspominali o minionym popłochu. Tego dnia szernowie po prostu przestali być strasznymi: nie tylko Malahudzie się nie dziwiono, że ich pokonał, lecz nawet zaczęto mówić z lekceważeniem o Zwycięzcy i jego wyprawie, która niegdyś uchodziła w ich umysłach za cud szalonej odwagi.

Owszem, miano prawie za złe Markowi, że się bawi tak długo wyniszczaniem nienawistnego plemienia, i radzono już głośno nad tym, iż właściwie nie należy mu wysyłać dalszych posiłków. I prawdopodobnie Anasz, mimo wyraźnego rozkazu Malahudy, nie byłby nigdy za morze wyruszył, gdyby nie nęciła ochotników nadzieja zdobyczy — widzieli bowiem byli klejnoty, ongi przez Zwycięzcę złotowłosej wnuczce arcykapłańskiej przysłane.

Dla Ihezal wydało się to wszystko, co było zaszło, dziwnym snem, który nader przykre uczucie zostawił po sobie. Widziała, jak szerna wyciągano z lochu, i widziała straszne upokorzenie ludzi, gotowych już niemal w podłym strachu upaść na twarz przed związanym potworem... Czuła, że była chwila, kiedy w całej przepelnionej świątyni jedyną istotą górną i dumną był ten zwierz właśnie, zły i nieludzki. Wstyd ją ogarnął nagły i gorący, wstyd za ludzi marnych, wstyd za tę godzinę pohańbienia, na którą patrzeć musiała — i za Zwycięzcę nawet, który bezbronnego potwora uwięził... I ten wstyd zwrócił się niespodziewanie ostrzem przeciwko szernowi. On, Awij, był świadkiem i pośrednią przyczyną tego wszystkiego...

Za pierwszym odruchem chciała iść i zabić go, ale lęk ją ogarnął niepokonany na myśl, że będzie musiała przedtem spojrzeć w krwawe i szydercze jego ślepie. Zamknęła się tedy w swoich komnatach i nie wychodziła z nich przez długie godziny... Malahuda przysłał po nią, aby w ważnych sprawach przybyła na *Wyspę Cmentarną* — nie odpowiedziała posłowi, nie dopuściła go nawet przed swoje oblicze... Wieczorem wyruszał Anasz z posiłkami za morze; ludność cała na zamaryły brzeg wyległa — ona nie raczyła nawet twarzy ku oknu obrócić...

I noc całą, w długich przerwach między jednym a drugim snem, spędziła samotnie, w zadumaniu coraz bardziej zawziętym... Kilkakrotnie zrywała się, jakby z zamiarem zejścia do lochu, kędy¹⁶⁷ szern był zamknięty, ale za każdym razem brakło jej siły czy odwagi — i cofała się znowu w komnaty ukryte, nie pozwalając nawet służebnym zaglądać do siebie.

Tak też upłynął i ranek dnia następnego. Godziny całe przepędzała jakby zastygła w dziwnym odrętwieniu, leżąc z szeroko rozwartymi oczyma... Dopiero około południa, kiedy powietrze, ciężkie od zbliżającej się burzy, innych ludzi obezwładniało, w nią nagle wstąpiła jakaś gorączkowa energia.

Była właśnie w komnatach swoich. Zerwała się z szerokiej sofy i poczęła wołać na służebnice, aby jej sprowadziły pachółków. Przyszło ich czterech: parobki grube, do oprawców podobne. Ihezal dała im znak, aby zaczekali.

W tylnej, niewielkiej izbie, kędy się zazwyczaj przyodziewała, było szerokie zwierciadło metalowe nad półokrągłym basenem wody w posadzce. Tutaj weszła Ihezal, wiodąc dwie z dziewczek służebnych za sobą. Stała przed zwierciadłem i kazała, aby ją rozebrały.

Chyżymi dłońmi rzuciły się obie rozwiązywać wstęgi jej zwierzchniej szaty na ramionach i nad piersią, od czasu przybycia Zwycięzcy na Księżyc ludzkim oczom zawsze zakrytą. Potem jedna z nich schyliła się do jej nóg, aby zdjęć sandały, gdy druga szybkimi, piśszczotliwymi ruchami palców wyjmowała przepięcia z jej włosów, co spłynęły rychło złotą falą po plecach jej już nagich. Na biodrach wisiła luźno szata spodnia, koloru zmiennej morskiej wody, u łona ściągnięta cienkim złotym łańcuszkiem, aż do stóp zwisającym. Szarpnęła go sama obiema rękoma, a kiedy je roztworzyła, ostatnie odzienie spłynęło z niej cicho na białe futro, na brzeg basenu rzucone.

Zakwitnęła teraz przed własnymi, w zwierciadle utkwionymi oczyma jak kwiat czardziejski. Usta jej się wydeły miłośnie i powieki ciężkie opadały wpół na źrenice, kiedy

¹⁶⁷kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

patrzyła na odbicie swojego ciała... Pod kaskadą sypkiego złota włosów lśniły jej drobne białe ramiona, spięte dwiema bladymi różami piersi... Biodra jej smukłe, z lekka różowym snem krwi prześwietlające, perłową linią spływały słodko w dół ku okrągłym kolanom i stopom małym, do dwóch lilii podobnym...

Przebiegła się wężowym ruchem, unosząc ręce nad głową.

— Piękna jestem...

— Piękna jesteś, o pani! — odpowiedziały chórem obie służebnice.

Trwała tak chwilę, smukła, gibka, naga i doskonała — aż nagle, jakby ją wspomnienie jakieś uderzyło, zwinęła dłonie przed oczyma, na pierś głowę pochylając. Służebnym zdawało się, że dosłyszały jęk czy jakiś spazm powstrzymywanego łkania.

Kiedy ręce znów z twarzy odjęła, miała usta zaciśnięte i w oczach twarde, rozkazujący wyraz.

— Ubierajcie mnie — rzekła krótko.

Poskoczyły obie, aby ją myć i wonnymi nacierać olejami, ale praca szła im nierzadno¹⁶⁸, gdyż od lubieżnego zachwytu ręce im drżały, ślizgając się po białym ciele pani.

Ihezał ruchem głowy wskazała w milczeniu skrzynie, kędy¹⁶⁹ przechowane były szaty jej najkosztowniejsze.

Po kilku chwilach w sztywnym odzieniu, pod płaszczem purpurowym, klejnotów pełnym i złota, trudno by się nawet było domyśleć nagiego i wysnionego cudu jej ciała. Włosy owinięto jej wieńcem wysokim dookoła skroni i nakryto perłami i koralem sztywą zasłoną, nogi obuto w ciżmy zielone, z długimi, wlokącymi się po ziemi za każdym krokiem złotymi łańcuchami — na wierzchu jej dłoni świeciły ogromne różyce z drogich kamieni, przypięte złotymi sznurkami do czterech pierścieni na palcach i obręczy szerokiej około przegubu ręki.

Gdy wyszła tak do czekających pacholków, ci pochyliли głowy mimowolnie, cofając się ze czcią pod ścianę. Ihezał dała znak ręką, aby szli za nią.

Minęła w milczeniu korytarze, łączące komnaty jej ze świątynią, i zwróciła się wprost ku zejściu do dawnego skarbcza. Przy drzwiach kazała pacholkom zapalić pochodnie. W czerwonym blasku rozbłysłego smolnego luczywa zaciśnięte usta jej zadrgały jakimś strasznym, zimnym okrucieństwem...

Pchnęła drzwi do lochu i kazała pacholkom wejść naprzód. Ustawili się po obu stronach, świecąc smolnymi pochodniami, a wtedy weszła i ona — z dźwiękiem łańcuchów u nóg, z błyskami drogich kamieni, sztywna w szatach bogatych i ciężkich, z zastygłą, białą twarzą.

Szern spojrział na nią zdumiony. Od czasu owego chwilowego uwolnienia podczas popłochu nie przykuwano go — już w pośpiechu zadziergnięto tylko liny, u przegubów dłoni uwiązane, za żelazne w ścianie pierścienie i nogi sznurem do oka w kamiennej posadzce przytroczono...

— Ihezał! — charknął po chwili.

Zbliżyła się ku niemu bez słowa, z nieruchomą wciąż i jakby zastygłą twarzą. Powoli wyjęła z fałdów sukni ostry sztylet o giętkim ostrzu i głowicy, z jednego wyrzeźbanej koralu, i zaczęła nim błyskać w świetle pochodni, jakby się bawiąc.

— Ihezał!

Ostry ból zdławił mu krzyk w gardle. Dziewczyna nagłym a niewinnym na pozór ruchem przyłożyła mu ostrze sztyletu do czoła, znacząc na nim szeroką szramę. Potem cofnęła się nieco i dała znak dwom pacholkom, aby się zbliżyli z pochodniami. Przez pewien czas patrzyła na potwora w krwawym blasku smolnych świec, aż wreszcie wyjęła je z wolna z ręki trzymających i podsunęła pod rozpostarte czarne skrzydła.

Szern zwinął się z bólu — sklep napełniała woń spalenizny.

— Panami są ludzie — mówiła Ihezał, cofając nieco pochodnie — do nich należy Księżyc i wszelki twór na nim żyjący.

Od morza aż po krańce pustyni, nad którą świeci Ziemia, gwiazda błogosławiona: na morzu i za morzem, w krajach, które jeszcze nie są poznane...

¹⁶⁸ *nierzadno* — nieszybko. [przypis edytorski]

¹⁶⁹ *kędy* (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

Głos jej się załamał i zgasł. Gwałtownie uderzyła szerna w pierś płonąca pochodnią, która jej przy tym z ręki wypadła i tłała, rozlewając się na posadzce szeroką, czerwonym ogniem nakrytą plamą smoły.

Cień szerna od ściany odchylonego padł na górę i zamajaczył ogromną czarną zmorą pod złotymi literami świętego niegdyś napisu... A z kłębu zwiniętego potwornego ciała błyszczało czworo straszliwych, krwawych oczu... Ihezał uczuła nagle, że siły ją opuszczają. Obejrzała się mimo woli, szukając dłonią oparcia; pacholkiwie umknęli w jakimś zabobonnym strachu. Była sama.

Przez jedną chwilę chciała uciekać i ona. Ale uczuła, że nogi jej nie służą, duszność jakaś ją ogarnęła, zaczęły jej ciężyc sztywne, drogocenne szaty. Cichy jęk wyrwał jej się z ust posiniałych i na wpeł rozwartych.

Szern dotychczas nie wydał głosu. Zwijając się w męce, miał rogowe wargi zaciśnięte i teraz patrzył tylko w milczeniu straszliwymi oczyma na ślaniającą się dziewczynę. I ona wzroku od oczu jego oderwać nie mogła. Nigdy jeszcze wobec nich nie czuła się tak bezsilną, jak teraz, kiedy przysła właśnie dumnemu potworowi moc swoją i wspaniałość okazać. Szeroko rozwartymi, tępyimi żrenicami patrzyła na niego nieruchomie, niezdolna kroku nawet postąpić. Widziała ranę na piersiach, pochodnią wypaloną, która teraz w czerwonych skaczących płomieniach u stóp jego gasła — i oczy, oczy...

Straszliwy, obłąkany krzyk wydarł jej się z piersi i zamarł w połowie na najwyższym tonie, jak fontanna nagle mrozem ścięta.

A szern zaczął mówić:

— Panami są szernowie, zła ani dobra nieznający, panami są w więzach nawet, w ranach i pokonaniu.

Służyc im musi każdy twór, który przyszedł na Księżyc, a choćby się wyłamywał spod władzy ich — upadnie.

Panami byli od początku, kiedy Ziemia-służebnica nocom ich świeciła, i będą panami do skończenia czasów, kiedy *Wielka Pustynia* wypije morze i Księżyc cały pochłonie...

Ihezał bezdźwięcznie poruszyła wargami.

— Pójdź bliżej — rzekł znowu szern po chwili, nie spuszczając z niej wzroku.

Zachwiała się, ale posłuszna postąpiła kilka kroków.

— Bliżej.

Postąpiła jeszcze — już tylko pół kroku ją od niego dzieliło.

— Litości...

— Rozetnij sznury — rzekł Awij.

Mechanicznym, bezwolnym ruchem podjęła sztylet i chyląc się do nóg potwora, zaczęła przecinać krępujące je więzy.

— Ręce...

Wyprostowała się i wolno, jak gdyby sennie, wraziła ostrze sztyletu między dłoń szerna i żelazny pierścień na ścianie. Awij miał jedną rękę już wolną. Nie sięgnął jednak po sztylet, aby sobie i drugą uwolnić, jeno powtórzył tym samym cichym, rozkazującym głosem:

— Dalej, i drugą...

Ihezał przecięła sznur.

I nagle uczuła, że jakaś straszliwa czarna masa na nią się zwała. Chciała się bronić, chciała odeprzeć ciężar rękoma, sztyletem pchnąć, ale z dłoni jej jak liść zwiedły wyleciał, a w tej chwili dwa skrzydła szerokie, wzniesione, gdzieś w górze nad jej głową załopotaly i opadły na nią, spowijając miękko... Uczuła ręce straszliwe, ślizgające się po jej bokach i szukające wśród sztywnych fałdów szat ciała żywego — a potem na obnażonych biodrach dotknięcie zimnych, śliskich dłoni. — Nagła noc ogarnęła jej głowę, żar w ustach i krtani, ból — jakiś potworny, nieludzki, straszliwy ból, który skręca jej mięśnie i wnętrzości, ból tak ohydny, że aż do dzikiej rozkoszy podobny...

Upadła bez przytomności.

IV

Świt wstawał szary nad zamarzłym morzem. Malahuda, w futro ciepłe przybrany, wysunął się na świat ze swojej jaskini na *Wyspie Cmentarnej*. Towarzyszyły mu dwa wierne psy,

dzielące od pewnego czasu jego samotnię. Wybiegłszy na dwór za panem, zaczęły ujadać i skakać wesoło, rozgrzebując biały śnieg nogami i węsząc dookoła kryjówek uspionych na noc księżycowych zwierzątek.

Starzec patrzył przez chwilę na skoki psów, uradowanych, że się dostały na wolność po długim nocnym zamknięciu, a następnie zwrócił się z wolna w stronę wzgórza, przewieszoną ścianą ku morzu spadającego. Psy, spostrzegłszy, że odchodzi, zaprzestały igraszek i pobiegly za nim. Nogi grzęzły mu w sypkim, zmarzłym śniegu; idąc, podparł się długim kosturem.

Doszedłszy do szczytu wzgórza, usiadł i odpoczywał przez długą chwilę, patrząc ku szerokiej lodowej płaszczynie, nieskalanym zwierciadłem u stóp jego się ścielącej.

Do wschodu słońca było jeszcze daleko. Śnieg siniał dopiero pierwszymi światłami, mżącymi gdzieś z błędnego nieba, w których świat cały roztapiał się równomiernie, bez przejść, bez cieniów, bez ostrych zarysów... Pod gwiazdami tylko szeroki, jasnoperłowy i srebrzysty obrzask na wschodzie zapowiadał, że światła te zwiastują przyjsie słońca, które przebiegłszy długą drogę ponad *Wielką Pustynią*, idzie teraz dołem, morzami, aby się wreszcie w tym kraju na horyzont spod lodów wydobyć.

Malahuda wytężył oczy ku południu, na morza roztocz bezbrzeżną. W rannym świetle twarz jego była stara i znużona. Nikt by nie powiedział, widząc go, że jest to ten sam człowiek, który jeszcze przed dwoma dniami umiał porwać tłum i w chwili niebezpieczeństwa stanąć na czele szeregow i wrogów ludzkości straszliwych gromić na wspólni¹⁷⁰ z młodymi. Teraz w samotności oczy jego straciły błysk rozkazujący, dolna warga ust zwiśla nieruchomie nad długą, siwą brodą, którą targał niekiedy zrywający się wiatr przedporanny... Psy, szukając ciepła, zbliżyły się do jego kolan i patrzyły razem z nim na szerokie morze.

Tak upłynął pewien czas, gdy naraz uszu starca doleciał dziwny, zaledwo dosłyszalny świst. Było to tak, jak gdyby lód kędyś zaczął z cicha dzwonić, ostrym żelazem krajany, lub jakby wiatr się gdzieś między krami zabłąkał i gwiżdżąc, wylatywał pędem przez szczeliny zwałów lodowych. Malahuda drgnął i powstawszy, przeszedł szybko na sam skraj wzgórza, gdzie brzeg się urywał, pionową ścianą spadając ku morzu. Stał nad samym wiszarem i patrzył przez chwilę z natężeniem przed siebie. Tam daleko, daleko, na lodowej lśniącej płaszczynie — coś, jakby punktów czarnych kilka, na pozór nieruchomych, które jednak rosły wciąż w oczach i oddalały się ciągle od siebie...

Teraz starzec zwrócił się na prawo, gdzie na miejscu najwynioślejszym stał duży stos, przykryty ośnieżonymi gałęziami. Szybkim ruchem zdarł z niego ten ochronny dach i kosturem poprawił pęknięcia licywa, u spodu przygotowane. Za chwilę rozbłysnął ogień, wzbijając się słupem w górę buchającymi szeroko dymami.

Punkty czarne zbliżyły się tymczasem znacznie: rozróżnić już można było kilkoro sań, pędzących po lodzie z rozwianymi na wiatr żaglami. Malahuda, stojąc podle¹⁷¹ stosu płonącego, liczył je z dala... Cień padł mu na czoło i usta drgnęły niepokojem.

Zstąpił ze wzgórza drogą okólną i zeszedł na brzeg, gdzie morze wrzynało się w ład płytką zatoką.

Z sań spostrzeżono snadź ogień i domyślono się, co ma ten stos o tak wczesnej porze oznaczać, bo wkrótce zaczęły one zataczać szeroki łuk i wjeżdżać, zwolniwszy pędu, w zakrytą od wiatru zatokę. Przy brzegu zwijano pospiesznie żagle, hamując jednocześnie sanie rzuconymi pod płozy łańcuchami.

Z pierwszych sań, które znacznie wcześniej od innych osadziły się przy lądzie, wyskoczył spod skórzanego dachu Anasz. Malahuda podbiegł żywo ku niemu.

— Zwycięzca?

— Jest z nami. Oto te sanie środkowe...

— A reszta? Tamci pierwsi i Jeret?

— Zostali.

— Żywi?

— Tak. Choć legło wielu. Żywi zostali załogami w zdobytym kraju na równinach...

I ja tam rychło powrócę.

¹⁷⁰wspól — dziś: wspólni. [przypis edytorski]

¹⁷¹podle (daw.) — wzdłuż, pod; tu: obok. [przypis edytorski]

W tej chwili i Markowe sanie osadziły się na miejscu, ryjąc przodem okutych płóz szeroką bruzdę w nadbrzeżnym śniegu. Żołnierze zaczęli wyskakiwać spod skórzanych nakryć i wznosić radosne okrzyki. Wreszcie wyszedł i Marek. Spostrzegłszy Malahudę, rzucił się żywo ku niemu.

— Starcze, szukać cię wszędy¹⁷² kazałem...

Były arcykapłan dał znak ręką.

— Pomówimy teraz. Wcześniej nie było można. Każ, panie, tym ludziom jechać wprost do miasta, dopóki lód przed wschodem trzyma. Ciebie później łodzią odeślę.

Marek wydał Anaszowi odpowiedni rozkaz i patrzył jeszcze, stojąc obok Malahudy, jak sanie, powstrzymane w biegu, zaczęły na nowo żagle rozwijać i rozsypywać się szerokim półkolem do dalszej drogi. W pewnej chwili przyszło mu na myśl, że ci ludzie zobaczą pierwiej niż on złotowłosą Ihezal, która wyjdzie zapewne na stopnie świątyni i będzie szukała pośród przybyłych jasnym okiem wyniosłej jego postaci...

Sanie tymczasem mknęły już w pędzie poza ograniczającym zatokę przylądkiem.

— Zimno jest — rzekł Malahuda. — Chodźmy.

I nie czekając odpowiedzi, ruszył przodem z psami, nieodłącznie mu towarzyszącymi. Marek postępował za nim. Szli tak w milczeniu czas dosyć długi, krążąc płytką doliną pomiędzy dwoma wzgórzami, aż znaleźli się wreszcie u stóp wyniosłości, gdzie było wejście do pieczary przez starca zamieszkaną.

Marek zdumiał się, zobaczywszy to pierwotne nad wyraz schronisko arcykapłana, niegdyś rządzącego całym ludem księżycowym i do zbytku raczej a przepychu przyzwyczajonego, ale nie odezwał się ani słowa¹⁷³, wchodząc za nim niską szyją skalną do wnętrza.

Tutaj Malahuda ujął go za rękę, dając znak, aby usiadł.

— Chcę mówić z tobą, synu — rzekł. — Wówczas, kiedy przybyłeś na Księżyc, nie pora była, ale teraz muszę. Zrozumiesz może niejedno, gdy ci opowiem... Nie gniewaj się, że cię synem nazywam, ciebie, któryś jest ogromny i Zwycięzcą tutaj mianowany. Ja stary jestem i dobrze ci życzę...

Marek pochylił głowę.

— Starcze, od chwili, kiedy pierwszy raz słowa twoje słyszałem, chciałem być z tobą i mówić tak szczerze!

— Przedwcześnie było wówczas, przedwcześnie! teraz dopiero... Ale prawie¹⁷⁴ mi ty naprzód, gdzieś był i co działałeś, abym z ust twoich własnych posłyszał...

Więc Marek rozpoczął długą opowieść. Siedząc tak na głazie przykrytym skórą, w mroku jaskini, kędy światło nafcianego kagańca żółkło coraz bardziej wobec sinego świtu, przedostającego się szczelinami w sklepieniu, prawil obszernie o całej wyprawie swojej, o walkach, utarczkach, zwycięstwach i niepowodzeniach. Nie zataił nic, nawet obaw swoich, że pogrom szernów, jako niezupełny, owoców dobrych nie wyda i nie zapewni trwałego pokoju — i nie krył się z tym, że wedle jego przekonania dalsza wojna z pierwobyłcami w górzystym ich kraju jest wręcz niemożliwa... Opowiadał też, jak z ciężką obawą zostawiał załogi w kraju zdobytym, losu ich niepewny, jeśli nie w czasie najbliższym, to na przyszłość, kiedy sąsiedztwo szernów zacznie ciążyć nad nowymi osadami, jak chmura gradowa, każdej chwili grożąca zgubą i zniszczeniem.

Malahuda zadumał się głęboko, słuchając tych opowieści. Kilkakroć przecierał ręką czoło wysokie i pobrużdżone, ale nie przerywał Markowi, dopóki nie skończył mówić. Dopiero po pewnym czasie ciszy, kiedy Marek, zadumany z kolei, patrzył tępy, znużonym wzrokiem na ścielące się cienie po załomach głazów, starzec powstał naraz i rzekł:

— Zrobiłeś, synu, wszystko, co mogłeś zrobić. Teraz ja ci winienem dać pewne wyjaśnienia, abys mnie lepiej mógł zrozumieć...

Urwał nagle, jak gdyby zmieniając postanowienie, i odezwał się krótko:

— Zresztą to obojętne. To ci jeno radzę: wracaj na Ziemię jak najrychlej, jeżeli tylko możesz wrócić.

Marek spojrział na niego zdumiony.

— Chcę wrócić i powrócę, ale nie rozumiem...

¹⁷²wszędę (daw.) — wszędzie. [przypis edytorski]

¹⁷³nie odezwał się ani słowa — dziś: nie odezwał się ani słowem. [przypis edytorski]

¹⁷⁴prawie (daw.) — mówić, opowiadać; prawie, konstrukcja z partykulą wzmacniającą -że: mów, mówże. [przypis edytorski]

Starzec się uśmiechnął blado.

— Widocznie trzeba jednak, abym mówił wszystko, inaczej może byś mi nie ufał. Słuchajże tedy. Byłem arcykapłanem i wierzyłem razem z całym ludem, razem z ojcami moimi w przyjście obiecane Zwycięzcy. W dniu, kiedy ty przyszedłeś na Księżyc, ja przestałem wierzyć. Tak się już stało. Sam sobie z tym wszystkim rady dać nie mogłem, bo to była wiara całego życia mojego, a ja jestem już stary, bardzo stary. Ale wiedziałem, że jeśli ty zechcesz, wiele zdziałać możesz, więcej niż my, i dlatego pozostawiłem ci pole otwarte. Sam zaś cofnąłem się tutaj, aby w samotności i ukryciu rozmyślać nad tym, co jest.

Przestał mówić na chwilę, a potem zacerpnąwszy oddechu, podjął znowu:

— Straciwszy wiarę, że Zwycięzca nadprzyrodzony, którego księgi nasze zapowiadały, wcielenie Starego Człowieka, zesłanym być może, czekałem tutaj początkowo, abys ty, przybysz z Ziemi przypadkowy, stał się dla nas owym Zwycięzcą, jakim lud stęskniony mianował ciebie od razu. I wtedy jeszcze byłem gotów przekląć cię, gdybyś nie dopełnił nadziei naszych, bez twojej woli zresztą do ciebie przywiązanych... Może tylko dla tej winy twojej, żeś przebył przestrzeń międzygwiazdną, którą położono od początku jako mur między światami... I tamci pierwsi, których groby tu podług nas stoją, złamali to prawo oddalenia i oto nieszczęście wynikło dla nich i całych ich pokoleń aż do dnia dzisiejszego... Uchodź ty, póki czas.

— Dziwnie mówisz, starcze...

— Tak, tak. Nie o tym chciałem mówić. Myśli mi się płaczą i powracają wciąż do tego, co boli. Otóż w samotności nauczyłem się patrzeć na rzeczy spokojniej i nie wymagać od ludzi tego, co przechodzi siły człowieka, chociażby nawet przybył z Ziemi.

Mogłeś być nic dla nas nie zdziałać, a tymczasem poszedłeś i walczyłeś razem z nami i dla nas. Bo cóż ciebie to w końcu obchodzi, co się dzieje na Księżycu? Odejdiesz od nas pewnego dnia i legenda jeno zostanie: oby jasna i święta! Zwycięstwo twoje, synu, nie jest zupełne, i masz słuszność, obawiając się o los tych, którzy tam załogami zostali, i tych, którzy pójdą za nimi zamieszkać te żyzne ziemie zdobyte. Ale inaczej nie można zrobić... Skończyłeś swoje zadanie i ja cię błogosławię.

— Nie skończyłem — rzekł Marek. — Pilno mi wracać na Ziemię, a jednak chcę pozostać tu jeszcze czas jakiś, aby prawa wasze naprawić i zmienić panujące stosunki. Źle jest u was.

— Źle jest i będzie, i tak już pozostanie. Na to nic nie poradzisz — odparł starzec posępnie.

— Chcę poradzić.

Malahuda potrząsł głową.

— Nie próbuj. Nic nie zdziałasz, a to może być zguba dla ciebie. Zatrzymałem rozpalonym ogniem wasze sanie, bo chciałem mówić z tobą i ostrzec cię. Wracaj na Ziemię. Tam przy *Ciepłych Stawach* i w całym kraju księżycowym inni już są ludzie, niż w chwili kiedyś przybył lub kiedy na podbój szernowskich dziedzin wyjeżdżałeś.

Zawistni są o władzę — mówił dalej Malahuda — i myślą teraz, że mogli byli zrobić bez ciebie to wszystko, co ty zdziałaleś. Wyrzucać ci zaczną, żeś nie spełnił rzeczy niemożliwych, zobaczysz! A jeśli jeszcze dotkniesz tego, co jest może złe, lecz trwaniem wiekowym uświęcone, powstaną na ciebie właśnie najmoźniejsi, którym się oprzeć nie zdołasz, choć jesteś ziemskim i chociaż uciśnieni będą za tobą. Uchodź, mówię ci.

— Nie. Podjąłem to zadanie dobrowolnie i uważam jego spełnienie za swój obowiązek. Może tym bardziej właśnie, że ochota pcha mnie do czego innego, do posłuchania słów twoich, starcze. Odejdę dopiero, gdy zrobię, co zamierzyłem.

Malahuda milczał przez pewien czas. Wreszcie wznosił głowę i rzekł:

— Oby nie było wtedy za późno!... Ale jeżeli tak chcesz koniecznie, posłuchaj przynajmniej jednej rady mojej. Byłem arcykapłanem i rządziłem dłużej, niż ty żyjesz na świecie. Gdy przybędziesz do miasta przy *Ciepłych Stawach*, stań się panem od razu. Nim zaczniesz działać cokolwiek, naucz ludzi, aby cię czcili i bali się ciebie. Wyniszcz nieprzyjaciół swoich, otwartych i skrytych, a nawet takich, którzy mogliby nimi zostać w przyszłości; tych nawet zniszcz, którzy ci może sprzyjają, lecz oczy tłumu mogliby ku sobie obrócić. Zrób mnie więźniem, abym tej wyspy nie mógł opuścić, każ ściąć natychmiast Elema albo za-

grzeb go w piasku, nie zwłóczę¹⁷⁵ i nie szukając pozorów, zabijaj najmniejszych i spraw, aby nie było człowieka, który by się nie lękał śmierci, patrząc na ciebie. A potem otocz się strażą i rozkazuj, nie pytając o wolę niczyją. Wtedy jedynie będziesz mógł ludzi zbawiać.

— Nie wierzę w to — ozwał się Marek po chwili. — Stare metody, które niegdyś, przed wiekami stosowano także na Ziemi... Porzuciliśmy je od dawna, gdyż nie są skuteczne: nie wiedzą do niczego. Nie przeczę, że chcę, aby zrazu wolę moją tylko pełniono, ale nie przez postrach. Ludzie muszą zrozumieć, że to dla nich zbawienne...

— A jeśli nie zrozumieją?

Marek wzruszył ramionami.

— Powrócę na Ziemię.

— Powrócisz pono¹⁷⁶ rychlej¹⁷⁷, niżli sam sądzisz w tej chwili.

Rozmowa się urwała, zwłaszcza że Zwycięzca, długą nocną podróżą znużony, przymykał już oczy, opierając głowę o twarde głązy pieczary. Malahuda wskazał mu w kącie stos miękkich futer i postawiwszy przy posłaniu kawał zimnego mięsiva oraz dzbanek z wodą, wysunął się cicho z jaskini.

Słońce, nierychło po świcie następujące, wschodziło właśnie i czerwieniło rozległe śniegi, które miękły szybko w blasku porannym. Na szczycie kopców, które *Grobem Marty* i *Grobem Piotra* nazywano, płonęły pierwsze blaski dnia, iskrząc się i mieniając w drobnych grudkach lodu. Na horyzoncie, za morzem, wznosił się przed oczyma starca olbrzymi stożek *Otamora*, leniwie ze snu się budzący i nakryty jeszcze z góry obłokiem, jakby kotarą obronną, co oczy zaspane od słońca osłania. Od wschodu wąski pas złotego światła spływał niby potok lawy, aż do stóp wyniosłej góry, do morza lodem ściętego, ale zachodnia strona cała w gęstym sinym cieniu tonęła. Cień też był poza górą na ogromnej przestrzeni wybrzeża; jeno tam, wprost na zachodzie, błyszcząc rozpalonymi słońcem szybami miasto, przewinięte tu i owdzie kłębamii oparów, z *Ciepłych Stawów* nieustannie bijącymi.

„Oto mamy nowy dzień — myślał Malahuda — i nie wiadomo, co on nam przyniesie. Ale cokolwiek by się stało, nie zmieni to w niczym zwykłego porządku wschodu i zachodu słońca, nawet fal tych, które idą przez morze, kiedy lody ustąpią. Wiatr zdoła zerwać kamień ze szczytu *Otamora* i rzucić go w dolinę, ale największe szczęście lub nieszczęście ludzkie nie poruszy jednego ziarnka piasku nad brzegiem wody...”

Daleko, daleko na wschodzie, kędy¹⁷⁸ dzień już był większy, poczynały lody pękać na morzu i głuchy, stłumiony łoskot szedł po świecie, niewyraźnym echem od ścian dalekiej góry odrzucany. Z drugiej strony, od miasta słońcem zalanego, były ledwo dosłyszalne dźwięki ciężkich młotów, kujących na znak radości w ogromne tarcze spiżowe, wolno zawieszane. Zdawało się Malahudzie, że odróżnia nawet odgłos trąb, zachodnim wiatrem niesiony. Witano tam snadź zwycięskich przybyszów...

Dzień już był ogromny i lody dawno spłynęły, kiedy starzec, wyjrawszy znów z jaskini na szczyt wzgórze, dojrzał flotylę łodzi, płynącą od miasta ku wyspie. Domyślił się, że to powitalny orszak po Zwycięzce przybywa, i poszedł go o tym zawiadomić.

Marek, wypawszy się do syta i odpocząwszy, siedział był właśnie przed wejściem do pieczary i przyglądał się z zajęciem roślinom, naokół szybko się do słońca otwierającym, kiedy Malahuda ostrzegł go, że trzeba mu się gotować do drogi.

— Wyjdź naprzeciw nich nad morze — rzekł — bo ja nie chcę, aby mi tutaj koło domu zieleń deptano. Oni po ciebie przyjeżdżają; mnie z tymi ludźmi nic nie łączy; zbyt długo byłem samotny.

Potem zaczął go żegnać z tkliwą ojcowską czułością.

— Byliśmy zaledwie kilkadziesiąt godzin razem — mówił — a pokochałem cię prawdziwie. Myślałem już nieraz i obecnie myślę znowu, że źle zrobiłem, odchodząc od ludu w chwili twojego przyjsia, ale w onczas¹⁷⁹ nie mogłem inaczej. Teraz cię błogosławię: oby ci się wszystko jak najlepiej powiodło! Więcej nie mogę już nic zrobić dla ciebie. Nie przecz, nie uśmiechaj się! Zdaje ci się, żeś mocny, ale ja ci powiadam, iż żegnałbym cię

¹⁷⁵zwłóczyć — tu: zwlekać; ociągać się. [przypis edytorski]

¹⁷⁶pono (daw.) — podobno, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

¹⁷⁷rychlej (daw.) — szybciej. [przypis edytorski]

¹⁷⁸kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

¹⁷⁹wonczas — wówczas, wtedy. [przypis edytorski]

słowami: „Wróć tutaj do mnie, gdy tam już nic nie będziesz miał do zdziałania” — gdyby nie to, że masz inną drogę powrotu, na gwiazdę świecącą nad pustyniami, z której zesłali byli ongi ludzie na Księżyc. Starasz się naprawić winę tych naszych praojców i moc nam niesiesz i światło: obyś był od nich szczęśliwszy i nie znalazł tu grobu jak oni...

Mówiąc to, wskazywał kopce, całe w zieleni wiosennej ukryte.

Marek chciał mu jeszcze odpowiadać, ale on ręką tylko skinął i nie oglądając się, wszedł do swego domostwa. Powlókł się więc wolno nad brzeg morza, rozmyślając jeno o dziwnych słowach starca.

Łodzie były już niedaleko. Można było rozróżnić dokładnie czarne kadłuby pod olśniewającymi białymi w słońcu żaglami i ludzi stojących na pokładzie. Naraz przyszło Markowi na myśl, że między tymi ludźmi może być Ihezal... Rozkoszna fala uderzyła mu do piersi. Tak, tak! jest tam z pewnością i za chwilę wyskoczy na zieloną trawę wybrzeża i iść będzie ku niemu jak kwiat, z wargami uśmiechem rozchylonymi... Uczuł już naprzód wdzięczność dla niej, że płynie go tutaj powitać, i zbiegł pędem z pagórka w miejsce, gdzie łodzie miały lądować.

Ale po rzuconym na ląd pomoście wyszedł tylko Sewin, zausznik arcykapłana Elema, i za nim kilku ze starszyny miasta. Marek niespokojnym okiem rzucił na inne statki: pełne były ludzi obcych, przeważnie bez znaczenia, i kobiet z pospólstwa, witających go przeraźliwym krzykiem i wianiem zielonych gałęzi.

— Zwycięzco... — zaczynał Sewin zginając się tak, że prawie czołem goleni jego dotykał.

— Gdzie Elem? — przerwał mu twardo Marek.

— Jego Wysokość arcykapłan rządzący przybyć nie mógł...

— Dlaczego? Winien tu być. Sługą jest moim.

— Jego Wysokość zajęta sprawami...

Marek odepchnął mnicha szybkim ruchem ręki i nie słuchając dalej, skoczył do łodzi.

— Żagiel w górę! na morze! — krzyknął rozkazująco do sternika.

Sternik obejrzał się na Sewina, który pozostał był na brzegu.

— Na morze! mówię! — powtórzył Marek.

Zazgrzytały naciągnięte liny, szczęknięły łańcuch od steru...

Sewin, widząc odpływającego Zwycięzcę, wsiadł z towarzyszami do innej łodzi, po czym cała flotylla z rozwiniętymi żaglami puściła się za nim ku miastu.

Wprost z zatoki, werzniętej w głąb lądu w pobliżu dawnego szernów zamczyska, podążył Marek do świątyni, nie odpowiadając nawet na powitania licznie na brzegu zgromadzonego ludu. Znalazłszy się tutaj, posłał natychmiast ludzi, aby mu sprowadzono Elema. Arcykapłan zjawił się nierychło i z twarzą zgoła odmienną od dawnej, uległej i pokornej. Wybijał wprawdzie i teraz przed Zwycięzcą pokłony, panem go zowiąc i władcą, ale w oczach jego był hardy błysk, kłamiący służalczym słowom.

Rada starca Malahudy przypomniała się Markowi. Patrząc na byłego mnicha, myślał, że właściwie dobrą i zbawienną rzeczą byłoby krótkie ciało jego skrócić jeszcze o głowę, gdyż będzie on niewątpliwie stawał na przeszkodzie planom wszystkim, ale odrzucił tę mimowolną myśl od siebie, czując, że po takim początku nie mógłby już zbroczyć z krwawej drogi...

Zapytał go więc jeno groźnie, na powitanie nie odpowiadając: czemu tak późno przybywa?

— Zwycięzco — rzekł Elem — rządzę ludem i czasu mam niewiele. Sądziłem, że sam zechcesz zjawić się w moim arcykapłańskim pałacu i zdać sprawę z wyprawy...

Markowi krew uderzyła do głowy. Powstrzymał się jednak i chwycił jeno karła za szaty na karku, jak się psa bierze za skórę, i podniósł jedną ręką na wysokość swojej twarzy.

— Słuchaj no — rzekł głosem stłumionym — a może byś ty mnie zdał sprawę, coś robił tutaj tymczasem, kiedy mnie nie było? Słyszę, żeś się podobno z szernami chciał układać?

Elem pobladł ze strachu i wściekłości w tej niewygodnej a śmiesznej pozycji, ale zaledwie Marek, wstrząsnawszy nim z lekka, postawił go znów na posadzce, odrzekł hardo:

— Domyśliłem się, Zwycięzco, żeś się i ty cofnął przed szernami, chociaż na pewno wiem o tym dopiero teraz, chciałem więc czasu nieco uzyskać...

Marek zagryzł usta.

— Wracaj do siebie — rzekł — i czekaj moich rozkazów. Wezwę cię wkrótce znowu. Teraz mam inne sprawy...

Mówiąc to, oglądał się dokoła, ale dopiero po odejściu arcykapłana zapytał: gdzie jest Ihezal, która nie wyszła powitać go do tej pory? Nikt mu nie umiał odpowiedzieć, ale natomiast doniesiono mu o ucieczce więzionego Awija. Marek na tę wiadomość rzucił się niespokojnie.

— Jak? co? — zaczął wołać ludzi i dopytywać, ale i tutaj nikt mu nie zdołał dać dokładnych wyjaśnień. Wiedziano od pacholków, że wnuczka Malahudy katowała szerna, ale co się stało potem, kiedy z lochu wyszła? — Ludzie zachodzący tam w kilka godzin, aby szernowi przynieść jadło, zastali próżne obręcze na ścianie i wiszące w nich poprzecinane sznury. Na posadzce obok dopalonej pochodni leżał sztylet, który widywano dawniej w ręku Ihezal. Widoczne było, że po odejściu dziewczyny, która broń przypadkowo zostawiła, potwór zdołał jakoś uwolnić jedną rękę i poprzecinał krępujące go więzy. Skorzystał z niedomkniętych drzwi i teraz próżno by go było szukać.

Marek mimo małą nadzieję złowienia zbiega zarządził zaraz pościg. Wyruszyła tedy obława z ludzi i psów złożona, która miała przeszukać całe skaliste morskie wybrzeże i gęste zarośla na stokach *Otamora*. Nuzar przyłączył się również do myśliwców.

Tymczasem Zwycięzca poszedł sam szukać złotowłosej Ihezal. Służebne powiedziały mu, że znajduje się w swoich komnatach, lecz chora jest i nikogo widzieć nie może. Ale on nie zważał na to. Odsunął zastępujące mu drogę dziewczki i pchnął drzwi.

Szedł przez długi szereg komnat pustych i chłodnych, aż nareszcie w ostatnim, niewielkim pokoju znalazł dziewczynę. Leżała na niskiej sofie, naga cała i z rozpuszczonymi włosami, mając jeno dziwnym sposobem szeroki szal owinięty dookoła bioder. Zobaczywszy wchodzącego Marka, nie poruszyła się nawet z legowiska i patrzyła mu tylko w twarz szeroko rozwartymi oczyma, jak gdyby w tępym jakimś osłupieniu.

— Ihezal! ptaku mój złoty! — zawołał Zwycięzca radośnie, wyciągając do niej rękę.

Poruszyła bezdźwięcznie bladymi wargami, rozwierając wciąż szerzej suche i osłupiałe oczy.

— Co tobie? co tobie, dziecię? — mówił on tymczasem, klękając obok sofy i chyląc mimowolnie twarz na pierś jej drobną, liliową, prawie dziecięcą.

Odsunęła go z lekka ramieniem.

— Czemu dopiero dzisiaj? czemu?

Powstała z wolna i wyszła do drugiej izby, drzwi na zaporę zamykając za sobą.

Marek uniósł się z klęczek zdumiony. Jakieś złe przeczucie ścisnęło mu gardło i młotem krwi uderzyło w skronie. Stał przez chwilę bez ruchu, aż nagle rzucił się ku drzwiom, za którymi zniknęła Ihezal, i począł walić w nie potężną pięścią.

— Ihezal! Ihezal! otwieraj!

Nikt mu nie odpowiedział. Chwycił więc za okucie i szarpnął z całej mocy, ale żelaza nie puściły. Odwrócił się, szukając okiem jakiegoś ciężkiego przedmiotu, aby rozbić nim podwoje — i cofnął się zdumiony.

Na progu drugich drzwi — tuż poza nim — stała Ihezal, spokojna, blada, cała w powłóczystą szatę odziana.

— Co mi rozkażesz, panie? — zapytała dziwnym głosem, w którym drgało coś, jakby szyderstwo ze smutkiem połączone...

Marek nie odpowiadał zrazu. Tak mu się inną i obcą wydała ta dziewczyna w tej chwili, że z trudem tylko zdołał nić swoich wspomnień nawiązać do wrażenia, jakie odnosił.

— Co tobie jest? — wybąknął wreszcie...

— Co rozkażesz, panie? — powtórzyła znowu, tym razem z niespodziewanym zalotnym uśmiechem, podczas którego kąty ust dziwnie jej jakoś zadrgały.

Marek zbliżył się ku niej i usiadł.

— Oddałem ci szerna pod straż. Co się z nim stało?

— Nie wiem.

Stała tuż przed nim, drobnymi udami pod lekką szatą kolan jego niemal dotykając. Wolnym ruchem palców rozwiązała wstęgę pod szyją i rozchyliła barwną wonną tkaninę. Naga była pod zwierzchnim odzieniem, jak poprzednio, jeno szal nieodmiennie szerokim zawojem opasywał jej biodra.

Nagle Marek uczył, że ona bierze twarz jego w dłonie i ciśnie do swojej piersi. Odu-
rzająca woń go ogarnęła, przymknął oczy i ustami głodnymi dotykał jej ciała, czując jed-
nocześnie, jak ostre jej paznokcie zagłębiały mu się w skórę poza uszami. Chciał ją objąć
ramieniem, gdy nagle zachwiał się w tył pchnięty. Ihezał wyslizgnęła się z jego ręki¹⁸⁰;
usłyszał tylko srebrzysty szyderczy śmiech i trzask drzwi zamykanych. Był znowu sam.

V

Stanowienie nowych praw szło Markowi opornie, jak to stary arcykapłan z góry był prze-
widział. W jednej chwili wszyscy stanęli przeciw niemu; ze zdumieniem spostrzegł, że
wrogowie wyrastają zewsząd, tam nawet, gdzie najmniej się tego spodziewał.

Zaczął się to zaraz owego pierwszego dnia, kiedy powrócił z zamorskiej wyprawy.
Zwołał był wtedy na czas popołudniowy wielkie zgromadzenie ludu do świątyni, na któ-
rym zakreślić chciał i wyjawić plan reform zamyślonych. Zebrała się ciżba sroga, ale nie-
pokój w niej był od początku, zgola odmienny od owego zbożnego oczekiwania, które
dawniej poprzedzało każde wystąpienie Zwycięzcy. Niecierpliwono się owszem i woła-
no, jakby to on właśnie był przed oblicze ludu wezwany i miał się jawić, aby zdać jakieś
rachunki. Gdy wszedł na dawną arcykapłanów kazalnicę, powitał go okrzyk mieszany,
wśród którego jednak nieliczne tylko głosy cześć jego obwoływały.

Marek nie zważał na to. Pilno mu było opowiedzieć ludziom, jak przed odejściem na
Ziemie chce im życie na Księżycu urządzać. Nakazawszy więc ciszę głosem, gdy ruch ręki
nie skutkował, mówić począł, wykazując na wstępie zło istniejące, które usunąć należy.
Prawił o krzywdzącej nierówności praw, które jednym nazbyt wiele pozwalają, wiążąc
innych na każdym kroku — mówił o niewolnictwie jawnym i gorszym, ukrytym, co
sprawia, że większa część ludności w nędzy ciężko pracuje, aby się zwiększała majątność
sytych — o kobiecie uciśnionej, o braku oświaty i o władzy, którą zmienić należy, odbie-
rając ją na przyszłość z ręki samowolnych kapłanów, a dając ją ludowi, aby — jak słuszna
— sam stanowił o losie swoim, który sam ma znosić.

Słuchano go dosyć spokojnie, z rzadka tylko szemraniem przerywając, gdy jednak
chciał przejść do pozytywnej części przemówienia i rozwinąć plan poprawienia istnie-
jących stosunków, ozwał się ktoś niespodziewanie, zapytując o losy zamorskiej wypra-
wy. Na ten znak wszczął się straszliwy hałas, jak gdyby z góry przygotowany. Wołano
tak i krzyczano ustawicznie, że Marek mimo usiłowań nie mógł przyjść do słowa. Co
dziwniejsza jednak, że cisza nastąpiła natychmiast, gdy tylko Elem się podniósł, siedzący
dotychczas w milczeniu naprzeciw na wyniosłym tronie pod filarami.

Mówił on jakoby w obronie Marka. Na wstępie zwrócił się do ludu z prośbą, aby
zechciano słów Zwycięzcy z należną czcią wysłuchać, gdyż niewątpliwie znajdzie się wśród
nich wiele rzeczy zbawiennych i pożytecznych. On sam, Elem, mimo że jest z woli ludu
(tak powiedział) arcykapłanem rządzącym, nie ośmieliłby się dzisiaj głosu zabierać, gdyby
nie był pewny, że przemawiając, trafia w myśl Zwycięzcy, który stanowisko jego uznał
bezsprzecznie od początku i uświęcił.

— Zwycięzca — prawil dalej — położył wielkie zasługi i należy mu się wdzięczność.
Bo chociaż wojenna wyprawa na południe, mimo nadzwyczajną dzielność wojska jemu
podlegającego i szczodłą ofiarność ludu, krwi ani mienia nieszczędzącego, nie powiodła
się tak, jak można było oczekiwać, to jednak w każdym razie pewien szmat ziemi zdobyto
i, jeżeli tylko szernowie zechcą na przyszłość siedzieć spokojnie, można tam będzie nowe
założyć osady.

I teraz występuje Zwycięzca z pewnymi projektami, których warto w każdym razie
posłuchać. Wprawdzie ludziom, z księżycowymi stosunkami dobrze obeznanym, zbyt się
to wszystko śmiałym i nadzwyczajnym widzi, ale on, Zwycięzca, jest panem, któremu
wolno ze szczęściem i dobrem ludu robić próby, choćby najniebezpieczniejsze, jeśli mu
się jeno tak spodobało.

Wreszcie zakończył:

— Widzę jednak, że dzisiaj nie jesteście dość skupieni, aby rad i poleceń błogosła-
wionego Zwycięzcy słuchać, przeto nakazuję wam rozejść się teraz do domów, a my wam
już czas oznaczymy, kiedy będziecie się mieli znowu pojawić...

¹⁸⁰wyslizgnęła się z jego ręki — dziś: wyslizgnęła się z jego ręki. [przypis edytorski]

Lud z krzykiem i hałasem zaczął się wysypywać ze świątyni.

Marek był tak niesłuchanie zdumiony treścią i sposobem przemowy Elema, że nawet mu nie przerywał. Usiadł tylko na kazalnicy i patrzył z zajęciem na arcykapłana, który, mówiąc, rzucał często przelotne spojrzenia na Sewina, stojącego obok w pokornej postawie i przytakującego niekiedy jego słowom nieznacznym ruchem głowy. Gdy jednak lud, podniósłszy okrzyk na cześć arcykapłana, szybko opuszczał świątynię, nie objawiając zgola ochoty słuchania nauk Markowych, przyskoczył ten do Elema i zatrzymał go ruchem ręki, gdyż chciał i on już odchodzić.

— Co to ma znaczyć? — zapytał groźnie.

— Wychodzą — odparł Elem z niewinną prostotą.

— To twoje łajdactwo, twoja intryga! Każę cię batami przed ludem oćwiczyć, aby wiedziano, czym mi jesteś, psie!

Arcykapłan pobladł.

— Każ to uczynić, Zwycięzco — rzekł — jeno nie próbuj potem znaleźć u ludu posłuchu...

Naraz, widząc, że w świątyni nie ma już prawie nikogo, zgął się pokornie do kolan Markowych.

— Panie! niesłusznie karcisz i potępiasz najniższego sługę swojego i psa, który ci jest wierny! Wszakże widziałeś, że lud był dzisiaj niespokojny i roztargniony; nie chciałem, aby słowa twoje padały marnie na rolę nieprzygotowaną. Bałem się, że jeśli raz w czymkolwiek nie posłuchają ciebie, powaga twoja święta i nadksiężycowa szwank poniesie dotkliwy a oplakany tym więcej, że z grzechem dla ludu byłoby to połączone. Słuszniem tedy uczynił, każąc się rozejść gawiedzi dzisiaj; wezwiesz ją, gdy uznasz sam za stosowne.

Marek nie łudził się ani na chwilę co do właściwych intencji Elema, nie mógł mu jednak w tym przynajmniej nie przyznać słuszności, że zgromadzenie to pierwsze nie było zgola nastrojone, aby planów jego chętlwym¹⁸¹ uchem posłuchać. Ponieważ chodziło mu prawdziwie i głęboko o to, aby reformy zamierzone bądź co bądź przeprowadzić, więc postanowił wybrać drogę inną, która mu się zdała na razie najodpowiedniejszą. A mianowicie powołał do życia pewnego rodzaju wydział, z najrozmaitszych członków miejscowej starszyny złożony, który miał naprzód w ciszy pod jego osobistym kierownictwem wszystkie niedostatki rozważyć i prawa nowe zakreslić, aby w ten sposób były one dla ludu uradzone, nie zaś narzucone przez kogokolwiek, chociażby nawet przez ziemskiego przybysza.

Elem cofnął się od udziału w tej komisji, tłumacząc się niemożliwością pogodzenia tego ze stanowiskiem swoim i obowiązkami, przysłał natomiast w zastępstwie swoim Sewina, który miał być obecnym na wszystkich obradach i zdawać sprawę z nich panu swojemu. Zwycięzcę jednak dotknęła najbardziej niemożliwość pozyskania Malahudy. Opór starca był tak stanowczy, że wszelkie usiłowania, aby go przekonać, speliły na niczym. Postanowił on nie ruszać się z *Wyspy Cmentarnej*, a na wszystkie nalegania odpowiadał jeno:

— Zbyt zmęczony jestem długim życiem i nierad już mieszam się tam, gdzie się beze mnie obejdzie. Ostawcie mnie w pokoju...

Gdy wreszcie Marek wybrał się sam do niego z prośbami, rzekł:

— Mogę ci, synu, później być potrzebnym. Niech się to teraz uradzi beze mnie. Jeśli kiedy w razie potrzeby wystąpię po twojej stronie (a tak myślę, bo wiem, że zamiary masz dobre), to nie powiedzą przynajmniej, że swojej bronię rzeczy.

Obrady postępowały niezbyt rażno. Od samego początku okazywało się mnóstwo trudności, prawie nie do przewyciężenia. Marek miał czasem wrażenie, że jest jakaś ręka poza nim, która wzięła sobie za jedyne zadanie obracać wniwecz wszystko, co on zdziałał lub bodaj zamierzy. Ale postanowił wytrwać — przynajmniej do czasu. Zżymał¹⁸² się tylko i oburzał coraz częściej, nie spostrzegając nawet, że gniew jego coraz mniej robi na ludziach wrażenia.

Przy tym na świecie dziwne rzeczy dziać się zaczynały. O pracach w komisji rozchodziły się, nie wiadomo przez kogo rozsiewane, wieści przesadne a potworne, usposabiając

¹⁸¹ chętlwy — dziś: chętny; tu: przychylny. [przypis edytorski]

¹⁸² zżymać się — gniewać się, oburzać się; reagować niecierpliwie. [przypis edytorski]

lud z góry wrogo do wszystkiego, co by tam było postanowione. Mówiono na przykład, że majątki będą podzielone równo pomiędzy wszystkich obywateli, ale w ten sposób, że ci, dla których by już ziemi ani dobytku nie starczyło, będą po prostu zarznięci. Na przyszłość też uregulowany ma być rozrost rodzin przez topienie nadliczbowych niemowląt... Władza arcykapłańska miała być pono zniesiona, lecz natomiast rządzić miał tajny komitet, wydający zaoczne wyroki śmierci na wszystkich opornych. Kobietom ma być nadana wolność najszerza, tak że nie będą na przyszłość potrzebowały podlegać mężom ani dochowywać im wierności. I morcy będą snadź z ludźmi zrównani...

Te i tym podobne baśnie krążyły między ludem powszechnie, podburzając go coraz więcej — a wszelkie usiłowania Marka, aby kres im położyć, chybiały celu najzupełniej.

A jednocześnie też zaczęto mówić o zjawieniu się proroka Chomy, który nie wiadomo jak uszedł z więzienia arcykapłańskiego i teraz arcykapłańskiemu, pono¹⁸³ nader energicznemu pościgowi urągając, chodzi między ludem i głosi, że Zwycięzca nie jest Zwycięzcą, lecz grzesznym samozwańcem, któremu należy wymówić posłuszeństwo. Wzywał on wiernych do pokuty i gromadził rzeszę, która przeciągała z nim od osady do osady.

Nie próżnowało także Bractwo Prawdy. Straciło ono wprawdzie w niewyjaśniony sposób członków swoich najwybitniejszych, ale tym bardziej — przypuszczając, że stało się to za sprawą „pana Marka”, mającego wszędy swych szpiegów i siepaczy — starało się ludność podżegać przeciwko niemu. Mówiono już głośno w pewnych kołach, że jest on oszustem, który pcha ludzi na zaturę w dziedzinie szernów, chcąc odwrócić ich uwagę od niedostępnego raję na tamtej stronie Księżyca. Nadto — ponieważ po zaturę Rody, Matareta i ich towarzyszy brakło w Bractwie ludzi uczonych, zaczęły w łonie pozostałych rodzić się i krążyć wieści najfantastyczniejsze: nie wierzo już w ogóle w rozciągłość nieprzerwaną *Wielkiej Pustyni*, sądząc, że otacza ona tylko szerokim pasem kraj najcudniejszy, rozkoszny i żyzny.

Na dobitkę i zza morza wieści przychodziły co najgorsze. Młode kolonie, ustawicznie przez szernów trapione, żądały ciągle nowych posiłków w ludziach i broni, nic w zamian macierzystemu krajowi nie dając.

Marek, zrażony niepowodzeniem dzieła, w którym trwał już tylko przez upór, z tym większą tęsknotą oglądał się za ludzką istotą, z którą by mógł szczerze mówić i otwarcie... Miał bowiem tylko wrogów licznych i ukrytych i niewielką garść przyjaciół, którzy trzymali się go ostatecznie tylko dlatego, że uważali go nieodmiennie za nadprzyrodzoną i boską poniekąd istotę. Czuł, że znajduje się w nad wyraz dziwnym położeniu przymusowego kłamstwa. Powiedzieć tym wyznawcom nielicznym, że jest naprawdę i niewątpliwie takim tylko jak oni człowiekiem, znaczyło to stracić ostatnich w zbawiennym dziele sprzymierzeńców. Ci nawet bowiem, dla których z natury rzeczy przede wszystkim pracował: najędźniejsi, wydziedziczeni i ubodzy, coraz chętniej dawali posłuch złym podszeptom i czy to bojąc się stracić łaskę u możnych, w których obalenie nie wierzyli, czy też po prostu dobra swego nie rozumiejąc, w niczym nie chcieli Markowi pomagać.

Tedy gromadził jeno¹⁸⁴ w pewnych godzinach szczupły zastęp swoich przyjaciół — i myśląc o ziarnie, które po jego odejściu na zasiew tutaj zostanie, prawil im długo o wszystkim dobrym, wznosił i nauczał.

Ihezał nie brała udziału w owych zgromadzeniach. Zmieniona do niepoznania, unikała teraz Marka widocznie albo znowu w szalonych jakichś napadach drażniła jego zmysły, aby nagle wymknąć mu się z szyderczym śmiechem na ustach. A Marek zaczął naprawdę pragnąć jej towarzystwa i im ona dziwniejszą i dzikszą się stawała, tym bardziej on tęsknił za taką, jaką ją był poznał¹⁸⁵ ongi w początku.

Nie chciał się głośno przyznać przed sobą, że ta dziewczyna to jeden z powodów, może najgłówniejszy, dla którego on trwa jeszcze na Księżycu, do odlotu swego się nie spiesząc...

Pewnego dnia po gwałtownej kłótni z Elemem, który czując już cały niemal lud za sobą, pozorną nawet uległość zaczął odrzucać, wyszedł na dach świątyni, aby odpocząć nieco i szerokiemu morzu się przypatrzeć. Niespodziewanie zastał tutaj Ihezał. Stała

¹⁸³pono — dziś: ponoć; podobno. [przypis edytorski]

¹⁸⁴jeno — tylko. [przypis edytorski]

¹⁸⁵był poznał — daw. forma czasu zaprzeczonego; dziś: poznał (wcześniej, dawniej, przedtem). [przypis edytorski]

wsparta o balustradę i zadumana. Morze szumiało w dole rozgłośnie i głużyło kroki nadchodzącego, czy też ona tak była w myślach jakichś zatopiona, że go nie dosłyszała...

Dopiero gdy zbliżył się do niej na taką odległość, że mógł ręką wyciągniętą dotknąć jej ramienia, odwróciła się nagle i krzyknęła głośno z przerażenia, widząc go tuż za sobą.

Stała w narożniku i nie mogła ująć, koło Marka nie przechodząc, wcisnęła się tedy jeno głębiej i patrzyła na niego zalęknionym wzrokiem. Marek cofnął się o krok, otwierając jej wolne przejście.

— Ihezał, chcesz odejść...

— Muszę — szepnęła, spuszczać głowę, ale nie poruszyła się z miejsca. Twarz miała bolesną, lecz cichą, jak niegdyś, dawniej, kiedy to długie godziny tutaj ze Zwycięzcą spędzała, słuchając słów jego przedziwnych o Ziemi, o gwiazdach...

— Co tobie jest? — ozwał się Marek po chwili głosem cichym i miękkim, jakby w obawie, aby jej głośniejszym nie spłoszyć słowem.

Nic nie odpowiedziała, jeno ramiona zdrząły jej nagle, a u rzęs zawisły dwie duże łzy, opadając z wolna na poblądle policzki.

Marek ujął ją za rękę i pociągnął lekko ku sobie. Nie opierała mu się i usiadła na wskazanej ławce kamiennej. On teraz rzucił się zwyczajem swoim na posadzkę i wsparłszy brodę na dłoniach, patrzył jej długo w oczy. Wytrzymywała przez pewien czas wzrok jego, tylko źrenice robiły jej się mętne i jakby przygasłe. Wreszcie spuściła powieki.

— Ihezał — zaczął Zwycięzca — czemu ty mnie teraz unikasz? Tak mi ciebie potrzeba...

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

A on mówił dalej:

— Niegdyś byłaś przy mnie, jak ptak, który siada na ramieniu, złoty i rajski a nie płochliwy. Miałem cię blisko i dość mi było rękę wyciągnąć...

Wzniosła na niego smutne oczy.

— Czemuś ręki nie wyciągnął wtedy, Zwycięzco?

— Nie wiem, nie wiem! Może nie było mi jeszcze tak źle, może jeszcze tak samotny nie byłem... Dzisiaj przed niechętnymi sobie muszę udawać silnego, przed przyjaciółmi zapierać się muszę swego człowieczeństwa, a przecież, chociaż na dalekiej Ziemi zrodzony, choć większy od was wzrostem i myślą, jestem taki sam człowiek, jak wy, i sam jestem, sam, sam! Ihezał, bądź ty ze mną!

— Za późno — rzekła bezdźwięcznie — za późno. Mogłeś mnie wtedy mieć i na wieczność. A teraz ja już jestem tak strasznie daleka od ciebie... Uchodź, uchodź, dopóki czas. Uciekaj na Ziemię!

Wyciągnął ku niej ręce — odsunęła je lekko.

— O! Czemuś mi ty taką krzywdę wyrządził! — ozwała się znowu po chwili z dziwną zajadłością w głosie — dlaczego mnie tak sponiewierałeś? Czemuś nie patrzył na mnie, kiedy byłam przed twymi oczyma, albo czemu od razu mnie precz nie odeгнаłeś, jenoś zezwolił¹⁸⁶...

Urwała nagle i popatrzyła mu w oczy błędnymi źrenicami. Zły śmiech poczynał jej już wargi krzywić.

— Nic mnie z tobą, Zwycięzco... — mówiła. — A może ja jestem właśnie Dusza księżycowego ludu i trzeba mnie było mieć w ręku?... Przeczyłeś chwilę właściwą i przychodzisz teraz z dłonią do ptaka, który już odleciał, ho! ho! odleciał... I teraz ty — Zwycięzco...

Zaśmiała się sucho i ohydnie.

— Ihezał!

— Precz! Nie chcę patrzeć na ciebie, nie mogę! Nie mogę! — powtórzyła, osuwając się na kolana.

Z oczu wyzierał jej potworny lęk; drżące ręce wyciągnęła błagalnie ku niemu.

— Miej litość nade mną! Odejdź! odejdź! niech ja cię już nie widzę! niech nie pamiętam...

¹⁸⁶ *jenoś zezwolił* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: jeno zezwoliłeś; *jeno* (daw.): tylko. [przypis edytorski]

Marek podniósł się powoli. Smutek bezbrzeżny wypełniał mu duszę i ruchy niemal paraliżował. Przez krótką chwilę stał przed dziewczyną z jakimś litościwym, dobrym zamiarem wyciągnięcia rąk do niej... Ogromne znużenie na niego spadło. Odwrócił się i ciężkim, leniwym ruchem zmierzał ku schodom, z platformy w dół wiodącym. Ihezał słyszała jeszcze jego kroki na stopniach kamiennych, coraz głuchsze...

I po jego odejściu rzuciła się nagle na kamienną posadzkę ze strasznym, niepohamowanym łkaniem. Trzęsła się cała jak liść wiatrem miotany i biła głową jasną o ziemię, targając rękami włosy i odzienie.

Ale powoli spokój na nią zstępował. Leżała jeszcze jakiś czas bez ruchu, martwemu ciału podobna, i tylko rzadki przelotny dreszcz, ściągający gwałtownie jej ramiona, świadczył, że żyje. Powstała wreszcie — jak senna, z trupio bladą twarzą i posiniałymi wargami. — Oczy jej szeroko rozwarły, zapadłe były i podkrążone, na gładkim czole rysowała się kurczowo zmarszczka pionowa. Poczęła ogarniać się automatycznymi ruchami rąk, porządkowała na sobie szaty i gładziła włosy stargane...

Wreszcie zeszła do świątyni. Tutaj zastała Zwycięzcę rozmawiającego z kilku ludźmi, wśród których był także dowódca arcykapłańskiej straży pałacowej. — Marek nie patrzył na nią, zajęty żywą rozmową; stanęła więc na uboczu, słuchając.

Mówiono o strasznych wypadkach, jakie od pewnego czasu wydarzały się w mieście i okolicy. Ludzie ginęli niespodziewanie, zwłaszcza jeśli oddalili się samotnie od mieszkań, ale trafiło się także, że znajdowano w domach wybitą całą rodzinę. Wszyscy mieli na sobie sine znamiona od dotknięcia szernowskich rąk zabójczych. Nie ulegało wątpliwości, że jest to sprawa zbiegłego Awija, który snadź ukrywa się gdzieś i porą sposobną na łów wychodzi: stawiano strażę i urządzano oblawy, przetrząsając każdy zakątek okolicy w szerokim promieniu, każdą kupę zarośli, każdy załom skał nadmorskich — i zawsze na próżno.

A potwór tymczasem snadź¹⁸⁷ krył się gdzieś w pobliżu, jak o tym świadczył teren jego działania, głównie na miasto się rozciągający... Ludność wobec tej tajemniczej klęski, wiecznym postrachem nad nią wiszącej, była zgoła bezradna i wybuchała jeno gniewem przeciw Markowi, że to on niegdyś Awija uwięził, nie pozwalając stracić go na miejscu. I Marek czuł, że ten jeden szern ukryty groźniejszy jest niż całe ich zastępy tam, w zamorskim kraju, gdzie można było przynajmniej walczyć z nimi otwarcie — nie mógł jednak znaleźć środka zaradzenia złemu.

Nikt nie przypuszczał, aby zwierz wśród ludności zdołał zyskać dobrowolną pomoc, ale obawiano się, że wymusił ją może groźbą, i zaczęto się już nawzajem podejrzewać. Człowiek jeden na drugiego patrzył z nieufnością i strachem. Wreszcie całe oburzenie zwróciło się przeciw Nuzarowi, którego Zwycięzca miał ciągle przy sobie. On to jeden, morzec przeklęty, musiał Awija ochraniać i służyć mu! Należy go tedy zabić, zmusiwszy wprzód mękami do wyznania, gdzie się szern ukrywa.

Z tym właśnie przyszli ludzie obecnie do Marka: żądano, aby wydał Nuzara. Ihezał słyszała, jak Zwycięzca oparł się temu stanowczo, pozwalając jeno zamknąć morca na pewien czas pod najściślejszą strażą dla próby i przekonania się, czy szern nie stoi z nim w jakiej łączności i czy w takim razie nie narazi się na schwytanie, pozbawiony jego pomocy... Na męki, on, Zwycięzca, nie zezwoli, zwłaszcza iż przekonany jest w głębi duszy o niewinności morca, który jak pies znajduje się ciągle przy jego nodze.

Posłom nie wydawało się to dostatecznym i właśnie wadzić się z Markiem poczynała, kiedy Ihezał, uśmiechnąwszy się nieznacznie, wyszła ze świątyni, ku izbom swoim zmierzając...

Gdy jednak znalazła się w korytarzu, zwróciła się nagle na prawo i stwierdziwszy, że jej nikt nie śledzi, wsparła się całą mocą o jedną z płyt kamiennych w ścianie. Ustąpiła z wolna, otwierając ciemne przejście w murze, i zamknęła się zaraz za znikającą w nim dziewczyną.

Ihezał biegła żywo po omacku, licząc wyciągniętą dłonią głazy co kilka kroków ze ściany sterczące. Kiedy naliczyła ich siedem, zwróciła się znowu na prawo i poczęła szukać rękoma czegoś na wilgotnej posadzce. Namacała wreszcie zgrab otworu i pierwszy

¹⁸⁷snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

stopień bystro¹⁸⁸ w dół opadających schodów. Zsunęła się nimi w głąb i po krótkim jeszcze krążeniu krętymi przejściami znalazła się w obszernych naturalnych jaskiniach, słabym światłem dnia rozjaśnionych. Ciągnęły się one tuż pod ogrodami, świątynię ze skalistym brzegiem morskim łączącymi. Dzień wchodził tu przez kilka zakrytych szczelin w pionowej ścianie skalnego i niedostępnego wiszaru¹⁸⁹ nad morzem.

Istnienie pieczar tych było tajemnicą, pilnie w rodzie arcykapłańskim strzeżoną, i nikt o nich nie wiedział obecnie z wyjątkiem wnuczki Malahudy... Stojąc w ogromnej grocie, pełnej fantastycznych stalaktytów, uderzyła w dłonie po trzykroć. Na ten znak zjawił się w jednej z bocznych galerii szern Awij. Płaszcz miał na ramionach purpurowy, końcami między skrzydła na piersi zarzucony, i starą arcykapłańską złotą obręcz świętą na głowie, przecinającą mu czoło nisko, tuż ponad parą górnych oczu.

Ihezał zaczęła drzeć na całym ciełe, a on — do dziwnego królewskiego szatana podobny — zbliżył się do niej i wyciągnął straszliwe białe dłonie. Dziewczyna stała bezwładna, z rękami w dół opuszczonymi, kiedy Awij począł zzuwać z niej odzienie. Cisnął na ziemię płaszcz bogaty i spodnią szatę drogo wyszywaną, a gdy wreszcie zdarłszy z niej ostatnią białą tunikę, rozwiązał szal koło bioder owinięty, na śnieżnych i atlasowych bokach dziewczęcych ukazały się dwa piętna ohydne, od uścisku palących ręku szernowskich¹⁹⁰ pochodzące...

Wtedy upadła przed nim na twarz, on zaś, skrzydła czarne szeroko z obojego boku rozpostarłszy, wstał jedną nogą na głowę jej jasną, zadzierzgając szpony w rozsypane złoto jej włosów.

VI

Wiść o śmierci Malahudy raziła Zwycięzcę jak grom. Wszystko szło jak najgorzej i Marek postanowił był właśnie jeszcze ostatnią próbę uczynić, nimby Księżyc opuścił: wezwać Malahudę, aby wyszedł nareszcie ze swego osamotnienia i poparł go dawną powagą swoją: kiedy rybak, służący zwykle za posła staremu arcykapłanowi, doniósł mu naraz, że ten już nie żyje. Został pono zabity — jak mówił rybak, drżąc na całym ciełe.

Marek w pierwszej chwili przypuszczał, że popełniono tę zbrodnię na rozkaz Elema, obawiającego się mimo wszystko wciąż dawnego rywala. Wpadł więc jak burza do pałacu arcykapłańskiego i wywłókłszy drżącego z przestrachu mnicha z pośrodku odbywającej się właśnie narady, począł go kląć i grozić śmiercią natychmiastową. Dawny mnich, nie wiedząc o niczym, oniemiał z przerażenia, gdy jednak po pewnym czasie wyrozumiał, o co chodzi, okazał takie zdumienie i tak szczerze się przysięgał, że Marek pomimo woli zaczynał wierzyć w jego niewinność... Puścił go tedy, zagroziwszy mu jeno, że całą rzecz zbada, a jeśli okaże się w tym bodaj cień winy jego, Elema, będzie on mimo strażę swoje i mimo lud cały tak straszliwie ukarany, że póki jeno Księżyc istnieje, wspominać będą ludzie ze zgrozą i przestachem zemstę Zwycięzcy. Tymczasem zaś kazał sobie natychmiast przygotować łódź, aby się udać na *Wyspę Cmentarną* i na miejscu zbadać, co by się dało.

Był czas precudnego rana, kiedy Zwycięzca samotrzeć¹⁹¹ z rybakim i jednym wiosłarzem zbliżał się do małej, zielonej przystani, kędy niegdyś lądowała Ihezał, odwiedzając dziadka po raz pierwszy. Krzewy i drzewa przedziwne, z długimi, opuszczającymi się aż do wody gałęziami stały przy brzegu, pełne zadumy i smutku w cichym nad wyraz powietrzu. Pod nimi z zielonej murawy sterczał głaz jeden — pochyły niby wałaca się ściana lub gigantyczny jakiś kamień grobowy... Obok tej skałki właśnie przybiła łódź do brzegu. Marek wyskoczył pierwszy na ląd i gdy tamci zajęci byli przywiązywaniem łańcucha do pnia sterczącego nad wodą, on biegł już szybko w górę.

Pod kamieniem błysnęło mu coś w wydeptanej trawie — przystanął i podjął z ziemi złotą od sukni zapinkę z kawałkiem wstążki, przy niej jeszcze wiszącej. Niewielka była i płaska, ozdobnie wyrobiona z dużym w pośrodku kamieniem. Poznał klejnot, który przysłał był niegdyś złotowłosej Ihezał z pierwszych łupów, wziętych na szernach...

Tamci dwaj tymczasem, umocowawszy łódź, zbliżyli się ku niemu. Schował więc szybko zapinkę w zanadrze i ruszyli wszyscy trzej drogą pomiędzy wzgórze ku grocie Malahu-

¹⁸⁸bystro — tu: stromo. [przypis edytorski]

¹⁸⁹wiszar — urwisko. [przypis edytorski]

¹⁹⁰od uścisku palących ręku szernowskich — dziś: od uścisku palących rąk szernowskich. [przypis edytorski]

¹⁹¹samotrzyć (daw.) — sam z dwoma towarzyszami; we trzech. [przypis edytorski]

dy. Kiedy byli już blisko, psy im drogę zabiegły — wygłodniałe były i dzikie i rzucały się zapamiętane, zwłaszcza na Marka, choć dawniej przyjazne wobec niego okazywały usposobienie. Marek, kiedy już słowa uspokajające nie działały, zamierzył się kijem na jednego z nich, a w tej chwili drugi rzucił mu się pod uniesione ramię i chwycił za koszulę zębami. Zachnął się Marek, pozostawiając szmat oderwanego płótna w pysku rozwścieczonego zwierzęcia. I nagle oba psy, opuszczając Marka, rzuciły się zajadle drzeć owo płótno. Zaświeciła wśród strzępów złota sprzączka z kawałkiem wstążki purpurowej...

Ale Zwycięzca nie zauważył już tego. Rad, że się pozbył natrętnych napastników, ruszył biegiem ku wejściu pieczary. Leżał tu przy samym wstępie trup Malahudy, tak jak był padł, na wznak przez głaz przewieszony. Oczy miał szkliste, na wpół otwarte i usta rozchyłone w ostatnim krzyku. Nie ulegało wątpliwości, że napadnięto go zniemacka i zabito, nim miał czas spróbować obrony. Krwi nie było znać nigdzie, ani też żadnego śladu od uderzenia na głowie. Kazał go tedy Marek rozdziać z szat, aby doszukać się rany. Lecz skoro tylko opończył na nim brunatną ze skóry rozpięto, cofnęli się wstecz ze strachem obaj pomocnicy: na ciele starca widne były ohydne sine plamy, znamienne dla ludzi, którzy z ręki szernowskich padli¹⁹². Marek zagryzł usta w milczeniu.

Rychło zaczęto kopać grób między kopcami, znaczącymi miejsce spoczynku pierwszych ludzi na Księżycu. Ciało spowito w tkaniny w jaskini znalezione i przysypano ziemią, przyciskając ją jeszcze wielkimi głazami, aby snadź psy wygłodzone do trupa się nie dostały.

W milczeniu sprawił Zwycięzca ten cały ostatni obrządek i milczał wciąż, kiedy łódź posuwała się z powrotem przez ciche fale ku miastu.

W przystani spotkał ludzi, którzy mu donieśli, że podczas jego nieobecności przyszły wieści zza morza. Jakoż wkrótce ujrzał i posłów przez Jereta wysłanych. O świcie oni już po lodach przybyli, jak rzekli, ale ich zatrzymały straże arcykapłańskie, nie pozwalając ukazać się zaraz przed obliczem Zwycięzcy. Odebrano im też listy, które Jeret był napisał, tak że teraz, kiedy ich nareszcie uwolniono, nie wiedzą nawet, co mają mówić. Opowiedzieć mogą jeno tyle, na co własnymi patrzyli oczyma, ale nie będzie to wiele ani nic nader dobrego.

Wziął ich tedy Marek z sobą do świątyni, aby tam swobodnie pomówić. Już w drodze od przystani zastanowił go ruch niezwykły. Ludzie przebiegali pospiesznie, rzucając na niego jakieś nieufne i lękliwe spojrzenia — na placach zalegały znaczniejsze gromadki, które jednakże rozstępowały się żywo, kiedy tylko on się ku nim zbliżył. Marek zbyt był jednak zajęty myślą o Jerecie i o tym, co mu posłowie doniosą, aby zwracać na to baczniejszą uwagę.

Główne drzwi od świątyni zastał zamknięte, wszedł jednak bocznym wejściem, nie dość silnie zapartym, aby sobie przez nie nie mogły utorować drogi mocne jego ramiona. Zresztą i do tego nie przywiązywał wagi. — Widocznie nie wiedziano jeszcze, że wrócił, i zamknięto jego mieszkanie przed gośćmi niepowołanymi.

Gdy znalazł się sam na sam z posłami w obszernej salce poza główną halą, jął ich natychmiast wypytywać o losy pozostawionych za morzem załóg i nowo przybyłych osadników. Posłowie rzeczywiście niewiele dobrego mieli do powiedzenia. Walka tam trwała zażarta: ludzie nękanie ciągłymi napaściami szernów, którzy, nie śmiejąc w otwartym boju wystąpić, podjazdową wojną ich gnębili, cofnąć się musieli z najdalej wysuniętych posterunków, aby resztę zdobytego kraju uchronić. Myślą Jereta było utworzyć zwarty i w ciągłym kontakcie między sobą stojący łańcuch załóg, w obronnych gródkach porozmieszczanych, ale na to trzeba było ludzi, ludzi i jeszcze raz ludzi, których brakowało wciąż mimo silnego napływu ze starych krajów. Broniono się tedy tymczasem, jak się dało, urządzając co pewien czas wyprawę na szernów, aby ich nawzajem w ciągłym trzymać postrachu. Ale to wszystko męczyło ludzi tak, że ręce im już opadały — i było wielu takich, którzy głośno wołali, że należy porzucić ten kraj niewdzięczny i wracać co rychlej do starych siedzib za morze.

Pono¹⁹³ Jeret o tym właśnie rozpisywał się w zaginionych listach. Ustnie kazał im tylko powiedzieć jeszcze Zwycięzcy, ażeby mimo wszystko był o plon swego trudu spokoj-

¹⁹²z ręki szernowskich padli — dziś: z rąk szernowskich padli. [przypis edytorski]

¹⁹³pono (daw.) — podobno. [przypis edytorski]

ny, bo dopóki on, Jeret, żyje, kraj będzie utrzymany. I prosić kazał Zwycięzcę, aby dobro działał w starych osadach ludzkich i przyobiecane prawa tam stanowił, nim z Księżyca na Ziemię odejdzie.

Marek zamyślił się, wysłuchawszy tego poselstwa. Posłowie mieli powracać z nową partią osadników, przyobiecali im tedy dać listy do Jereta, napominając tylko, aby ich nie stracili. Jakoż zaraz wziął się do pisania.

Wspomniał o trudnościach, z jakimi ma tutaj do walczenia — i że ręce za każdym ruchem krępują mu ludzie nowemu porządkowi niechętni, tak że czasem traci już nadzieję, aby bez użycia siły mógł zdziałać co dobrego. A siły dotychczas nie chce używać.

„Liczyłem jeszcze na pomoc i powagę Malahudy — pisał w końcu — ale starzec już nie żyje... Zginął w sposób tajemniczy, zdaje się, że z ręki szerna uwięzionego, który umknął dziwnym sposobem. Jestem teraz sam i dwie tylko drogi mam do wyboru... Porzucić wszystko i wracać na Ziemię albo wezwać ciebie z garstką wiernych moich towarzyszy w bitwach w tamtym kraju prowadzonych i zrobić tutaj porządek, usunąwszy tych wszystkich, którzy przeszkadzają. Waham się jeszcze i nie umiem wybrać. Smutny jestem. Mimo cały żal, jaki miałeś do mnie, a może i masz jeszcze, wierzę ci, bo wiem, że — nie mnie, ale sprawie jesteś całą duszą oddany. I ufam ci, że jeśli dam znak: «Przychodź!» — przyjdiesz. I staniesz po mojej stronie. Ale nie wiem, czy to mi właśnie uczynić należy...”

Pisał jeszcze dalej w ten sposób, kreśląc w końcu Jeretowi szczegółowy plan owego porządku, jaki myślał zaprowadzić.

„Jeżeli przypadkowo — kończył — będę zmuszony Księżyc opuścić, niczego nie dokonawszy, niech to przynajmniej po mnie zostanie, co nielicznym przyjaciółom moim tutaj rozpowiadam — i co teraz piszę do ciebie. Gdy przyjdzie sposobna pora, przyjdź sam i zgromadź przyjaciół moich pozostałych i pełnij rozpoczęte dzieło. Może naprawdę trzeba, abyście wy sami zrobili wszystko, a nie ja za was, przybysz z gwiazdy dalekiej? Nie wiem w tej chwili nic; dni u was są długie — nim ten się zakończy, może się jeszcze wiele rzeczy zmienić i wiele rozstrzygnąć...”

Dał listy posłom, którzy się jeli żegnać z nim pospiesznie, mieli bowiem iść jeszcze na zachód słońca, do osad nad morzem w tamtej stronie położonych, i stamtąd dopiero nocą puścić się po lodach na południe.

Po odejściu ich Marek zamknął drzwi od świątyni i chodził samotny wielkimi krokami po hali, dumając. Rozumiał to coraz dokładniej, że to ostatnia pora spróbować na własną rękę innej drogi, niżli ta, którą szedł dotychczas, jeśli się nie chce przyznać do porażki i ustąpić. Przecież — myślał — znalazłoby się wśród ludu dużo takich, którzy by dobro własne zrozumieli i poszli za nim, gdyby nie podstępne Elema knowania. Istotnie Malahuda miał słuszość: trzeba było nie czekać i nie szukać pozorów, lecz powróciwszy zwycięzcą zza morza, kazać natychmiast Elema stracić albo uwięzić przynajmniej, a może wtedy wszystko byłoby poszło inaczej.

Zacisnął zęby i brwi namarszczył.

— Tak, ja albo on! — rzekł głośno do siebie — nie ma wyjścia innego!

Żałował teraz prawie, że nie napisał był od razu do Jereta, aby przyszedł, nie zwłóczęc¹⁹⁴, z garścią zbrojnych, ale pomyślał wreszcie, że i sam sobie da radę tymczasem. Odrzucił włosy spadające mu na czoło i z podniesioną głową zwrócił się ku drzwiom świątyni.

Na dziedzińcu huczał gwar wielkiego tłumu. Zwycięzca, zbyt w myślach zatopiony, nie zauważył go zgoła, choć od pewnego czasu mógł go słyszeć dobrze i wewnątrz gmachu, zwłaszcza że wybuchały z niego czasem hałaśliwe i przeciągłe okrzyki. Dopiero otwierając drzwi, z wnętrza na zasuwę żelazne zamknięte, posłyszał Marek wyraźnie te głosy, ale nie zastanawiał się zrazu, skąd pochodzą i co znaczą, rad tylko, że lud jest zgromadzony i nie będzie go potrzebował zwoływać, aby do niego przemówić.

Wyszedł tedy na wzniesiony ganek przed świątynią krokiem pewnym i zawołał zaraz na wstępie, aby się ucziszono, bo on chce mówić. I rzeczywiście cisza zrobiła się głucha,

¹⁹⁴zwłóczęc — dziś: zwlekając. [przypis edytorski]

ale jeno¹⁹⁵ na jedno okamgnienie, bo nim jeszcze zdążył usta otworzyć, już zewsząd wybuchnęły głosy zmieszane, niby ryk wzburzonego morza.

Niewiele z tego zamętu wołań można było wyrozumieć: Marek chwycił uchem tylko oderwane, głośniejsze wykrzyknięte wyrazy, a wszystkie przeciw sobie zwrócone. Krzyczano coś o zabójstwie Malahudy, o szernie na lud zesłanym, o wojsku zostawionym na zatracenie, a nawet tu i owdzie odzywały się obelgi, zwłaszcza z ust zwolenników proroka Chomy i członków Bractwa Prawdy.

Marek patrzył spokojnie na tłum, zastanawiając się, jakie to na ludu zrobi wrażenie, gdy wezwie teraz Elema i zgniecie przed jego oczyma... Wiedział już, że w tej chwili na żadną pomoc ani na posłuch niczyj liczyć nie może i sam musi czynu wstrętne dokonać. Był już gotów. Spojrzył w bok, w stronę, gdzie na stopniach nowego arcykapłańskiego pałacu jawił się właśnie Elem, orszakiem służby i zauszników swoich otoczony. Wzdął już piersi, aby huknąć na niego tak, jak na psa się woła, by przyszedł do nogi — gotów, jeśliby ów nie posłuchał, utorować sobie drogę przez ten tłum i Elema w garści tu przynieść...

Nagle smutek go napadł bezbrzeżny i niemoc, po wzburzeniu zwykle następująca. Bezcelowość zamierzonego czynu, bezcelowość w ogóle wszystkich jego usiłowań stanęła mu naraz żywo przed oczyma — i jeno wielka, niezgłębiona tęsknota, która krzyczała mu w duszy, jak małe dziecko, ręce do matki wyciągające: „Na Ziemię! na Ziemię!”...

Usiadł na głazie służącym dawniej arcykapłanom za mównicę, i tępy, znużony wzrokiem powiódł po tłumie. Uciszone się, nie wiadomo dlaczego, na jedną chwilę, a on wtedy, raczej myśli swojej niż ludu tego pytając, rzekł:

— Czego wy chcecie ode mnie?...

Widocznie program tego zgromadzenia ludowego był z góry przez mądrych aranżerów ułożony, bo tumult ustawał z wolna; ludzie jacyś ruchliwi ciszyli gawiedz i porządkowali pewne grupy... Po chwili zaczęły przed Zwycięzcę występować delegacje. Szli kupcy i oddzielnie ci, którzy ziemie posiadali — kapłani, będący po wioskach sędziami zarazem, i właściciele różnych warsztatów, piekarze i rzeźnicy. Za nimi postępowali jeszcze rzemieślnicy wszelkiego rodzaju i wieśniacy w ciężkim znoju dzień cały pracujący, wyrobnicy miejczy, rybacy, perłolowcy, a nawet zdziczali myśliwcy z lesistych stoków *Otamora*. Nie brakło też kobiet, które w oddzielną grupkę zebrane, posuwały się ku stopom Zwycięzcy nieco lękliwie, popychając się wzajem łokciami.

Marek patrzył bez ruchu na tę barwną procesję i miał przez pewien czas dziwne wrażenie, że to nie fakty przed jego oczyma się rozgrywają, lecz płyną jeno przez duszę wspomnienia jakichś dawno widzianych i przeżytych rzeczy, jak gdyby był już na Ziemi i myślał tylko błędził jeszcze po tym księżycowym kraju...

Zdziwił się prawie, gdy posłyszał głos do siebie zwrócony. Przewodnicy kupców i ziemian stali przed nim i ręce wyciągając, wołali:

— Zwycięzco! daruj nam spokój dawny, któryśmy mieli! Ostaw w rękach naszych mienie, w ciągu pokoleń zyskane! Nie niszczy dobrobytu!...

A kapłani już następowali za nimi, krzycząc podniesionymi głosami, przywykłymi do zawodzenia pieśni przed ludem:

— Zwycięzco! mocny ziemski przybyszu! nie ruszaj praw, któreśmy sobie od wieków wypracowali! Nie daj mocy w ręce ciemnych i niedoświadczonych!

I tak dalej szli wszyscy przed jego kolana i wszyscy prosili, aby pozostawił wszystko tak, jak było — po staremu. A więc właściciele warsztatów nie chcieli zmian w zapłacie, mówiąc, że ich to zrujnuje i zniszczy rzemiosło wszelakie; rybacy i myśliwcy wzbierali się datków, choćby najmniejszych, na korzyść ogólną; wyrobnicy rolni i miejczy błagali go, aby nie sierdził na nich możnych, którzy życie ich w ręku trzymają, dając sposobność nędznego zarobku, aby snadź nie pomarli; wreszcie padały mu do nóg kobiety, błagając o pozwolenie zachowania dotychczasowej czci niewieściej, to znaczy podlegania mężom w domach i grzeszenia potajemnie...

Ze smutkiem a goryczą słuchał Marek tych wszystkich przemówień, a czy jego wybiegły daleko poza schyłone u jego nóg gromadki i szły, szukając w tłumie ludzi, którzy by myśleli inaczej i gotowi byli wystąpieniem swym zadać kłam samozwańczym przodow-

¹⁹⁵jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

nikom. Czuł, że jeżeli teraz takich w tłumie zobaczy, mimo znużenie i smutek duszny¹⁹⁶, wstanie i nogą tych zgiętych roztrąci, i skrzyknie przyjaciół, którzy naprzód z nim zechcą podążyć...

Ale zamiast tego ujrzał tylko twarze grube, niecierpliwie odpowiedzi jego oczekujące a zaciekle, ludzi podburzonych i opętanych, którzy są gotowi, gdyby prośbnych słów nie wysłuchał, otwartym przeciw niemu buntem wybuchnąć. Znać było, że chcą tego nawet, żądni, jak każda zgraja, krzyku, obelg, bitki i zamieszania.

Zaśmiał się gorzko w duszy i wzrokiem bezbrzeżnej pełnym pogardy i... litości zarazem powiódł po błagających go przemówicielach¹⁹⁷. Widział twarze tępe lub chytne, oczy zamglone, w których nawet nie palił się odblask fanatyzmu, mięsiste usta i sterczące kości policzkowe ludzi powstrzymanych w duchowym rozwoju.

Nagły wstręt go objął i tęsknota straszna, niewypowiedziana, żrąca: „Na Ziemię! na Ziemię!”. Martwym skinieniem dłoni odsunął cisnących się do kolan jego przodowników, chcących już w obłudnej pokorze szaty jego całować.

— Odejdźcie! róbcie, jako się wam podoba. Ja wracam na Ziemię...

Okrzyk radosny był mu odpowiedzią. Nie słuchał go już, cofnąwszy się szybko w głąb świątyni...

I tu jednak niedługo pozostawiono go w spokoju. Przyszli posłowie od arcykapłana Elema, przepraszając, że on sam się nie jawi, ale zajęty jest w tej chwili wielce. Im natomiast pójść tu rozkazał, aby w jego najwyższym arcykapłańskim imieniu żal wyrazili żywy, nawet rozpacz zgoła, że Zwycięzca błogosławiony zamierzył Księżyc opuścić tak rychło — i aby zapytali zarazem, jakie są jego rozkazy, które arcykapłan wypełnić gotów natychmiast ze zwykłym sobie wobec boskiego męża posłuszeństwem i uległością.

Marek, słuchając tych słów nieszczerých, nawet się już nie roześmiał. Wszystko mu było jedno i chciał się tylko jak najprędzej pozbyć uprzykrzonych natrętów. Więc rzekł im, że Jego arcykapłańskiej Wysokości nie ma nic do rozkazania i chce jeno, aby mu ludzi dano dzisiaj, którzy w *Kraj Biegunowy* pójdą uprzedzić straż nad wozem czuwającą, że on jutro przybędzie. Wysłał był bowiem zaraz po przybyciu zza morza kilku zaufanych w tamte strony, ale ci nie powrócili dotychczas i on nie wie, czy strażnicy wszystko utrzymują w należyтым porządku, jako im ongi¹⁹⁸ był przykazał.

Po odejściu posłów jął się zaraz gotować do drogi. Porządkował zapiski i układał fotografie, pakując to wszystko z wolna i systematycznie — czasu bowiem miał dość do odjazdu; kawał dnia i noc cała jeszcze przed nim była. Myślał, że niegdyś obiecywał sobie wziąć szerna związanego i kilkoro księżycowych ludzi z sobą na Ziemię; uśmiechnął się teraz na to wspomnienie. Szern umknął, a ludzi tutejszych ma on już dosyć zaprawdę!

Zabrałby jednego Jereta chyba, ale on tutaj najpotrzebniejszy i za dobry na to, aby go na Ziemi jak dziwowisko oglądano... Zaśmiał się w duchu: może by Elema zabrać i w klatce później pokazywać? Ale ta myśl dziecinna i złośliwa zgasła w nim prędko. Usiadł i podparł głowę na dłoni.

Przypomnił sobie tego samego Elema tak, jak go był po raz pierwszy zobaczył¹⁹⁹: w szarej, mniszej szacie, z ogoloną głową, z płomiennymi oczyma fanatyka, oczekującego z żywymi i trupami pospołu Zwycięzcy w wierze niezłomnej, że przyjdzie... Czy to ten sam człowiek? ten sam?! A inni? a ci wszyscy, którzy oczekiwali? byli spokojni, cisi, wierzący?... Wszakże Malahuda, witając go, mówił: „Zniszczyłeś wszystko, co było — budujże teraz...”. Cóż się stało — !?

Zerwał się z miejsca i porwał w przestrachu nagłym rękoma za głowę. Zobaczył wyraźnie to, co dotychczas chwilami jeno przeczuwał, że przyjdzie jego na Księżyc zamiast być błogosławieństwem, stało się jakąś klęską strasliwą i niepowetowaną, jakimś wdarcieciem się gwałtownym w naturalny, powolny rozwój tego świata ludzi bądź co bądź tutaj już zadomowionych. I to właśnie przewróciło wszystko do góry nogami, rozpasalo namiętności, ukrytą podłość dosadnie na jaw wydobyło...

Wzruszył ramionami:

— Ha, trudno! tak się widocznie musiało stać.

¹⁹⁶duszny (daw.) — duchowy; dotyczący duszy. [przypis edytorski]

¹⁹⁷przemówiciel — mówca, przemawiający. [przypis edytorski]

¹⁹⁸ongi (daw.) — niegdyś, kiedyś. [przypis edytorski]

¹⁹⁹był (...) zobaczył — forma daw. czasu zaprzeczonego; dziś: zobaczył (wcześniej). [przypis edytorski]

Ale czuł, że to fatalistyczne zdanie ustami tylko wypowiada na zagłuszenie myśli, która mówi co innego...

A ta myśl...

— Ihezał...

Tak, to imię płacze w nim od dawna, od chwili kiedy pomyślał o powrocie już nie-odwołanym...

— O! ptaku, ptaku mój złoty!

Żal jakiś straszliwy zatargał mu wnętrzości, że aż zębami chwycił dłoń ręki, aby nie krzyczeć...

— Przebac mi, przebac... — zaczął po chwili szeptać do siebie, jak gdyby ona przed nim stała. Nie umiał sobie jasno uświadomić, za co ją przeprosza, ani też swojej rzeczywistej czy urojonej winy określić, ale czuł, że chodzi tu o jakieś zniweczenie snu od tęcz kraśniejszego, o jakieś pokalanie rzeczy białych przez to po prostu, że ich się w ręce i na pierś nie wzięło, o życie strwonione, może — o przepadłą... miłość...

Myśl jakaś samolubna powtarza mu ciągle, że przecież on złego nic nie uczynił i nie wie nawet, skąd ta dziwna zmiana zaszła w dziewczynie i na czym ona polega, ale czuł wbrew tej myśli, że od niego tylko zależało, aby ona była jak najwonnejszy kwiat, a że teraz jest czymś tak niepojętym i strasznym...

Chciał zagłuszyć te wszystkie rozterki wewnętrzne pracą około przygotowań do podróży i myślą o Ziemi radosną, ale robota szła mu niesporo²⁰⁰ i wspomnienie Ziemi jakąś martwą, szarą mgłą się pokrywało przed jego oczyma.

W samotności przepędził czas aż do przedwieczornej godziny, kiedy słońce pochylać się już na zachód poczęło i rumieniec krwawo na nieboskłonie. Patrzył na to słońce przez zacerwienione szyby okien, kiedy z zadumy wyrwało go kołatanie u drzwi, lekkie zrazu, potem coraz natarczywsze. Podniósł się i otworzył.

Przed nim stał Elem w uroczystych szatach arcykapłańskich, w starożytnym kołpaku wysokim i z dwiema kadzielnicami w ręku, a za Elemem — na ganku i na schodach szerokich — orszak barwny starszyny i dostojników, który się łączył w tyle z niezmiernym tłumem, cały plac zalegającym. Zaledwie Marek zjawił się w progu, arcykapłan upadł przed nim na oba kolana i zaczął wywijać kadzielnicami, otaczając go kłębem gęstych, wonnych dymów. Za przykładem Jego Wysokości poszli inni członkowie orszaku; lud, który z powodu zbytniego tłoku klękać już nie mógł, pochylił jeno głowy, witając Zwycięzcę przeciągłym okrzykiem.

A arcykapłan śpiewał, wybijając ciągle pokłony:

— Błogosławiony bądź, panie, z Ziemi przybyły, radości oczu naszych, który już odchodzisz! O-ha!

— O-ha! — powtórzył tłum za nim żałośliwym jękiem.

— Błogosławiony bądź, Zwycięzco, który szerna poraziłeś i dałeś moc w ręce człowieka! Płaczą serca nasze, że już odchodzisz! O-ha!

— O-ha! O-ha! — jęczał tłum.

— Pokój nam darowałeś i mądrość płynęła z ust twoich, abyśmy byli oświeceni! Czemuż nas teraz opuszczasz, sieroty biedne, zbyt prędko wracając na promienną Ziemię? O-ha! O-ha!

— O-ha!

— Dzięki czynimy tobie...

Marek odwrócił się i wszedł do świątyni, zatraskując ciężkie drzwi za sobą.

Oczy jego, na ganku oślepienie słońcem, wprost na twarz mu padającym, błędziły zrazu w mroku, zalegającym olbrzymią salę... Nie wiedział, czy to złudzenie, czy rzeczywistość: tam w głębi o czarną kazalnicy ze złotym napisem oparta stała Ihezał... Nie widział jej już był²⁰¹ dawno, niemal od owego pamiętnego dnia na platformie dachu. Zbliżył się teraz ku niej z wolna.

— Ihezał! powracam na Ziemię...

— Wiem, że masz zamiar powrócić...

²⁰⁰niesporo — nieszybko. [przypis edytorski]

²⁰¹nie widział (...) był — forma daw. czasu zaprzeszczonego; dziś: nie widział (wcześniej). [przypis edytorski]

Dostrzegł w półmroku, że oczy ma przerażone i jakby błędne, na ustach skostniały, do skrzywienia podobny uśmiech.

— Ihezał!

Obejrzała się szybko wokół. Jakiś ledwo dosłyszalny szelest za kazalnica...

Z zastygła maską na twarzy, jakby pod przemocą obcej woli rozwarła mechanicznie drżącymi rękoma szatę na piersi.

— Pójdź...

Nagle wyciągnęła ręce przed siebie.

— Nie! nie! Uciekaj ode mnie! — zaczęła wołać stłumionym głosem — zawołaj tu ludzi i idź stąd! Miej litość nade mną! nad sobą! Uciekaj! wracaj na Ziemię!

Chwycił ją za dłoń wyciągniętą.

— Co tobie? dziewczyno!

Szelest dał się słyszeć znowu — Ihezał pobladła, wyraz straszliwego lęku odbił jej się w oczach.

— Pójdź — rzekła bezdźwięcznie — ukryj twarz tutaj, na piersi mojej, pochyl się... Ciało moje pachnie i piękne jest — jak śmierć...

W tej chwili otworzyły się boczne drzwi; kilku ludzi wsunęło się nieśmiało do świątyni. Ihezał, spostrzegłszy ich, wydała okrzyk przerażenia i radości na poły — i rzuciła się szybko do ucieczki. Marek niechętną twarzą zwrócił się ku przybyłym. Ale oni pokornie zbliżyli się ku niemu i pochyłili głowy, witając go:

— Pozdrowiony bądź, mistrzu!

Byli to jego nieliczni uczniowie, którzy przyszli go żegnać — smutni naprawdę. Usiadł z nimi tedy na posadzce u stóp kazalnicy i zaczął rozmawiać. Zdawało mu się jeszcze w pewnej chwili, że w mroku poza nim przemknęła jakaś czarna postać, niknąc szybko w przejściach, do dawnego arcykapłańskiego pałacu wiodących, ale to było snadź tylko złudzenie...

Uczniowie płakali. Pocieszał ich tedy, tłumacząc, że odejść musi, bo dłuższy jego pobyt tutaj nic już nie sprawi dobrego — a wierzy, że oni są ziarnem, które pozostawił tutaj na zasiew — i które po wiekach plon wyda pewno... Uspokoją się tymczasem namiętności i niechęć możnych przeciw niemu minie, kiedy zjedzie im z oczu. A przy tym on zmęczony już jest strasznie i tęskni za domem swoim, który jest na błyszczącej gwieździe ponad *Wielką Pustynią*...

A oni tedy pytać go jeszcze zaczęli o wiele rzeczy i radzić się, jako mają czynić, kiedy jego tu już nie będzie — i domagać się, aby im przyrzekł, że kiedyś znowu powróci...

Rozmawiali tak przyciszonymi głosami w zapadającym zmroku, kiedy nagle dały się znowu słyszeć u drzwi pukania i przerażone głosy, wzywające Zwycięzcy. Marek powstał niechętnie, aby otworzyć.

Na progu stali z załękłymi twarzami posłowie, niedawno do *Kraju Biegunowego* wysłani.

— Panie, wozu nie ma!

Marek w pierwszej chwili nie zrozumiał tej wieści straszliwej.

— Co? co?!

— Nie ma wozu twojego, panie! — odrzekli.

Wiadomość ta już się snadź pierwaj między ludem rozeszła, niepokój bowiem i zamieszanie panowały w całym mieście. Grupy tworzyły się na placach i ulicach; rozprawiano głośno i ze zdziwieniem o zniknięciu wozu Zwycięzcy.

Marek stał, jakby gromem zmiażdżony, niezdolny słowa przemówić.

CZĘŚĆ CZWARTA

Trzy są na Księżycu relacje o śmierci człowieka zwanego niegdyś Zwycięzcą, który przybył nie wiadomo skąd, za czasów arcykapłana Malabudy, a za rządów następcy jego Elema publicznie był stracony. Pierwsza z tych relacji — i zdaje się najstarsza, pochodzi z czasów, kiedy rządził Sewin, który, kazawszy udusić poprzednika swego Elema, objął był po nim stolec²⁰² arcykapłański. Wówczas pamięć Zwycięzcy nie była jeszcze święta, ponieważ Sewin dopiero pod koniec dni panowania nakazał go czcić jako proroka i męczennika.

Relacja druga, znacznie późniejsza, spisana była przez historyka Omilkę, znakomitego uczonego, który przez długi czas był przewodniczącym Bractwa Prawdy.

Co do trzeciej relacji zdania są podzielone: niektórzy przypisują jej wiek nader poważny, utrzymując, że jest ona dziełem jednego z przyjaciół i uczniów straconego Zwycięzcy; inni natomiast sądzą, iż powstała ona w czasach nowszych, z podań i legend ustnie przez pokolenia przekazywanych.

Wszystkie te trzy relacje zgadzają się mniej więcej w opisie wydarzeń towarzyszących śmierci człowieka zwanego Zwycięzcą, różnią się jednak tak niezmiernie w poglądach na samą jego osobę, że uważamy za stosowne wszystkie trzy tutaj przytoczyć, żadnej zresztą co do wagi nie dając od siebie pierwszeństwa.

Z chronologicznego porządku wysuwa się naprzód opowiadanie z czasów pierwszej połowy panowania arcykapłana Sewina:

I

*Opowieść prawdziwa
o sromotnym straceniu niecnego zbrodniarza,
który się mienił być
zapowiedzianym przez proroków Zwycięzcą
i za szalbierstwo swoje*

srogą a zasłużoną poniósł karę

Bacz, czytelniku, abys miał stąd naukę! Arcykapłan Elem słusznie na rozkaz jego Rządzącej Wysokości, świętobliwego Sewina, był uduszony, gdyż siła złego naczyni, w czym nie najmniejsze było sprowadzenie do kraju samozwańczego Zwycięzcy i rozwiązanie świętego zakonu Braci Wyczekujących, których dopiero arcykapłan Sewin za poradą błogosławionego starca i proroka Chomy na nowo ustanowił, a pod bezpośrednią władzę rządzących arcykapłanów poddawszy, na wiek wieków przeciw nieprawomyślnym zakusom ubezpieczył. Za onegoż Elema (oby imię jego było zapomniane!) poniósł śmierć zasłużoną człowiek nazwany Zwycięzcą, wszelakoż nie z rady niegodnego arcykapłana, lecz z woli ludu oburzonego jego niecnymi postępami. Człowiek ten, narobiwszy wiele zamieszania w całym kraju i wplątawszy lud w ciężką wojnę z szernami, która jeno dzięki nadzwyczajnej odwadze i bitności obalamuconych przez rzekomego Zwycięzcę szeregów klęską się nie skończyła, udał, że chce powrócić na Ziemię, skąd pono, jak sam mówił, przybył, choć znacznie większe jest prawdopodobieństwo, że był to morzec olbrzymiego wzrostu, który za krew ludzi chciał sobie kupić panowanie nad szernami, ojcami swoimi, a dopiero gdy mu się to nie powiodło, próbował zapanować nad ludźmi. Za nieczystym jego pochodzeniem przemawia i ta okoliczność, że rad się innymi morcami otaczał i miał nawet jednego, imieniem Nuzar, który mu wiernym pozostał do ostatniego tchnienia, razem z nim śmierć poniósłszy — szernów zaś, choć walczył z nimi, szczenił, jako mógł, z wrodzonej snadź skłonności.

Otóż człowiek ten, gdy mu się zdobycie władztwa nad szernami nie powiodło, udał, że wracać chce na Ziemię — w przekonaniu, że lud go jako dobroczyńcę swego i opiekuna przemocą powstrzyma i on tak łatwym kosztem przyjdzie do królowania nad ludzkimi plemionami. Te rachuby jednak zawiodły i krom niegodnego arcykapłana Elema, będące-

²⁰²stolec (daw.) — tron władcy; por. *stolica*. [przypis edytorski]

go snadź²⁰³ w spółce tajemnej z onym Zwycięzcą, nikt go nie usiłował nawet nakłaniać do pozostania, zwłaszcza że widziano już, ile zła przewrotne i nierozumne jego nowatorstwa na lud mogą sprowadzić.

On tedy²⁰⁴ urządził widowisko jakoby uroczystego pożegnania, a posłał tymczasem ludzi do *Kraju Biegunowego*, kędy ongi sam był ustawił ogromną a bezużyteczną rurę żelazną, wmawiając w łatwowiernych, że jest to wóz, w którym on przybył z Ziemi i na którym zaś może odjechać. Ludziom tym był zapowiedział, ażeby baczyli, zali jest co w onej rurze w środku, i żeby mu zaraz dali znać, jeśliby nic nie znaleźli. Sam zaś tak dzień pożegnania oznaczył, aby posłowie w tym właśnie czasie mogli do niego powrócić.

Przyszli tedy i donieśli mu, że w rurze nic nie ma, o czym onże²⁰⁵ Zwycięzca rzekomy sam naprzd dobrze wiedział, ale gdy wieść posłyszał, udał wielkie zamieszanie i zaczął krzyczeć, że mu wóz jego skradziono i że on już na Ziemię powracać nie może. Wszystko to było ułożone i zrobione w tym celu, aby ludzie myśleli, że on nierad na Księżycu zostaje i koniecznością jeno do tego przyniewolony²⁰⁶. Aby to zaś miało większy pozór prawdy, przez czas niejaki okazywał srogie przygnębianie i niby to usiłował nowy wóz zbudować, z czego jednak nic nie wyszło.

Ale niebawem wyszły na jaw tajemne jego zamiary. Gdy bowiem tylko po pewnym czasie zauważył, że dawną powagę wśród ludu utracił, odrzucił precz wszelkie względy i udawania i stanął w całym bezwstydzie prawdziwej swojej istoty przed oczyma ludzi, od których dotychczas dobra jeno doświadczał.

Zwołał tedy wielkie zgromadzenie, a kiedy lud, więcej ciekawością niż posłuchem wiedziony, stawił się na nie, on wystąpił z przemową, w której oświadczył, że zmuszony do przebywania na Księżycu, nie chce tu siedzieć z założonymi rękoma, lecz będzie pełnił dzieło swoje, losem mu snadź przeznaczone, od którego omal że nie był odstąpił, zniechęcony napotykanymi trudnościami. Teraz jednak nie ma wyboru i przeto nie będzie się wahał, lecz spełni, co ongi²⁰⁷ był zamierzył, jeśli się nie da po dobremu, to siłą. Słuchać go wszyscy muszą, ponieważ on tak chce.

Odtąd dopiero zaczął okazywać, czym jest w istocie i co potrafi. Dobrał sobie siepaczy i gdy przewrotnych a niemądrych praw jego nowych przyjąć nie chciano, począł lud gnębić i strachem posłuch dla siebie wymuszać.

W dawnej świątyni, którą splugawił, na dom ją sobie mieszkalny obróciwszy, założył swój dwór, z podobnych jak on niecnot się składający, przy którego pomocy spodziewał się wkrótce zawładnąć całą krainą księżycową, przez ludzi zamieszkaną. Natrafił jednak na opór niespodziewany i to powoli do szału zaczęło go doprowadzać. Srogi i wyuzdany, krwią znaczył swoje samozwańcze panowanie. Nikt przed nim nie był bezpieczny; wszystko chciał zmieniać i nikomu z praw przyrodzonych korzystać nie dał. Pozabierał ludziom czcigodnym łany ich rodzajne, niby to mając wspólnotę rolników na nich zaprowadzić, ale w istocie tylko dlatego, ażeby osłabić możnych, którzy by mu się skutecznie mogli opierać. Zamieszanie podobne sprowadził też we wszystkich fabrykach i nakazał znowu gawiedzi, ażeby czynszu z domostw nie płaciła, ponieważ — mówił — każdy ma prawo mieć dach ponad głową. Gawiedź atoli po większej części mędrsza była od niego i nie występowała przeciw dobroczynnym domów swoich właścicielom, wiedząc, że dłużej ich stanie niż onego Zwycięzcy, który się mieni być nędznych opiekunem, a sam z łupiestwa dobra wszelkiego zażywa.

Nie skąpił sobie bowiem w niczym ów człowiek nieposkromiony, a już najmniej w używaniu uciech z kobietami. Żył zaś w owym czasie dziewczyna pewna, imieniem Ihezal, wnuczka poprzedniego arcykapłana Malahudy, na rozkaz Zwycięzcy pono także w pustelni zaduszonego. Dziewczyna ta, której pamięć dzisiaj słusznie jest czczona dla wielkiej czystości obyczajów, miała nieszczęście wpaść w oko samozwańcowi i często przez niego nagabywana bywała. Opierała mu się jednak męznym sercem do końca i ani siłą, ani obietnicami nie dała się zmusić, aby mu była powolna.

²⁰³ *snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

²⁰⁴ *tedy* (daw.) — więc. [przypis edytorski]

²⁰⁵ *onże* — tenże. [przypis edytorski]

²⁰⁶ *przyniewolony* — dziś: zniewolony. [przypis edytorski]

²⁰⁷ *ongi* (daw.) — kiedyś, niegdyś. [przypis edytorski]

Ta stałość dziewicy doprowadziła go do takiego szału i zapamiętania, że chcąc sobie opór jej powetować, jął sprowadzać do siebie kobiety przeróżne, po większej części lekkich obyczajów (choć i uczciwym też nie przepuszczał) i — niby to je nawracając — orgie z nimi święcił wyuzdane, o których bliższych szczegółów nawet opowiadać się nie godzi. Dowiadywał się też przez szpiegów swoich tajemnych, które kobiety popadły były niegdyś w ręce szernów i morców były rodziły, i rad je do siebie zwoływał, w tym nieczystym towarzystwie przestając.

A trzeba też wiedzieć, że oprócz morców kilku, z których najulubieńszy mu był wspomniany już Nuzar, miał i szerna, dawnego wielkorządcę Awija u siebie. Szern ten złośliwy, którego w podziemiach świątyni ukrywał, tak że przez długi czas nikt nie wiedział o jego istnieniu, wychodził był nocami na rozkaz jego i bił ludzi, i wszelakie płodził sprośności. To wszystko dopiero po śmierci tego rzekomego Zwycięzcy jawnym się stało.

Wreszcie przebrała się miara ludzkiej cierpliwości. Zakałę i ohydę ową należało w końcu usunąć. Mówili o tym od dawna głośno wszyscy co godniejsi obywatele ludzkiej społeczności, a wtórzył²⁰⁸ im prorok Choma, starzec natchniony, wzywając do świętej wojny z samozwańcem. Ponieważ jednakże nie chciano sprowadzić próżnego krwi rozlewu, spodziewano się bowiem, że ów Zwycięzca będzie się bronił, postanowiono ująć go podstępem, o ile by się dało we śnie, i związanego stawić przed sądem.

Zbrodniarz snadź²⁰⁹ przeczuł, co się święci, gdyż właśnie przed nocą, kiedy zamiar miano wykonać, wyruszył z całym swym dworem ze świątyni i sposobił się do opuszczenia miasta, mówiąc, że idzie w okolice bezludne, nowe państwo wedle myśli swej zakładać.

Nie pozwolono mu jednak na to, obawiając się słusznie, że to państwo jego gorszym by pono²¹⁰ było złem i większym niebezpieczeństwem dla ładu i spokoju niż szernów najbliższe sąsiedztwo.

Tak tedy miał się już los onego zbrodniarza na tym miejscu dokonać, gdzie tyle bezceństw nabroił. Zamknięto mu bowiem bramy miasta, aby go z niego nie wypuścić, a kiedy je chciał przemocą wyważyć (silny był zaś w ręku nadzwyczajnie), przybiegli do niego nauczeni posłowie, niby od arcykapłana, aby co tchu wracał do świątyni, gdyż tam starszyzna ludu i sam arcykapłan chcą mieć z nim ważną rozmowę. On nie bardzo ufał, bo się pomacał po pasie, czy ma swoją palną broń przy sobie, ale wstyd mu snadź²¹¹ było lęku okazać albo ludzi brać z sobą dla straży, gdyż zadufany był strasznie w siłę swej nadzwyczajnej, więc nie chcąc odmówić wezwaniu, aby nie powiedziano, że odrzuca zgodę, której niby to sam wciąż wołał, kazał zwolennikom swoim czekać u bram na siebie, a sam zwrócił się ku śródmieściu, mając jeno morca Nuzara przy nodze, jakoby psa wiernego.

Aliści niewiele uszedł, kiedy w wąskiej ulicy zza węglów zarzucono na niego sznury zniemacka i wnet na bruk obalono. Próbował się bronić i wołał morca Nuzara, aby skrzyknął u bram stojących jego zwolenników, nie wiedząc, że i ci w tej chwili są już wojskiem otoczeni i ujęci. Morzec jako ten pies wściekły rzucał się na ludzi, a kiedy mu ręce w tył związane, kąsał jeszcze zębami, kogo dopadł.

Rzekomy Zwycięzca tymczasem leżał na ziemi sznurami omotany i niezdolny się ruszyć, ale ludzie obawiali się jeszcze zbliżyć do niego, taki postrach wzbudzał ogromną swoją postacią. Wreszcie gdy widziano, że zaplątany jest dobrze i tak związany, iż uwolnić się ani ruszyć nie może i nic już nikomu złego nie uczyni, począto śmieiej podchodzić; ten i ów kopnął go nogą albo poszarpał za włosy ogromnego łba leżącego bezwładnie na kamieniach.

Sąd postanowiono odbyć jeszcze dnia tego samego, aby przed nadejściem nocy skończyć już z tą zakałą.

Arcykapłan Elem wymawiał się od sądenia, jako że wstydził się zapewne, iż to on sam tego zbrodniarza i świętokradcę sprowadził — i chciał, aby go w tym zastąpił Sewin, który wówczas nie był jeszcze arcykapłanem. Sewin, człek niesłychanie mądry i cnotliwy, lecz skromny, usuwał się długo, aż wreszcie, wręcz przymuszony, zebrał sąd ze starszych i godniejszych obywateli na placu przed poharbioną świątynią i kazał przywieść uwięzionego.

²⁰⁸wtórzyć — wtórować; towarzyszyć głosem. [przypis edytorski]

²⁰⁹snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

²¹⁰pono (daw.) — podobno; zapewne. [przypis edytorski]

²¹¹snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Przystawiono go na wozie, okrytego sińcami i oplutego, nikt bowiem nie śmiał nóg mu rozwiązać, aby sam szedł, w słusznej obawie, że mógłby umknąć albo spsocić znów jaką rzecz niespodziewaną. Tak tedy jego, który mienił się być dumnie Zwycięzcą, teraz w pohańbieniu, jakoby snop chrustu, przytoczono.

Kiedy go Sewin ujrzał, powstał spiesznie ze swego siedzenia, które miał wynioślejsze w pośrodku innych sędziów, i powiedział głośno, że on swoim rozumem sądzić tego człowieka nie chce, ale chciałby posłyszeć, jaką lud ma względem niego wolę.

Ludu była na placu wielka moc zebrana. Był zaś wśród niego i święty starzec Choma, który wprawdzie już niedowiedział, ale zawsze słyszał jeszcze trochę (później bowiem ogłuchł był zupełnie, jak wiadomo). Ten ci to prorok, posłyszawszy, że fałszywego Zwycięzcę przed sąd przywiedziono, począł był krzyżeć zaraz, bożym duchem uniesiony, że takiego zbrodniarza nawet sądzić się nie godzi, lecz od razu z woli ludu trzeba go ukamienować. Na ten głos ze wszystkich stron zawołano, aby więźnia wydać ludowi, który ma już dla niego przygotowaną nagrodę za wszystkie jego łotrostwa.

Czcigodny i dostojny Sewin słuchał długo tych wołań w milczeniu, rozważając w duszy, co by mu czynić należało. Wreszcie gdy same z siebie ucichnąć nie chciały, domagając się owszem coraz natarczywiej wydania zbrodniarza, dał znak ręką, aby mu pozwolono głos zabrać. I wtedy przemówił mniej więcej w te słowa:

„Wielce szanowni obywatele i współziomkowie moi! Zebraliśmy się tutaj — sędzie — z polecenia rządzącego arcykapłana, Jego Wysokości Elema, aby rozważyć sprawę tego tu oto związanego człowieka, którego wydania właśnie się domagacie!

Mieliśmy zamiar, uważnie wszystko zbadawszy, wysłuchawszy spokojnie świadectw i orzeczeń i tego nieszczęśnika nawet obrony, wydać wyrok sprawiedliwy, o którym w tej chwili sam jeszcze nie wiem, jak by był wypadł. Ale my wszyscy jesteśmy tylko sługami ludu i wola wasza jest dla nas prawem najwyższym. Wy zaś w oburzeniu srogim nie chcecie sądu i nie pozwalacie nam zgoła rozprawy zwykłym przeprowadzić porządkiem. Nie śmiem sądzić, o ile wola wasza jest słuszna i sprawiedliwa; wszakże tylko sługą waszym ja jestem.

Cóż mi tedy czynić wypada? Nie mogę inaczej — a wiem, że razem ze mną myślą to wszyscy inni sędziowie — jak tylko w pokorze głosu waszego posłuchać i wolę waszą uczynić. Oto oddaję podsądnego w ręce wasze; uczynicie z nim wedle swego rozumienia i sumienia — a ja was proszę tylko, abyście byli z nim miłosierni.

I dlatego niech zapomną właściciele, iż chciał on ich z majątków wyzuć, niechaj dostojni nie pamiętają, że prawa ich odwieczne naruszał, mężowie niech przepomną²¹² buntowania żon swoich, ojcowie — hańby swych córek i jadu w serca młodzieniaszków sązonego; niechaj mu wierni darują, iż religię świętą pokalał — niechaj nędzni przebaczą mu jego uwodzicielstwo i obietnic szalonych niewypełnienie, żołnierze — krew swych towarzyszy, na dalekich zamorskich błoniach na próżno rozlaną! Pamiętajcie, że chciał on może dobrego i że sąd może by go nawet uniewinnił, gdybyście zechcieli pozostawić zwykły bieg sprawiedliwości... zwłaszcza że Jego Wysokość arcykapłan Elem rad by pono ochronić dawnego swego przyjaciela i opiekuna, dzięki któremu wziął czapkę po ojcu waszym, Malahudzie, wygnanym naprzód, a potem niecnie zamordowanym.

Wy jednak chcecie inaczej i niechaj się stanie wola wasza. O tym tylko nigdy nie zapominajcie, że nie my w tej chwili sądzimy człowieka zwanego Zwycięzcą, ale wy sami! Czynicie, co wam się podoba, ja jednak umywam ręce od tej sprawy; krwi jego nie będę winien — niech ona spada na was i na głowy dzieci waszych, jeśli tak chcecie!”

To powiedziawszy, dostojny Sewin zakrył twarz połą szaty i trwał tak kęs czasu w milczeniu. Kiedy oczy odsłonił na nowo, Zwycięzcy na wozie już nie było. Lud porwał go, a uwiązawszy mu liny do nóg, włókł go tak głową po bruku aż na morskie wybrzeże, kędy jest miejsce, zwane *Przystanią Dobrego Oczekiwania*. Tutaj wkopano w piasek słupiec ogromny, a rozdziawszy onego fałszywego Zwycięzcę z szat (które trzeba było rozcinać, aby je zedrzeć, gdyż obawiano się lin rozluźnić), nagiego do słupa przytoczono, tak iż się nie mógł poruszyć.

Przyprowadzono też zarazem i morca jego ulubionego, imieniem Nuzar. Temu obiecano, iż z życiem będzie puszczony (nie masz obowiązku dotrzymania obietnic wobec

²¹²przepomnieć (daw.) — zapomnieć. [przypis edytorski]

morców), jeśli drewnianym nożem rozpruje brzuch byłemu panu swojemu. On *lepak*²¹³ wzbraniał się tego uczynić, wierząc nierozumnie, że pan jego, kiedy zechce, słup wyrwie z piasku i wszystkich pozabija. Nie bawiono się tedy z nim dłużej, lecz przewróciwszy na twarz, głowę mu w piasku zakopano, tak iż konając, wierzgał nader uciesznie sterczącymi do góry nogami.

Teraz poczęto radzić, jaką by śmierć sławetnemu Zwycięzcy zgotować, który wisiał na słupie jakoby martwy, zamknął był bowiem oczy, nie chcąc na śmierć morca swojego patrzeć.

Różni różne męki doradzali, tak że niepodobna się było porozumieć. Tymczasem gawiedź, długim oczekiwaniem zniecierpliwiona, zaczęła miotać na niego kamieniami, początkowo jeno dla rozrywki, a potem w coraz większym zapamiętaniu, aby go utłuc. On zrazu oczy otworzył i szarpnął się na linach, jakby się chciał urwać, ale przekonawszy się *snadz*²¹⁴, iż nie poradzi, obwiśł bezwładnie i czekał śmierci, *mamrotając*²¹⁵ jeno coś do siebie.

Trwało to wszystko bardzo długo, gdyż ten Zwycięzca czaszkę miał twardą i skórę też znacznie grubszą od zwykłych ludzi, więc mu kamienie wielkiej szkody nie czyniły. I nie wiadomo jak by się to wszystko było skończyło, gdyby dobry duch nie był zesłał w on czas na miejsce to wspomianej już dziewicy imieniem *Ihezal*.

Ta, przyszedłszy, stanęła wprost przed kamienowanym, tak że on, oczy otworzywszy, dojrzał ją zaraz wśród tłumu. A taka w nim była nieczysta namiętność ku tej dziewczynie, iż na bliską śmierć swoją nie zważając, zaczął na nią wołać imieniem.

Ona wtedy wyszła z ciżby i podeszła blisko ku niemu. Zaprzesztano na chwilę rzucać kamieniami, aby i jej przypadkiem nie obrazić. Dziewica zasię zapytała: „Czegóż ty chcesz ode mnie, Zwycięzco?”. To powiedziawszy, wyciągnęła nóż, a jako że była niskiego wzrostu, więc na palcach nóg się uniósłszy, poczęła żgać ostrzem w pierś wiszącego, tam, gdzie jest serce. Pracę miała ciężką, bo jak się rzekło, skóra na nim była twarda, ale w końcu mu poradziła.

A kiedy on już ostatnią parę z siebie wypuszczał, na dachu świątyni zbezczeszczonej, którą widno było dobrze, ukazał się szern, przez niego tam ukrywany, o czym dotychczas nie wiedziano. Zatrzepotał w powietrzu skrzydłami, a czując, że ginie opiekun jego możny, rzucił się lotem w stronę lasów na stokach *Otamora* i przepadł tam bez wieści.

Tego też dnia pod wieczór zginęła z oczu ludzkich dziewica *Ihezal*; wielkie jest prawdopodobieństwo, iż w nagrodę cnotliwego życia swego wzięta była żywcem na Ziemię, gdzie mieszka Stary Człowiek i duchy dobre, opiekujące się pokoleniami ludzkimi na Księżycu, i skąd przyjdzie z czasem prawdziwy Zwycięzca, co oby jak najrychlej się stało!

Tak tedy skończył marnie człowiek, który narobił tyle mętu na Księżycu, jak nikt przed nim i z pewnością nikt po nim nie narobi. Nauka stąd wielka a zbawienna, że władzy we wszystkim trzeba być posłusznym i nie wierzyć nowatorom, którzy ino ku złemu a ku nieszczęściu ludzi nakłaniają i wiodą...

II

Z dzieła prof. Omilki, historyka, ustęp dotyczący dziejów tzw. Zwycięzcy

Jedną z najbardziej zagadkowych postaci w dziejach ludu księżycowego jest niewątpliwie Marek, zwany Zwycięzcą, chociaż mnóstwo wieści o nim, krążących do dziś dnia pomiędzy gminem, trzeba złożyć na karb legendy, niemającej zgoła nic z prawdą wspólnego... Opowiadają na przykład, że był olbrzymiego wzrostu, z górą dwakroć wyższy od najtęższych ludzi na Księżycu, że siłę miał niepospolitą, dzięki której podolać mógł sam temu, czemu by sześciu chłopów zaledwie dało radę — i więcej tym podobnych baśni, świadczących jeno²¹⁶, jak lud skory jest do wszelakiej przesady i jak w podaniach rozdyma do niemożliwych granic skromniejszą znacznie rzeczywistość, o ile ona dotyczy

²¹³*lepak* (daw.) — jednak, zaś. [przypis edytorski]

²¹⁴*snadz* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

²¹⁵*mamrotając* — dziś: mamrocząc. [przypis edytorski]

²¹⁶*jeno* — tylko. [przypis edytorski]

osób, które fantazję jego zajęły. W każdym razie musiał to być człowiek dorodny, dobrego wzrostu i silny, kiedy te fizyczne właściwości jego tak w pamięci ludu utkwily, iż następnie zrobiono z niego olbrzymia.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą: kiedy powstała bajka o jego ziemskim pochodzeniu? czy jeszcze za życia jego, czy też dopiero w jakiś czas po tragicznej śmierci? Wiele danych przemawia za tym, że już za czasów jego działalności w stolicy księżycowego kraju pospółstwo, nawiązując do kapłańskich legend bałamutnych, jakoby ludzie z Ziemi przed wiekami przybyli, szeptać sobie zaczynało i o tym bądź co bądź niezwykłym człowieku, że przyszedł z tej gwiazdy, stanowiącej najciekawszy fenomen niebieski na Księżycu. Ja osobiście nie wierzę jednak, aby te brednie sam Marek mógł być rozgłaszać o sobie; był on zbyt rozumny, aby się chciał narażać na śmieszność. Co najwyżej skłonny jestem przypuścić, że przez bierne zachowanie się wobec powstającej legendy, o ile uszu jego doszła, mógł poniekąd pozwolić jej wzrósć i rozwinąć się, widząc korzyść dla siebie w takim podaniu wśród tłumu o nadksiężycowym swoim pochodzeniu. To bowiem bierne przyzwolenie nie kompromitowało go wobec ludzi rozumnych, a w oczach tłumu nadawało mu znaczną powagę.

W każdym razie pochodzenie tego dziwnego człowieka jest sprawą dotychczas zupełnie wyjaśnioną. Zjawia się nagle pewnego dnia — i to, ile podaniu można wierzyć, w *Kraju Biegunowym*, z dala od zwykłych ludzkich siedzib — zabiera z sobą Braci Wyczekujących, przybywa do stolicy przy *Ciepłych Stawach* i wypędziwszy rządzącego arcykapłana Malahudę, bierze natychmiast ster wszystkich spraw w swoje ręce.

Nikt go nie znał dzieckiem, nikt nie wie, gdzie się chował i skąd nabył tych rozległych wiadomości, które mu tak wiele pomogły w dalszym działaniu. Przypuszczenie, jakoby morcem był z pochodzenia, nie wydaje mi się dość prawdopodobnym. Morcy na ogół bywają tępi i trudno uwierzyć, aby który z nich sam z siebie doszedł do wynalazków, wśród szernów nawet nieznanym, jak na przykład broń palna, której wprowadzenie właśnie Markowi, zwanemu Zwycięzcą, ogólnie przypisują.

To pewna, że nie chował się w kraju przez ludzi zamieszkanym — ponieważ zaś każdy rozumny człowiek odrzucić musi baśń o cudownym przybyciu jego z Ziemi, która, jak wiadomo, jest gwiazdą od Księżyca niezmiernie odległą i wszelkiego życia na lśniącej powierzchni swojej pozbawioną, więc nie pozostaje nic innego, jak uznać za fakt od dawna w łonie Bractwa Prawdy podniesione przypuszczenie, że ojczyzną Marka Zwycięzcy była tamta, dziś dla nas niedostępna strona księżycowego globu.

Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że tam, w kraju niegdyś żyznym i bogatym, jest w ogóle gniazdo odwieczne ludzkości. Na tę prawdę zwrócił pierwszy uwagę zaginiony przedwcześnie mędrzec Roda, który zarazem dowiódł w pismach swoich niezbicie, że Ziemia nie tylko nie jest kolebką ludzi mieszkających na Księżycu, ale że w ogóle nie ma na niej i nie może być żadnych istot żywych. Z czcigodnym założycielem Bractwa Prawdy różni się jednak znamienne w poglądach na powody, które skłoniły ludzi do przeniesienia się na tę stronę globu, przez szernów przed wiekami zajętą. Ojciec wiedzy naszej, Roda, sądził, że pod legendarną postacią Starego Człowieka kryje się wygnaniec, za zbrodnie jakieś z kwitnącej ojczyzny na tamtej stronie wydany, a co do współczesnego sobie Marka Zwycięzcy, przypuszcza, że był on po prostu posłem mającym ludzi tutejszych pchnąć do walki z szernami, niepokojącymi już i tamte pod powierzchnią dzikiej pustyni ukryte i rozkoszne dziedziny.

Cenię niezmiernie powagę Rody i nie wątpię ani na chwilę, że ten wielki uczyony musiał mieć ważne powody, kiedy tak utrzymywał, niemniej przeto muszę w imię prawdy wręcz oświadczyć, że to, co powiedział, jest głupstwem wierutnym. Stare ludzkie dziedziny wśród *Wielkiej Pustyni* nie są dzisiaj bynajmniej krajem kwitnącym. Żle się tam ludziom dziać zaczyna, zwłaszcza że jest im ciasno, gdyż pustynia chłonie coraz więcej owe szczupłe żyzne okolice, gdzie można żyć. Tak zwany Stary Człowiek nie przybył z pustyni sam, lecz przywiódł kilkoro ludzi: była to niewątpliwie próbna ekspedycja, czyby się nie warto przenieść na tę stronę?

Dlaczego zamiar nie doszedł do skutku i dlaczego za pierwszą wyprawą w ciągu wieków całych nie wyruszyła następna — nie umiem na razie powiedzieć. Być może, iż kraj pusty i ciężkie na nowiźnie warunki życia odstraszyły przyzwyczajonych do wygod miesz-

kańców starych siedzib wśród pustyni. Garść jednak, że Starym Człowiekiem przybyła, została na miejscu i rozradzając się, zawiązała niejako drugie społeczeństwo ludzkie na Księżycu, z pierwszym żadnej niemające styczności.

Po wiekach dopiero przypominano sobie snadź w starych siedzibach o dawnej wyprawie i posłano Marka Zwycięzcę, aby obaczył, jak się te rzeczy mają i czy warto się tam przenieść wobec coraz cięższych warunków życia na *Pustyni*.

Marek zobaczył przede wszystkim, że szernowie tutaj kraj zawojowali, że trzeba naprzód z nimi zrobić porządek, jeśli reszta ludności z tamtej strony, przenosząc się tutaj, nie chce się dostać w ich niewolę. Stąd owa wojenna wyprawa na południe, która ostatecznie nie była całkiem bezowocna. Duży szmat łądu zdobyto i osady tam założono, a chociaż popadły z czasem w zależność od szernów, jednak stanowią przedmurze dla kraju tutejszego, okupując sobie i nam spokój pewnym niezbyt ciężkim, choć nie bardzo miłym haraczem.

Zdaje się, że po ukończeniu wojny Marek Zwycięzca chciał naprawdę powrócić do swej ojczyzny. Podania o wozie ja nie uważam za bajkę. Marek wóz jakiś miał, zdolny dziwną siłą unosić się w górę, w którym przyleciał z *Pustyni*, i ten wóz ktoś mu zepsuł czy ukradł, tak że nie mógł już odjechać.

Odtąd zaczyna się jego tragedia.

W innym rozdziale niniejszej pracy, w związku z walkami plemienia ludzkiego na Księżycu, kreślę też dzieje tej wyprawy Markowej na południe; tutaj opowiem tylko pokrótce wypadki upadek i śmierć tak sławionego niegdyś Zwycięzcy bezpośrednio poprzedzające.

Wszystko, co robił Marek Zwycięzca, zdążyło do tego jednego celu: przygotować tutaj grunt odpowiedni dla pustynnych ludzi, którzy przyjść za nim mieli. W tej myśli, jako się rzekło, rozpoczął wojnę z szernami, w tej samej myśli wypędził energicznego arcykapłana Malahudę i starał się całą władzę ująć w swoje ręce. Arcykapłan Elem, człowiek chytry, na stolcu²¹⁷ przez niego osadzony, poddawał mu się początkowo we wszystkim, mając snadź nadzieję w stosownej chwili — może dopiero po odejściu Zwycięzcy? — zebrać dla siebie cały plon jego rządów.

Tymczasem zaczęła wzrastać niechęć przeciwko przybyszowi, a to głównie z tego powodu, że wziął się on samowolnie do zmieniania odwiecznych i uświęconych praw, określających porządek życia na Księżycu. Nie domyślano się wprawdzie, że robi on to w tym celu, aby rozluźniwszy wszelkie węzły prawne i osłabiwszy najmożliwszych, ułatwić tym samym podbój kraju przez swoich współziomków, w każdym razie oburzenie wzrastało z dnia na dzień.

Nie chcąc być niesprawiedliwym wobec i tak dość już w pewnych kołach poniewieranego Marka Zwycięzcy, muszę tutaj zrobić pewne zastrzeżenie. Co do powodów jego nowatorskich usiłowań panuje wśród ludzi uczonych przeważnie pogląd powyżej wyluszczony; nie brak jednakże i takich, którzy występują w jego obronie, nie posądzając go o złą wolę w tym względzie. Być może, iż ów człowiek bez zdołnego zamiaru osłabienia i wydania na łup tutejszego społeczeństwa wprowadzić usiłował porządek, zdaniem swoim dobry i obowiązujący istotnie w jego ojczyźnie, nie bacząc jeno, że tu stosunki są inne i to, co mogłoby być na *Pustyni* dobre, tutaj zgubnym stać by się musiało.

Pozostawiam na razie tę sprawę nierozstrzygniętą. To pewna²¹⁸, że przygotowywał grunt czy dla zawojowania tutejszego społeczeństwa, czy też dla połączenia się rozdzielonych społeczeństw ludzkich na Księżycu — i że mu się to nie powiodło.

Zażądano od niego wręcz, aby opuścił te okolice i wyniósł się co rychlej, skąd przyszedł. On gotów to był uczynić, może nawet z myślą, iż wkrótce z ziomkami swymi powróci, ale tymczasem sztuczny²¹⁹ wóz mu się zepsuł. Opowiadają, że po otrzymaniu tej wieści wpadł w rozpacz. Początkowo nie chciał jej wierzyć i wybrał się niezwłocznie sam do *Kraju Biegunowego*, gdzie wóz miał być w potężnej rurze żelaznej schowany. (Rura ta stoi podobno do dziś dnia w owym miejscu, rdzą już na poły strawiona).

Przekonawszy się o prawdzie dla siebie niemiłej, powrócił do stolicy przy *Ciepłych Stawach* — i to się stało ostatecznie jego zgubą. Człowiek to był ambitny, niespokojny

²¹⁷stolcu — tron władcy; por. *stolica*. [przypis edytorski]

²¹⁸pewna — dziś: pewne. [przypis edytorski]

²¹⁹sztuczny (daw.) — wykonany według prawideł sztuki; wymyślny, wyrafinowany. [przypis edytorski]

i żądny władzy. Gdyby był osiadł gdzieś w odległych okolicach albo przeniósł się do nowych osad w krainie szernów za morzem, byłby może dożył spokojnej względnie starości. Jednak usposobienie jego na to nie mogło się zgodzić; chciał panować za wszelką cenę — gdy nie mógł przy pomocy swoich rodaków, to sam — i na swój sposób uszczęśliwiać lud, który tego zgoła nie pragnął.

Zamieszkał więc w dawnej świątyni i stamtąd począł wydawać rozkazy. Nie bardzo go zrazu słuchano, ale on, otoczywszy się nieliczną, lecz na wszystko gotową garścią zwolenników i zgromadziwszy koło siebie pewną liczbę towarzyszków broni z czasów wyprawy na południe, siłą posłuch wymuszał.

Nie wiadomo, czy prawdą jest to, co mówią o orgiach, jakie miał w domostwie swoim wyprawiać — w każdym razie jednak sposób jego życia był tego rodzaju, że nie mógł się podobać mieszkańcom tego kraju, którzy radzi byli widzieć u przybysza, zmuszonego pozostawać między nimi, raczej powściągliwość pewną i pokorę.

Arcykapłan Elem, później, jak wiadomo, przez następcę swego Sewina uduszony, złym okiem patrzył na to wszystko, ale jako człowiek mądry i ostrożny obawiał się sam otwarcie wystąpić przeciw samozwańczemu władcy. Usuwał się tedy w cień, podburzając natomiast coraz bardziej lud przeciw niemu — i to przeważnie za pośrednictwem owego Sewina, wówczas zaufanego sługi swojego, jako też zaprzędanego mu duszą starca, niejakiego Chomy, później przez niektórych za proroka uznanego.

Wreszcie tak rzeczy stanęły, że lada chwila groził wybuch otwartej walki. Czuł to snadź i Marek Zwycięzca, bo gromadził siły, jakie mógł zebrać, a nawet napisał listy do niejakiego Jereta, wówczas naczelnego rządcy krajów na szernach zdobytych, aby mu przybył z pomocą. Jeret ów, człowiek nader dzielny, chociaż nie bardzo mądry, Marka wprawdzie nie lubił, mając z nim jakieś spory osobiste, pono podczas wyprawy wojennej powstałe, ale był tak sprawie jego reform oddany, iż gotów był przyjąć z bitnymi ludźmi na wezwanie i mordować, kogo by on mu wskazał.

Oczekiwał tedy Marek Zwycięzca jego przybycia, gdy nagle zamiast tego otrzymał wieść, że Jeret zginął w drodze z ręki²²⁰ nieznanego zabójcy. Niektórzy utrzymują, że szern go jakiś napadł, ale są i tacy, którzy przypuszczają, iż śmierci owej nie był obcy arcykapłan Elem, obawiający się słusznie nadejścia posiłków i wybuchu wojny domowej.

Dość, że i te rachuby szalonego przybysza zawiodły. Teraz zobaczył nareszcie, że sam sobie zostawiony, z maleńką jeno²²¹ garstką zwolenników, choć się Zwycięzcą mianował, na zwycięstwo tutaj liczyć nie może, i postanowił poniewczasie opuścić okolice *Ciepłych Stawów*. Na to jednak nie pozwolono. Ujęto go podstępem i związanego stawiono przed sądem.

Dłgie były spory, kto ma wyrok wydawać w tej sprawie. Arcykapłan Elem, nie lubiąc w ogóle występować otwarcie ze swym zdaniem, a może obawiając się trochę zarzutu, że teraz sędzi człowieka, którego sam poniekąd sprowadził i Zwycięzcą mianował, wymawiał się od tego sądu i chciał wszystko zwalić na barki Sewina. Było to bardzo chytrze i mądrze pomyślane; lud jest zmienny i Elem snadź²²² przewidywał, że kiedyś uczyć gotów straconego dzisiaj — przeto chciał sobie przygotować odwrót, działając przez swego zauszniaka. Zresztą Sewin stawał się już niewygodnym i niebezpiecznym — sędzę więc, że arcykapłan miał także uboczną myśl wyzyskania w przyszłości przeciw niemu tego wyroku, który nie mógł wypaść inaczej, jak tylko zgodnie z wolą ludu, to jest na śmierć.

Ale i Sewin nie mniej od Elema był chytry. Przejrzał on grę i tak sprawą pokierował, że właściwie nie on wydał wyrok, lecz sam lud. A nawet poszedł dalej, bo kiedy się Elem najmniej tego spodziewał, wkrótce po straceniu Marka Zwycięzcy, gdy jeszcze oburzenie przeciw niemu nie przygasło, uknuł spisek i osądziwszy rządzącego arcykapłana jako współnika rzekomego Zwycięzcy, ujął go i kazał udusić, głosząc się arcykapłanem na jego miejscu. To zresztą nie przeszkodziło mu wcale pod koniec życia i panowania ogłosić Marka za męczennika, któremu się wdzięczna za dobrodziejstwa pamięć należy.

O samym męczeństwie Marka Zwycięzcy opowiadają przesadzone rzeczy. Prawdą jest, że go wedle dawnego na Księżycu obyczajowi ukamienowano nad brzegiem morza, nie

²²⁰z ręki — dziś: z ręki. [przypis edytorski]

²²¹jeno — tylko. [przypis edytorski]

²²²snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

okrutniej i nie zawzięciej niż wielu innych, którzy w dawnych czasach występowali przeciw ustanowionemu i uznanemu porządkowi spraw na Księżycu. Podobno ostatni cios nożem, w serce wymierzony i śmiertelny, zadała mu wnuczka starego arcykapłana Malahudy, mszcząc się w ten sposób śmierci dziadka, który miał zginąć podstępnie zgładzony na rozkaz Marka Zwycięzcy.

Jeżeli teraz rzucimy okiem na całą tę sprawę, dziwną, a jednak tak po prostu i logicznie się rozwijającą, i zechcemy ją ująć w pewną ilość sądów jasnych a niewątpliwych, to wypadnie nam je mniej więcej w ten sposób sformułować:

1. Marek Zwycięzca na śmierć zasłużył, a to:
 - a) ze względu na realny porządek rzeczy,
 - b) ze względu na idealny porządek rzeczy na Księżycu.
2. Śmierć jego stała się nieszczęściem, a mianowicie:
 - a) ze względu na porządek rzeczy realny,
 - b) ze względu na porządek rzeczy idealny.

Zasadniczo co do ustępu 1. zauważyć należy, że na śmierć właściwie zasługuje każdy, kto wyrok śmierci otrzyma — przynajmniej wobec tego, kto ten wyrok wydaje. To jest jasne i nie potrzebuje dalszych dowodów. Może tu tylko zachodzić pytanie: czy wyrok ów był zgodny z racją pewnego porządku? czyli innymi słowy: czy ze stanowiska ogólnego możemy przyznać mu słuszność na danym miejscu i w danym okresie czasu? To właśnie mam zamiar roztrząsnąć.

Naprzód, co do ustępu 1. a) — Realnym porządkiem rzeczy nazywam tę sumę istniejących stosunków, która się składa na towarzyskie, gospodarcze i państwowe bytowanie danego społeczeństwa. Jeżeli pewne stosunki się wytworzyły, to znaczy, że były potrzebne, a więc i konieczne. Kto usiłuje przełamać ten istniejący stan rzeczy, chociażby w najlepszej myśli, występuje przeciw rzeczy potrzebnej i koniecznej i tym samym staje się winnym zbrodni przewrotu społecznego i karę ściąga na siebie.

Nie waham się twierdzić tego głośno, ja — profesor Omilka, choć jestem członkiem i nawet przewodniczącym Bractwa Prawdy, które przez wielu jest posądzane o rewolucyjne dążenia. Być może, iż niegdyś, kiedy Bractwo nasze było jeszcze związkiem tajnym, podobne myśli świtały w głowach niektórych jego uczestników, ale od tego okresu dzieli nas już sporo czasu i dzisiaj z podniesionym dumnie czołem wyznać mamy prawo, że ulepszać tylko chcemy powoli i rozjaśniać istniejące stosunki, a nie wywracać je nieopatrnie.

Działalność Marka Zwycięzcy zaś była właśnie nieopatrna. To jest najwłaściwsze wyrażenie. Nowinami swoimi rujnował istniejący porządek, chcąc na jego miejscu postawić nowy, którego nikt nie pragnął, a zatem: który nie był potrzebny, a tym mniej konieczny. Słusznie więc, jako burzyciel rzeczy przez wieki całe budowanych, jako gwałciciel w przyrodzony sposób wzrosłych stosunków, zasłużył na śmierć.

Z idealnym porządkiem rzecz się ma znowu nieco odmiennie. Nazywam nim tutaj ów porządek jeszcze nieistniejący, ku któremu społeczeństwo dąży, jako ku wynikowi rozwoju danych stosunków. Ten idealny porządek ma na przykład Bractwo Prawdy na oku, starając się przyspieszyć jego urzeczywistnienie środkami (jak być powinno) dozwolonymi i legalnymi.

Otóż główną koniecznością przyszłości jest dla ludzi zrozumienie tej niewątpliwiej a dotychczas nie dość powszechnie uznanej prawdy, że człowiek na Księżycu powstał i tutaj ma żyć, wszelkie zaś opowiadania o zagwieźdnym jego pochodzeniu są bajką szkodliwą, bo odciągającą jego uwagę od jedynych rzeczywistych zadań życia. Niezdrowi marzyciele wybrali sobie na rzekomą ojczyznę gwiazdę największą i rzadko stąd widywaną, nazwawszy ją Ziemią. Czas by już było tę niedorzeczną nazwę zmienić. Ziemią nazywamy na Księżycu grunt, który mamy pod nogami; mówimy na przykład: ziemia żyzna albo jałowa i tak dalej. Otóż od czasu, kiedy sobie ubrdano, że gwiazda owa była *gruntem* dla człowieka, poczęto ją również „Ziemią” nazywać. To jest rzeczywiste pochodzenie tego bałamutnego nazwania, którego usunięcie wielu błędom kres mogłoby położyć.

Wracając do sprawy Marka Zwycięzcy zaznaczyć należy, że zjawienie się jego odwołanie do urzeczywistnienia owego idealnego porządku przyszłości i prawdy, utrwalając mnóstwo

jego zwolenników w śmiesznym przekonaniu, że tak zwana Ziemia jest zamieszкана i że stamtąd ludzie pochodzą. To, że sam Marek wprost o sobie nigdy nie twierdził, jakoby przybył z Ziemi, winy jego nie zmniejsza, gdyż twierdzeniom takim nie przeczył, co było jego pierwszym obowiązkiem. Będącego tedy zawadą w rozszerzeniu Prawdy na Księżycu słusznie na śmierć skazano.

To jest jedna strona tej całej sprawy. Druga przedstawia się znowu inaczej. Powiedziałem, że śmierć jego stała się nieszczęściem. Każda śmierć właściwie jest nieszczęściem, a przede wszystkim dla tego, kto ją ponosi, zwłaszcza niedobrowolnie i w pełnym zdrowiu. Ale tutaj nie o to idzie. Chodzi mnie, jako członkowi Bractwa Prawdy, zawsze o realny i idealny porządek rzeczy na Księżycu.

Marek Zwycięzca, wprowadzając różne nowiny w urządzenia społeczne, sprawił tylko wiele zamieszania, a przedwcześnie stracony, niczego nie mógł doprowadzić do końca. Gdyby był dalej żył²²³ i działał, byłoby się pokazało w końcu albo:

że zamiary jego były dobre i urzeczywistnione korzyść mogą przynieść stosunkom społeczeństwa na Księżycu, lub też:

że są złe niewątpliwie i w ogóle w pełni urzeczywistnić się nie dadzą.

W jednym i w drugim razie byłby z tego pożytek. W pierwszym, który ja zresztą uważam za nieprawdopodobny, śmierć jego przeszkodziła udoskonaleniu się realnego porządku rzeczy na Księżycu, w drugim — wykazaniu niewątpliwiej doskonałości podstaw porządku obecnie istniejącego. Wtedy nie byłoby owych sporów dzisiaj toczonych o wartość jego teorii i nie byłoby powstającego częstokroć stąd zamieszania.

Również ze względu na idealny porządek śmierć jego nie była bynajmniej zakończeniem pomysłnym. Jak wiadomo, ciało jego spod kupy kamieni, którymi go zabito, było przez kogoś wykradzione i spalone czy też ukryte, tak że zwłok później nikt już nie widział. To dało pochop ciemnym jego zwolennikom do przypuszczenia, że Marek Zwycięzca po śmierci mocą jakąś nadzwyczajną sam spod owych kamieni wyszedł i wrócił spokojnie na Ziemię, podobnie jak to utrzymuje legenda o tak zwanym Starym Człowieku. To znowu umocniło tylko znaczną część ludu w starym błędzie o ziemskim człowieku pochodzeniu. Gdyby był żył do końca i umarł później, jak każdy porządny człowiek na Księżycu umiera, baśń taka o nim powstać by nie mogła.

Zresztą być bardzo może, iż żyjąc dłużej, dalby się był może w końcu nakłonić do wyjawienia Prawdy, której my, w Bractwo związani, służymy, i byłby przyznał, że pochodzi z tamtej strony Księżyca i że tam jest odwieczny ludzki początek. To musiałoby, jak wierzę, położyć raz na zawsze kres wszelkim błędom i przyspieszyć urzeczywistnienie idealnego a tak upragnionego porządku. Obecnie zaś, z wyjątkiem członków Bractwa Prawdy, wszyscy ku Ziemi oczy wytrzeszczają: zwolennicy ubitego pseudo-Zwycięzcy w przekonaniu, że on stamtąd na nich duchem patrzy, a przeciwnicy — czekając z tej pustej gwiazdy nowego, tym razem prawdziwego Zwycięzcy.

Na wszelki sposób nie jest dobrze.

III

*Postowie do Braci,
gdziekolwiek by oni byli,
z wieścią dobrą o Zwycięzcy,*

który żył między nami

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Tak tedy²²⁴ Zwycięzca odwieczerza onego zebrał był uczenie swoje podług murów miasta na miejscu, kędy niegdyś był zamek szernów zburzony, a obaczywszy, iż wszyscy koło niego usiedli, odezwał się do nich, mówiąc:

²²³był (...) żył — daw. forma czasu zaprzeszczonego; dziś: żył (wcześniej). [przypis edytorski]

²²⁴tedy — więc. [przypis edytorski]

„Powiadam wam, że przyszedł czas, aby²²⁵ was opuścił, powracając na jasną gwiazdę Ziemię, skąd do was przybyłem i kędy jest dom wieczysty Starego Człowieka, ojca duchów waszych.

Policzyłem dni spędzone między wami i zważyłem trud zdziałany i widzę, wstecz się oglądając, że niczego już dorzucić nie mogę do tego, co uczyniłem.

Znużony jestem i odpocznienia łaknie dusza moja — i serce moje patrzy ku gwieździe dalekiej nad pustyniami.

Ostaniecie tu sami, abyście pielęgnowali zasiew ręku²²⁶ moich, a jeśli was będą prześladowali dla mojej pamięci, ciescie się myślą, a umacniajcie, że plony obfite zbiorą wnukowie wasi...

Dla mnie pora już do *Kraju Biegunowego*, kędy czeka wóz mój skrzydlaty, gotów nieść mnie przez niebo szerokie do jasnego domu mojego”.

Gdy to powiedział, płacz się wszczął między uczniami; niektórzy zakrywszy twarze, popadali na kamienie, szlochając; inni chwyтали go za ręce, prosząc, aby jeszcze pozostał pomiędzy nimi.

Zwłaszcza kobiety, które niegdyś w moc szernów były popadły, a teraz łaską Zwycięzcy do społeczności ludzkiej na powrót przyjęte, padały do nóg jego i włosami okrywając jego obuwie, błagały z krzykiem, aby ich nie opuszczał, lecz pozostał zawsze na Księżycu.

Zwycięzca słuchał długo płaczu i próśb, nie odpowiadając zgoła, aż wreszcie powstał i wyciągając ręce ponad głowy schylonych, powiedział:

„Tęsknota mnie woła na gwiazdę moją rodzinną, ale może pozostałbym między wami, gdybym wiedział, że wam to korzyść przyniesie.

Wszalakoż nie jest dobrze, abyście zawsze mieli pasterza ponad sobą, kiedy ja was uczę, że człowiek sam się rządzić powinien i sam o sobie stanowić. Jeśli dziećmi się staniecie przy mnie i poddanymi, jakoż będziecie później dobro czyniącymi panami samych siebie? Lepiej jest, abym już poszedł...”

To powiedziawszy, zstępował ze wzgórza, idąc ku miastu, a uczniowie szli za nim, smutni i przygnębieni bardzo.

Był zaś wieczór bliski i słońce miało wnet zająć, wisząc nisko ponad równinami, którą jest droga w *Kraj Biegunowy*.

A kiedy z uczniami wstępował Zwycięzca w mury miasta, zabieżeli²²⁷ mu drogę ludzie niektórzy, których on niegdyś był wysłał do *Kraju Biegunowego*, i wołać poczęli z daleka, iż nie masz już wozu cudownego, który go ongi przyniósł był z Ziemi.

Tedy Zwycięzca przeraził się bardzo i dopytywał ich, aby mówili prawdę wszystko, co by wiedzieli.

Oni zaś jęli opowiadać, jako nie znalazłszy wozu na miejscu, kędy był, wracali już w srogim pomieszaniu, kiedy u pierwszych ludzkich osad napotkali kobietę niejaką imieniem Nechem, którą Zwycięzca ustanowił był strażniczką wozu świętego.

Ta opowiadała im z płaczem i narzekaniem wielkim, iż czasu pewnego przyszli duchowie, a otoczywszy wóz błyskawicą jaskrawą i tak go przed oczyma jej zakrywszy, unieśli z sobą w przestworze.

Ten ci był znak, iż na Ziemi chcą, aby Zwycięzca na zawsze na Księżycu pozostał i poniósł tutaj śmierć dla dobra ludzi, którzy w niego uwierzą.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Tedy przez dziewięć dni i nocy budował Zwycięzca wóz nowy, aż dnia dziesiątego, przekonawszy się, iż duchy nie chcą, aby z Księżycą mógł odejść, wezwał ucnie swoje i tak do nich przemówił:

„Los mój się dopełnił, który mi każe pozostać z wami aż do śmierci. Rzucąłem dotychczas siew, plonu ja zbierać nie będę, ale chcę pługiem przeorać ziemię, iżby ziarno w niej nie zaginęło.

²²⁵ *abych* (daw.) — abym. [przypis edytorski]

²²⁶ *ręku* — dziś: rąk. [przypis edytorski]

²²⁷ *zabieżeli* — tu: zastąpili. [przypis edytorski]

Wy jesteście trzosłem²²⁸ i lemieszem, i radłem, które wodzę po twardych zagonach, odwalając skiby i niszcząc na nich bujną zieleń chwastów. Powstawać będą przeciw wam, iż burzycielami jesteście, ale wy ufajcie mi i słowom moim, które do was mówiłem.

Nie przyszedłem was uczyć pokory ani poddania się, ani cierpliwości bezczynnej, ani wyrzeczenia, które żadnych nie przynosi owoców.

Mówię wam tylko: myślcie więcej o dniu jutrzejszym niż o chwili obecnej, więcej o pokoleniu przyszłym aniżeli o tym, co żyje około was. Oto założymy tutaj kuźnię ognia, który przysze wieki oświecili, i dom burzy, co odświeża zgniłe powietrze w południe”.

Tak mówił wówczas Zwycięzca do uczniów swoich, którzy go słuchali w milczeniu, znacząc w pamięci słowa, które powiedział.

I od onego dnia osiadł Zwycięzca w świątyni w środku miasta, które jest przy *Ciepłych Stawach*, i zamknął się w niej z przyjaciółmi²²⁹ swymi, by go snadź²³⁰ nie naszli podstępem wrogowie, którzy już wówczas umyślili go zabić.

A którzy chcieli nauk jego słuchać, przychodzili we dnie i w nocy, a on szedł z nimi na dach i tu w obliczu nieba i morza powiadał im to wszystko, o czym już była mowa w tych księgach. Jeśli zaś spostrzegł zło albo posłyszał o jakiej nieprawości arcykapłańskiej, tedy posyłał ludzi uzbrojonych i karał.

Czekał zaś Zwycięzca na przyjaciela i sługę swego Jereta, który był za morzem; napisał był bowiem listy po niego, aby przybywał z mocą, jaką zebrać zdoła, gdyż czas już uczynić ład na księżycowym świecie.

Po trzech dniach i trzech nocach atoli na Jereta przybywającego napadł w drodze szern, którego chował sobie arcykapłan Elem, aby niszczyć nim ludzi, i zabił go. Posłyszawszy o tym, Zwycięzca zapłakał gorzko i przez długi czas nie przyjmował pożywienia, żałując przyjaciela i sługi.

Kiedy jednak południe było na niebie, zawołał uczniów i tak do nich powiedział:

„Jesteśmy tutaj osaczeni i nic dobrego dziać nie możemy, gdyż wrogowie wiążą nam ręce, dybiąc na każdym kroku na życie nasze.

Zbierzcie się oto wszyscy, a opuścimy to miasto i pójdziemy w *Kraj Biegunowy*, kędy Ziemię widać na nieboskłonie. Tam uczyć was będę i mówić słowa ostatnie, które są jeszcze to powiedzenia, nim los się mój dopełni”.

Tedy zebrali się wszyscy i odzawszy się, przypasali broń i ruszyli razem ze Zwycięzcą ku bramom miasta, ażeby wyjść na równinę.

Ale bramy zastali zaparte. Arcykapłan Elem bowiem posłyszał był już, iż Zwycięzca chce ująć z uczniami swymi, i umyślił go zabić, nim odejdzie.

Poczęli tedy ludzie tłuc w bramy, aby uczynić w nich wyłom, ale tejsze chwili przybieżeli posłowie od arcykapłana i udawszy pokorne twarze, błagali Zwycięzcę, aby nie odchodził, lecz poszedł jeszcze do Jego Wysokości, który zwołał wielkie zgromadzenie ludu i tam w obliczu wszystkiego narodu księżycowego chce uczynić z nim zgodę.

Zwycięzca wiedział, iż arcykapłan zło zamierzył w sercu, ale poczuł, że to jest los jego, którego już nie uniknie, i przykazawszy uczniom czekać spokojnie pod murami, poszedł sam, mając posłów Elema koło siebie z obojego boku²³¹.

A kiedy weszli w boczną ulicę, tak że stojący podłe bram uczniowie nie mogli widzieć, co się z mistrzem dzieje, wyskoczyli siepacze arcykapłańscy zza węglów i narzuciwszy Zwycięzcy długie sznury na głowę i ręce, obalili go znieca na ziemię.

Uczniowie, krzyk jego posłyszawszy, chcieli mu bieżyć²³² na pomoc, aliści²³³ wojsko, dotychczas po domach sąsiednich ukryte, wypadło z nagła i otoczywszy garść ludzi przeważającą siłą, wiązać zaczęło zmieszanych utratą mistrza i wodza.

²²⁸trzosło a. trzósło — część pługa w kształcie noża do odcinania skiby w płaszczyźnie pionowej. [przypis edytorski]

²²⁹z przyjaciółmi (daw.) — z przyjaciółmi. [przypis edytorski]

²³⁰snadź (daw.) — tu: przecież. [przypis edytorski]

²³¹z obojego boku — dziś: z obu boków. [przypis edytorski]

²³²bieżyć (daw.) — iść, biec, podążać. [przypis edytorski]

²³³aliści (daw.) — ale, lecz, jednakże. [przypis edytorski]

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Tak tedy²³⁴ Zwycięzca, podstępem ujęty, stawion²³⁵ miał być przed sąd arcykapłański. Wprzód jednak dla większego urągawiska zawleczono go w więzach do sklepu²³⁶ podziemnego w świątyni i przykuto do ściany, kędy²³⁷ niegdyś trzymany był szern Awij, dawny wielkorządca, przez Zwycięzcę ongi²³⁸ w pierwszej bitwie ujęty.

Szern ten umknął był z Elemową pomocą i chował się w ukryciu pod jego opieką, jako się już rzekło.

Otóż kiedy siepacze odeszli, pozostawiwszy Zwycięzcę samym, szern ten zjawił się przed nim, a usiadłszy na stosie porzuconych ksiąg świętych, w których spisana była Obietnica, począł mu urągać.

„Uwolnij się — mówił — jeśli jesteś Zwycięzcą naprawdę! Oto jam był tutaj przez ciebie przytroczony, a teraz jestem wolny i patrzę na ciebie, który zginiesz.

Mógłbym cię zabić sam i nawet nie zdołałbyś się bronić przeciw rękóm moim, ale ja wolę, aby cię lud zabił, któremu dobrze czyniłeś!

Czekam już długo na śmierć twoją, a kiedy ją zobaczę, powrócę do braci mojej za morze i opowiem im, jak zginął ten, który śmiał się mianować Zwycięzcą nad nami!”

Tak mówił szern i śmiał się. Wszelako Zwycięzca mu nie odpowiadał, trwając w myślach o Ziemi, na którą wnet już miał duchem powrócić.

Wtedy szern, zbliżywszy się, począł go kusić i mówił:

„Obiecałeś mnie niegdyś wziąć z sobą na Ziemię i pokazać ludziom, którzy na niej mieszkają. Ty już na Ziemię nie wrócisz sam, ale za morzem wielu z moich rodaków nie widziało cię jeszcze. Pokłoń mi się i przysięgnij, że będziesz mi służyć wiernie jak pies, a wyrwę cię z ręki ludu twojego i wezmę do kraju szernów, abys żył tam spokojnie i ćwiczył morców w wyrobie broni palnej, z którą pošlemy ich później na zawojowanie twych braci...”

Tedy Zwycięzca otworzył oczy i pojrzawszy²³⁹ na szerna, odparł:

„Próżno mnie kusisz, zwierzu. Chociaż ja zginę, wasze panowanie jest już skończone, bom ja je złamał rękoma, i nigdy już człowiek najlichszy nawet szernom służyć nie będzie!”

W tymże czasie, kiedy Zwycięzca od szerna był nagabywany, zebrali się starsi z ludu w pałacu arcykapłańskim i radzili razem z Elemem, co by z ujętym począć.

Wnet zgodzili się wszyscy, iż nie masz innego sposobu, jeno zgładzić go trzeba, aby zagasić to światło, które zeń bucha i oczy ich razi, do mroku a cienia duszy przywykłe.

Tak tedy śmierć jego postanowiono, i to co najrychlejszą, aby go snadź²⁴⁰ przyjaciele jego, zebrawszy się, nie odbili z więzienia. Bano się jednak wydać wyroku, iżby lud, przejrzawszy z czasem, nie zwrócił się przeciw katom dobroczyńcy, zbawcy i nauczyciela swojego. Umyślili tedy uczynić tak, ażeby motłoch sam śmierci Zwycięzcy zażądał, jakoby wbrew woli arcykapłana i starszyny.

Posłał więc Elem szpiegów i podburzycieli swoich między lud, którzy mieli go poucać, jak ma wołać, kiedy zbierze się sąd, a zaś zausznika swego, Sewina, wysłał na plac ze starszymi ku sądeniu Zwycięzcy.

Ten ci Sewin arcykapłanowi był wielce oddany i umyślił był wszystko uczynić, co on zechce. Ale w tym dniu łaska Ziemiska zesłała na duszę jego i przejrzał, i straszno mu się zrobiło, iż sądzić a skazywać ma tego, który był światłem Księżyca.

A tymczasem Zwycięzcę na wozie, związanego jakoby zbrodniarza, przed sąd przywleczono i wystąpili przekupieni ludzie, którzy świadczyć mieli przeciwko niemu.

A nie było zbrodni ani winy, której by na jasną głowę jego nie rzucano. Obwiniono go o grabież i gwałt, i bunt, i zdradę, nawet o spółkę z szernami, których pogromcą był i niszczycielem.

²³⁴tedy — więc. [przypis edytorski]

²³⁵stawion — dziś: stawiony; postawiony. [przypis edytorski]

²³⁶sklep (daw.) — pomieszczenie sklepione; komnata, piwnica. [przypis edytorski]

²³⁷kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

²³⁸ongi — niegdyś, kiedyś. [przypis edytorski]

²³⁹pojrzawszy — dziś: spojrzawszy. [przypis edytorski]

²⁴⁰snadź (daw.) — tu: przecież, wszakże. [przypis edytorski]

Wszelako Zwycięzca nie otwierał ust, lecz słuchał w milczeniu wszystkiego, co mu zarzucano, będąc już myślami na jasnej gwiazdzie Ziemi, skąd ludziom był początek i kędy²⁴¹ zbawione dusze przebywają.

Wreszcie gdy oszczercy i fałszywi świadkowie mówić zaprzestali, on jakby się ocknął i uniósłszy się na wozie, ile mu więzy pozwalały, zawołał mocnym głosem do ludu:

„Przybywając tutaj z Ziemi, o! ludu księżycowy, nie wiedziałem nawet, że jestem tak hojny! Dałem wam życie moje i śmierć wam moją daję! Stałem się naprawdę Zwycięzcą przez was oczekiwany, a dzień dzisiejszy jest naprawdę koroną mego tryumfu! Po śmierci nikt mnie już w duszach waszych zwalczyć nie zdoła! A uczniowie i przyjaciele moi, którzy tu może jesteście, pamiętajcie zbrodnie, które mi zarzucają, gdyż wnet nadejdzie czas, kiedy będą nazwane cnotami!...”

Chciał mówić jeszcze dalej, ale krzyk się podniósł między starszyzną, a potem także wśród tłumu, że bluźni. Tedy jeden z najętych siepaczy przypadł ku niemu, a bojąc się podejść bliżej, uderzył go w głowę długim kijem, który trzymał w ręku, mówiąc:

„Milcz, psie!”

A oto z pośrodku²⁴² sędziów powstał Sewin z pobladłymi wargami i zawołał:

„Nie będę sądził tego człowieka! Litości jest pełne serce moje, gdy patrzę na jego upadek, i was proszę o litość dla niego. Wszelako czyńcie z nim, co sami zechcecie”.

Gdy to powiedział, odwrócił się i odszedł, twarz swoją zakrywszy, a za nim powstali inni sędziowie, oddając Zwycięzcę na łup motłochowi.

Rozdział sześćdziesiąty

Tedy uwiązano u nóg jego sznury, a jako był leżał na pomoście wozu ze skrępowanymi rękoma, tak go z niego ściągnięto i przyprzęgło się do każdego sznura po sześciu ludzi, i powlekli go po ulicach miasta, aż jasne kędziory głowy jego krwią się zabarwiły od ran, wybitych twardymi kamieniami bruku.

Tłum zaś biegł za wleczonym liczny i krzyczał, podżegając ciągnących ludzi do coraz szybszego biegu. A tam, gdzie gawiedź ona przeszła, szli potajemnie uczniowie Zwycięzcy (bali się bowiem tłumu) i zbierali chustami krew jego najdroższą, płacząc.

A znalazła się też między nimi kobieta jedna nierządna i opętana, imieniem Ihezał, która była wnuczką arcykapłana Malahudy, zabitego przez szerna, którego sobie chował był Elem na zgubę dusz ludzkich.

Tą niegdyś upatrzył sobie był Zwycięzca, iżby ją przywieść ku dobremu, jako iż żał mu było jej duszy zatraconej, gdyż piękna była na ciele i do słońca wschodzącego zgoła podobna. Aliści ona szalem zdrożnym opętana chciała męża poznać w Zwycięzcy, a kiedy uwidziała²⁴³, że istota jego jest na wskroś boska, zniechęciła go i zemstę mu poprzysięgła.

Ta biegła teraz za pochodem i urągała wleczonemu, i bluźniła głośno, krzyząc, aż ustała wreszcie od wielkiego znużenia, gdyż wątła była jako kwiat.

Tak ją naszli uczniowie, krew Zwycięzcy zbierający, leżącą twarzą na kamieniach brukowych z włosami pełnymi krwi jego i szlochającą. Przeleżeli się tedy bardzo, iżby ich nie wydała, lecz ona, powstawszy, nowym tknięta obłędem, wołać ją, wielką żalność udając, aby bieżeli i ratowali Zwycięzcę z ręki²⁴⁴ katów.

A kiedy oni stali w pomieszeniu, nie wiedząc, co by te słowa jej niespodziewane miały oznaczać, ona — odmieniwszy twarz, nagle wybuchnęła śmiechem i bluźnić sprośnie zaczęła, miotając przekleństwa srogie na jasną głowę Zwycięzcy, z płaczem i śmiechem na przemian.

A później poszła do domu swojego przybrać się w szaty godowe i włosy zmierzwione utrefić.

Zwycięzcę tymczasem przywlekli siepacze nad brzeg morza, a ocuciwszy go, gdyż zemdlał był w drodze, dźwignęli go na sznurach pod pachy założonych i przywiązali do słupa wysokiego, który tam stał z dawien, służąc za znak łodziom wpływającym do przystani.

²⁴¹kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

²⁴²z pośrodku — dziś: spośród. [przypis edytorski]

²⁴³uwidzieć — dziś: zobaczyć. [przypis edytorski]

²⁴⁴z ręki — dziś: z ręki. [przypis edytorski]

Przyprowadzono też morca niejakiego, który odprzysięgłszy się szernów, służył Zwycięzcy wiernie jak pies i z nim razem był pojmany.

Temu obiecywano wielką zapłatę, iżby Zwycięzcę zgładził, chciano bowiem, aby dla większej hańby zginął z ręki nieczystej. Morzec ów jednak, dobrym duchem nawiedzony, wzdragał się tej zbrodni uczynić, przeto zakopano go w piasku głową na dół tuż u stóp Zwycięzcy, tak iż wierzgając przed śmiercią nogami, kopał obnażone i krwawe jego kolana.

Wtedy zaczęto Zwycięzcę z wielkim krzykiem kamienować, aby się spełniły słowa proroka: „Dałem wam łaskę, wyście się za to głazem dla mnie stali. Krew moja jest pieczęć”.

Wszelako duchy ziemskie, z wysoka zesłane, otoczyły go chmurą niewidzialną, która pęd miotanych kamieni pętała, tak iż miękko na ciało jego padały, zgoła mu krzywdy nie czyniąc.

Wiatr się zaś zerwał burzliwy, niezwykle o tej porze (było to bowiem już przed wieczorem), i pędził wały morskie na piasek wybrzeża, hucząc.

Trwoga poczynała ludzi obejmować i byli tacy, którzy radzili, aby Zwycięzcę zdjąć ze słupa i puścić wolno albo też odbieżeć²⁴⁵, pozostawiając go własnemu losowi i mrozom nadchodzącej nocy.

Kiedy tak mówiono, zjawiała się od strony miasta Ihezal, strojna w szaty jaskrawe i z utrefionymi włosami na głowie. A szła ze śmiechem, jakoby na wesele idąc, choć obłęd jej wyzierał z oczu, niespokojnie naokół biegających.

Dojrzał ją Zwycięzca, a ponieważ był jej dobrze czynił przez całe życie, więc sądził, iż ona teraz biegnie jemu na pomoc. Wzmógł się tedy i głowę skrwawioną nieco uniósłszy, zawołał na nią imieniem: „Ihezal!”.

Wolał zaś, nie aby pomocy od niej żądać, gdyż wiedział, że śmiercią musi dzieło swoje zamknąć i że go niczyja ręka nie wybawi, ale iż pragnął jej nawrócenia i sądził, że duch ją dobry w ostatniej chwili naszedł na widok srogiej męki jego.

W kobiecie tej jednak serce było nad wyraz zatwardziałe, taż że przybiegłszy ku niemu, miasto²⁴⁶ litość mu okazać albo pożałowanie, ujęła nóż ostry i wspinając się na palce, raziała go w serce, iż skołał.

Co gdy uczyniła, duchy ją zaraz złe napadły i zaczęła tańczyć, i jęczeć, i szlochać, i opętana pognąła ku ogrodom na stokach obok świątyni i tam kędyś przepadła na zawsze, przez duchy one nieczyste snadź²⁴⁷ uniesiona.

A tejsze chwili kiedy skołał Zwycięzca, szern się pokazał z rozpiętymi czarnymi skrzydłami na dachu świątyni, a podleciawszy krzywym lotem z niesłychaną zuchwałością w pośrodku ludu, usiadł na szczycie słupa, kędy było ciało.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Tłum, przerażony zjawieniem się szerna i z nagłą powstającą burzą, rozbiegł się rychło, ostawiwszy ciało krwawe i martwe, do słupa jeszcze przywiązane.

Nad wieczorem dopiero nadeszli słudzy arcykapłańscy i poprzecinawszy sznury, zdjęli zwłoki i przysypali wielką kupą piasku i kamienia.

W pośrodku nocy jednakże stała się jasność niezmierna i z hukiem ogromnym, do uderzenia tysiąca piorunów podobnym, przybieżał w ogniu jasny wóz Zwycięzcy i stanął ponad mogiłą, nad brzegiem morza usypaną.

Jasność tę widziało wielu ludzi, którzy na odgłos grzmotu z domów powybiegali, dziwując się w trwodze nadzwyczajnemu zjawisku.

A wtedy Zwycięzca wyszedł spod głazów, którymi go przywalono, młody i jasny, bez śladu jakiegokolwiek rany na świetlistym ciele. Stanąwszy na szczycie mogiły, skinął na wóz, a ten jakoby pies posłuszny, do ręki pana przyuczony, zatoczył wielkie koło i u nog jego się położył.

Zwycięzca zasie²⁴⁸ wstąpił do woza i przeleciawszy w ogniach nad miastem, poszybował ku gwieździe Ziemi, kędy jest jego i nasza ojczyzna.

²⁴⁵odbieżeć (daw.) — odejść; tu: opuścić. [przypis edytorski]

²⁴⁶miasto (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

²⁴⁷snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

²⁴⁸zasie — dziś: zaś. [przypis edytorski]

Nie martwcie się tedy, bracia moi, i nie frasujcie, iż jesteście opuszczeni, gdyż owszem, weselić wam się należy, iż on srogą śmiercią swoją prawdę przypieczętował i dobrej sprawie życia swojego dał ostatnie świadectwo, a dla nas przykład zostawił, jako się idzie bez trwogi ku dziełu swojemu, i zaś dał nadzieję, że jest ze śmierci odrodzenie.

On patrzy z Ziemi wysokiej na sprawy nasze tutaj i błogosławi czyny wasze górne a odważne, a kiedy czasy się dopełnią, przyjdzie znowu w jasności, ale już nie wieść i nauczać, lecz karać srogą prawicą wrogi dzieła swojego.

Tak będzie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/trylogia-ksiezycowa-zwyciezca>

Tekst opracowany na podstawie: Jerzy Żułowski, *Zwycięzca*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1959

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Wojciech Kottwica.

ISBN 978-83-288-1066-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).